

Alice Sebold

Nostalgia anioła

*Z angielskiego przełożyła HANNA SZAJOWSKA
Tytuł oryginału: THE LOVELY BONES*

Zawsze, Glen

W szklanej kuli na biurku mojego taty mieszkał pingwin ubrany w szalik w czerwono-białe paski. Kiedy byłam malutka, tata sadzał mnie sobie na kolanach i sięgał po śnieżną kulę. Obracał ją, a gdy cały śnieg zebrał się u góry, szybko przekręcał. Patrzyliśmy oboje na płatki padające powoli wokół pingwina. Pingwin jest tam sam, myślałam, i martwiłam się o niego. Kiedy powiedziałam o tym tacie, stwierdził: „Nie martw się, Susie; ma miłe życie. Jest uwięziony w idealnym świecie”.

1.

Nazywałam się Salmon, łosoś, jak ta ryba; na imię miałam Susie. Kiedy zostałam zamordowana szóstego grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku, miałam czternaście lat. Na gazetowych zdjęciach z lat siedemdziesiątych większość zaginionych dziewczynek wyglądała tak jak ja: białe dziewczynki o mysiobrazowych włosach. Działo się to, zanim zaginione dzieci wszystkich ras i płci zaczęły się pojawiać na kartonach z mlekiem albo w codziennej poczcie. Wtedy ludzie jeszcze wierzyli, że takie rzeczy się nie zdarzają.

W swoim roczniku szkolnym z gimnazjum miałam cytaty z Juana Ramona Jimeneza, hiszpańskiego poety, którym zainteresowała mnie siostra. Brzmiał tak: „Jeżeli dadzą ci papier w linie, pisz w poprzek”. Wybrałam go z dwóch powodów. Przede wszystkim wyrażał moją pogardę dla uporządkowanego otoczenia w stylu klasy szkolnej, a poza tym nie był jakimś głupim cytatem z zespołu rockowego i uważałam, że wyróżnia mnie jako osobę o zainteresowaniach literackich. Należałam do Klubu Szachowego i Klubu Chemicznego i przypalałam wszystko, co próbowałam ugotować na lekcjach gospodarstwa domowego u pani Delminico. Moim ulubionym nauczycielem był pan Botte, który uczył nas biologii i gdy robiliśmy sekcję żabom i rakom, poruszał nimi, udając, że tańczą w swoich woskowanych kuwetach.

Nawiasem mówiąc, nie zabił mnie pan Botte. Nie myślcie, że każda osoba, którą tu spotkacie, jest podejrzana. W tym właśnie problem. Nigdy nic nie wiadomo. Pan Botte przyszedł na moje nabożeństwo żałobne (podobnie, niech mi będzie wolno dodać, jak prawie całe gimnazjum - nigdy w życiu nie byłam taka popularna) i trochę się popłakał. Miał chore dziecko. Wszyscy o tym wiedzieliśmy, więc kiedy śmiał się z własnych dowcipów, które miały długą siwą brodę, jeszcze zanim został moim nauczycielem, my też się śmialiśmy, czasem na siłę, żeby tylko sprawić mu przyjemność. Jego córka umarła półtora roku po mnie. Miała białaczkę, ale nigdy jej nie widziałam w swoim niebie.

Moim mordercą był człowiek z sąsiedztwa. Mamie podobały się jego rabaty kwiatowe, a tata raz rozmawiał z nim o nawozie. Mój morderca wierzył w staroświeckie rzeczy w rodzaju skorupki jajek i fusów od kawy. Powiedział, że używała tego jego własna matka. Tata przyszedł do domu uśmiechnięty, żartując sobie, że ogród tego faceta może i będzie piękny, ale i cuchnący jak lichy, kiedy nadejdzie fala upałów.

Jednak szóstego grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku padał śnieg i wracając z gimnazjum, zrobiłam sobie skrót przez pole kukurydzy. Na dworze było ciemno, bo zimą dni zrobiły się krótsze, i pamiętam, że połamane łodygi kukurydzy utrudniały mi przejście. Śnieg lekko prószył jak wirujące zimne paluszki, a ja oddychałam przez nos, aż wreszcie ciekło mi z niego tak bardzo, że musiałam otworzyć buzię. Sześć stóp od miejsca, w którym stał pan Harvey, wysunęłam język, żeby poczuć smak śnieżnego płatka.

- Nie przestrasz się - powiedział pan Harvey.

Oczywiście, że na polu kukurydzy, w ciemności, byłam przestraszona. Kiedy już nie żyłam, myślałam o tym, że w powietrzu unosił się lekki zapach wody kolońskiej, ale nie zwróciłam na to uwagi albo uznałam, że dochodzi z któregoś z domów przede mną.

- Pan Harvey - odezwałam się.
- Jesteś starszą dziewczynką Salmonów, prawda?
- Tak.
- Jak tam twoi rodzice?

Chociaż byłam najstarszym dzieckiem w rodzinie i łatwo mi przychodziło wygrywanie naukowych kwizów, z dorosłymi nigdy nie czułam się swobodnie.

- W porządku - odparłam. Było mi zimno, ale naturalny autorytet, jakiego przydawał mu wiek i dodatkowo to, że był sąsiadem i rozmawiał kiedyś z moim tatą o nawozie, przykuły mnie do miejsca.

- Coś tu zbudowałem - powiedział. - Chciałabyś zobaczyć?
- Trochę mi zimno, proszę pana, i moja mama każe mi wracać przed zmrokiem.
- Jest po zmroku, Susie - stwierdził.

Żałuję teraz, że wtedy nie uznałam tego za dziwne. Nie powiedziałam mu, jak mam na imię. Pewnie pomyślałam, że tata opowiedział mu jedną z zawstydzających anegdot, które uważał wyłącznie za dowód miłości wobec własnych dzieci. Mój tata należał do tych ojców, którzy w łazience na dole, przeznaczonej dla gości, trzymają twoje zdjęcie jako trzyletniego golasa. Zrobił to mojej siostrzyczce, Lindsey. Dzięki Bogu mnie oszczędzono tego poniżenia. Ale za to lubił opowiadać historię o tym, że kiedy urodziła się Lindsey, byłam taka zazdrosna, że pewnego dnia, gdy on rozmawiał przez telefon w innym pokoju, zesłam z kanapy - widział mnie stamtąd, gdzie stał - i próbowałam nasiusiać na siostrę w nosidelku. Ta opowieść narażała mnie na upokorzenie za każdym razem, kiedy ją powtarzał; pastorowi w naszym kościele, naszej sąsiadce, pani Stead, terapeutce, której zdanie na ten temat chciał usłyszeć, i każdemu, kto kiedykolwiek powiedział „Susie to ma tupet!”.

- Tupet! - mawiał mój tata. - Zaraz wam opowiem coś o tupecie - i z miejsca rozpoczynał swoją opowieść „O Susie, która chciała nasiusiać na Lindsey”.

Pan Harvey miał później powiedzieć do mojej mamy, kiedy wpadł na nią na ulicy, następujące słowa:

- Słyszałem o tej potwornej, potwornej tragedii. Jak, przepraszam, miała na imię państwa córka?

- Susie - odpowiedziała mama, próbując udźwignąć ten ciężar. Naiwnie miała nadzieję, że któregoś dnia ból zelżeje, nie wiedząc, że będzie jej ciężył na nowe i odmienne sposoby przez resztę życia.

Pan Harvey wygłosił zwyczajowe:

- Mam nadzieję, że dorwą tego drania. Współczuję państwu z powodu tej straty.

Byłam już wtedy w swoim niebie i próbowałam się pozbierać. Nie mogłam uwierzyć w

jego bezczelność.

- Facet nie ma wstydu - powiedziałam do Franny, mojej wprowadzającej.

- Właśnie - odparła i w ten prosty sposób wyraziła swoje zdanie. W moim niebie nie było wstawiania kitu.

Pan Harvey powiedział, że to zabierze tylko chwilę, więc weszłam za nim trochę głębiej na pole, gdzie było mniej połamanych łądyg, bo nikt nie chodził tamtędy na skróty do gimnazjum. Mama wytłumaczyła mojemu braciszкови Buckleyowi, że kukurydza z tego pola jest niejadalna, kiedy zapytał, dlaczego nikt z okolicy jej nie zjadł.

- Ta kukurydza jest dla koni, nie dla ludzi - wyjaśniła.

- Nie dla psów? - zapytał Buckley.

- Nie - odparła mama.

- Nie dla dinozaurów?

I tak się to ciągnęło.

- Zrobiłem małą kryjówkę - stwierdził pan Harvey.

Zatrzymał się i odwrócił do mnie.

- Niczego nie widzę - powiedziałam. Byłam świadoma, że pan Harvey dziwnie mi się przygląda. Zdarzali się starsi mężczyźni, którzy tak na mnie patrzyli, odkąd zgubiłam dziecięcy tłuszczek, ale zwykle nie odbijało im na moim punkcie, kiedy miałam na sobie ciemnoniebieską kurtkę z kapturem i ogromne żółte dzwony. Jego okulary były małe i okrągłe, ze złotymi oprawkami, a oczy spoglądały przez nie prosto na mnie.

- Powinnaś być bardziej spostrzegawcza, Susie - zauważył.

Miałam ochotę wykazać się spostrzegawczością, znajdując drogę do domu, ale tego nie zrobiłam. Czemu tego nie zrobiłam? Franny powiedziała, że te pytania są bezowocne: „Nie zrobiłaś, i tyle. Nie rozmyślaj nad tym. Na nic ci się to nie przyda. Jesteś martwa i musisz się z tym pogodzić”.

- Spróbuj jeszcze raz - zachęcił mnie pan Harvey, a potem przykucnął i zapukał w ziemię.

- Co to takiego? - zapytałam.

Marzły mi uszy. Nie miałam na głowie kolorowej czapki z pomponem i dzwoneczkami, którą mama zrobiła mi kiedyś na Boże Narodzenie. Wepchnęłam ją do kieszeni kurtki.

Pamiętam, że podeszłam do pana Harveya i tupnęłam w ziemię obok. Wydawała się twardsza niż zwykle zamrożona ziemia.

- Drewno - odpowiedział pan Harvey. - Chroni wejście przed zawaleniem. Oprócz tego wszystko jest zrobione z ziemi.

- Co to jest? - zapytałam. Nie czułam już zimna i nie dziwiło mnie spojrzenie, jakim mnie obrzucił. Czułam się jak na lekcji fizyki: byłam ciekawa.

- Chodź i zobacz.

Wchodziło się niewygodnie - sam to przyznał, kiedy oboje znaleźliśmy się w jamie. Lecz ja byłam tak zdumiona sposobem, w jaki zrobił komin, który wyprowadzałby na zewnątrz

dym, gdyby kiedyś zdecydował się zbudować kominek, że trudności z wejściem i wydostaniem się z tej jamy nie powstały mi w głowie. Trzeba dodać, że ucieczka nie należała do pojęć, które miałam okazję skonfrontować z rzeczywistością. Do tej pory kojarzyła mi się tylko z Artiem, dziwnie wyglądającym dzieciakiem ze szkoły, synem przedsiębiorcy pogrzebowego. Lubił udawać, że nosi ze sobą strzykawkę z płynem do balsamowania. W swoim notesie rysował igły, z których kapały ciemne krople.

- Ale fajowe! - powiedziałam do pana Harveya. Mógł sobie być garbusem z Notre Dame - o którym czytaliśmy na francuskim. Nic mnie to nie obchodziło. Kompletnie cofnęłam się w rozwoju. Zachowywałam się jak mój brat Buckley na naszej całodniowej wycieczce do Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku, kiedy zakochał się w wystawionych tam olbrzymich szkieletach. Nie użyłam publicznie słowa „fajowy” od podstawówki.

- To tak, jakby zabrać dziecku cukierka - stwierdziła Franny.

Wciąż widzę tę jamę, jakby to było wczoraj. I było. Życie to dla nas wieczne wczoraj. Miała rozmiary pokoiku, komórki w naszym domu, gdzie trzymamy śniegowce i płaszcze przeciwdeszczowe i gdzie mamie udało się wcisnąć pralkę i suszarkę, ustawione jedna na drugiej. Prawie mogłam się w niej wyprostować, ale pan Harvey musiał się nachylić.

Zrobił ławę wzdłuż boków - w taki sposób to wykopał.

Natychmiast usiadł.

- Rozejrzyj się - powiedział.

Gapiałam się zdumiona na wykopaną nad nim półkę, na której położył zapalki, rząd baterii i lampę fluorescencyjną na baterie, rzucającą jedyne światło w pomieszczeniu - niesamowite światło, które miało uczynić jego rysy trudnymi do rozpoznania, kiedy na mnie leżał.

Na półce znajdowały się także lustro, brzytwa oraz krem do golenia. Wydało mi się to dziwne. Nie golił się w domu? Ale chyba zdawałam sobie sprawę, że facet, który miał całkiem niezły piętrowy dom, a zbudował podziemny pokój niecałe pół mili dalej, musiał być trochę stuknięty. Mój tata w miły sposób opisywał ludzi takich jak on: „Niezły z niego okaz, i tyle”.

No więc chyba myślałam, że pan Harvey to okaz, a poza tym spodobał mi się ten pokój, bo był ciepły, i chciałam wiedzieć, jak został zbudowany, jaką miał konstrukcję i gdzie pan Harvey nauczył się robić takie rzeczy.

Ale zanim trzy dni później pies Gilbertów znalazł mój łokieć i przyniósł go do domu z przyczepionym wymownym kukurydzianym wąsem, pan Harvey zasypał pustą przestrzeń. Ja w tym czasie byłam zajęta przejściem. Nie zjawiałam się, żeby patrzeć, jak haruje: usuwa drewniane wzmocnienia, pakuje do torby wszystkie dowody razem z częściami mojego ciała, oprócz tego łokcia. Zanim się pozbierałam na tyle, żeby spojrzeć w dół, na wydarzenia na Ziemi, bardziej niż cymkolwiek innym martwiłam się swoją rodziną.

Mama siedziała na twardym krześle przy frontowych drzwiach, z otwartymi ustami. Jej blada twarz była bledsza, niż kiedykolwiek widziałam. Niebieskie oczy patrzyły nieruchomo

przed siebie. Tata był jak nakręcony. Chciał znać szczegóły i przeczesać pole kukurydzy razem z gliniarzami. Wciąż dziękuję Bogu za małego detektywa nazwiskiem Len Fenerman. Wyznaczył dwóch mundurowych, żeby zabrali mojego tatę do miasta i kazali mu wskazać wszystkie miejsca, po których włóczyłam się z przyjaciółmi. Mundurowi zajmowali uwagę taty przez cały dzień w jednym centrum handlowym. Nikt nie powiedział Lindsey, która miała trzynaście lat i byłaby na to dość duża, ani Buckleyowi, czterolatki, który, prawdę mówiąc, nigdy do końca tego nie zrozumiał.

Pan Harvey zapytał, czy chciałabym coś przekąsić. Tak to ujął. Odpowiedziałam, że muszę iść do domu.

- Zachowaj się uprzejmie i wypij colę - oświadczył. - Inne dzieciaki na pewno by tak zrobiły.

- Jakie inne dzieciaki?

- Zbudowałem to dla dzieciaków z sąsiedztwa. Pomyślałem, że mogłoby to być coś w rodzaju klubu.

Nie wydaje mi się, żebym nawet wtedy w to wierzyła. Wiedziałam, że kłamie, ale uznałam, że to żalosne kłamstwo. Wyobraziłam sobie, że był samotny. Czytaliśmy o ludziach takich jak on na lekcjach higieny. O mężczyznach, którzy nigdy się nie żenili, co wieczór jadali mrożone posiłki i tak bardzo obawiali się odrzucenia, że nie mieli nawet domowych zwierzątek. Było mi go żal.

- Okej - oznajmiłam. - Wypiję colę.

Za chwilę zapytał:

- Nie jest ci za ciepło, Susie? Czemu nie zdejmiesz kurtki?

Zdjęłam.

Potem powiedział:

- Jesteś bardzo ładna, Susie.

- Dzięki - odpowiedziałam, mimo że wstawił mi to, co z moją przyjaciółką Clarissą nazywałyśmy „lepką gadką”.

- Masz chłopaka?

- Nie, proszę pana - odparłam. Przełknęłam resztę coli, czyli całą masę, i powiedziałam: - Muszę iść, proszę pana. To świetne miejsce, ale muszę iść.

Wstał i odstawił swój numer garbusa przy sześciu wykopanych schodkach, które prowadziły na świat.

- Nie wiem, skąd ta myśl, że wychodzisz.

- Proszę pana, ja naprawdę muszę iść do domu. - Mówiłam to, żeby nie przyjmować do wiadomości tego, co następuje: pan Harvey nie był żadnym okazem. Teraz, kiedy blokował drzwi, czułam się przez niego lekko i ohydnie.

- Zdejmij ubranie.

- Co?

- Zdejmij ubranie - powtórzył pan Harvey. - Chcę sprawdzić, czy jesteś jeszcze dziewicą.
- Jestem, proszę pana.
- Chcę się upewnić. Twój rodzice mi podziękują.
- Moi rodzice?
- Oni chcą mieć tylko grzeczne dziewczynki - stwierdził.
- Proszę pana - powiedziałam - proszę pozwolić mi wyjść.
- Nigdzie nie wychodzisz, Susie. Teraz jesteś moja.

„Fitness” czy „aerobik” to były wtedy tylko słowa. Dziewczyny miały być miękkie, i tylko te, które podejrzewałyśmy, że są lesbiami, potrafiły się w szkole wspinać po linie.

Walczyłam ostro. Walczyłam najbardziej zawzięcie, jak mogłam, żeby nie pozwolić panu Harveyowi się skrzywdzić, ale moje „najbardziej zawzięcie” nie było dość zawzięte nawet w przybliżeniu, i wkrótce leżałam na ziemi, w ziemi, a on dyszał i pocił się na mnie i w czasie walki zgubił okulary.

Byłam wtedy tak bardzo żywa. Myślałam, że to *najgorsza rzecz na świecie*, leżeć płasko na plecach ze spoconym mężczyzną na mnie. Uwięziona w ziemi, kiedy nikt nie wie, gdzie jestem.

Pomyślałam o mamie.

Mama będzie patrzyła na tarczę zegara na piekarniku. To był nowy piekarnik i uwielbiała go za ten zegarek. „Mogę wszystko zgrać co do minuty” - powiedziała swojej matce, matce, której piekarniki kompletnie nie interesowały.

Będzie zaniepokojona moim spóźnieniem, ale bardziej zła niż zaniepokojona. Kiedy tata wjedzie do garażu, będzie się wkurzać, przygotowując mu koktajl, wytrawne sherry, i zrobi zirytowaną minę. „Wiesz, jak to jest w gimnazjum - powie. - Może to wiosenne swędzenie”. „Abigail - odpowie tata - jakim cudem wiosenne swędzenie, skoro pada śnieg?”. Kiedy mama nie znajdzie u niego zrozumienia, być może pogoni Buckleya do pokoju i powie: „Pobaw się z tatą”, podczas gdy sama schowa się w kuchni i też pociągnie łyk sherry.

Pan Harvey zaczął przyciskać swoje usta do moich. Były mięsiste i mokre i chciałam wrzasnąć, ale byłam za bardzo przestraszona i zbyt wyczerpana walką. Raz pocałował mnie ktoś, kogo lubiłam. Miał na imię Ray i był Hindusem. Miał ciemną skórę i mówił z akcentem. Nie powinien był mi się podobać. Clarissa nazywała jego duże oczy, z tymi na wpół przymkniętymi powiekami, „ćpuniarskimi”, ale Ray był miły i mądry i pomógł mi ściągnąć na sprawdzianie z algebry, chociaż udawał, że wcale nie. Pocałował mnie przy mojej szafce dzień przedtem, zanim oddaliśmy swoje zdjęcia do szkolnego rocznika. Kiedy rocznik wyszedł pod koniec lata, widziałam, że pod swoim zdjęciem napisał: „Moje serce należy do... Susie Salmon”. Chyba miał w stosunku do mnie jakieś plany. Pamiętam, że jego wargi były spierzchnięte.

- Proszę, nie, proszę pana - zdołałam wydusić i powtarzałam to jedno słowo wiele razy.

Nie. I powiedziałam też kilka razy „proszę”. Od Franny się dowiedziałam, że prawie każdy przed śmiercią mówi „proszę”.

- Pragnę cię, Susie.

- Proszę - powiedziałam. - Nie. - Czasami łączyłam oba słowa. „Proszę, nie” albo „Nie, proszę”. To było jak upieranie się, że klucz pasuje, kiedy nie pasuje, albo okrzyk: „Mam ją, mam ją, mam ją”, kiedy piłka przelatuje nad tobą na trybuny.

- Proszę, nie.

Ale on w końcu zmęczył się słuchaniem moich błagań. Sięgnął do kieszeni mojej kurtki, wyjął czapkę, którą zrobiła mama, zwinął ją w kulę i wepchnął mi do ust. Jedynym dźwiękiem, który potem wydawałam, było słabe brzęczenie dzwoneczków.

Gdy całował mokrymi wargami moją twarz i szyję, coraz niżej, a potem zaczął wpychać mi ręce pod koszulkę, rozpłakałam się. Zaczęłam opuszczać swoje ciało; zaczęłam zamieszkiwać powietrze i ciszę. Płakałam i walczyłam, żeby nie czuć. Rozdarł mi spodnie, bo nie udało mu się znaleźć niewidocznego zamka, który moja mama zręcznie wszyła z boku.

- Wielkie białe majtki - powiedział.

Czułam się olbrzymia i napęczniała. Czułam się jak morze, w którym stanął i wysikał się i wysrał. Czułam brzegi swojego ciała, zakładające się na siebie i odwijające na zewnątrz jak w kociej kołysce, w którą bawiłam się z Lindsey tylko dlatego, żeby była szczęśliwa. Zaczął się na mnie wyżywać.

- Susie! Susie! - usłyszałam wołanie mamy. - Kolacja gotowa.

Był we mnie w środku. Mruczał.

- Mamy fasolkę szparagową i jagnięcinę.

Byłam mózdzierzem, on był tłuczkiem.

- Twój brat namalował palcami nowy obrazek, a ja zrobiłam szarlotkę z kruszonką.

Pan Harvey zmusił mnie, żebym leżała pod nim nieruchomo i słuchała bicia jego serca, bicia mojego serca. Moje skakało jak królik, a jego dudniło niczym młot walący w materiał. Leżeliśmy tam i nasze ciała się dotykały, i kiedy zadrzałam, gwałtownie uświadomiłam sobie, co się stało. Zrobił mi tę rzecz i przeżyłam. To było wszystko. Oddychałam. Słyszałam jego serce. Czułam jego oddech. Otaczająca nas ciemna ziemia pachniała wilgocią, w której wiodą swoje codzienne życie robaki i inne zwierzęta. Mogłabym wrzeszczeć godzinami.

Wiedziałałam, że ma zamiar mnie zabić. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, że byłam zwierzęciem, które już umiera.

- Czemu nie wstaniesz? - spytał pan Harvey i przekulał się na bok, a potem ukucnął nade mną.

Głos miał miękki, zachęcający, głos kochanka późnym rankiem. Sugestia, nie rozkaz.

Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam wstać.

Kiedy tego nie zrobiłam - czy tylko dlatego, że nie posłuchałam jego sugestii? - pochylił się i sięgnął nad głową do występu, gdzie leżały brzytwa i krem do golenia. Trzymał nóż. Nóż

wyjęty z pochwy, uśmiechnął się do mnie, wykrzywając usta.

Pan Harvey wyjął mi z ust czapkę.

- Powiedz, że mnie kochasz - polecił.

Zrobiłam to cicho.

Mimo wszystko nadszedł koniec.

2.

Kiedy pierwszy raz znalazłam się w niebie, myślałam, że wszyscy widzieli to co ja. Że każdy miał w niebie bramki do piłki nożnej oraz niezdarne kobiety pchające kulą i rzucające oszczepem. I że wszystkie budynki wyglądały jak podmiejskie licea z Północnego Wschodu, postawione w latach sześćdziesiątych. Duże niskie budynki rozrzucone na ponuro urządzonych piaszczystych terenach, z nawisami i prześwitami, żeby robiły wrażenie nowoczesnych. Najbardziej spodobało mi się to, że zabudowania były turkusowe i pomarańczowe, dokładnie jak liceum Fairfax. Czasami, na Ziemi, zmuszałam tatę, żeby przewiózł mnie obok liceum Fairfax, żebym mogła sobie wyobrazić, że tam chodzę.

Po siódmej, ósmej i dziewiątej klasie gimnazjum liceum oznaczałoby nowe perspektywy. Gdybym się dostała do liceum Fairfax, uparłabym się, żeby mówiono do mnie Suzanne. Włosy nosiłabym cieniowane albo upięte w kok. Miałabym ciało, którego chłopcy by pragnęli, a dziewczyny zazdrościły, ale byłabym jednocześnie taka miła, że czułyby się winne i mogłyby mnie tylko uwielbiać. Lubiłam sobie wyobrazać, że osiągnę coś w rodzaju statusu królowej i w kafeterii otoczę opieką nieprzystosowane dzieciaki. Gdyby ktoś wyśmiewał się z Clive'a Saundersa, że chodzi jak dziewczyna, moja stopa wymierzałaby słabiej chronionym częściom ciała szydercy rychłą zemstę. Gdyby chłopcy dokuczali Phoebe Hart z powodu jej słusznych rozmiarów biustu, wygłaszałabym mowę o tym, dlaczego żarty z cycków nie są zabawne. Musiałam zapomnieć, że kiedy Phoebe przechodziła obok mnie, ja też pisałam na marginesach swojego notatnika: zderzaki, balony, donice. W marzeniach często siedziałam z tyłu samochodu prowadzonego przez tatę. Byłam nieskazitelna. Miałam zaliczyć liceum w ciągu paru dni - nie lat - albo w niewyjaśniony sposób dostać Oscara dla najlepszej aktorki jeszcze w trzeciej klasie. Takie były moje marzenia na Ziemi.

Po kilku dniach w niebie zdałam sobie sprawę, że oszczepniczki, kobiety pchające kulą i chłopcy grający w koszykówkę na popękany asfalcie znajdowali się we własnych wersjach nieba. Ich wersje po prostu pasowały do mojej - nie odtwarzały jej precyzyjnie, ale działa się w nich cała masa podobnych spraw.

Holly, która stała się moją współlokatorką poznałam trzeciego dnia. Siedziała na huśtawce. (Nie dziwiło mnie, że w liceum mieli huśtawki: na tym właśnie polegало niebo. I to huśtawki nie z płaskim siedzeniem, lecz kubełkowe, z twardej czarnej gumy, która wyginała się w kołyskę i pozwalała przed huśtaniem poskakać trochę jak na trampolinie). Holly siedziała, czytając książkę napisaną dziwnym alfabetem. Skojarzyłam go ze smażonym ryżem z wieprzowiną przynoszonym przez tatę do domu z Kuchni Hop Fat. Było to miejsce, którego nazwę Buckley kochał tak bardzo, że wrzeszczał „Hop Fat!” ile sił w płucach. Teraz znam wietnamski i wiem, że Herman Jadę, właściciel Hop Fat, nie był Wietnamczykiem i że „Jadę” nie było jego prawdziwym nazwiskiem, to było nazwisko, które przybrał, kiedy przyjechał do Stanów z Chin. Holly mi to wszystko wytłumaczyła.

- Cześć - powiedziałam. - Mam na imię Susie.

Później miała mi wyjaśnić, że wybrała sobie imię z filmu „Śniadanie u Tiffany’ego”. Ale tego dnia po prostu odparła:

- Jestem Holly. - Ponieważ nie chciała mieć w swoim niebie ani śladu akcentu, nie miała żadnego.

Zagapiłam się na jej czarne włosy. Były lśniące jak obiecywali w czasopismach.

- Jak długo tu jesteś? - zapytałam.

- Trzy dni.

- Ja też.

Usiadłam obok niej na huśtawce i przez chwilę kręciłam się wkoło, żeby zaplątać łańcuchy. Potem się puściłam i wirowałam, aż do zatrzymania.

- Podoba ci się tu? - zainteresowała się.

- Nie.

- Mnie też nie.

I tak to się zaczęło.

W naszych niebach spełniały się nasze najprostsze życzenia. W szkole nie było nauczycieli. Nie musiałyśmy tam chodzić, nie licząc zajęć plastycznych w moim wypadku i zespołu jazzowego w wypadku Holly. Chłopcy nie szczypali nas w pupę i nie mówili nam, że śmierdzimy; „Siedemnastolatka”, „Glamour” i „Vogue” były naszymi podręcznikami.

I nasze nieba powiększały się, w miarę rozwoju naszego związku. Pragnęłyśmy wielu tych samych rzeczy.

Franny, moja wprowadzająca, została naszą przewodniczką. Franny była dość stara - po czterdziestce - i mogłaby być naszą matką. Trochę to trwało, zanim zdałyśmy sobie z Holly sprawę, że tego właśnie pragnęłyśmy: naszych mam.

Franny w swoim niebie pracowała dla innych i w nagrodę miała wyniki i wdzięczność. Na Ziemi była pracownicą socjalną i zajmowała się bezdomnymi i najuboższymi. Pracowała w kościele Świętej Marii, gdzie wydawano posiłki tylko dla kobiet i dzieci, i robiła tam wszystko, od obsługi telefonów po tłuczenie karaluchów - ciosami w stylu karate. Została postrzelona w twarz przez mężczyznę, który szukał swojej żony.

Franny przyszła do Holly i do mnie piątego dnia. Wręczyła nam po kubku cytrynowego kool-aida. Gdy wypiliśmy, powiedziała:

- Jestem tu, żeby wam pomóc.

Zajrzałam w jej niebieskie oczka, otoczone zmarszczkami od śmiechu, i zgodnie z prawdą odparłam:

- Nudzimy się.

Holly była zajęta próbą wyciągnięcia języka na tyle daleko, żeby sprawdzić, czy zrobił się zielony.

- A co byś chciała? - zapytała Franny.

- Nie wiem - odpowiedziałam.

- Jedyne, co musisz zrobić, to czegoś zapragnąć, i jeśli będziesz tego pragnąć wystarczająco mocno i rozumieć, dlaczego tego pragniesz... musisz naprawdę wiedzieć... to się stanie.

Wydawało się to proste i takie też było. Właśnie w ten sposób Holly i ja dostałyśmy nasz bliźniak.

Na Ziemi nienawidziłam naszego piętrowego domu. Nienawidziłam mebli rodziców i tego, że okna wychodziły na kolejny dom i kolejny, i kolejny - jednakowość wążąca na wzgórze. Nasz bliźniak wychodził na park, a w oddali - w odpowiedniej odległości, żebyśmy wiedziały, że nie jesteśmy same, ale nie za blisko - widziałyśmy światła innych domów.

W końcu zaczęłam pragnąć więcej. Uznałam, że to dziwne, jak bardzo pragnęłam wiedzieć to, czego nie wiedziałam na Ziemi. Chciałam, żeby mi było wolno dorosnąć.

- Ludzie dorastają, żyjąc - powiedziałam do Franny. - Chcę żyć.

- To odpada - stwierdziła.

- Czy możemy przynajmniej obserwować żyjących? - zapytała Holly.

- Już to robicie.

- Zdaje mi się, że jej chodzi o całe życie - oznajmiłam - od początku do końca. Żeby zobaczyć, jak je przeżyli. Znać tajemnice. Wtedy będziemy mogły lepiej udawać.

- Nie doświadczycie tego - wyjaśniła Franny.

- Dziękuję, Mądra Głowo - odparłam, ale nasze nieba zaczęły się rozrastać.

W dalszym ciągu było liceum, wszystkie zabudowania Fairfax, ale teraz pojawiły się też drogi prowadzące na zewnątrz.

- Idźcie ścieżkami - powiedziała Franny - a znajdziecie to, co jest wam potrzebne.

I właśnie wtedy Holly i ja wyruszyłyśmy. W naszym niebie była lodziarnia i gdy prosiło się w niej o miętowy smak, nikt nigdy nie powiedział: „to nie sezon”; była gazeta, w której często pojawiały się nasze zdjęcia i wyglądałyśmy na nich na ważne osoby; byli też prawdziwi mężczyźni i piękne kobiety, ponieważ Holly i ja przepadałyśmy za czasopismami z modą. Czasami Holly sprawiała wrażenie czymś zaprzątniętej albo znikąca, kiedy próbowałam ją znaleźć. Działo się tak, gdy oddalała się od części nieba, której nie dzieliłyśmy. Tęskniłam wtedy za nią, ale to był dziwny rodzaj tęsknoty, bo teraz wiedziałam już, co to znaczy „na zawsze”.

Nie mogłam mieć tego, czego najbardziej chciałam: żeby pan Harvey nie żył i żeby ja żyła. Niebo nie było idealne.

Ale doszłam do przekonania, że gdybym bacznie obserwowała i bardzo tego pragnęła, mogłabym zmienić życie tych, których kochałam na Ziemi.

Tata był tą osobą, która dziewiątego grudnia odebrała telefon. To był początek końca. Podał policji moją grupę krwi, musiał opisać jasny kolor mojej skóry. Zapytali go, czy miałam jakieś znaki szczególne. Zaczął szczegółowo, gubiąc się w opisie. Detektyw

Fenerman nie zamierzał mu przerywać, wiadomość była zbyt potworna, żeby się z nią wcinać w tok wypowiedzi. Ale potem powiedział:

- Panie Salmon, znaleźliśmy tylko część ciała.

Tata stał w kuchni i ogarnęło go mdlące drzenie. Jak miałyby to przekazać Abigail?

- Więc nie możecie mieć pewności, że nie żyje? - zapytał.

- Nic nie jest pewne - odparł Len Fenerman.

I właśnie to zdanie tata powtórzył mamie:

- Nic nie jest pewne.

Przez trzy noce nie umiał dotknąć mamy ani nie wiedział, co jej powiedzieć. Wcześniej nigdy nie pograżyli się razem w rozpacz. Zwykle to jedno potrzebowało drugiego, a nie oboje siebie nawzajem, i zawsze można było poprzez dotyk pożyczyć trochę siły od silniejszego. I nigdy wcześniej nie rozumieli, jak teraz, co znaczyło słowo *potworność*.

- Nic nie jest pewne - powiedziała mama, chwytając się tego, tak jak chciał tata.

To mama знаła znaczenie każdego wisiora na mojej bransoletce - gdzie go znaleźliśmy i dlaczego go lubiłam. Sporządziła drobiazgową listę tego, co miałam przy sobie i w co byłam ubrana. Gdyby znaleziono cokolwiek, jakąś rzecz leżącą samotnie przy drodze nawet całe mile stąd, dzięki tym wskazówkom policjant mógłby powiązać to coś z moją śmiercią.

Ze słodko-gorzką radością przyglądałam się, jak moja mama nazywa wszystkie rzeczy, które kochałam i miałam przy sobie, a jednocześnie wiedziałam, jak daremna jest jej nadzieja, że te rzeczy miały jakiegokolwiek znaczenie. Że obcy człowiek, który znalazłby gumkę z postacią z kreskówki albo znaczek z nazwiskiem gwiazdy rocka, zgłosiłby to policji.

Po telefonie Lena tata sięgnął po jej rękę i siedzieli we dwójkę na łóżku, patrząc prosto przed siebie. Mama opornie trzymając się listy rzeczy, tata z uczuciem, że wchodzi w ciemny tunel. W którymś momencie zaczęło padać. Czułam wtedy, że oboje myśleli o tym samym, ale żadne z nich nie powiedziało tego głośno. Że ja byłam gdzieś tam, na deszczu. Że mieli nadzieję, iż byłam bezpieczna. Że siedziałam gdzieś sucha, w ciepłe.

Żadne z nich nie wiedziało, które zasnęło pierwsze; kości bolały ich z wyczerpania, zdrzemnęli się i z poczuciem winy jednocześnie obudzili. Deszcz, który kilkakrotnie zmieniał konsystencję wraz ze spadkiem temperatury, stał się teraz gradem i dźwięk lodowych kamyczków uderzających o dach obudził ich w tej samej chwili.

Nie odezwali się. Spojrzeli na siebie w słabym świetle rzucanym przez lampę stojącą po przeciwnej stronie pokoju. Mama zaczęła płakać, a tata ją objął i gdy tylko łzy dotarły do policzków, otarł je opuszką kciuka. Potem bardzo delikatnie ucałował jej oczy.

Odwrociłam się od nich, kiedy się dotknęli. Przeniosłam spojrzenie na pole kukurydzy. Chciałam sprawdzić, czy było tam coś, co rano mogłaby znaleźć policja. Grad zgiął łodygi i zapędził wszystkie zwierzęta do nor. Niezbyt głęboko pod ziemią była nora dzikich królików, które uwielbiałam, króliczko w, które zjadały warzywa i kwiaty w najbliższej okolicy i czasami, nieświadomie, przynosiły do swoich legowisk truciznę. Wtedy w ziemi - niedaleko

od mężczyzny czy kobiety, którzy ozdobili ogród toksyczną przynętą - cała rodzina królików wtulała się w siebie i umierała.

Rankiem dziesiątego grudnia tata wylał szkocką do kuchennego zlewu. Lindsey zapytała go dlaczego.

- Boję się, że mógłbym ją wypić - powiedział.

- Co to był za telefon? - dociekała moja siostra.

- Jaki telefon?

- Słyszałam, jak mówiłeś to, co zawsze mówisz o uśmiechu Susie. O eksplodujących gwiazdach.

- Ja to powiedziałem?

- Wypadłeś trochę głupio. To był gliniarz, prawda?

- Bez kłamstw?

- Bez kłamstw - zgodziła się Lindsey.

- Znaleźli część ciała. Może należeć do Susie.

To był ostry kop w brzuch.

- Co?

- Nic nie jest pewne - spróbował tata.

Lindsey usiadła przy kuchennym stole.

- Pochoruję się - oznajmiła.

- Kochanie?

- Tatusiu, chcę, żebyś mi powiedział, co to było. Jaka część ciała, a potem będę musiała zwymiotować.

Tata wyjął dużą metalową kuchenną miskę. Przyniósł ją do stołu i zanim usiadł, ustawił przy Lindsey.

- Okej - rzuciła. - Powiedz mi.

- To był łokieć. Pies Gilbertów go znalazł. Trzymał ją za rękę i wtedy, zgodnie z obietnicą, zwymiotowała do lśniącej srebrzystej miski.

Później tego ranka pogoda się poprawiła i niezbyt daleko od mojego domu policja odgrodziła linami pole kukurydzy i zaczęła poszukiwania. Deszcz, deszcz ze śniegiem, śnieg i grad, topiące się i wymieszane, nasączyły grunt, a jednak było wyraźnie widać, gdzie ziemia została świeżo poruszona. Tam zaczęli i kopali.

Miejscami, jak później stwierdzono w laboratorium, mieli do czynienia ze znaczną koncentracją mojej krwi wymieszanej z ziemią, ale wówczas odczuwali tylko coraz większą i większą frustrację, przerzucając zimną mokrą ziemię i szukając dziewczynki.

Wzdłuż granicy boiska do piłki nożnej kilku moich sąsiadów zachowywało pełen szacunku dystans od policyjnej taśmy. Dziwili się mężczyznom ubranym w granatowe kurtki z kapturami, posługującym się szpadlami i grabiami jak instrumentami medycznymi.

Moi rodzice nie ruszyli się z domu. Lindsey została w swoim pokoju. Buckley był w

poblizu, w domu swojego przyjaciela Nate'a, gdzie spędzał wówczas mnóstwo czasu. Powiedzieli mu, że jestem z dłuższą wizytą u Clarissy.

Wiedziałam, gdzie było moje ciało, ale nie mogłam im powiedzieć. Patrzyłam i czekałam. Chciałam zobaczyć to, co oni zobaczą. I nagle jakby strzeliła błyskawica, późnym popołudniem policjant uniósł pokrytą ziemią pięść i krzyknął:

- Tutaj! - Pozostali funkcjonariusze natychmiast pobiegli, żeby go otoczyć.

Sąsiedzi - z wyjątkiem pani Stead - poszli do domu. Po konferencji z policjantem odkrywcą detektyw Fenerman wyłamał się z ciemnego kręgu mężczyzn.

- Pani Stead? - odezwał się ponad taśmą, która ich rozdzielała.

- Tak.

- Czy ma pani dziecko w szkole?

- Tak.

- Czy mogłaby pani ze mną podejść?

Młody funkcjonariusz przeprowadził panią Stead pod policyjną taśmą, a potem przez wyboiste, rozryte pole kukurydzy aż do miejsca, gdzie stała reszta mężczyzn.

- Pani Stead - zapytał Len Fenerman - czy to wydaje się pani znajome? - Wręczył jej egzemplarz „Zabić drozda” w miękkiej oprawie. - Czy czytają to w szkole?

- Tak - powiedziała, i gdy wymówiła to słówko, z jej twarzy odpłynął cały kolor.

- Czy mógłbym zapytać... - zaczął.

- Dziewiąta klasa - odparła, patrząc w ciemnoszaroniebieskie oczy Lena Fenermana. - Klasa Susie. - Była terapeutką i polegała na swojej umiejętności wysłuchiwania złych wiadomości i racjonalnego omawiania trudnych szczegółów z życia własnych pacjentów, ale teraz złapała się na tym, że opiera się o młodego policjanta, który ją przyprowadził. Czułam, jak żałuje, że nie poszła do domu, kiedy odeszli inni sąsiedzi, żałuje, że nie siedzi w bawialni ze swoim mężem albo na podwórku z synem.

- Kto uczy tę klasę?

- Pani Dewitt - odparła pani Stead. - Dzieciaki uważają, że to prawdziwa ulga po „Otellu”.

- „Otello”?

- Tak - potwierdziła. Jej wiedza na temat szkoły stała się nagle bardzo ważna... wszyscy policjanci słuchali. - Pani Dewitt przygotowuje swoją listę lektur i przed samym Bożym Narodzeniem urządza wielką akcję z Szekspirem. Potem w nagrodę omawia Harpera Lee. Jeżeli Susie nosiła ze sobą „Zabić drozda”, to znaczy, że musiała już oddać swoją pracę z „Otella”.

Wszystko się zgadzało.

Policjanci telefonowali do wielu osób. Patrzyłam, jak krąg się poszerza. Pani Dewitt miała moją pracę. W końcu odesłała ją moim rodzicom pocztą, nieocenioną. „Pomyślałam, że chcieliby Państwo to zachować - napisała w dołączonym liściku. - Jest mi tak bardzo, bardzo

przykro”. Lindsey odziedziczyła tę pracę, bo dla mamy przeczytanie jej było zbyt bolesne. Zatyłowałam ją „Skazany na wygnanie: człowiek samotny”. Lindsey zaproponowała „Skazany na wygnanie”, a ja wymyśliłam drugą połowę. Moja siostra przebiła trzy dziurki z boku każdej starannie ręcznie zapisanej strony i włożyła pracę do pustego notesu. Potem wsunęła go do szafy pod swój kuferek z Barbie i pudełko, w którym trzymała szmacianą Ann i szmacianego Andy’ego w idealnym stanie - zawsze jej ich zazdrościłam.

Detektyw Fenerman zadzwonił do moich rodziców. Znalaziono szkolną książkę, są przekonani, że mogłam ją dostać tego ostatniego dnia.

- Ale mogła być czyjokolwiek - powiedział tata do mamy w czasie kolejnej bezsennej nocy. - Albo Susie mogła upuścić ją po drodze.

Dowody się piętrzyły, lecz nie chcieli uwierzyć.

Dwa dni później, dwunastego grudnia, policja znalazła moje notatki z lekcji pana Botte’a. Zwierzęta wywlokły zeszyt z oryginalnego miejsca pochówku - ziemia nie pasowała do próbek pobranych z otoczenia, ale papier w kratkę z nabazgranymi na nim teoriami, których nigdy nie potrafiłam zrozumieć, choć i tak obowiązkowo je zapisywałam, został znaleziony, kiedy kot strącił wronie gniazdo. Skrawki papieru były wplecione między liście i gałązki. Policja wyplątała papier w kratkę razem z paskami papieru innego rodzaju, cieńszego i kruchego.

Dziewczyna mieszkająca w pobliżu domu, przy którym rosło drzewo, rozpoznała część odrębnego pisma. Nie było moje, ale chłopca, który się we mnie bujał, Raya Singha. Na specjalnym ryżowym papierze swojej matki Ray napisał do mnie miłosny liścik, którego nigdy nie przeczytałam. Wetknął go do mojego zeszytu podczas środowych ćwiczeń w laboratorium. Miał charakterystyczne pismo. Policjanci musieli poskładać w całość skrawki mojego zeszytu do biologii i miłosnego liściku Raya Singha.

- Ray nie czuje się dobrze - powiedziała jego mama, kiedy detektyw zadzwonił do niego do domu i zapytał, czy może z nim porozmawiać. Ale dowiedzieli się tego, czego chcieli. Ray kiwnął głową, kiedy matka powtórzyła mu pytania policjanta. Tak, napisał liścik miłosny do Susie Salmon. Tak, włożył go do jej zeszytu, kiedy pan Botte poprosił, żeby zebrała sprawdziany. Tak, podpisał się jako Maur.

Ray Singh stał się pierwszym podejrzanym.

- Ten słodki chłopiec? - powiedziała mama do taty.

- Ray Singh jest miły - spokojnie dodała moja siostra, jedząc kolację.

Przyglądałam się swojej rodzinie i wiedziałam, że wiedzieli. To nie był Ray Singh.

Policja zwała mu się do domu; ostro na niego naciskali, insynuując różne rzeczy. Nakręcała ich wina, której doszukali się w ciemnoskórym Rayu, wściekłość z powodu jego zachowania, i ta piękna, choć zbyt egzotyczna i nieosiągalna matka. Ale Ray miał alibi. Całe tłumy mogły zeznawać na jego korzyść. Jego ojciec uczył historii postkolonialnej w Penn. Kiedy umarłam, prowadził wykład w Sali Międzynarodowej, a namówiony przez niego Ray

w imieniu nastolatków wziął w nim aktywny udział.

Z początku nieobecność Raya w szkole uznano za dowód jego winy. Później, gdy przedstawiono policji listę czterdziestu pięciu uczestników, którzy go widzieli występującego w czasie spotkania „Przedmieścia: amerykańskie doświadczenie”, musieli przyznać, że jest niewinny. Policja stała przed domem Singhów i obłamywała małe gałązki z żywopłotu. To byłoby takie proste, takie magiczne. Odpowiedź dosłownie spadająca im z nieba, z drzewa. Ray był niewinny, ale rozeszły się plotki i cały ten skromny towarzyski sukces, odniesiony w szkole, został mu odebrany. Zaczął wracać do domu zaraz po lekcjach.

Wszystko to doprowadzało mnie do szału. Patrząc, lecz nie być w stanie pokierować policji w stronę zielonego budynku - stojącego tak blisko domostwa moich rodziców - w którym pan Harvey budował gotycki domek dla lalek i właśnie rzeźbił kwiatony. Oczywiście oglądał wiadomości i uważnie przeglądał gazety, ale obnosił swoją własną niewinność jak wygodny stary płaszcz. Przedtem było w nim wzburzenie, a teraz spokój.

Próbowałam znaleźć pociechę w Holidayu, naszym psie. Tęskniłam za nim, tak jak nie pozwoliłam sobie jeszcze tęsknić za mamą, tatą, siostrą i bratem. Ten rodzaj tęsknoty oznaczałby, że zaakceptowałam to, iż nigdy już do nich nie wrócę; może to brzmi głupio, ale w to nie uwierzyłam. Nie wierzyłam. W nocy Holiday zostawał z Lindsey. W dzień stał przy moim tacie za każdym razem, gdy ten otwierał drzwi nowemu nieznanemu. Chętnie brał udział w każdym potajemnym posiłku mojej mamy. Pozwalał Buckleyowi ciągnąć się za ogon i uszy w tym domu zamkniętych drzwi.

W ziemi było za dużo krwi.

Piętnastego grudnia, oprócz pukania do drzwi, sygnalizującego mojej rodzinie, że musi popaść w większe odrętwienie, zanim otworzy swój dom przed obcymi - miłymi, ale niezgrabnymi sąsiadami, nieudolnymi, ale okrutnymi reporterami - rozległo się pukanie, które sprawiło, że mój tata wreszcie uwierzył.

Przyszli Len Fenerman, który był dla taty taki miły, i policjant w mundurze.

Weszli do środka. Do tej pory dość dobrze zaznajomili się z domem i wiedzieli, że mama wolała, aby mówili to, co mieli do powiedzenia, w bawialni, żeby moja siostra i brat nie podsłuchiwali.

- Znaleźliśmy przedmiot osobisty, który, jak sądzimy, należał do Susie - oznajmił Len. Len był ostrożny. Widziałam, że waży słowa. Zadbał o precyzję, żeby uwolnić moich rodziców od pierwszej myśli, jaka ich naszała - że policja znalazła moje zwłoki, że na pewno byłam martwa.

- Co? - zapytała niecierpliwie mama. Skrzyżowała ramiona i przygotowała się na kolejny blahy szczegół, któremu inni przypisywali znaczenie. Była niewzruszona. Zesztyty i powieści nic dla niej nie znaczyły. Jej córka mogła przeżyć bez ramienia. Kałuża krwi była tylko kałużą krwi. To nie było ciało. Jack to powiedział i ona uwierzyła: „Nic nie jest pewne”.

Kiedy jednak wręczyli torbę na dowody z moją czapką w środku, coś się w niej załamało.

Solidna ściana z ciężkiego kryształu, która chroniła jej serce - w jakiś sposób zamrażając ją w niedowierzaniu - roztrzaskała się na kawałki.

- Pompon - powiedziała Lindsey. Zakradła się do bawialni z kuchni. Oprócz mnie nikt nie widział, jak weszła.

Mama wydobyła z siebie dźwięk i wyciągnęła rękę. Ten dźwięk był metalicznym skrzypnięciem; człowiek maszyną się psuje i odzywa po raz ostatni, zanim cały silnik się zablokuje.

- Przebadaliśmy włókna - oświadczył Len. - Wygląda na to, że ktokolwiek zaczepił Susie, używał tego w trakcie przestępstwa...

- Co? - zapytał mój tata. Był bezsilny. Mówiono mu coś, czego nie potrafił zrozumieć.

- ...żeby ją uciszyć.

- Co?

- Jest pokryty jej śliną - wyrwał się umundurowany funkcjonariusz, który do tej pory milczał. - Zakneblował ją tym.

Mama chwyciła czapkę z rąk Lena Fenermana i opadła na kolana. Wtedy zabręczały dzwonki, które wszyła w pompon, a ona się skuliła, tuląc w ramionach czapkę.

Zobaczyłam Lindsey sztywniejącą w drzwiach. Nie poznawała naszych rodziców, nie poznawała niczego.

Mój tata odprowadził Lena Fenermana i umundurowanego funkcjonariusza do frontowych drzwi. Wiedział, że mieli dobre intencje.

- Panie Salmon - odezwał się Len Fenerman - obawiam się, że obfitość krwi świadczy o przemocy. Inne materiały dowodowe raczej to potwierdzają. Dlatego w dalszym postępowaniu musimy oprzeć się na założeniu, że pańska córka została zabita.

Lindsey podsłuchiwała to, co już wiedziała. Wiedziała od pięciu dni, odkąd tata powiedział jej o moim łokciu. Mama zaczęła zawodzić.

- Od tej chwili będziemy prowadzić dochodzenie w sprawie morderstwa - dodał Fenerman.

- Ale nie ma ciała - podjął próbę tata.

- Wszystkie dowody wskazują, że pańska córka nie żyje. Bardzo mi przykro.

Umundurowany funkcjonariusz wpatrywał się w punkt na prawo od błagalnych oczu mojego taty. Lecz Len Fenerman spojrzał tacie w oczy.

- Zajrzę do was jutro - powiedział.

Tata był zbyt zdruzgotany, żeby od razu wrócić do salonu i podejść do mamy siedzącej na dywanie, albo do Lindsey, która zastygła w bezruchu. Nie mógł pozwolić, żeby go widziały. Wspiął się na schody, myśląc o Holidayu. Ostatnio widział go na dywaniku w gabinecie. Zamierzał wypłakać się w jego gęstą sierść.

Tego popołudnia wszyscy troje skradali się w milczeniu, jakby dźwięk kroków mógł potwierdzić wieści. Matka Nate'a zapukała do drzwi, chcąc odstawić Buckleya. Nikt jej nie

otworzył, więc odeszła. Wiedziała, że w domu, który wyglądał dokładnie jak inne stojące obok, coś się zmieniło. Przybrała wobec mojego brata konspiracyjny ton, mówiąc mu, że pójdą na lody i popsują mu apetyt.

O czwartej mama i tata znaleźli się w końcu w tym samym pokoju na dole. Weszli do niego z przeciwnych stron.

Mama spojrzała na tatę. „Mama”, powiedziała, a on kiwnął głową. Zatelefonował do mojej jedynej żyjącej babci, mamy mojej mamy, Babci Lynn.

Martwiłam się, że moja siostra, którą nikt się nie zajmował, zrobi coś nierozsądnego. Usiadła w swoim pokoju na starej sofie, z której zrezygnowali rodzice, i starała się uodpornić. *Brać głębokie wdechy i zatrzymywać powietrze. Próbować zachować spokój przez coraz dłuższe i dłuższe okresy. Stać się małą i podobną do kamienia. Podwinąć brzegi swojego ja i wetknąć je pod spód, gdzie nikt ich nie zobaczy.*

Mama stwierdziła, że to jej wybór, czy chce wrócić do szkoły przed Bożym Narodzeniem - został tylko tydzień - ale Lindsey postanowiła pójść.

W poniedziałek, kiedy weszła do sali szkolnej, gapiała się na nią cała klasa.

- Dyrektor chciałby się z tobą zobaczyć, kochanie - cichutko powiedziała pani Dewitt.

Moja siostra nawet na nianie spojrzała. Doprowadzała do perfekcji sztukę rozmowy z kimś, gdy patrzy się poprzez niego. To był dla mnie pierwszy sygnał, że coś się będzie musiało zmienić. Pani Dewitt uczyła też angielskiego, ale przede wszystkim była żoną pana Dewitta, który prowadził drużynę piłki nożnej chłopców i zachęcił Lindsey, żeby zaczęła trenować w jego drużynie. Moja siostra lubiła Dewittów, ale od tego ranka patrzyła w oczy tylko tym ludziom, z którymi mogła się zmierzyć.

Kiedy zbierała swoje rzeczy, wszędzie słyszała szept. Była pewna, że zanim wyszła z sali, Danny Ciarkę wyszeptał coś do Sylvii Henley. Ktoś upuścił coś na tyłach klasy. Była przekonana, że zrobił to tylko po to, aby się pochylić i w tym czasie powiedzieć do sąsiada słówko albo dwa o siostrze nieżyjącej dziewczynki.

Lindsey przeszła korytarzami - tam i z powrotem obok rzędów szafek - kryjąc się przed wszystkimi, którzy mogli być w pobliżu. Żałowałam, że nie mogę iść razem z nią, przedrzeźniając sposób, w jaki dyrektor zawsze zaczynał spotkania w audytorium: „Wasz dyrektor jest waszym kumplem, tyle że z zasadami!”. Jęczałabym jej do ucha i rozśmieszała.

Tak jak doświadczyła błogosławieństwa pustych korytarzy, kiedy dotarła do głównego biura, dopadło ją przekleństwo rzewnych spojrzeń współczujących sekretarek. Mniejsza z tym. Przygotowała się w domu, w swojej sypialni. Była uzbrojona po zęby na wypadek gwałtownego ataku współczucia.

- Lindsey - powiedział dyrektor Caden - dziś rano dzwoniło do mnie z policji. Przykro mi słyszeć o twojej stracie.

Wbiła w niego wzrok. Był to raczej strzał z lasera niż spojrzenie.

- A co właściwie straciłam?

Pan Caden uważał, że powinien mówić wprost o przyczynach dziecięcych tragedii. Wyszedł zza swojego biurka i podprowadził Lindsey to tego, co uczniowie zwykle określali mianem „sofy”. Ostatecznie miał zastąpić sofę dwoma krzesłami. Kiedy polityka przetoczyła się przez okręg administracyjny, do którego należała szkoła, uznano, że *niedobrze jest mieć tu sofę - krzesła są lepsze. Sofy przekazują niewłaściwą wiadomość.*

Pan Caden usiadł na sofie; to samo zrobiła moja siostra. Lubię sobie wyobrażać, że mimo całego zdenerwowania była choć trochę przejęta, siadając na sofie. Lubię sobie wyobrażać, że nie obrabowałam jej ze wszystkiego.

- Jesteśmy tu, żeby ci pomóc, jak to tylko możliwe - oznajmił pan Caden. Starał się, jak umiał.

- Nic mi nie jest - powiedziała.

- Czy chciałabyś o tym porozmawiać?

- Co? - zapytała Lindsey. Zachowywała się w sposób, który mój tata określał jako „drażliwość”. Dobrze wyrażało to zdanie: „Susie, nie mów do mnie tym rozdrażnionym tonem”.

- O twojej stracie - wyjaśnił dyrektor. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć kolana mojej siostry. Ta ręka skojarzyła jej się z żelazem do piętnowania.

- Nie miałam świadomości, że coś straciłam - powiedziała i podjęła herkulesowy wysiłek, żeby strzepnąć spódnicę. Potem zaczęła szukać czegoś w kieszeniach.

Pan Caden nie wiedział, co powiedzieć. Rok wcześniej tulił w ramionach Vicki Kurtz, która kompletnie się rozsypała. Były trudności, owszem, ale teraz, z perspektywy czasu, Vicky Kurtz i jej nieżyjąca matka kojarzyły się z umiejętnie zażegnany kryzysem. Zaprowadził Vicki Kurtz do kanapy - nie, nie, Vicki po prostu podeszła prosto do niej i usiadła, a on powiedział: „Współczuję ci z powodu tej straty”, i Vicki Kurtz wybuchła jak balon, do którego napompowano za dużo powietrza. Trzymał ją w ramionach, kiedy łkała i łkała, i tego wieczoru zaniósł garnitur do pralni chemicznej.

Ale Lindsey Salmon... to była zupełnie inna sprawa. Była uzdolniona, jedna z grupy dwudziestu uczniów, którzy mieli wziąć udział w stanowym Sympozjum Uzdolnionych. Jedyne problemy stanowiła w jej aktach ognista kłótnia z nauczycielem, który na początku roku szkolnego upomniał ją za przynoszenie do klasy obscenicznego literatury - „Strachu przed lataniem”.

- Rozśmiesz ją - chciałam mu powiedzieć. - Zabierz ją na film braci Mara, usiądź na pierdzącej poduszce, pokaż jej bokserki, które masz na sobie, z diabelkami jedzącymi hot dogi! - Mogłam gadać, ale nikt na Ziemi nie potrafił mnie usłyszeć.

Szkolna administracja zmuszała wszystkich do pisania testów, a potem decydowała, kto był uzdolniony, a kto nie. Lubiłam dawać Lindsey do zrozumienia, że bardziej mnie wkurzają jej włosy niż mój status tępaka. Obie urodziłyśmy się z burzą blond włosów, ale moje szybko wypadły i zastąpiły je skąpe odrosty w kolorze mysiobrazowym. Włosy Lindsey się nie

zmieniły i miały w sobie coś mitycznego. Była jedyną prawdziwą blondynką w naszej rodzinie.

W każdym razie odkąd nazwano ją uzdolnioną, dostała przyspieszenia i starała się sprostać oczekiwaniom. Zamykała się w sypialni i oddawała się lekturze mądrych książek. Kiedy ja czytałam „Jesteś tam, Boże? To ja, Margaret”, ona czytała Camusa „Opór, bunt i śmierć”. Może i większości z tego nie chwyciła, ale obnosiła się z tą książką i z tego powodu ludzie - także nauczyciele - zostawili ją w spokoju.

- Chcę powiedzieć, Lindsey, że wszystkim nam brakuje Susie - oznajmił pan Caden.

Nie odpowiedziała.

- Była bardzo pogodna - ciągnął.

Patrzyła na niego bez wyrazu.

- Teraz wszystko spoczywa na twoich barkach. - Nie miał pojęcia, o czym mówił, ale uznał, że milczenie może oznaczać, że do czegoś dochodzi. - Teraz jesteś jedyną dziewczynką, która nosi nazwisko Salmon.

Nic.

- Wiesz, kto się ze mną spotkał dziś rano? - Pan Caden ociągał się z wielkim finałem, z czymś, co jego zdaniem z pewnością musiało zadziałać. - Pan Dewitt. Zastanawia się nad trenowaniem drużyny dziewcząt. To twoja zasługa. Dostrzegł, jaka jesteś dobra. Mogłabyś konkurować z jego chłopakami. Pan Dewitt uważa, że inne dziewczynki też by się zgłosiły, gdybyś poprowadziła grupę. I co na to powiesz?

Serce mojej siostry zacisnęło się jak pięść.

- Powiem, że dość trudno byłoby grać w piłkę nożną na boisku, bo jakieś dwadzieścia stóp dalej prawdopodobnie zamordowano moją siostrę.

Gol!

Pan Caden otworzył usta i zagapił się na Lindsey.

- Coś jeszcze? - zapytała.

- Nie, ja... - pan Caden ponownie wyciągnął rękę. Wciąż istniał wątek... pragnienie zrozumienia. - Chcę, żebyś wiedziała, jak przykro jest nam wszystkim - powiedział.

- Jestem spóźniona na pierwszą lekcję - odparła.

W tamtej chwili przypomniała mi postać z westernów, które tata uwielbiał. Oglądaliśmy je razem w telewizji późnym wieczorem. Zawsze pojawiał się mężczyzna, który po strzale z pistoletu unosił broń i zdmuchiwał dym z nad otworu w lufie.

Lindsey wstała i powoli wyszła z gabinetu dyrektora Cadena. Momenty wyjścia stanowiły jej jedyny odpoczynek. Sekretarki były po drugiej stronie drzwi, nauczyciele w klasach, uczniowie w ławkach, nasi rodzice w domu, policja w drodze. Nie miała zamiaru się załamać. Obserwowałam ją, czułam zdania, które w kółko i w kółko powtarzała w myślach. *W porządku. Wszystko jest w porządku.* Ja nie żyłam, ale przecież takie rzeczy się zdarzały - ludzie umierali. Kiedy tamtego dnia wychodziła z gabinetu, wydawało się, że patrzyła w oczy

sekretarkom, ale w rzeczywistości skupiała się na ich nierówno nałożonej szmince albo garsonkach z wzorzystego krepdeszynu.

Tego wieczoru Lindsey położyła się na podłodze w swoim pokoju i wsunęła stopy pod komodę. Zrobiła dziesięć brzuszaków. Potem ustawiła się w pozycji do pompek. Nie tych damskich. Pan Dewitt opowiedział jej o pompkach, jakie wykonywali w marines, na prostych rękach albo na jednej ręce, z klaśnięciem. Po dziesięciu podeszła do półki i wybrała dwie najcięższe książki - słownik i atlas świata. Ćwiczyła bicepsy, dopóki nie rozboleły jej ramiona. Skupiła się tylko na oddechu. Wdech. Wydech.

Siedziałam w altanie na głównym skwerze mojego nieba (nasi sąsiedzi, O'Dwyerowie, mieli altanę; pozazdrościłam im) i przyglądałam się wściekłości Lindsey.

Parę godzin przed moją śmiercią mama powiesiła na lodówce obrazek narysowany przez Buckleya. Na rysunku gruba niebieska linia oddzielała niebo i ziemię. Później, przez kilka dni obserwowałam swoją rodzinę przechodzącą tam i z powrotem przed rysunkiem i nabrałam przekonania, że ta gruba niebieska linia była rzeczywistym miejscem. To było Pomiedzy - właśnie tam niebiański horyzont spotykał się z ziemskim. Chciałam się tam znaleźć, w chabrowym kredkowym błękicie, w ciemnoniebieskim turkusowym niebie.

Okazało się, że często chciałam prostych rzeczy i je dostawałam. Skarbów w futrzanych opakowaniach. Psów.

W moim niebie pieski i duże psy, psy wszelkich ras, codziennie biegały po parku przed moim oknem. Kiedy otwierałam drzwi, widziałam je - tłuste i szczęśliwe, chude i włochate, wychudłe i nawet bezwłose. Pitbulle tarzające się na grzbietach, sutki suk, nabrzmiałe i ciemne, zapraszające szczenięta, żeby je possały, szczęśliwe na słońcu. Basety skakały, powiewając uszami, trącąc zady jamników szorstkowłosych, kostki chartów i głowy pekińczyków. A kiedy Holly brała swój saksofon tenorowy, sadowiła się przed drzwiami, które wychodziły na park, i grała bluesa, wszystkie psy przybiegały, żeby stworzyć dla niej chór. Siadały na tylnych łapach i wyły. Wtedy otwierały się inne drzwi i na zewnątrz pojawiały się kobiety, które mieszkały same albo ze współlokatorkami. Ja wychodziłam na dwór, Holly zaczynała niekończący się bis, słońce zachodziło i tańczyłyśmy z psami - razem. Goniliśmy je, a one goniły nas. Krążyłyśmy ogon w ogon. Miałyśmy na sobie koszule nocne w kropki, w kwiatki, w paski, gładkie. Kiedy księżyc znajdował się wysoko, muzyka milkła. Taniec się kończył. Zamierałyśmy.

Pani Bethel Utemeyer, najstarsza mieszkanka mojego nieba, przynosiła swoje skrzypce. Holly delikatnie przygrywała na saksofonie. Tworzyły duet. Kobieta stara i milcząca i kobieta, która nie przekroczyła wieku dziewczęcego. Do krańca nieba słały schizofreniczne pocieszenie.

Wszystkie tancerki z wolna wchodziły do środka. Pieśń rozbrzmiewała, aż Holly po raz ostatni brała ton, a pani Utemeyer - cicha, wyprostowana, majestatyczna - kończyła gigą.

Dom już spał; to była moja modlitwa wieczorna.

3.

Dziwne było to, co widzieliśmy na Ziemi, kiedy patrzyliśmy w dół. Oprócz widoku, którego można się było spodziewać - spojżenia na mrówki z drapacza chmur - na całym świecie były też dusze opuszczające ciała.

Holly i ja mogliśmy obserwować Ziemię, skupiając się na jednej czy drugiej scenie przez sekundę lub dwie, szukając nieoczekiwanego w najbardziej ziemskim momencie. I dusza mijała żyjącą istotę, dotykała miękko jej ramienia albo policzka i podążała swoją drogą do nieba. Żywi nigdy tak naprawdę nie widują umarłych, ale wielu ludzi ma przeszywające wrażenie, że coś się wokół nich zmieniło. Mówią o chłodzie w powietrzu. Małżonkowie zmarłych budzą się ze snu i widzą postać stojącą w nogach łóżka albo w drzwiach lub widmową sylwetkę, wsiadającą do miejskiego autobusu.

Podczas mojego odejścia poza Ziemię dotknęłam dziewczynki imieniem Ruth. Chodziła do mojej szkoły, ale nigdy nie byłyśmy ze sobą blisko. Stała na mojej drodze tej nocy, kiedy moja dusza z wrzaskiem opuszczała Ziemię. Nie mogłam się opanować i musnęłam ją. Uwolniona od życia w tak gwałtowny sposób, nie potrafiłam rozważnie planować swoich kroków. Zresztą nie miałam czasu na rozważania. Gdy doświadczasz przemocy, koncentrujesz się na ucieczce. Kiedy zaczynasz przekraczać krawędź, a życie oddala się od ciebie w nieunikniony sposób, jak łódź odpływająca od brzegu, mocno trzymasz się śmierci, niczym liny, która cię pociągnie, i odtruwasz, mając tylko nadzieję na wylądowanie z dala od miejsca, w którym się wcześniej znajdowałaś.

Z więziennej celi można raz zatelefonować, a ja otarłam się o Ruth Connors - pomyłka, przypadkowe połączenie. Widziałam, jak stoi przy czerwonym zardzewiałym fiacie pana Botte'a. Kiedy przemknęłam obok, moja ręka sama się wyciągnęła, żeby jej dotknąć - dotknąć ostatniej twarzy, mieć ostatni kontakt z Ziemią uosobioną w tej „przeciętnej inaczej” nastolatce.

Rankiem siódmego grudnia Ruth poskarżyła się swojej mamie, że miała sen, który jak na sen wydawał się zbyt realny. Kiedy mama zapytała ją, co miała na myśli, Ruth odpowiedziała: „Szłam przez parking dla nauczycieli i nagle nad boiskiem do piłki nożnej zobaczyłam zbliżającego się do mnie bladego ducha”.

Pani Connors zamieszała w garnku gęstniejącą owsiankę. Obserwowała, jak jej córka gestykuluje długimi, szczupłymi palcami, palcami, które odziedziczyła po swoim ojcu.

- To była kobieta, zdołałam to wyczuć - mówiła dalej Ruth. - To coś wyleciało w górę z boiska. Miało zapadnięte oczy, a wokół ciała cienki biały woal, lekki jak gaza. Widziałam twarz tego czegoś, przez gazę przebijały rysy: nos, oczy, twarz, włosy.

Jej mama zdjęła owsiankę z kuchenki i zmniejszyła płomień.

- Ruth - powiedziała - ulegasz igraszkom własnej wyobraźni.

obok, jak zawsze z opuszczoną głową i odwracając oczy, ale wszyscy wiedzieli, że

Clarissa była moją przyjaciółką. Więc się przyglądała.

- No proszę, kochanie - powiedział Brian - tylko mały dowodzik miłości. Tylko jeden.

Zauważyłam, że kąciki ust Ruth opadają z niesmakiem. Moje w niebie unosiły się w uśmiechu.

- Brian, nie mogę. Nie tutaj.

- A co powiesz na pole kukurydzy? - wyszeptał.

Clarissa zachichotała nerwowo, ale potarła nosem miejsce między jego szyją a ramieniem. Na razie miała mu się oprzeć.

Potem włamano się do szafki Clarissy.

Zginał jej album z wycinkami, niektóre zdjęcia wetknięte luzem do szafki i zachomikowana przez Briana marihuana, ukryta tam bez wiedzy Clarissy.

Ruth, która nigdy nie była na haju, spędziła wieczór na opróżnianiu z tytoniu długich brązowych more'ów swojej matki i napychaniu ich trawą. Siedziała w szopie na narzędzia z latarką, oglądając zdjęcia ze mną. Wypaliła więcej trawy, niż daliby radę zaciągnąć nawet szkolni rekordziści.

Pani Connors, stojąca przy kuchennym oknie i zajęta zmywaniem, poczuła podmuch zapachu dochodzący z szopy.

- Zdaje się, że Ruth zaczęła nawiązywać w szkole przyjaźnie - powiedziała do męża, który z filiżanką kawy siedział nad swoim egzemplarzem „Biuletynu wieczornego”. Po pracy był zbyt zmęczony, żeby silić się na domysły.

- To dobrze - odparł.

- Może jest jeszcze dla niej nadzieja.

- Zawsze - powiedział.

Kiedy później tego wieczoru Ruth chwiejnym krokiem weszła do domu z oczami łzawiącymi od latarki i ośmiu papierosów, które wypaliła, mama powitała ją uśmiechem i oznajmiła, że w kuchni jest ciasto z jagodami. Potrzeba było kilku dni i trochę niezwiązanych-z-Susie-Salmon badań, ale Ruth w końcu odkryła, dlaczego zjadła całe ciasto na jedno posiedzenie.

Powietrze w moim niebie często pachniało skunksem - tylko troszeczkę. To był zapach, który zawsze uwielbiałam na Ziemi. Kiedy wdychałam ten aromat, był w równym stopniu namacalny, jak wyczuwalny. Zwierzęcy strach i siła mieszały się, tworząc przenikliwą, trwałą woń. W niebie Franny pachniało czystym tytoniem pierwszej klasy. U Holly pachniało kumkwatami.

Całymi dniami siedziałam w altanie i obserwowałam Ziemię. Widziałam, jak Clarissa oddala się ode mnie, szukając pocieszenia w ramionach Briana. Widziałam, jak Ruth gapi się na nią zza rogu, stojąc przy klasie gospodarstwa domowego albo przed kafeterią, w pobliżu gabinetu pielęgniarki. Z początku swoboda przyglądania się całej szkole była upajająca. Obserwowałam, jak pomocnik trenera futbolowego anonimowo zostawia czekoladki

zameżnej nauczycielce fizyki albo jak przewodnicząca grupy czirliderek stara się zwrócić uwagę dzieciaka, którego relegowano z tyłu szkół, że nawet on sam stracił rachubę. Obserwowałam, jak nauczyciel plastyki kocha się ze swoją dziewczyną w pomieszczeniu z piecem do wypalania, a dyrektor wzdycha do pomocnika trenera futbolowego. Doszłam do wniosku, że ten pomocnik trenera gra w świecie gimnazjum Kennet rolę ogiera, mimo że jego kwadratowa szczęka we mnie nie budziła ciepłych uczuć.

Wracając do swojego bliźniaka, co wieczór przechodziłam pod staroświeckimi latarniami, jakie kiedyś widziałam w sztuce „Nasze miasto”. Kule światła zwieszały się z łuków umieszczonych w metalowych podstawach. Zapamiętałam je, bo gdy razem z rodziną obejrzałam tę sztukę, pomyślałam o nich jako o gigantycznych, ciężkich jagodach pełnych światła. W niebie urządziłam sobie zabawę: ustawiałam się tak, żeby w drodze do domu mój cień zrywał te jagody.

Pewnego wieczoru, po tym jak obserwowałam Ruth, pośrodku tego wszystkiego spotkałam Franny. Skwer był opustoszały i liście zaczęły się kłębić nad naszymi głowami wirującą kulą. Stałam i popatrzyłam na Franny - na jej zmarszczki od śmiechu, zgrupowane przy oczach i ustach.

- Czemu drżysz? - zapytała.

I chociaż powietrze było wilgotne i chłodne, nie mogłam powiedzieć, że to dlatego.

- Nie umiem przestać myśleć o mamie - odpowiedziałam.

Franny wzięła moją lewą rękę w swoje dłonie i się uśmiechnęła.

Chciałam się do niej przytulić albo delikatnie pocałować ją w policzek, ale tylko patrzyłam, jak odchodzi, i przyglądałam się oddalającej się niebieskiej sukience. Wiedziałam, że Franny nie jest moją mamą; nie mogłam bawić się w udawanie.

Odwrociłam się i poszłam z powrotem do altany. Czułam wilgotne powietrze owijające się wokół nóg i ramion, unoszące mi, bardzo delikatnie, końce włosów. Pomyślałam o pajęczynach, które widywałam rano, o zwisających z nich klejnocikach rosy, które lekkim ruchem nadgarstka niszczyłam bez zastanowienia.

Rankiem w dniu swoich jedenastych urodzin obudziłam się bardzo wcześnie. Nikt jeszcze nie wstał, albo przynajmniej tak mi się zdawało. Zakradłam się na dół i zajrzałam do jadalni, gdzie, jak przypuszczałam, powinny być prezenty. Ale niczego nie było. Ten sam stół co wczoraj. Dopiero gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że coś leży na biurku mojej mamy w bawialni. Ozdobnym biurku z zawsze czystym blatem. Rodzice nazywali je „biurkiem do płacenia rachunków”. Owinięty w bibułkę, ale jeszcze niezapakowany leżał tam aparat fotograficzny, o który prosiłam ze słabym jękiem w głosie, pewna, że go nie dostanę. Podeszłam bliżej i zagapiłam się. To był instamatic, a obok leżały trzy rolki filmu i pudełko z czterema kwadratowymi żarówkami do flesza. Mój pierwszy przyrząd, mój zestaw dla początkujących. Dzięki niemu miałam w przyszłości zostać fotografem dzikiej przyrody.

Rozejrzałam się. Nikogo. Zerknęłam przez frontowe żaluzje, które mama zawsze

trzymała na wpół uchylone - „zapraszające, ale dyskretne”. Na dworze Grace Tarking, która mieszkała na naszej ulicy i chodziła do prywatnej szkoły, spacerowała z przywiązanymi do nóg obciążnikami na kostki. Pospiesznie załadowałam aparat i zaczęłam podkradać się do Grace Tarking. Wyobrażałam sobie, że kiedy dorosnę, tak samo będę się podkradać do dzikich słoni i nosorożców. Teraz ukryłam się za żaluzjami i oknami, w przyszłości miały to być wysokie trzciny. Sprawowałam się cicho i przemykałam „ukradkowo” - jak to określiłam w myślach - trzymając w jednej ręce długi brzeg swojej flanelowej nocnej koszuli. Śledząc ruchy Grace, przemierzyłam bawialnię, frontowy hol, a potem weszłam do pokoiku, który znajdował się po przeciwnej stronie. Kiedy obserwowałam znikającą postać Grace Tarking, przyszła mi do głowy myśl - pobiegnę na podwórze, gdzie będę mogła ją widzieć bez przeszkód.

No więc pobiegłam na palcach na tył domu i zastałam drzwi na werandę szeroko otwarte.

Kiedy zobaczyłam mamę, kompletnie zapomniałam o Grace Tarking. Żałuję, że nie potrafię tego lepiej wyjaśnić, ale nigdy nie widziałam jej siedzącej tak nieruchomo, w jakiś sposób tak *nieobecnej*. Siedziała poza ocienioną werandą na aluminiowym składanym krześle, odwróconym w stronę podwórza. W ręce trzymała spodek, a na spodku stała jej codzienna filiżanka kawy. Tego ranka nie było tam żadnych śladów szminki, ponieważ jeszcze się nie umalowała dla... kogo? Nigdy się nie zastanowiłam nad odpowiedzią na to pytanie. Dla mojego taty? Dla nas?

Holiday siedział przy brodziku dla ptaków, dysząc radośnie. Nie zauważył mnie. Obserwował mamę, która utkwiała spojrzenie w nieskończoności. W tym momencie nie była moją mamą, ale kimś oddzielnym. Spojrzałam na kogoś, kogo zawsze widziałam wyłącznie jako mamę, i zobaczyłam miękką, pudrową skórę jej twarzy - pudrową bez makijażu - miękką z natury. Jej brwi i oczy wyglądały razem jak teatralna dekoracja. „Oceany oczu” - tak mówił do niej tata, kiedy chciał dostać wiśnię w czekoladzie. (Mama trzymała wiśnie schowane w szafce z alkoholem jako swój osobisty smakołyk). I teraz zrozumiałam to określenie. Wcześniej myślałam, że tata mówił tak dlatego, że oczy były niebieskie, ale teraz dotarło do mnie, że były bezdenne w sposób, który uznałam za przerażający. Zadziałałam wówczas instynktownie - bo nie była to świadoma myśl - a chodziło o to, że zanim Holiday mnie wywacha i zobaczy, zanim mokra mgła unosząca się nad trawą wyparuje i zanim w niej jak co rano obudzi się matka, powinnam zrobić zdjęcie swoim nowym aparatem.

Gdy film wrócił z zakładu Kodaka w specjalnej sztywnej kopercie, natychmiast zauważyłam różnicę. Tylko na jednym zdjęciu moja mama była Abigail. Na tym pierwszym, tym zrobionym z zaskoczenia, zanim trzask migawki ją zaalarmował i zmienił w mamę dziewczynki mającej urodziny, właścicielkę szczęśliwego psa, żonę kochającego mężczyzny i mamę kolejnej dziewczynki oraz wymarzonego chłopca. Domową ostoję. Ogrodniczkę. Pogodną sąsiadkę. Oczy mojej mamy były jak ocean i kryło się w nich zagubienie. Myślałam, że mam całe życie, by to zrozumieć, ale miałam tylko ten jeden dzień. Dawno, dawno temu,

na Ziemi, zobaczyłam ją jako Abigail, a potem pozwoliłam, by mi to umknęło - moją fascynację trzymało w szachu pragnienie, żeby była moją mamą i żeby otoczyła mnie swoją matczyną troską.

Kiedy Lindsey wstała w środku nocy i przekradła się przez korytarz, siedziałam w altanie, myśląc o tym zdjęciu i o mamie. Obserwowałam siostrę, jakbym oglądała film i patrzyła na włamywacza krążącego po czyimś domu. Kiedy przekreśliła gałkę, wiedziałam, że drzwi mojego pokoju będą otwarte. Wiedziałam, że tam wejdzie, ale co zrobi? Moje prywatne terytorium w środku naszego domu stało się już ziemią niczyją. Mama niczego tam nie tknęła. Moje łóżko było niepościelone od pełnego pośpiechu ranka w dniu mojej śmierci. Mój hipopotam w kwiaty leżał między prześcieradłami i poduszkami, podobnie ubranie, którego się pozbyłam, zanim wybrałam żółte dzwony.

Lindsey przeszła po miękkim dywaniku i dotknęła granatowej spódnicy oraz czerwono-niebieskiej szydełkowej kamizelki. Ubrania tworzyły dwie kule, ciśnięte w pełnym pogardy pośpiechu. Moja siostra miała pomarańczowo-zieloną kamizelkę zrobioną według tego samego wzoru. Podniosła kamizelkę, która nagle stała się jednocześnie brzydka i cenna, i rozprostowaną rozłożyła na łóżku. Potrafiłam to zrozumieć. Poglądziła ją.

Lindsey wysłedziła zarys złotej tacy, którą trzymałam na komodzie wypełnioną znaczkami - szkolnymi i z wyborów. Najbardziej lubiłam znaleziony na szkolnym parkingu różowy znaczek z napisem „Durny hippis stawia na miłość”, ale musiałam obiecać mamie, że go nie będę nosić. Miałam masę znaczków - część trzymałam na tej tacy, część przypięłam do gigantycznego filcowego kilimu z uniwersytetu w Indianie, gdzie tata chodził do szkoły. Pomyślałam, że Lindsey przywłaszcza sobie znaczki - weźmie jeden czy dwa do ponoszenia - ale tego nie zrobiła. Nawet ich nie wzięła do ręki. Tylko przesunęła palcami po wszystkim, co leżało na tacy. A potem to zobaczyła. Biały koniuszek wystający spod spodu. Pociągnęła.

To było zdjęcie.

Wyrwało jej się głębokie westchnienie i usiadła na podłodze z wciąż otwartymi ustami, trzymając zdjęcie w ręce. Niespokojne myśli zerwały się z uwięzi, furkotały i łopotały wokół niej jak namiot, któremu puściło mocowanie. Ona też, tak jak ja do tamtego poranka, nigdy nie widziała tej nieznanej mamy. Oglądała zdjęcia zrobione chwilę później. Mama wyglądająca na zmęczoną, ale uśmiechnięta. Stała z Holidayem przy krzaku derenia, a słońce prześwietlało jej szlafrok i nocną koszulę. A jednak chciałam być jedyną osobą, która wiedziała, że mama była też kimś innym - kimś tajemniczym i nam nieznanym.

Pierwszy raz przebiłam się przypadkiem. Stało się to dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku.

Buckley spał. Mama zabrała Lindsey do dentysty. Rodzice uzgodnili, że codziennie będą próbowali ruszyć z miejsca jako rodzina. Tata wyznaczył sobie zadanie sprzątnięcia pokoju gościnnego na piętrze, który dawno temu stał się jego kryjówką.

Jego ojciec nauczył go budować statki w butelkach. To było coś, co kompletnie nie

obchodziło mojej mamy, siostry i brata. Ale ja uwielbiałam statki. W tym pokoiku było ich pełno.

W pracy cały dzień podliczał cyfry - słuszny wysiłek na rzecz firmy ubezpieczeniowej Chadds Fors - a wieczorami, żeby odetchnąć, budował statki albo czytał książki o wojnie secesyjnej. Wołał mnie, kiedy tylko był gotów do podniesienia żagla. Statek był już solidnie przyklejony do dna butelki. Wchodziłam i tata prosił, żebym zamknęła drzwi. Często właśnie wtedy rozlegał się gong na kolację, jakby mama miała szósty zmysł i wyczuwała sprawy, w których nie brała udziału. Ale kiedy ten zmysł ją zawodził, moim zadaniem było trzymać tacie butelkę.

- Nie ruszaj się - mawiał. - Jesteś moim pierwszym oficerem.

Delikatnie pociągał za ten jeden sznurek, który jeszcze wystawał poza szyjkę butelki i, voila, wszystkie żagle stały, od jednomasztowca po kliper. Mieliśmy naszą łódź. Nie mogłam klaskać, bo trzymałam butelkę, ale zawsze miałam na to ochotę. Wtedy tata, za pomocą rozgrzanego nad świecą haczyka do płaszczy, szybko przypalał zwisający z butelki koniec sznurka. Gdyby zrobił to w niewłaściwy sposób, statek zostałby zrujnowany albo gorzej, papierowe żagielki zajęłyby się ogniem - tata usłyszałby nagle gigantyczny syk i trzymałabym w rękach butelkę płomieni.

Ostatecznie zbudował stojak z drewna balsa, żeby mnie zastąpić. Lindsey i Buckley nie podzielali mojej fascynacji. Po próbach zarażenia entuzjazmem pozostałej trójki tata poddał się i wycofał do swojej kryjówki. Dla reszty rodziny każdy kolejny statek w butelce był taki sam jak poprzedni.

Tego dnia, kiedy sprzątał, mówił do mnie:

- Susie, moja maleńka, moja żeglareczko, zawsze lubiaś te mniejsze.

Obserwowałam go, kiedy zdejmował butelki z półek, na których zwykle stały, i ustawiał je na biurku. Użył starej koszuli mamy podartej na szmaty i zaczął odkurzać półki. Pod biurkiem trzymał puste butelki - całe rzędy; zebraliśmy je z myślą o przyszłych skutniczych dokonaniach. W szafie były kolejne statki - te, które zbudował ze swoim ojcem, sam i wreszcie te, które zrobiliśmy razem. Niektóre w idealnym stanie, ale ze zbrązowiałymi żaglami; inne przez lata obwisły albo się przewróciły. No i był ten, który stanął w płomieniach kilka dni przed moją śmiercią.

Ten roztrzaskał najpierw.

Serce mi się ścisnęło. Odwrócił się i zobaczył wszystkie pozostałe, wszystkie te lata, które oznaczały, ręce, które je trzymały. Ręce jego nieżyjącego ojca, ręce jego nieżyjącego dziecka. Roztrzaskał resztę. Urządził ścianom i drewnianemu krzesłu chrzest, zawiadamiając je o mojej śmierci, a potem stał w gościnnym pokoju kryjówce, otoczony zielonym szkłem. Butelki, wszystkie, leżały potłuczone na podłodze, między nimi rozrzucone żagle i kadłuby łodzi. Stał wśród wraków. To właśnie wtedy nieświadomie się ujawniłam. W każdym kawałku szkła, w każdej skorupie i drzazdze odbiła się moja twarz. Tata zerknął w dół i

rozejrzał się, błędząc spojrzeniem po pokoju. Dzikim spojrzeniem. To trwało tylko sekundę, a potem zniknęłam. Przez chwilę stał cicho, i wreszcie się roześmiał - gdzieś z dołu brzucha wydobywało się wycie. Zaśmiał się tak głośno i głęboko, że ja w swoim niebie aż zadygotałam.

Wyszedł z pokoiku. Dwa pomieszczenia dalej była moja sypialnia. Mały korytarzyk, moje drzwi, takie same jak inne, puste w środku, bez trudu można by je przebić pięścią. Już miał roztrzaskać lustro nad komodą, zedrzeć paznokciami tapetę, ale z łkaniem upadł na moje łóżko i zwinął lawendowe prześcieradła w kulę.

- Tatusiu? - odezwał się Buckley. Mój brat trzymał rękę na gałce w drzwiach.

Tata odwrócił się, ale nie potrafił powstrzymać łez. Ześlizgnął się na podłogę z prześcieradłami w zaciśniętych pięściach, a potem otworzył ramiona. Musiał zawołać mojego brata dwukrotnie, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło, ale Buckley w końcu do niego podszedł.

Tata owinął go w prześcieradła przesiąknięte moim zapachem. Przypomniłam sobie, że któregoś dnia błagałam go, żeby pomalować i wytapetować pokój na fioletowo. Przypomniłam sobie przenoszenie starych „National Geographic” na dolne półki mojej biblioteczki. (Chciałam nasiąknąć przyrodniczymi fotografiami). Przypomniłam sobie, że kiedyś, przez krótki czas przed pojawieniem się Lindsey, było w domu tylko jedno dziecko.

- Jesteś dla mnie kimś wyjątkowym, mały człowieku - powiedział tata, trzymając Buckleya a kurczowo.

Buckley odsunął się i zagapił na pofalowaną twarz taty, na wyraźne lśniące ślady łez w kącikach jego oczu. Poważnie kiwnął głową i pocałował tatę w policzek. To było coś tak boskiego, że nikt w niebie nie potrafiłby tego wymyślić; troska, którą dziecko okazało dorosłemu.

Tata udrapował prześcieradła na ramionach Buckleya i przypomniał sobie, jak wypadałam z wysokiego łóżka z baldachimem na dywanik, nawet się nie budząc. Dźwięk, z którym lądowało moje ciało, zaskakiwał go siedzącego w gabinecie, w zielonym fotelu, podczas czytania. Wstawał i pokonywał niewielką odległość do mojej sypialni. Lubił mi się przyglądać, kiedy tak spałam zdrowym snem, niezakłóconym przez koszmary czy uderzenie o twardą podłogę. W takich momentach przysięgał sobie, że jego dzieci będą królami, artystami, lekarzami albo fotografami przyrody. Będą mogły robić to, co sobie wymarzą.

Kilka miesięcy przed moją śmiercią znalazł mnie na podłodze, ale był ze mną Buckley, zaplątany w prześcieradła - w piżamie, z misiem, leżał zwiniony za moimi plecami i przez sen ssał kciuk. W tamtym momencie tata poczuł pierwsze drgnienie dziwnie smutnej świadomości, że jako ojciec jest śmiertelny. Jego życie przyniosło narodziny trojga dzieci, więc uspokoiła go sama ta liczba. Bez względu na to, co się stanie z Abigail albo z nim, ta trójka będzie miała siebie. W ten sposób linia, którą zapoczątkował, wydawała mu się nieśmiertelna jak mocne stalowe włókno, wysnuwające się w przyszłość i ciągnące się poza

niego bez względu na to, gdzie on sam opadnie z sił. Nawet w głębokim śniegu starości.

Teraz odnajdzie swoją Susie we własnym synku. Da tę miłość żywym. Tak właśnie postanowił - obiecał to sobie w głębi duszy - ale odczuwał moją obecność jak linę holowniczą. Ciągnęła go wstecz, wstecz, wstecz. Zapatrzył się na chłopczyka, którego trzymał w ramionach. Zorientował się, że zadaje sobie pytania: „Kim jesteś? Skąd się wzięłeś?”.

Obserwowałam brata i tatę. Prawda była czymś zupełnie innym, niż uczyliśmy się w szkole: linia między żywymi i umarłymi mogła być mroczna i rozmazana.

4.

Parę godzin po morderstwie, gdy moja mama telefonowała, a tata, szukając mnie, chodził od drzwi do drzwi w sąsiedztwie, pan Harvey rozwalił jamę na polu kukurydzy i wyniósł worek wypełniony częściami mojego ciała. Przeszedł dwa domy od miejsca, w którym stał mój tata, rozmawiając z panem i panią Tarking. Trzymał się granicy posiadłości, między dwoma rzędami zwalczających się żywopłotów - bukszpanu O'Dwyerów i nawłoci Steadów. Jego ciało ocierało się o silne, zielone liście. Zostawiał za sobą drobiny mnie - zapachy, które poczuł pies Gilbertów i za którymi podążył, żeby znaleźć mój łokieć, zapachy, które w ciągu następnych trzech dni miał zmyć deszcz ze śniegiem i deszcz, zanim w ogóle pomyślano o policyjnych psach. Pan Harvey zaniósł mnie do swojego domu. Czekałam na niego, gdy wszedł do środka, żeby się umyć.

Kiedy dom przeszedł w inne ręce, nowi właściciele sarkali na ciemne plamy na podłodze garażu. Pośredniczka oprowadzająca potencjalnych kupców powiedziała, że to plamy po oleju, ale to byłam ja, przesączająca się przez worek, który przyniósł pan Harvey, i rozlewająca się na betonie. Początek moich tajnych sygnałów dla świata.

Minęło trochę czasu, zanim zdałam sobie sprawę, że nie byłam pierwszą zabita przez niego dziewczynką. Bez wątpienia już dawno się tego domyśliliście. Pan Harvey orientował się, że musi usunąć moje ciało z pola. Wiedział, że musi uważać na pogodę i zabić, gdy zapowiedzą okres opadów - umiarkowanych, a najlepiej obfitych - ponieważ to pozbawi policję dowodów. Ale nie był tak metodyczny, jak myślała policja. Zapomniał o moim łokciu, użył do zakrwawionego ciała worka z materiału i gdyby ktoś, ktokolwiek, patrzył, mógłby uznać, że sąsiad idący przesmykiem granicznym między posiadłościami, wąskim nawet dla dzieci, które lubiły udawać, że nacierające na siebie żywopłoty to kryjówka, stanowi dziwny widok.

Kiedy szorował ciało w gorącej wodzie w swojej podmiejskiej łazience - jego łazienka miała identyczny rozkład z tą, którą dzieliłam z Lindsey i Buckleyem - jego ruchy były powolne i przepelniał go spokój. Zgasił światło i czuł, jak zmywa mnie z niego ciepła woda. Myślał o mnie. Mój zduszony krzyk, smakowity śmiertelny jęk. Cudowne białe ciało, które nigdy nie widziało słońca - jak u niemowlęcia - tak idealnie rozplątane następnie ostrzem jego noża. Drżał wśród gorąca, mrowienie przyjemności wywoływało gęsią skórę na jego ramionach i nogach. Włożył mnie do woskowanego worka z materiału i dorzucił leżące na ziemnej półce rzeczy: krem do golenia i brzytwę, swój tom sonetów i wreszcie zakrwawiony nóż. Zmieszały się z moimi kolanami, palcami rąk i nóg, ale zrobił sobie notatkę, żeby je wydobyć, zanim później tego wieczoru moja krew za bardzo zgęstnieje. Sonety i nóż sobie zostawił.

W modlitwie wieczornej uczestniczyły psy wszelkich ras. I niektóre, te najbardziej przeze mnie lubiane, unosiły głowy, kiedy wyczuwały w powietrzu jakiś interesujący zapach. Jeżeli

był dość wyraźny, jeżeli nie potrafiły z miejsca go rozpoznać albo, jak mogło się zdarzyć, dokładnie wiedziały, co to takiego - mózg im podpowiadał: „to tatar” - tropiły go, dopóki nie trafiły na sam przedmiot. O tym, co należy zrobić, decydowały dopiero w obliczu realnego przedmiotu, prawdziwej historii. Tak właśnie działały. Nie ograniczały swojego pragnienia wiedzy tylko dlatego, że zapach był brzydki albo przedmiot niebezpieczny. Polowały. Ja też.

Pan Harvey zabrał woskowany pomarańczowy worek z moimi szczątkami na zapadlisko osiem mil od naszego osiedla. Jeszcze do niedawna ten teren był opustoszały, nie licząc torów i pobliskiego warsztatu motocyklowego. W samochodzie słuchał stacji, która przez cały grudzień w kółko grała kolędy. Pogwizdywał w swojej wielkiej furgonetce. Pogratił sobie, czuł się najedzony. Szarlotka, cheeseburger, lody, kawa. Syty. Był coraz doskonalszy - nigdy nie korzystał ze starego wzorca, który by go znudził, ale z każdego zabójstwa robił sobie niespodziankę, prezent.

Powietrze wewnątrz furgonetki było zimne i lekkie. Kiedy pan Harvey wydychał powietrze, widziałam parę i to sprawiło, że zapragnęłam obmacać własne skamieniałe płuca.

Pojechał wąską jak nitka drogą, która wciniała się w tereny przemysłowe. Furgonetka zakołysała się, podskakując na wyjątkowo głębokim wyboju, i sejf, w którym znajdował się worek z moim ciałem, walnął o wewnętrzną osłonę tylnego koła, łamiąc plastik. „Cholera”, powiedział pan Harvey. Ale z miejsca wrócił do gwizdania.

Przypomniałam sobie, że kiedyś jechaliśmy tą drogą. Tata za kierownicą, Buckley usadowiony wygodnie obok mnie - obojgu nam służył jeden pas - nielegalna przejażdżka z dala od domu.

Tata zapytał, czy któreś z nas chce zobaczyć, jak znika lodówka.

- Połknie ją ziemia! - powiedział. Nałożył kapelusz i ciemne kurdybanowe rękawiczki, których mu zazdrościłam. Wiedziała, że rękawiczki z pięcioma palcami oznaczają, że jesteś dorosły, a z jednym palcem, że nie. (Na Boże Narodzenie w siedemdziesiątym trzecim roku mama kupiła mi parę prawdziwych rękawiczek. W końcu nosiła je Lindsey, ale wiedziała, że były moje. Któregoś dnia, wracając ze szkoły, zostawiła je na skraju pola kukurydzy. Zawsze to robiła - przynosiła mi rzeczy).

- To ziemia ma usta? - zapytał Buckley.

- Wielkie okrągłe usta bez warg - odparł tata.

- Jack - ze śmiechem powiedziała mama - przestań. Czy wiesz, że przyłapałam go, kiedy ryczał na dworze na lwie paszcze?

- Ja pojedę - odezwałam się. Tata powiedział mi, że to opuszczona podziemna kopalnia, która się zawaliła, tworząc zapadlisko. Nic mnie to nie obchodziło; chciałam zobaczyć, jak ziemia coś połyka, jak każdy dzieciak.

No więc kiedy obserwowałam pana Harveya, który zabrał mnie na zapadlisko, nie mogłam przestać myśleć o tym, jaki był sprytny, wkładając worek do metalowego sejfu.

Kiedy dotarł na miejsce, było już za późno. Zostawił sejf w swoim wagonie i ruszył w

stronę domu Flanaganów, którzy mieszkali na posesji z zapadliskiem. Flanaganowie kasowali wyrzucane urzędnictwo, i w ten sposób zarabiali na życie.

Pan Harvey zapukał do drzwi białego domku i otworzyła mu pani Flanagan. Zapach rozmarynu i jagnięciny, napływający z tyłu domu, wypełnił moje niebo i uderzył w nos pana Harveya. W kuchni zauważył mężczyznę.

- Dobry wieczór panu - powiedziała pani Flanagan. - Ma pan coś?

- Z tyłu w furgonetce - odparł pan Harvey. Przygotował już sobie banknot dwudziestodolarowy.

- Co pan tam ma, zwłoki? - zażartowała.

Coś takiego nawet nie przyszłoby jej do głowy. Mieszkała w ciepłym, choć małym domu. Miała męża, który zawsze był pod ręką, żeby coś naprawić i żeby ją kochać, bo nigdy nie musiał pracować, i syna, wciąż jeszcze na tyle małego, że uważał mamę za najważniejszą osobę na świecie.

Pan Harvey się uśmiechnął i kiedy patrzyłam na uśmiech przecinający jego twarz, nie odwracałam wzroku.

- Stary sejf mojego ojca, wreszcie go tu przywlokłem - powiedział. - Chciałem to zrobić już dawno. Nikt nie pamięta kombinacji.

- Jest coś w środku? - zapytała pani Flanagan.

- Stęchłe powietrze.

- W takim razie proszę go wrzucić. Pomóc panu?

- Byłoby wspaniale - odparł.

Flanaganowie nigdy ani przez moment nie podejrzewali, że dziewczynka, o której czytali w gazetach, przez kilka następnych lat - ZAGINIONA, PODEJRZEWANE BRUTALNE MORDERSTWO; ŁOKIEĆ ZNALEZIONY PRZEZ PSA SĄSIADÓW; CZTERNASTOLETνια DZIEWCZYNIKA PRAWDOPODOBNIIE ZABITA NA POLU KUKURYDZY STOLFUZA; OSTRZEŻENIE DLA INNYCH MŁODYCH KOBIET; MIASTO DOKONUJE PONOWNEJ KWALIFIKACJI TERENÓW PRZYLEGAJĄCYCH DO LICEUM; LINDSEY SALMON, PRYMUSKA, SIOSTRA ZABITEJ DZIEWCZYNIKI, WYGŁASZA MOWĘ POŻEGNALNĄ - mogłaby się znajdować w szarym metalowym sejfie, przywiezionym pewnego wieczoru przez samotnego mężczyznę, który za zatopienie pudła zapłacił im dwadzieścia dolarów.

W drodze powrotnej do furgonetki pan Harvey włożył rękę do kieszeni. Była tam moja srebrna bransoletka z wisiorami. Nie przypominał sobie, żeby zdejmował mi ją z nadgarstka i wpychał do kieszeni czystych spodni. Przesunął po niej palcami - mięsista opuszka palca wskazującego znalazła gładki złoty metal godła stanu Pensylwania, tył baletki, zagłębienie małego napałka i szprychy w rowerze, któremu obracały się koła. Przy końcu drogi dwieście drugiej zjechał na pobocze, zjadł zrobioną wcześniej kanapkę z wątrobianką, a potem ruszył w drogę, za teren przemysłowy na południe od Downingtown. Na budowie nie

zastał nikogo. W tamtych czasach na terenach poza miastem nie było ochrony. Zaparkował samochód przy toalecie. Przygotował sobie wytłumaczenie, na wszelki wypadek, choć było mało prawdopodobne, żeby go potrzebował.

Kiedy myślałam o panu Harveyu, najczęściej przypominałam sobie, jak błądził wśród błotnistych wykopów i zgubił się między drzemiącymi spychaczami o przerażających w ciemności, monstualnych kadłubach. Tej nocy, która nadeszła po mojej śmierci, ziemskie niebo było ciemnoniebieskie i na tym otwartym terenie pan Harvey miał widoczność na mile. Postanowiłam stać przy nim, żeby zobaczyć tę odległość tak, jak on ją widział. Chciałam pójść tam, dokąd on pójdzie. Śnieg przestał padać. Wiał wiatr. Pan Harvey podszedł do miejsca, w którym, jak podpowiadał mu instynkt, miał niedługo powstać sztuczny staw; stanął tam i ostatni raz przebiegł palcami po wisiorach. Spodobało mu się godło Pensylwanii, na którym tata kazał wygrawerować moje inicjały - ja najbardziej lubiłam maleńki rowerek - więc je zdjął i umieścił w kieszeni. Potem wyrzucił bransoletkę z pozostałymi wisiorami, tam gdzie miało niebawem powstać jezioro.

Dwa dni przed Bożym Narodzeniem obserwowałam pana Harveya czytającego o plemieniu Dagon i języku bambara w Mali. Zorientowałam się, że pomysł zaświtał mu, gdy czytał o płótnie i linach, których używali tubylcy, żeby budować schronienia. Znow chciał budować, eksperymentować jak z jamą, i zdecydował się na ceremonialny namiot - taki jak ten opisany w jego lekturze. Zgromadziłby podstawowe materiały i postawił go w kilka godzin na swoim podwórzu.

Mój tata zastał go tam, po tym jak roztrzaskał wszystkie statki w butelkach.

Na zewnątrz było zimno, ale pan Harvey miał na sobie tylko cienką bawełnianą koszulę. Tamtego roku skończył trzydzieści sześć lat i eksperymentował z twardymi szklami kontaktowymi. Miał z ich powodu oczy stale nabiegłe krwią i wiele osób, także mój tata, doszło do wniosku, że zaczął pić.

- Co to jest? - zapytał tata.

Mimo że mężczyźni z rodziny Salmonów tradycyjnie chorowali na serce, tata był wytrzymały. Był większy od pana Harveya, więc kiedy obszedł przód pokrytego zielonym gontem domu i wszedł na podwórze z tyłu, gdzie zobaczył Harveya ustawiającego coś, co wyglądało jak słupki do bramki, sprawiał wrażenie prostodusznego i chętnego. Był nabuzowany, bo zobaczył mnie w potrzaskanym szkłe. Przyglądałam mu się, kiedy przecinał trawnik. Szedł powoli jak dzieciaki do liceum. Mało brakowało, a przejechałby dłonią po należącem do pana Harveya żywopłocie z czarnego bzu.

- Co to jest? - zapytał ponownie.

Pan Harvey przerwał na moment, żeby na niego spojrzeć, po czym wrócił do pracy.

- Namiot z mat.

- Co to takiego?

- Współczuję panu z powodu tej straty, panie Salmon.

Tata, prostując się, zrewanżował się tym, czego wymagał rytuał.

- Dziękuję. - To było jak kamień, który utkwiał mu w gardle.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem pan Harvey, wyczuwając, że tata nie ma zamiaru odejść, zapytał go, czy chciałby mu pomóc.

Tak się więc zdarzyło, że z nieba obserwowałam, jak mój tata budował namiot z człowiekiem, który mnie zabił.

Tata wiele się dowiedział. Dowiedział się, jak należy mocować kawałki sklepienia do rozwidlonych tyczek i jak, przeplatając przez te elementy cienkie drążki, utworzyć półłuki wygięte w inną stronę. Dowiedział się, jak chwytać końce tych drążków i przywiązywać je do poprzeczek. Dowiedział się, że pan Harvey czytał o plemieniu Imezzureg i chciał stworzyć replikę ich namiotów. Utwierdził się w powszechnym w sąsiedztwie przekonaniu, że ten człowiek był dziwny. Na razie to było wszystko.

Kiedy po godzinie podstawowa konstrukcja została wykonana, pan Harvey poszedł do domu, nie podając powodu. Tata założył, że chodzi o przerwę i że pan Harvey wszedł do środka na kawę albo na herbatę.

Mylił się. Pan Harvey wszedł na górę po schodach, żeby sprawdzić, czy nóż do mięsa znajdował się w sypialni. Leżał na nocnym stoliku obok szkicownika, w którym często w środku nocy rysował wzory. Zajrzał do zmiętej papierowej torby na zakupy. Moja krew na ostrzu zrobiła się czarna. Przypomniał sobie, co wydarzyło się w jamie, a potem przyszło mu na myśl to, co czytał o pewnym plemieniu, które żyło w południowym Ayr. Otóż kiedy wykonywano namiot dla świeżo poślubionej pary, kobiety z plemienia, najpiękniej jak umiały, robiły płachtę, która miała go zakryć. Na dworze zaczął padać śnieg. Pierwszy śnieg od chwili mojej śmierci i tacie to nie umknęło.

- Słyszysz cię, kochanie - powiedział do mnie, chociaż nic nie mówiłam. - O co chodzi?

Z całej siły skupiłam się na uschniętym geranium, które znajdowało się na linii jego wzroku. Gdybym zdołała skłonić je do zakwitnięcia, miałby swoją odpowiedź. W moim niebie zakwitło. W moim niebie listki geranium zakłębiły się wirującą kulą na wysokość pasa. Na Ziemi nic się nie zdarzyło.

Poprzez śnieg zauważyłam jednak, że tata patrzył w stronę zielonego domu w nowy sposób. Zaczął się zastanawiać.

W środku pan Harvey wdział flanelową koszulkę, ale tata zauważył najpierw to, co niósł w ramionach: naręczce białych bawełnianych prześcieradeł.

- A to po co? - zapytał tata. Nagle nie potrafił przestać myśleć o mojej twarzy.

- Brezent - powiedział pan Harvey. Kiedy wręczył tacie cały stos, grzbiet jego dłoni dotknął palców taty. To zadziało jak porażenie prądem.

- Pan coś wie - stwierdził tata.

Spojrzeli sobie w oczy. Pan Harvey nie spuścił wzroku, ale się nie odezwał.

Śnieg prószył, a oni pracowali. I kiedy tata się ruszał, adrenalina gnała w nim pełną parą.

Zastanawiał się nad tym, co wiedział. Czy ktoś zapytał tego człowieka, gdzie był w dniu mojego zniknięcia? Czy ktoś widział tego człowieka na polu kukurydzy? Wiedział, że przesłuchiowano sąsiadów. Policja metodycznie pukała do wszystkich drzwi.

Tata i pan Harvey rozciągali prześcieradła na kopulastym sklepieniu, mocując je do kwadratu utworzonego przez poprzeczki łączące rozwidlone tyczki. Potem zawiesili pozostałe płachty na poprzeczkach, tak że brzegi prześcieradeł zamiatały ziemię.

Do czasu gdy skończyli, śnieg delikatnie osiadł na zakrytych łukach, wypełnił załamania koszuli taty i ułożył się cienką linią na brzegu jego paska. Poczulałam ból. Zdałam sobie sprawę, że już nigdy więcej nie wybiegnę na śnieg z Holidayem, nie popchnę Lindsey na sankach i już nigdy, mimo że bardzo bym chciała, nie pokażę braciszкови, jak się lepi ze śniegu, formując go w zagłębieniu dłoni. Stałam samotnie w morzu błyszczących płatków. Na Ziemi miękkie i niewinne śnieżynki opadały jak kurtyna.

Stojąc w namiocie, pan Harvey myślał o dziewiczej narzeczonej, która została przywieziona na wielbłądzie do członka plemienia Imezzureg. Kiedy tata wykonał ruch w jego stronę, uniósł dłoń.

- Na razie wystarczy - oznajmił. - Czemu nie pójdzie pan do domu?

Nadszedł czas, żeby tata wymyślił coś, co mógłby powiedzieć. Ale jedyne, co mu przyszło do głowy, to: „Susie” - wyszeptał moje imię, druga sylaba śmignęła jak wąż.

- Właśnie zbudowaliśmy namiot - stwierdził pan Harvey. - Sąsiedzi nas widzieli. Teraz jesteśmy przyjaciółmi.

- Pan coś wie - powtórzył tata.

- Proszę iść do domu. Nie mogę panu pomóc.

Pan Harvey nie uśmiechnął się ani nie podszedł do taty. Wycofał się do namiotu weselnego i pozwolił, żeby opadło za nim ostatnie białe bawełniane prześcieradło z monogramem.

5.

Część mnie pragnęła zemsty. Chciałam, żeby tata zmienił się w człowieka, jakim nigdy nie był - człowieka gwałtownego w gniewie. Takie rzeczy ogląda się na filmach albo czyta się o nich w książkach. Zwykły człowiek bierze pistolet lub nóż i tropi mordercę swojej rodziny; potem urządza im Bronsona i wszyscy się cieszą.

A naprawdę było tak:

Tata codziennie wstawał. Zanim sen na dobre odszedł, był tym, kim zwykle. Potem, gdy budziła się jego świadomość, coś się działo, jakby wsączała się trucizna. Z początku nie mógł nawet się podnieść. Leżał, przytłoczony ciężarem. Ale tylko ruch mógł go uratować, więc się poruszał i ruszał, bez końca, bo żaden ruch mu nie wystarczał. To poczucie winy, przyduszająca go ręka Boga, głos mówiący: *Nie było cię tam, kiedy twoja córka cię potrzebowała.*

Zanim tata wyszedł do pana Harveya, mama siedziała we frontowym holu przy kupionym kiedyś posążku świętego Franciszka. Gdy wrócił, nie było jej. Zawołał ją. Trzykrotnie wymówił jej imię - wypowiedział je jak życzenie, żeby się nie pojawiła - i wszedł po schodach do swojej kryjówki. Zanotował parę rzeczy w notesiku z grzbietem spiętym spiralą: „Pijak? Upić go. Może to gaduła”. A potem napisał właśnie to: „Myślę, że Susie mnie obserwuje”. W swoim niebie nie posiadałam się z radości. Uściskałam Holly, uściskałam Franny. Mój tata wiedział, pomyślałam.

Potem Lindsey zatrzasnęła frontowe drzwi głośniejsze niż zwykle i tata był wdzięczny za ten hałas. Bał się zagłębić w notatkach i zapisywać słowa. Dźwięk trzaskających drzwi zakończył dziwne popołudnie i tata powrócił do terażniejszości, aktywności, tam gdzie musiał się znaleźć, żeby nie utonąć. Rozumiałam to - nie mówię, że nie czułam się dotknięta, że to mi nie przypominało siedzenia przy stole i wysłuchiwanie, jak Lindsey opowiada rodzicom o teście, który tak świetnie rozwiązała, albo o tym, że nauczyciel historii ma zamiar zarekomendować ją do nagrody rady okręgu, ale Lindsey żyła, a żywi również zasługiwali na uwagę.

Z tupotem weszła po schodach. Jej drewniaki z trzaskiem uderzały o sosnowe deski stopni i wstrząsały domem.

Mogłam zazdrościć siostrze uwagi taty, lecz szanowałam jej sposób radzenia sobie z tą sprawą. To właśnie Lindsey musiała się zmierzyć z tym, co Holly nazwała Syndromem Żywego Trupa - kiedy ludzie widzą tę nieżyjącą osobę, a nie ciebie.

Gdy ludzie patrzyli na Lindsey, nawet tata i mama, widzieli mnie. Nawet sama Lindsey nie była na to odporna. Unikała luster. Teraz brała prysznic po ciemku.

W ciemności wychodziła spod prysznica i usiłowała wymacać drogę do wieszaka na ręczniki. W ciemności była bezpieczna - otulała ją wilgotna para spod prysznica, wciąż unosząca się z kafli. Jeżeli w domu panowała cisza albo Lindsey słyszała szmery z dołu,

wiedziała, że nikt jej nie przeszkodzi. To właśnie wtedy mogła o mnie pomyśleć i robiła to na dwa sposoby: albo myślała *Susie*, tylko to jedno słowo, i płakała, pozwalając łzom staczać się z i tak mokrych policzków, wiedząc, że nikt nie zobaczy, nikt nie określi tej niebezpiecznej substancji mianem oznaki żalu, albo wyobrażała sobie, że uciekam, wyobrażała sobie, że się wydostaję, wyobrażała sobie, że w zamian biorą ją, że walczy i wreszcie się uwalnia. Wciąż zadawała też sobie pytanie: *Gdzie jest teraz Susie?*

Tata przysłuchiwał się Lindsey. Łup, drzwi zostały zatrzaśnięte. Łubudu, jej książki rzucone. Skrzyp, padła na łóżko. Drewniaki, bum, bum, skopała na podłogę. Kilka minut później stał przed jej drzwiami.

- Lindsey - odezwał się, pukając.

Cisza.

- Lindsey, mogę wejść?

- Idź sobie - padła stanowcza odpowiedź.

- Przestań, kochanie - poprosił.

- Idź sobie!

- Lindsey - powiedział tata, wciągając powietrze - czemu nie chcesz mnie wpuścić? - Lekko oparł czoło o drzwi sypialni. Drewno było chłodne w dotyku i na sekundę zapomniał o pulsowaniu w skroniach i podejrzeniu, które powziął, uparcie powracającym. *Harvey, Hawey, Hawey.*

Lindsey, w samych skarpetkach, cicho podeszła do drzwi. Otworzyła, a tata się cofnął i spojrzał na nią z wyrazem twarzy, który, miał nadzieję, mówił „Nie uciekaj”.

- Co? - zapytała. Twarz miała napiętą, czysta wrogość.

- Chcę wiedzieć, jak się czujesz - powiedział. Pomyślał o zasłonie opadającej między nim a panem Harveyem i o tym, jak umyka mu pewna zdobycz, słodycz oskarżenia.

Jego rodzina chodziła ulicami, a córka podążała do szkoły, mijając po drodze pokryty zielonym gontem dom pana Harveya. Potrzebował swojego dziecka, żeby krew ponownie napelniła jego serce.

- Chcę być sama - stwierdziła Lindsey. - Czy to nie jest oczywiste?

- Jestem tu, gdybyś mnie potrzebowała - oznajmił.

- Słuchaj, tato - odparła moja siostra, robiąc na jego rzecz ustępstwo - radzę sobie z tym sama.

I co mógł zrobić? Mógł złamać zasady i powiedzieć: „Ja nie, nie potrafię, nie zmuszaj mnie”, ale stał tam przez sekundę, a potem się wycofał.

- Rozumiem - dodał tylko, chociaż nie rozumiał.

Chciałam go podtrzymać. Przypomniały mi się posągi, które widziałam w książkach do historii sztuki. Kobieta podtrzymująca mężczyznę. Wybawienie odwrócone. Córka mówiąca do ojca „Wszystko w porządku. Nic ci nie jest. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało”.

A przecież nie mogłam mu pomóc. Patrzałam tylko, jak szedł zadzwonić do Lena

Fenermana.

Podczas tych pierwszych tygodni policja była niemal uprzedzająco grzeczna. Zaginione martwe dziewczynki należały na przedmieściach do rzadkości. Jednak bez śladów prowadzących do mojego ciała albo wskazówek, kto mnie zabił, policja zaczynała się robić nerwowa. Istniał pewien przedział czasu, w którym zwykle znajdowano dowody; ten przedział codziennie się zmniejszał.

- Nie chcę, żeby to zabrzmiało irracjonalnie, panie Fenerman - powiedział tata.

- Len, proszę. - W rogu biurowego bibularza znajdowało się szkolne zdjęcie, które Len Fenerman wziął od mojej mamy. Zanim ktokolwiek wymówił te słowa, wiedział, że już nie żyłam.

- Jestem pewien, że jeden mężczyzna w sąsiedztwie coś wie - oznajmił tata. Z okna swojej kryjówki na górze wpatrywał się w pole kukurydzy. Człowiek, do którego należało, powiedział prasie, że na razie ziemia będzie leżeć odłogiem.

- Kto to taki i dlaczego nabrał pan podejrzeń? - zapytał Len Fenerman. Wybrał krótki, pogryziony ołówek z pierwszej metalowej przegródki w szufladzie biurka.

Tata opowiedział mi o namiocie, o tym, jak pan Harvey kazał mi iść do domu, o wymówieniu mojego imienia oraz o tym, że w sąsiedztwie uważano pana Harveya za dziwaka bez stałej pracy i bez dzieci.

- Sprawdzę to - oznajmił Len Fenerman, bo musiał. Taka była jego rola. Ale to, co powiedział mi tata, stanowiło niewielki lub wręcz żaden punkt zaczepienia. - Proszę z nikim o tym nie rozmawiać i nie odwiedzać Harveya ponownie - dodał.

Kiedy tata odłożył słuchawkę, poczuł się dziwnie pusty. Wyczerpany, wyszedł ze swojej kryjówki i cicho zamknął za sobą drzwi. W korytarzu po raz drugi zawołał mamę po imieniu:

- Abigail.

Stała w łazience na dole, podkradając makaroniki, które firma taty zwykle przysyłała nam na Boże Narodzenie. Połykała je łapczywie; były jak słoneczne eksplozje w ustach. Latem, kiedy chodziła w ciąży ze mną, nosiła w kółko jedną pasiastą ciężową sukienkę, nie chcąc wydawać pieniędzy na drugą, i zjadała wszystko, na co miała ochotę. Głaskała brzuch i mówiła: „Dziękuję, dziecino”, kiedy czekolada kapała jej na biust.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Mamuniu? - Wepchnęła makaroniki z powrotem do szafki z lekarstwami, przetykając to, co już miała w ustach.

- Mamuniu? - powtórzył Buckley. Miał zaspany głos.

- *Mamuuuu-niuuu!*

Czuła odrazę do tego słowa.

Kiedy otworzyła drzwi, Buckley objął ją za kolana. Mój braciszek przycisnął buzię do jej ud.

Słyszając hałasy, tata poszedł spotkać się z mamą w kuchni. Oboje znaleźli pociechę,

zajmując się Buckleyem.

- Gdzie jest Susie? - zapytał mój brat, gdy tata rozsmarowywał masło orzechowe na białym chlebie. Zrobił trzy kanapki. Jedną dla siebie, drugą dla mamy i trzecią dla swojego czteroletniego syna.

- Odłożyłeś grę? - zapytał tata, zastanawiając się, czemu uparcie unika rozmowy z jedną osobą, która postawiła sprawę wprost.

- Co się stało mamusi? - zawołał Buckley. Obaj spojrzeli na mamę, która zapatrzyła się w suchą komorę zlewu.

- A może w tym tygodniu wybralibyśmy się do zoo? - zaproponował tata. Nienawidził się za to. Nienawidził oszustwa - łapówek i nabierania. Lecz jak mógł powiedzieć swojemu synowi, że jego starsza siostra leży gdzieś w kawałkach?

W każdym razie Buckley usłyszał słowo „zoo” i wszystko, co oznaczało - w jego przypadku były to głównie małpy - i na jeszcze jeden dzień wkroczył na krętą ścieżkę zapomnienia. Cień czasu nie ogarnął jeszcze jego ciała. Wiedział, że mnie nie ma, ale kiedy ludzie wyjeżdżali, zawsze wracali.

Gdy Len Fenerman chodził od drzwi do drzwi w okolicy, nie uznał George'a Harveya za godnego uwagi. Pan Harvey był samotnym człowiekiem, który - jak padło w rozmowie - chciał tu zamieszkać ze swoją żoną. Ale zmarła przed przeprowadzką. Harvey budował domki dla lalek dla specjalistycznych sklepów i trzymał się na uboczu. Nikt nie wiedział niczego więcej. Chociaż nie można powiedzieć, że nawiązał liczne przyjaźnie, ludzie w okolicy zawsze mu współczuli. W każdym domu kryła się jakaś historia. Historia George'a Harveya mogła wydawać się poruszająca, zwłaszcza Lenowi Fenermanowi.

Nie, powiedział Harvey, nie znał dobrze Salmonów. Widywał dzieci. Wszyscy wiedzieli, kto ma dzieci, a kto nie, zauważył, zwieszając głowę i przechylając ją nieco w lewo.

- Na podwórzu widać zabawki. Domy są zawsze bardziej ożywione - dodał, zawieszając głos.

- Wiem, że ostatnio odbył pan rozmowę z panem Salmonem - powiedział Len podczas swojej drugiej wizyty w ciemnozielonym domu.

- Owszem, a czy coś się stało? - zapytał pan Harvey. Przyjrzał się Lenowi, mrużąc oczy. - Pójdę po okulary - powiedział. - Za długo pracowałem nad Drugim Imperium.

- Drugim Imperium? - zapytał Len.

- Teraz, kiedy skończyłem ze świątecznymi zamówieniami, mogę eksperymentować - wyjaśnił pan Harvey. Len poszedł za nim na tył domu. Na blacie upchniętego pod ścianą stołu kuchennego leżały dziesiątki kawałeczków czegoś, co wyglądało jak miniaturowa boazeria.

Trochę dziwne - pomyślał Fenerman - *ale to nie oznacza, że facet jest mordercą*. Pan Harvey nałożył okulary i natychmiast się rozgadał.

- Tak, pan Salmon wyszedł na spacer i pomógł mi zbudować namiot weselny.

- Namiot weselny?

- Co roku robię to dla Leah - powiedział Harvey. - Dla mojej żony. Jestem wdowcem.

Len poczuł, że wkracza w prywatne obrzędy tego człowieka.

- Ależ rozumiem - odparł.

- Okropnie się czuję z powodu tego, co spotkało tę dziewczynkę - dodał pan Harvey. - Próbowałem to przekazać panu Salmonowi. Ale wiem z doświadczenia, że w takich momentach wszystko wydaje się bez sensu.

- Więc stawia pan ten namiot co roku? - zapytał Len Fenerman. To było coś, co mógł potwierdzić u sąsiadów.

- Dawniej robiłem to w środku, lecz w tym roku spróbowałem na dworze. Pobraliśmy się zimą. Sądziłem, że się uda, ale spadł śnieg.

- Gdzie w środku?

- W piwnicy. Jeśli pan chce, mogę pokazać. Mam tam wciąż wszystkie rzeczy Leah.

Len nie wchodził w to głębiej.

- Przepraszam, że pana niepokoiłem - oznajmił. - Chciałem tylko jeszcze raz przelecieć się po okolicy.

- Jak tam wasze dochodzenie? - zapytał pan Harvey. - Jakieś postępy?

Len nigdy nie lubił takich pytań, chociaż przypuszczał, że ludzie, którym zakłócał życie, mieli do nich prawo.

- Czasem mi się zdaje, że ślady odnajdują się w swoim czasie - powiedział. - Jeśli chcą zostać znalezione, oczywiście. - Była to niejasna odpowiedź w stylu Konfucjusza, ale sprawdzała się w wypadku niemal każdego cywila.

- Rozmawialiście z tym chłopakiem Ellisów? - zapytał pan Harvey.

- Rozmawialiśmy z tą rodziną.

- Słyszałem, że krzywdził zwierzęta w okolicy.

- Wygląda na łobuza, to prawda - oznajmił Len - ale pracował wtedy w centrum handlowym.

- Świadczenie?

- Tak.

- To mój jedyny pomysł - powiedział pan Harvey. - Żałuję, że nic więcej nie mogę zrobić.

Len wyczuł jego szczerłość.

- Bez wątplenia jest trochę stuknięty - stwierdził później, rozmawiając z tatą przez telefon - ale nic na niego nie mam.

- Co mówił o tym namiocie?

- Że zbudował go dla Leah, swojej żony.

- Pamiętam, że pani Stead powiedziała Abigail, że jego żona miała na imię Sophie.

Len sprawdził w swoich notatkach.

- Nie, Leah. Zapisalem.

Tata zwątpił w siebie. Skąd mu się wzięło imię Sophie? Był pewien, że też je słyszał, ale

dawno temu, na przyjęciu zorganizowanym dla mieszkańców dzielnicy. Imiona dzieci i żon fruwały wtedy jak konfetti między opowieściami, które ludzie snuli, żeby nawiązać dobrosąsiedzkie stosunki, a zawieraniem znajomości z niemowlętami oraz obcymi osobami zbyt mało ważnymi, żeby pamiętać o nich dzień później.

Pamiętał natomiast, że pan Harvey nie przychodził na te przyjęcia dla sąsiadów. Nigdy nie zjawił się na żadnym. Zgodnie z obowiązującymi w sąsiedztwie kryteriami, kładziono to na karb jego dziwactwa, ale tata nie podzielał tej opinii. On sam nigdy nie czuł się do końca swobodnie podczas tych wymuszonych prób biesiadowania.

Tata napisał w swoim notesie „Leah?”. Potem zapisał „Sophie?”. Chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, zaczął tworzyć listę ofiar.

W dniu Bożego Narodzenia moja rodzina lepiej czułaby się w niebie. W niebie Gwiazdkę zasadniczo zignorowano. Niektórzy ludzie ubrali się na białą i udawali, że są płatkami śniegu, lecz nic oprócz tego.

W te święta Samuel Heckler przyszedł do naszego domu z niezapowiedzianą wizytą. Nie przebrał się za śnieżynkę. Włożył skórzaną kurtkę swojego starszego brata i luźne spodnie od polowego munduru.

Mój brat siedział w pokoju od frontu ze swoimi zabawkami. Mama zanosila dziękczynne modły za to, że wcześniej wybrała się kupić prezenty. Lindsey dostała rękawiczki i błyszczący do ust o smaku wiśniowym. Tata pięć białych chusteczek, które zamówiła pocztą przed kilkoma miesiącami. Pomijając Buckleya, i tak nikt niczego nie chciał. Nikt też nie włączył lampek na choince. Palila się tylko świeca, którą tata trzymał na oknie w swojej kryjówce. Zapalał ją po zmroku, ale mama, moja siostra i brat przestali wychodzić z domu po czwartej. Tylko ja ją widziałam.

- Na dworze jest jakiś człowiek! - zawołał Buckley, któremu właśnie udało się wybudować wieżowiec. - Ma walizkę.

Mama zostawiła w kuchni swój eggnog * i przeszła do frontowych drzwi. Lindsey cierpiała z powodu obowiązkowej obecności w salonie, której wymagano we wszystkie święta. Ona i tata grali w monopol, dla dobra partnera ignorując co bardziej bezwzględne pola. Nie było Podatku od luksusu i nie uznawano niepomysłnej Szansy.

W głównym holu mama wygładziła spódnice. Ustawiła Buckleya przed sobą i położyła mu ręce na ramionach.

- Zaczekaj, aż zapuka - powiedziała.

- Może to wielebny Strick - odezwał się tata do Lindsey, pobierając należne mu piętnaście dolarów za zajęcie drugiego miejsca w konkursie piękności.

* Eggnog lub brandy.

tradycyjny napój świąteczny z mleka, cukru, jajek i rumu - Dla dobra Susie mam nadzieję, że nie - odważyła się Lindsey.

Tata uchwycił się tego, uchwycił się faktu, że moja siostra wymówiła moje imię. Lindsey

wyrzuciła na obu kostkach to samo i przesunęła się na Marvin Gardens.

- Jesteś mi winna dwadzieścia cztery dolary - powiedział tata - ale wezmę dziesięć.

- Lindsey - zawołała mama. - Gość do ciebie.

Tata obserwował, jak moja siostra wstaje i wychodzi z pokoju. Oboje jej się przyglądaliśmy. Siedziałam wtedy z tatą. Byłam duchem na planszy. Tata zapatrzył się na stary but, leżący na boku w pudełku. Gdybym tylko mogła go podnieść, zmusić, żeby przeskoczył z Boardwalk do Baltic, gdzie - jak zawsze twierdziłam - mieszkali lepsi ludzie. „To dlatego, że masz świra na punkcie fioletu”, powiedziałaaby Lindsey. Tata dodałby: „Jestem dumny, że nie wychowałem snobki”.

- Koleje, Susie - powiedział. - Zawsze lubiłaś mieć koleje.

Żeby podkreślić włosy układające się na czole w kształt litery V i poskromić koguty, Samuel Heckler upierał się przy zaczesywaniu włosów do tyłu. Ta fryzura i czarna skórzana kurtka nadawały mu wygląd młodocianego trzynastoletniego wampira.

- Wesółych świąt, Lindsey - powiedział do mojej siostry i wyciągnął pudełeczko owinięte w błękitny papier.

Widziałam, co się dzieje: ciało Lindsey zaczęło się zwijać w supeł. Bardzo się starała, żeby trzymać wszystkich na dystans, ale jednocześnie uważała, że Samuel Heckler jest słodki. Jej serce stopniało jak składnik w przepisie i bez względu na moją śmierć miała trzynaście lat, a on był słodki i odwiedził ją w dzień Bożego Narodzenia.

- Słyszałem, że zaliczyłaś test dla uzdolnionych - mówił dalej, ponieważ nikt się nie odezwał. - Ja też.

Moja mama opamiętała się wtedy i przełączyła na autopilota „gospodyni”.

- Może wejdiesz i usiądziesz? - zdołała powiedzieć. - Mam w kuchni trochę eggnogu.

- Byłoby wspaniale - odparł Samuel Heckler i - ku mojemu i Lindsey zdziwieniu - podał mojej siostrze ramię.

- Co to jest? - zapytał Buckley, wlokąc się za nimi i wskazując na to, co uznał za walizkę.

- Saks - odparł Samuel Heckler.

- Co? - zapytał Buckley.

Wtedy odezwała się Lindsey.

- Samuel gra na saksofonie altowym.

- Ledwie - oznajmił Samuel.

Mój brat nie zapytał, co to takiego saksofon. Wiedział, co się dzieje z Lindsey. Miała fazę, tak to kiedyś ochrzciłam, snobka-wyskrobka. Była teraz snobka-wyskrobka jak w zdaniu: „Nie przejmuj się, Buckley, Lindsey ma fazę snobka-wyskrobka”. Zwykle go laskotałam, wymawiając tę zbitkę, a czasami bodłam głową w brzuch, powtarzając w kółko „snobka-wyskrobka”, aż trele jego śmiechu spływały po mnie jak potoki.

Buckley wszedł z całą trójką do kuchni i zapytał, jak to robił przynajmniej raz dziennie:

- Gdzie jest Susie?

Milczeli. Samuel spojrział na Lindsey.

- Buckley-zawołał tata z przyległego pokoju-chodź zagrać ze mną w monopol.

Mój brat nigdy wcześniej nie został zaproszony do gry w monopol. Wszyscy mówili, że jest za mały, ale teraz zadziałała magia świąt Bożego Narodzenia. Pognał do pokoju wypoczynkowego, a tata go podniósł i posadził sobie na kolanach.

- Widzisz ten but? - odezwał się tata.

Buckley skinął głową.

- Chcę, żebyś wysłuchał wszystkiego, co ci o nim powiem, dobrze?

- Susie? - zapytał mój brat, jakimś sposobem łącząc te dwie rzeczy.

- Tak, chcę ci powiedzieć, gdzie jest Susie.

U góry, w niebie, zaczęłam płakać. A co innego mi pozostało?

- Ten but to był pionek, którym Susie grała w monopol - oznajmił tata. - Ja gram autem albo czasami taczka. Lindsey żelazkiem, a kiedy gra twoja mama, lubi mieć armatę.

- Czy to jest pies?

- Tak, to terier.

- Mój!

- Okej - powiedział tata. Był cierpliwy. Znalazł sposób, żeby to wyjaśnić. Trzymał swojego syna i kiedy mówił, czuł na kolanach ciało Buckleya, ten bardzo ludzki, bardzo ciepły, bardzo żywy ciężar. Przynosiło mu to pociechę. - Od tej pory terier będzie twoim pionkiem. No, to jeszcze raz: który pionek jest Susie?

- But - odparł Buckley.

- Zgadza się. Mój jest samochód, twoja siostra ma żelazko, a mama armatę.

Mój brat skoncentrował się z całej siły.

- A teraz postawimy wszystkie pionki na planszy, dobrze? Zrób to za mnie.

Buckley chwycił pełną garść pionków, a potem następną, aż wszystkie leżały między kartami Szansy i Ryzyka.

- Powiedzmy, że reszta pionków to nasi przyjaciele.

- Jak Nate?

- Zgadza się, twój przyjaciel Nate będzie kapeluszem. Plansza to świat. A teraz, gdybym ci powiedział, że kiedy rzucę kostką, jeden z pionków odpadnie, co by to znaczyło?

- Że już nie mogą grać?

- Zgadza, się.

- Dlaczego? - zapytał Buckley.

Podniósł wzrok na tatę; tata się wzdrygnął.

- Dlaczego? - ponownie zapytał mój brat.

Tata nie chciał powiedzieć: „ponieważ życie jest niesprawiedliwe” albo „bo tak już jest”. Chciał czegoś trafnego, czegoś co mogłoby wyjaśnić śmierć czterolatki. Położył Buckleyowi rękę na plecach.

- Susie nie żyje - oznajmił. Nie umiał wpasować tego w reguły żadnej gry. - Czy wiesz, co to znaczy?

Buckley wyciągnął rękę i nakrył but. Spojrzał w górę, żeby sprawdzić, czy jego odpowiedź była prawidłowa. Tata skinął głową.

- Już więcej nie zobaczysz Susie, kochanie. Nikt z nas jej nie zobaczy. - Tata płakał. Buckley spojrział z dołu w oczy naszego taty i nie do końca wszystko rozumiał.

Mój brat trzymał ten but na swojej komodzie, aż pewnego dnia zniknął z niej i żadne poszukiwania nic nie pomogły.

Mama skończyła swój eggnog, przeprosiła i wyszła z kuchni. Weszła do jadalni i policzyła srebra, metodycznie układając trzy rodzaje widelców, noże i łyżki, ustawiając je, jakby wchodziły po schodkach, jak nauczono ją kiedy przed moim urodzeniem pracowała w sklepie Wanamakera ze ślubnymi prezentami. Miała ochotę na papierosa i chciała, żeby jej żyjące dzieci na chwilę zniknęły.

- Otworzysz swój prezent? - zapytał moją siostrę Samuel Heckler.

Stali przy blacie, opierając się o zmywarę i szuflady, w których znajdowały się serwetki i ściereki. W pokoju po prawej siedzieli mój tata i brat, po lewej, w jadalni, mama myślała o porcelanie Wedgwood Florentine, Cobalt Blue, Royal Worcester, Mountbatten, Lenox, Eternal.

Lindsey uśmiechnęła się i pociągnęła za białą wstążeczkę na górze pudełka.

- Wstążeczkę zawiązała mi mama - powiedział Samuel Heckler.

Zdarła błękitny papier z czarnego aksamitnego pudełka. Kiedy Lindsey i ja bawiłyśmy się Barbie, Barbie i Ken brali ślub, mając szesnaście lat. Wtedy uważałyśmy, że prawdziwa miłość zdarza się tylko raz w życiu; nie miałyśmy pojęcia o kompromisie czy ponownych próbach.

- Otwórz - zachęcił ją Samuel Heckler.

- Boję się.

- To się nie bój.

Położył jej rękę na przedramieniu i - Ach! - co poczułam, kiedy to zrobił. Wampir czy nie, Lindsey miała w kuchni miłego chłopca! To była wiadomość, to była nowina - nagle zostałam we wszystko wtajemniczona. Nigdy w życiu nie pisnęłyby mi o tym ani słowa.

To, co znajdowało się w pudełku, było typowe albo nieefektywne, albo cudowne - zależy jak na to spojrzeć. Typowe, ponieważ Samuel był trzynastoletnim chłopcem, nieefektywne, bo nie chodziło o ślubną obrączkę, cudowne, ponieważ Lindsey dostała połówkę serca. Było złote, a z za swojej koszuli Hukapoo Samuel Heckler wyciągnął drugą część. Miał ją na szyi, zawieszoną na rzemyku.

Na twarzy Lindsey zakwitły rumieńce; na mojej w niebie też.

Zapomniałam o tacie siedzącym w salonie i mamie liczącej srebra. Zobaczyłam, że Lindsey pochyla się w stronę Samuela Hecklera. Pocałowała go: coś przepięknego. Byłam

znów prawie żywa.

6.

Dwa tygodnie przed śmiercią wyszłam z domu później niż zwykle i kiedy dotarłam do szkoły, wyasfaltowane rondo, na którym zwykle czekały szkolne autobusy, było puste.

Jeżeli próbowałabym wejść frontowymi drzwiami po pierwszym dzwonku, dyżurny z biura porządkowego zapisałby moje nazwisko. Nie chciałam zostać wywołana z lekcji i zasiąść na twardej ławce przed biurem pana Peterforda, który, o czym wszyscy wiedzieli, tłukł uczniów po pupie linijką. Poprosił nauczyciela prac ręcznych, żeby wywiercił w niej dziury i zmniejszył opór powietrza przy ruchu w dół - chciał, żeby bardziej bolało, kiedy linijka lądowała na siedzeniu.

Nigdy nie spóźniłam się dość dużo ani nie zrobiłam niczego wystarczająco złego, żeby zapoznać się z linijką, ale - jak wszyscy - umiałam to sobie tak dobrze wyobrazić, że aż piekł mnie tyłek. Clarissa mi powiedziała, że młodociane grzejniki, czyli dzieciaki, które w gimnazjum przypalały trawkę, korzystały z tylnych drzwi na scenę. Zostawiał je otwarte Cleo, woźny, który odpadł z liceum, gdy się okazało, że jest grzejnikiem pełnoetatowym.

No więc tego dnia ostrożnie przekradłam się za scenę. Patrzyłam pod nogi, żeby się nie potknąć o różne kable i druty. Zatrzymałam się obok jakiegoś rusztowania i odłożyłam książki, żeby wyszczotkować włosy. Miałam zwyczaj wychodzić z domu w czapce z dzwonekami, a potem - kiedy tylko udawało mi się ukryć za domem O'Dwyerów - zamieniać ją na starą czarną wełnianą czapkę taty. Przez to wszystko miałam strasznie naelektryzowane włosy i zwykle pierwszy przystanek robiłam w łazience dla dziewczyn, gdzie czesałam je na gładko.

- Susie Salmon, jesteś piękna.

Usłyszałam głos, ale nie potrafiłam go umiejscowić. Rozejrzałam się.

- Tutaj.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam głowę i tułów Raya Singha, który wychylał się z platformy znajdującej się na rusztowaniu nade mną.

- Halo - przywitał mnie.

Wiedziałałam, że Ray Singh się we mnie bujał. Rok wcześniej przeprowadził się z Anglii, ale Clarissa mi powiedziała, że urodził się w Indiach. To, że ktoś mógł mieć twarz jednego kraju, a głos drugiego, a potem przeprowadzić się do trzeciego, było dla mnie zbyt niesamowite, żebym to mogła pojąć. Już dzięki temu Ray wydawał mi się odlotowy. Poza tym był osiemset razy bystrzy niż reszta... no i się we mnie bujał. W końcu zdałam sobie sprawę, że jego ostentacyjne zachowanie - smoking, który nosił do szkoły, i zagraniczne papierosy, które tak naprawdę należały do jego mamy - uznałam za dowód przynależności do wyższej klasy. Znał się na rzeczach, o których reszta z nas nie miała pojęcia. Tego ranka, kiedy odezwał się do mnie z góry, moje serce zanurkowało w stronę podłogi.

- Nie było pierwszego dzwonka? - zapytałam.

- Mam pierwszą lekcję z panem Mortonem - odparł. To wyjaśniało wszystko. Pan Morton cierpiał na nieustającego kaca, który sięgał zenitu na pierwszej lekcji. Nigdy nie sprawdzał listy.

- Co robisz tam na górze?

- Właż i zobacz - rzucił, znikając mi z oczu.

Zawahałam się.

- No chodź, Susie.

To był ten jeden, jedyny dzień, kiedy zachowałam się jak niegrzeczna dziewczynka - a przynajmniej udawałam takie zachowanie. Postawiłam stopę na dolnej poprzeczce rusztowania, podniosłam ramiona i chwyciłam się pierwszego pręta.

- Weź swoje rzeczy - poradził Ray.

Wróciłam po torbę z książkami, a potem niepewnie wspierałam się na górę.

- Pozwól, że ci pomogę - powiedział i wsunął mi ręce pod pachy. Mimo że miałam na sobie zimową kurtkę z kapturem, byłam świadoma jego dotyku. Przez chwilę siedziałam, dyndając w powietrzu nogami.

- Podwiń nogi - powiedział. - Wtedy nikt nas nie zobaczy.

Zrobiłam to, o co prosił, a potem przez moment się na niego zagapiłam. Nagle poczułam się głupio - niepewna, dlaczego się tam znalazłam.

- Zostaniesz tu cały dzień? - zapytałam.

- Tylko do końca angielskiego.

- Zwiewasz z anglika! - Zupełnie jakby powiedział, że obrabował bank.

- Widziałem wszystkie sztuki Szekspira wystawione przez Royal Shakespeare Company - oświadczył Ray. - Ta dziwka niczego mnie nie nauczy.

Zrobiło mi się żal pani Dewitt. Jeżeli miałam być niegrzeczna, żeby nazywać panią Dewitt dziwką, nie byłam zainteresowana.

- Podoba mi się „Otello” - odważyłam się.

- Sposób, w jaki ona go omawia, to tylko protekcyjnalna gadanina. Turniejowa wersja Maura.

Ray był bystry. Poza tym był Hindusem z Anglii i w Norristown wydawał się Marsjaninem.

- Ten facet na filmie wyglądał dosyć głupio z twarzą pomalowaną na czarno - powiedziałam.

- Masz na myśli sir Laurence’a Oliviera?

Siedzieliśmy z Rayem cicho. Dość cicho, żeby usłyszeć dzwonek na koniec pierwszej lekcji, a potem, pięć minut później, dzwonek, który oznaczał, że powinniśmy być na parterze, w klasie pani Dewitt. Z każdą sekundą mijającą po dzwonku byłam coraz bardziej rozgrzana, a Ray coraz uważniej mi się przyglądał: zauważył moją granatową kurtkę, żółto-zieloną spódniczkę mini i dobrane do niej rajstopy. Nie zdążyłam zmienić butów i na nogach miałam

kozaki ze sztucznej skóry z brudnym sztucznym futrem wyłazącym jak flaki z cholewki i wzdłuż szwów. Gdybym wiedziała, że to ma być doświadczenie seksualne mojego życia, przygotowałabym się trochę, umalowałabym usta swoim Truskawkowo-Bananowym Eliksiirem Pocałunkowym.

Ray pochylił się w moją stronę, a pod nami zaskrzypiało rusztowanie. *On jest z Anglii*, myślałam. Usta Raya przysunęły się bliżej, rusztowanie się pochyliło. Zakręciło mi się w głowie - już miałam dać się unieść fali swojego pierwszego pocałunku, kiedy oboje coś usłyszeliśmy. Zamarliśmy.

Położyliśmy się z Rayem obok siebie i patrzyliśmy na wiszące nad nami lampy i druty. Chwilę później drzwi się otworzyły i do środka weszli pan Peterford oraz nauczycielka zajęć plastycznych, panna Ryan. Poznaliśmy ich po głosie. Był z nimi ktoś jeszcze.

- Tym razem nie podejmujemy działań dyscyplinarnych, ale zrobimy to, jeżeli nie przestaniesz - mówił pan Peterford. - Panno Ryan, czy przyniosła pani materiały?

- Tak. - Panna Ryan przyszła do Kennet z katolickiej szkoły i przejęła zajęcia plastyczne po dwóch ekshippisach, których zwolniono, kiedy eksplodował piec do wypalania ceramiki. Nie robiliśmy już dzikich eksperymentów z płynnymi metalami i modelowaniem gliny, tylko codziennie rysowaliśmy profile drewnianych figur, które ustawiała w sztywnych pozycjach na początku każdego zajęcia.

- Ja tylko odrabiam zadania. - To była Ruth Connors. Oboje z Rayem rozpoznaliśmy jej głos. Wszyscy mieliśmy po pierwszej przerwie lekcję angielskiego z panią Dewitt.

- To - powiedział pan Peterford - nie było zadane.

Ray chwycił mnie za rękę. Wiedzieliśmy, o czym mówili.

Kserokopia jednego z rysunków Ruth była w bibliotece podawana z rąk do rąk do czasu, gdy dotarła do chłopaka przy katalogu, który został przyłapany przez bibliotekarkę.

- Jeśli się nie mylę - odezwała się panna Ryan - nasze modele anatomiczne nie mają piersi.

Rysunek przedstawiał kobietę leżącą na plecach ze skrzyżowanymi nogami. To nie była żadna drewniana figura z kończynami umocowanymi na haczykach. To była prawdziwa kobieta, a naszkicowane węglem plamy oczu - czy to przypadkiem, czy celowo - nadawały jej lubieżny wygląd, który albo wprawiał dzieciaki w najwyższe zakłopotanie, albo szczerze je uszczęśliwiał.

- Te drewniane modele nie mają też nosa ani ust - powiedziała Ruth - ale pani zachęcała nas do rysowania twarzy.

Ray znów ścisnął mnie za rękę.

- Dość tego, młoda damo - zdenerwował się pan Peterford. - Nelson skserował ten rysunek z powodu tej swobodnej pozy.

- Czy to moja wina?

- Bez rysunku nie byłoby problemu.

- Więc to moja wina?

- Zachęcam, żebyś zdała sobie sprawę, w jakiej pozycji stawia to szkołę. Powinnaś nas wspierać, rysując to, co panna Ryan zaleca klasie, bez niepotrzebnych dodatków.

- Leonardo da Vinci rysował trupy - łagodnie odezwała się Ruth.

- Zrozumiano?

- Tak - odparła.

Drzwi na scenę otworzyły się i zamknęły, a chwilę później Ray i ja usłyszeliśmy, że Ruth Connors płacze. Ray bezgłośnie powiedział „idź”, a ja przesunęłam się na koniec rusztowania i zwiesiłam stopę, szukając oparcia.

W tamtym tygodniu Ray miał mnie pocałować, gdy staliśmy przy szafce. Nie stało się to na rusztowaniu, kiedy chciał. Nasz jedyny pocałunek był przypadkowy - piękna tęcza na plamie benzyny.

Zeszłam z rusztowania odwrócona do Ruth plecami. Nie poruszyła się ani nie ukryła, po prostu patrzyła na mnie, kiedy się odwróciłam. Siedziała na drewnianej skrzynce na tyłach sceny. Przyglądała mi się, gdy szłam w jej stronę, ale nie otarła oczu.

- Susie Salmon - stwierdziła. To, że urwę się z drugiej lekcji i ukryję za kulisami audytorium, było równie mało prawdopodobne, jak to, że najinteligentniejsza dziewczyna z naszej klasy zostanie zwymyślana przez dyżurnego nauczyciela.

Stałam przed nią z czapką w ręce.

- Jaki głupi kapelusz - powiedziała Ruth.

Podniosłam czapkę z dzwoneczkami i ją obejrzałam.

- Wiem. Mama mi zrobiła.

- Więc słyszałaś?

- Mogę zobaczyć?

Ruth rozłożyła to przekazywane z rąk do rąk ksero, a ja wytrzeszczyłam oczy.

Brian Nelson niebieskim długopisem dorysował obsceniczną dziurę tam, gdzie krzyżowały się nogi. Wzdrygnęłam się. Ruth mnie obserwowała. Zobaczyłam, że coś jej błysnęło w oczach, tajemnicze zaciekawienie. Schyliła się i wyciągnęła z plecaka szkicownik oprawiony w czarną skórę.

W środku było coś pięknego. Rysunki - głównie kobiet, ale też mężczyzn i zwierząt. Nigdy wcześniej niczego takiego nie widziałam. Zdałam sobie wówczas sprawę, jaka Ruth była niebezpieczna - nie dlatego, że rysowała podobizny nagich kobiet, z czego skorzystali jej rówieśnicy, ale dlatego, że była bardziej uzdolniona niż jej nauczyciele. Najłagodniejsza buntowniczka - tak naprawdę zupełnie bezradna.

- Jesteś naprawdę dobra, Ruth - powiedziałam.

- Dziękuję - odparła, a ja przeglądałam jej notes i upajałam się rysunkami. Byłam jednocześnie przestraszona i podniecona tym, co widziałam pod czarną linią pępka, i co moja mama nazywała „maszyną do produkcji dzieci”.

Powiedziałam Lindsey, że nigdy nie będę miała dziecka, a jako dziesięcioletnia dziewczynka przez dobre pół roku opowiadałam wszystkim dorosłym, którzy chcieli mnie słuchać, że mam zamiar załatwić sobie zaszczytne jajowody. Nie wiedziałam, co to dokładnie znaczy, ale domyślałam się, że to coś drastycznego, wymagającego operacji i że tata pokładał się wtedy ze śmiechu.

Ruth nie wydawała mi się już dziwna. Stała się kimś wyjątkowym. Rysunki były na tyle dobre, że zupełnie zapomniałam o szkolnych zasadach - o wszystkich dzwonek i gwizdkach, na które my, dzieci, mieliśmy reagować.

Pole kukurydzy - ogrodzone, przeszukane i opuszczone - nikogo już nie interesowało. Wtedy Ruth wybrała się tam na spacer. Owinęła się obszernym wełnianym szalem babci i włożyła szarą, zszarganą bosmankę ojca. Szybko się zorientowała, że nie licząc wuefu, nauczyciele nikogo nie zawiadamiali, kiedy się urywała z lekcji. Byli szczęśliwi, że jej nie ma: z powodu swojej inteligencji stanowiła problem. Domagała się uwagi i przyspieszenia tempa lekcji.

Żeby uniknąć autobusu, zaczęła jeździć rano z ojcem. Wychodził bardzo wcześnie i zabierał swoje czerwone metalowe pudełko śniadaniowe z ukośnym wieczkiem. Kiedy była mała, pozwalał jej robić z niego stodołę dla Barbie, a teraz chował w nim bourbona. Zanim wysadził Ruth na pustym parkingu, zatrzymywał ciężarówkę, ale nie wyłączał ogrzewania.

- Poradzisz sobie dzisiaj? - pytał zawsze.

Ruth kiwała głową.

- Strzemiennego?

Wtedy natychmiast wręczała mu pudełko śniadaniowe. Otwierał je, odkręcał bourbona, pociągał solidny haust, a po chwili przekazywał jej butelkę. Dramatycznie odchyłała głowę do tyłu i albo zatykała językiem szyjkę, tak że bardzo niewielka ilość wpadała jej do ust, albo - jeżeli ojciec ją obserwował - pociągała łyczek.

Potem wyślizgiwała się z wysokiej szoferki. Było zimno, przenikliwy chłód przed wschodem słońca. Wiedziała, że ludziom będącym w ruchu jest cieplej niż tym, którzy się nie ruszają. Uczyła się o tym w szkole. No więc zaczęła chodzić prosto w stronę pola kukurydzy, utrzymując równe tempo. Mówiła do siebie i czasami myślała o mnie. Często odpoczywała chwilę przy ogrodzeniu z łańcucha, oddzielającym boisko od bieżni, i przyglądała się światu, który wokół niej budził się do życia.

Tak więc podczas tych kilku pierwszych miesięcy spotykałyśmy się co rano. Słońce wstawało nad polem, Holiday, wypuszczany bez smyczy przez mojego tatę, ścigał króliki pomiędzy wysokimi, suchymi łodygami kukurydzy. Króliki uwielbiały przystrzyżone trawniki boiska sportowego. Gdy Ruth docierała na miejsce, widziała ciemne sylwetki, rozmieszczone wzdłuż najdalszych granic wyznaczonych białą kredową linią jak miniaturowa drużyna sportowa. Podobał jej się ten pomysł, mnie też. Wierzyła, że w nocy, gdy ludzie szli spać, wypchane zwierzęta się poruszały. Wciąż myślała, że w pudełku śniadaniowym jej ojca

mogły mieszkać malusieńkie krowy i owce, które żywiły się bourbonem i salami.

Kiedy Lindsey zostawiła dla mnie te bożonarodzeniowe rękawiczki pomiędzy najdalszą linią boiska do piłki nożnej a polem kukurydzy, pewnego ranka spojrzałam w dół i zobaczyłam króliki przeprowadzające dochodzenie: obwąchiwały brzegi rękawiczek obramowanych futerkiem ich własnych krewniaków. Potem zobaczyłam, że Ruth podniosła rękawiczki, zanim chwycił je Holiday. Wywróciła jedną na lewą stronę, tak żeby futerko znalazło się na wierzchu, i przyłożyła ją do policzka. Spojrzała w niebo i powiedziała „Dziękuję”. Spodobała mi się myśl, że mówiła do mnie.

Pokochałam Ruth w te poranki. Czułam, że w jakiś sposób, którego nigdy nie potrafiłybyśmy wyjaśnić po naszych przeciwnych stronach Pomędzy, zostałyśmy stworzone, żeby dotrzymywać sobie nawzajem towarzystwa. Dwie dziwne dziewczynki odnalazły się w najdziwniejszy sposób - w dreszczu, który jedna z nich poczuła, kiedy druga odchodziła.

Ray, który mieszkał na dalekim końcu naszego otaczającego szkołę osiedla, był, tak jak ja, piechurem i widywał Ruth Connors spacerującą samotnie po boisku. Od Gwiazdki chodził i wracał ze szkoły najszybciej jak mógł, nigdy się nie zatrzymując. Chciał, żeby złapano mojego zabójcę, niemal równie mocno jak moi rodzice. Wiedział, że dopóki ten człowiek nie zostanie schwytyany, on sam - mimo alibi - nie oczyści się z resztek podejrzeń.

Wybrał ranek, kiedy ojciec nie jechał na uniwersytet, i napełnił jego termos słodką herbatą mamy. Wyszedł wcześniej, żeby zaczekać na Ruth. Na cementowym kręgu do pchania kulą urządził sobie małe obozowisko, siadając na metalowym wygięciu, na którym miotacze opierali stopy.

Gdy zobaczył Ruth idącą po przeciwnej stronie płotu, który oddzielał szkołę od boiska do piłki nożnej - gdzie znajdowało się to najświętsze z boisk, futbolowe - zatarł ręce i przygotował sobie, co chce powiedzieć. Jego odwaga nie wzięła się stąd, że mnie pocałował - wyznaczył sobie ten cel na rok przed jego osiągnięciem - Ray zdobył się na odwagę, bo miał czternaście lat i był ogromnie samotny.

Obserwowałam, jak Ruth, przekonana, że jest sama, dochodziła do boiska. Jej ojciec, w starym domu, którego rozbiórką się zajmował, znalazł dla niej prawdziwy rarytas, coś, co pasowało do jej nowego hobby - antologię poezji. Trzymała ją mocno w ręku.

Ujrzała wstającego Raya, gdy jeszcze dzieliła ją od niego pewna odległość.

- Cześć, Ruth Connors! - zawołał i zamachał rękami.

Ruth popatrzyła na niego i w jej głowie pojawiło się nazwisko: Ray Singh. Ale poza tym wiedziała niewiele więcej. Słyszała plotki, że policja była u niego w domu, lecz wierzyła w to, co powiedział jej ojciec - „Nie zrobił tego żaden dzieciak” - więc podeszła.

- Przygotowałem herbatę i mam ją tu w termosie - powiedział Ray. W niebie wstydziłam się za niego. Był bystry, kiedy chodziło o „Otella”, ale teraz zachowywał się jak pacan.

- Nie, dziękuję - odparła Ruth. Stali na tyle blisko, żeby rozmawiać, lecz wciąż dzieliła ich dość duża odległość. Ruth wbiła paznokcie w zniszczoną okładkę antologii poezji.

- Byłem tam tego dnia, kiedy rozmawialiście z Susie za kulisami - oświadczył Ray. Wyciągnął do niej termos. Nie wykonała żadnego ruchu, żeby się zbliżyć, i nie odpowiedziała.

- Z Susie Salmon - wyjaśnił.

- Wiem, o kim mówisz - odparła.

- Idziesz na nabożeństwo żałobne?

- Nie wiedziałam, że będzie - powiedziała.

- Ja chyba nie idę.

Uważnie wpatrywałam się w jego usta. Były czerwieniejsze niż zwykle, z zimna. Ruth podeszła bliżej.

- Chcesz balsam do ust? - zapytała.

Ray podniósł rękę i jego wełniana rękawiczka zaczęła przelotnie o spierzchnięte wargi, które kiedyś pocałowałam. Ruth pogrzebała w kieszeni bosmanki i wyciągnęła sztyft Chapstick.

- Proszę - powiedziała. - Mam tego tony. Możesz go sobie zatrzymać.

- Dziękuję - odparł. - Posiedzisz ze mną, dopóki nie przyjadą autobusy?

Usiedli razem na cementowej platformie dla miotaczy. Znów widziałam coś, czego nigdy bym nie zobaczyła: tych dwoje razem. Z tego powodu Ray wydawał mi się teraz bardziej atrakcyjny niż kiedykolwiek. Miał ciemnoszare oczy. Kiedy obserwowałam go z nieba, nie wahałam się w nich zatonać.

Spotkania przy platformie stały się dla tych dwojga rytuałem. W dni, kiedy ojciec Raya jechał do pracy, Ruth przynosiła troszkę bourbona swojego taty; kiedy indziej mieli słodką herbatę. Było im zimno jak diabli, ale chyba nie miało to dla nich znaczenia.

Rozmawiali o tym, jak to jest być cudzoziemcem w Norristown. Czytali głośno wiersze z antologii Ruth. Zastanawiali się, jak zostać tym, kim chcieli zostać. Lekarzem w wypadku Raya i malarką albo poetką w wypadku Ruth. Stworzyli tajny klub dziwaków, których mogli wskazać w naszej klasie. Wciągnęli do niego osoby tak oczywiste jak Mikę Bayles, który brał tyle kwasu, że nikt nie rozumiał, jakim sposobem wciąż był w szkole, albo Jeremia, który przyjechał z Luizjany i w związku z tym był cudzoziemcem w takim samym stopniu jak Ray. Potem tych mniej rzucających się w oczy. Artiego, który z podnieceniem opowiadał wszystkim o działaniu formaliny. Harry'ego Orlanda, tak dramatycznie nieśmiałego, że szorty gimnastyczne wkładał na dzinsy. I Vicki Kurtz, którą Ruth widziała śpiącą na ściółce z igliwia w pobliżu należącej do gimnazjum szkółki leśnej, chociaż wszyscy myśleli, że Vicki się otrząsnęła po śmierci matki. I czasami rozmawiali o mnie.

- To takie dziwne - powiedziała Ruth. - Byłyśmy w jednej klasie od przedszkola, ale dopiero wtedy za kulisami audytorium pierwszy raz naprawdę na siebie spojrzaliśmy.

- Była świetna - oznajmił Ray. Pomyślał o muśnięciu się naszych ust, kiedy staliśmy sami przy rządzie szafek. Jak uśmiechnęłam się z zamkniętymi oczami i potem o mało nie

ucieklam. - Myślisz, że go znajdą?

- Tak przypuszczam. Wiesz, jesteśmy najwyżej sto jardów od miejsca, gdzie to się stało.

- Wiem - odparł.

Siedzieli na wąskim metalowym obrzeżu kręgu do pchnięcia kulą i w dłoniach w rękawiczkach trzymali kubki z herbatą. Pole kukurydzy stało się miejscem, gdzie nikt nie zaglądał. Kiedy piłka wypadła poza boisko, trzeba było zebrać się na odwagę, żeby po nią pójść. Tego mroźnego ranka suche łydgi kroily zimne słońce na plasterki.

- Znalazłam je tutaj - powiedziała Ruth, pokazując skórzane rękawiczki.

- Myślisz o niej czasami? - zapytał.

Ponownie umilkli.

- Cały czas - odparła Ruth. Po kręgosłupie przebiegł mi dreszcz. - Czasami myślę, że miała szczęście, no wiesz. Nienawidzę tego miejsca.

- Ja też - stwierdził Ray. - Ale mieszkałem też gdzie indziej. To tylko tymczasowe piekło, nie wieczne.

- Chyba nie sugerujesz, że...

- Jest w niebie, jeżeli wierzysz w takie rzeczy.

- A ty nie?

- Chyba nie.

- Ja wierzę - oznajmiła Ruth. - Nie chodzi mi o takie gówna tra-la-la anielskie skrzydła, ale naprawdę myślę, że jest niebo.

- Czy jest szczęśliwa?

- To przecież *niebo*, prawda?

- Ale co to znaczy?

Herbata była zimna jak lód i już dzwonił pierwszy dzwonek. Ruth uśmiechnęła się do swojego kubka.

- Mój tata by powiedział, że to znaczy, że wyrwała się z tej zaszraniej dziury.

Kiedy tata zapukał do drzwi domu Raya Singha, widok matki Raya, Ruany, odebrał mu głos. Nie żeby z miejsca okazała się gościnna i na pewno nie pogodna, ale coś w jej ciemnych włosach i szarych oczach, a nawet dziwny sposób, w jaki cofnęła się od drzwi, kiedy już je otworzyła, wszystko to razem po prostu go powaliło.

Słyszał wygłoszone na gorąco komentarze policji na jej temat. Ich zdaniem była zimna, snobistyczna, protekcyjna, dziwna. No więc spodziewał się zastać taką właśnie osobę.

- Proszę wejść i usiąść - powiedziała Ruana, kiedy podał swoje nazwisko. Jej oczy na słowo „Salmon” zmieniły się w otwarte drzwi - prowadziły do ciemnych pokoi, po których chciał samotnie podróżować.

O mało nie stracił równowagi, kiedy wprowadziła go do małego zagraconego pokoju od frontu. Na podłodze w trzech rzędach leżały książki. Ustawiono je przy ścianie, grzbietami do góry. Pani Sing miała na sobie żółte sari, a pod spodem coś, co wyglądało jak getry ze złotej

lamy, i miała bosc stopy. Bezszelestnie przeszła po wykładzinie i zatrzymała się przy sofie.

- Coś do picia? - zapytała, a on skinął głową.

- Ciepłego czy zimnego?

- Ciepłego.

Kiedy zniknęła w pokoju poza zasięgiem jego wzroku, usiadł na brązowej krzasiastej sofie. Znajdujące się po przekątnej okna, pod którymi ustawiono książki, były przybrane długimi muślinowymi zasłonami. Ostre światło dnia musiało się przez nie przesączyć, zanim zdołało wpaść do środka. Nagle zrobiło mu się bardzo ciepło. Prawie zapomniał, dlaczego tego ranka dwukrotnie sprawdzał adres Singhów. Nieco później, gdy myślał o tym, jaki jest zmęczony i że obiecał mamie odebrać czekające od dawna rzeczy z pralni chemicznej, pani Singh wróciła z herbatą na tacy i postawiła ją na dywanie.

- Obawiam się, że mamy niewiele mebli. Doktor Singh wciąż czeka na kontrakt na czas nieokreślony.

Poszła do przyległego pokoju i przyniosła sobie fioletową poduszkę do siedzenia na podłodze, którą umieściła na wprost taty.

- Doktor Singh jest profesorem? - zapytał tata, chociaż już to wiedział. O tej pięknej kobiecie i jej oszczędnie umeblowanym domu wiedział za dużo, żeby czuć się swobodnie.

- Tak - odparła i naląła herbatę. Było cicho. Podała mu filiżankę, a kiedy ją wziął, powiedziała: - Ray był z nim tego dnia, kiedy zabito pańską córkę.

Miał ochotę przygnieść ją swoim ciężarem.

- Z pewnością dlatego pan przyszedł - ciągnęła.

- Tak - powiedział - chcę z nim porozmawiać.

- Jest teraz w szkole - stwierdziła. - Wie pan o tym. - Nogi w złotych getrach podwinęła pod siebie. Paznokcie na wielkich palcach były długie i niewypolerowane, ich powierzchnia zniekształcona latami tańca.

- Chciałem zapewnić panią, że nie wierzę w jego winę - wyjaśnił tata. Obserwowałam go. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał. Wyrzucał z siebie słowa - potok czasowników i rzeczowników - jakby zrzucał ciężary, i jednocześnie się przyglądał jej stopom podkurczonym na szarobrązowym dywanie i plamce przyćmionego światła zza zasłon, dotykającej jej prawego policzka.

- Nie zrobił niczego złego i kochał państwa córeczkę. Szczęnięca miłość, ale jednak.

Szczenięca miłość nieustannie pojawiała się w życiu Ruany. Nastolatek, który dostarczał gazetę, zatrzymywał swój rower z nadzieją, że matka Raya będzie przy drzwiach, kiedy usłyszy głuche uderzenie „Philadelphia Inquirer” o ganek. Że wyjdzie, a jeżeli wyjdzie, to do niego pomacha. Nawet nie musiała się uśmiechać - zresztą poza domem rzadko to robiła - chodziło o jej oczy, postawę tancerki, sposób, w jaki wydawała się rozmyślać nad najdrobniejszym ruchem ciała.

Kiedy zjawili się policjanci, wpadli do ciemnego holu od frontu w poszukiwaniu

mordercy, ale zanim Ray zdążył choćby dotrzeć do szczytu schodów, Ruana wprowadziła ich w takie zamieszanie, że przyjmowali już zaproszenie na herbatę i siadali na jedwabnych poduszkach. Spodziewali się, że zwiodą Ruanę rutynową paplaniną, sprawdzoną w postępowaniu ze wszystkimi atrakcyjnymi kobietami, lecz gdy ze wszystkich sił starali się wkraść w jej łaski, ona tylko coraz bardziej prostowała plecy, a w czasie przesłuchiwania jej syna z podniesioną głową stała przy oknie.

- Cieszę się, że Susie miała miłego chłopca - odezwał się tata. - Chciałbym podziękować pani synowi.

Uśmiechnęła się, nie odsłaniając zębów.

- Napisał do niej liścik miłosny - dodał.

- Tak.

- Żałuję, że nie byłem dość przenikliwy, żeby zrobić to samo. Żeby tego ostatniego dnia powiedzieć jej, że ją kocham.

- Tak.

- Ale pani syn to zrobił.

- Tak.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie.

- Musiała pani doprowadzać policjantów do szału - stwierdził tata i uśmiechnął się, bardziej do siebie niż do niej.

- Przyszli oskarżyć Raya - odparła. - Nie interesowały mnie ich opinie na mój temat.

- Wyobrażam sobie, że musiało mu być ciężko.

- Nie, nie pozwolę na to - oznajmiła surowo i odstawiła filiżankę na tacę. - Nie może pan współczuć ani nam, ani Rayowi.

Mój tata starał się wyjąkać słowa protestu.

Ruana uniosła rękę.

- Stracił pan córkę i przyszedł tu w konkretnym celu. Pozwolę panu na to i tylko na to. Na próbę zrozumienia naszego życia - nie.

- Nie zamierzałem pani obrazić - powiedział. - Ja tylko...

Znów ta ręka w górze.

- Ray będzie w domu za dwadzieścia minut. Najpierw przygotuję syna do tej rozmowy, a potem będzie pan mógł z nim pomówić o swojej córce.

- Co takiego powiedziałem?

- To dobrze, że nie mamy wiele mebli. Pozwala mi to myśleć, że pewnego dnia możemy się spakować i wyjechać.

- Mam nadzieję, że państwo zostaną - odparł tata.

Powiedział to, ponieważ od dziecka ćwiczone go w uprzejmości (ten trening rozciągnął później na mnie), ale też dlatego, że jakaś jego część pragnęła tej zimnej kobiety, która właściwie nie była zimna, tej skały, która nie była z kamienia.

- Z całą delikatnością - mówiła dalej Ruana - chcę zauważyć, że nawet mnie pan nie zna. Zaczekamy razem na Raya.

Tata wyszedł z domu w środku kłótni Lindsey z mamą. Mama próbowała namówić moją siostrę, żeby poszła z nią do YWCA popływać. Bez zastanowienia Lindsey wrzasnęła na całe gardło „Wolałabym umrzeć!”. Tata zobaczył, że mama zamarła, a potem wybuchnęła płaczem, uciekając do sypialni, by zawodzić za drzwiami. Po cichu wepchnął swój notes do kieszeni kurtki, z haczyka przy tylnych drzwiach zabrał kluczyki do samochodu i wymknął się ukradkiem. Podczas tych dwóch pierwszych miesięcy moi rodzice przemieścili się w przeciwnych kierunkach. Jedno zostało, drugie wyszło. Tata zasypiał w swojej kryjówce w zielonym fotelu, a kiedy się budził, ostrożnie przekradał się do sypialni i wślizgiwał do łóżka. Jeżeli mama zabrała większość prześcieradeł, leżał odkryty, ciasno zwinięty w kłębek, gotowy zerwać się w jednej chwili - gotowy na wszystko.

- Wiem, kto ją zabił - tata usłyszał samego siebie, mówiącego do Ruany Singh.

- Powiedział pan policji?

- Tak.

- No i co?

- Że jak na razie nic oprócz mojego podejrzenia nie łączy go ze zbrodnią.

- Podejrzenie ojca... - zaczęła.

- Jest jak intuicja matki.

Tym razem zęby były widoczne w uśmiechu.

- Mieszka w sąsiedztwie.

- I co pan robi?

- Badam wszystkie poszlaki - oznajmił tata, wiedząc, jak to zabrzmiało.

- A mój syn...

- Jest poszlaką.

- Może mężczyzna, którego pan podejrzewa, napelnia pana zbyt wielkim lękiem.

- Ale muszę coś zrobić - zaprotestował.

- Znowu to samo, panie Salmon - powiedziała. - Źle pan zinterpretował moją wypowiedź.

Nie twierdę, że przychodząc tutaj, postąpił pan niewłaściwie. W pewnym sensie to właśnie należało zrobić. Chce pan znaleźć w tym wszystkim coś delikatnego, coś ciepłego. Pańskie poszukiwania doprowadziły pana do mojego domu. To dobrze. Zastanawiam się tylko, czy będzie to dobre również dla mojego syna.

- Nie chcę nikogo skrzywdzić.

- Jak nazywa się ten człowiek?

- George Harvey. - Do tej pory nikomu poza Lenem Fenermanem tego nie powiedział.

Ruana zamilkła i wstała. Odwróciwszy się do niego plecami, podeszła do pierwszego okna, a potem do drugiego i rozsunała zasłony. Kochała światło w godzinie powrotu ze szkoły. Obserwowała Raya, gdy szedł drogą.

- Już idzie. Wyjdę mu na spotkanie. Proszę wybaczyć, muszę włożyć płaszcz i kozaki. - Zamilkła. - Panie Salmon - dodała po chwili - zrobiłabym dokładnie to, co pan robi: rozmawiałabym z każdym, kto mógłby mi pomóc, i nie zdradzałabym nazwiska tego człowieka zbyt wielu osobom. Kiedy miałabym pewność - ciągnęła - znalazłabym cichy sposób i go zabiła.

Słyszał ją w korytarzu, dobiegł go metaliczny szcęk wieszaków, gdy sięgała po płaszcz. Później drzwi się otworzyły i zamknęły. Do środka dostał się chłodny powiew, a potem przez okno zobaczył matkę witającą syna. Żadne z nich się nie uśmiechnęło. Nisko pochylili głowy. Ich usta się poruszały. Ray przyjął do wiadomości fakt, że w domu czekał na niego mój tata.

Z początku mama i ja myślałyśmy, że Lena Fenermana wyróżniało spośród reszty sił policyjnych tylko to, co rzucało się w oczy - był mniejszy niż potężni mundurowi, którzy często mu towarzyszyli. Poza tym pewne mniej oczywiste cechy - sposób, w jaki się zamyślał, to że nie przepadał za żartami i kiedy rozmawiał o mnie i okolicznościach sprawy, nie starał się zachowywać inaczej niż poważnie. W końcu, rozmawiając z mamą, Len Fenerman ujawnił, kim był: optymistą. Wierzył, że mój zabójca zostanie schwytyany.

- Może nie dziś ani nie jutro - powiedział - ale pewnego dnia przestanie się kontrolować. Oni często nie panują nad swoimi nawykami.

Mama musiała zabawiać Lena Fenermana, dopóki tata nie wróci od Singhów. Na stole w salonie kredki Buckleya leżały rozsypane na papierze pakowym. Buckley i Nate rysowali, aż głowy zaczęły im się kiwać jak ciężkie kwiaty, i mama musiała wziąć ich na ręce, najpierw jednego, a potem drugiego, i przenieść na kanapę. Spali tam, a ich stopy prawie się stykały na środku sofy.

Len Fenerman wiedział, że należy mówić szeptem, ale nie był, co zauważyła mama, wielbicielem dzieci. Przyglądał się, kiedy niosła chłopców, lecz nie ruszył się, żeby pomóc, ani nie skomentował ich obecności, jak zawsze robili to inni policjanci.

- Jack chce z panem porozmawiać - odezwała się mama. - Ale z pewnością jest pan zbyt zajęty, żeby na niego zaczekać.

- Nie, wcale nie.

Zobaczyłam, że kosmyk czarnych włosów wypadł mamie zza ucha, gdzie go wetknęła. Jej twarz wyglądała teraz łagodniej. Zorientowałam się, że Len też to zauważył.

- Poszedł do domu tego biednego Raya Singha - powiedziała i wepchnęła luźne pasmo z powrotem, na właściwe miejsce.

- Przykro mi, że musieliśmy go przesłuchać – stwierdził Len.

- Tak - odparła. - Żaden chłopiec nie jest zdolny do... - Nie potrafiła tego wypowiedzieć, a on nie naciskał.

- Jego alibi było bez zarzutu.

Mama wzięła do ręki kredkę z pakowego papieru.

Len Fenerman przyglądał się, kiedy rysowała patykowate postaci i patykowate psy.

Buckley i Nate na kanapie posapali przez sen. Mój brat zwinął się w pozycji płodowej i chwilę później włożył kciuk do buzi, żeby go possać. Mama mówiła, że wszyscy musimy pomóc mu przełamać ten nawyk. Teraz zazdrościła, że tak szybko umiał się uspokoić.

- Przypomina mi pani moją żonę - odezwał się Len po długim milczeniu. Mama narysowała właśnie pomarańczowego pudła i coś, co wyglądało jak niebieski koń w czasie leczenia elektrowstrząsami.

- Też nie umie rysować?

- Niewiele mówiła, kiedy nie było nic do powiedzenia.

Minęło kilka kolejnych minut. Żółta kula słońca. Brązowy dom z różowymi, niebieskimi i fioletowymi kwiatami przy drzwiach.

- Użył pan czasu przeszłego.

Oboje usłyszeli dźwięk garażowych drzwi.

- Umarła niedługo po naszym ślubie - oznajmił Len.

- Tatuś! - krzyknął Buckley i zerwał się na równe nogi, zapominając o Nacie i wszystkich pozostałych.

- Przykro mi - powiedziała.

- Mnie również - odparł - z powodu Susie. Naprawdę.

W holu tata witał Buckleya i Nate'a głośnymi okrzykami i wołaniem „Tłenu!” - jak zawsze, gdy rzucaliśmy się na niego po długim dniu. Nawet jeśli nie brzmiało to szczerze, i tak poprawianie sobie nastroju na użytek mojego brata było ulubionym elementem jego dnia.

Gdy tata szedł do salonu, mama wpatrywała się w Lena Fenermana. Tak bardzo chciałam jej powiedzieć: *Biegnij do zapadliska, spójrz w dziurę i zajrzyj do środka ziemi. Jestem tam na dole i czekam; jestem tu na górze i obserwuję.*

Kiedy policja sądziła jeszcze, że mogą mnie znaleźć żywą, to Len Fenerman jako pierwszy poprosił mamę o moje szkolne zdjęcie. Nosił je w portfelu razem z plikiem innych. Wśród fotografii nieżyjących dzieci znajdowało się też zdjęcie jego żony. Jeśli sprawa została rozwiązana, zapisywał datę jej rozwikłania na odwrocie zdjęcia. Gdy wciąż pozostawała otwarta - w jego głowie, nawet nie w oficjalnych policyjnych aktach - nie pisał nic. Na odwrocie mojego zdjęcia nie było notatki, podobnie jak na fotografii jego żony.

- Len, jak się masz? - zapytał tata. Holiday kręcił się tam i z powrotem, bo chciał, żeby tata go pogłaskał.

- Słyszałem, że widziałeś się z Rayem Singhem - powiedział Len.

- Chłopcy, może pobawicie się w pokoju Buckleya? - zaproponowała mama. - Pan Fenerman i tatuś muszą porozmawiać.

7.

- Widzisz ją? - zapytał Buckley Nate'a, kiedy wchodzili po schodach pod czujnym okiem Holidaya. - To moja siostra.

- Nie - powiedział Nate.

- Trochę jej nie było, ale teraz wróciła. Ścigamy się!

I cała trójka - dwaj chłopcy i pies - ścigała się przez resztę drogi po długim łuku schodów.

Nigdy nie pozwoliłam sobie nawet zatęsknić za Buckleyem, bo bałam się, że mogłby zobaczyć moje odbicie w lustrze albo kapslu. Tak jak wszyscy starałam się go chronić.

- Jest za młody - powiedziałam do Franny.

- A jak myślisz, skąd się biorą niewidzialni przyjaciele? - odparła.

Przez kilka minut chłopcy siedzieli pod oprawioną w ramki pracą wykonaną techniką frotazu pod drzwiami pokoju rodziców. Była to odbitka nagrobka z londyńskiego cmentarza. Mama opowiedziała Lindsey i mnie historię o tym, jak tata i ona chcieli mieć coś do powieszenia na ścianie i pewna starsza pani, którą spotkali podczas miodowego miesiąca, zaznajomiła ich z techniką frotazu i nauczyła robić odbitki nagrobków. Do czasu kiedy mój wiek zaczęła wyrażać liczba dwucyfrowa, większość tych odbitek została odłożona na przechowanie do piwnicy, a na ścianach naszego podmiejskiego domu zawisły wesole reprodukcje, które miały stymulować rozwój dzieci. Ale Lindsey i ja uwielbiałyśmy odbitki nagrobków, szczególnie tę, pod którą tego popołudnia siedzieli Nate i Buckley.

Kładłyśmy się z Lindsey pod nią na podłodze. Ja udawałam, że jestem rycerzem, którego przedstawiała, Lindsey była żoną pozostawioną przez rycerza, a Holiday wiernym psem zwiniętym u jego stóp. Zawsze kończyło się na chichotach, bez względu na to, jak uroczyście wypadał początek. Lindsey mówiła martwemu rycerzowi, że żona musi iść naprzód, nie może być przez resztę życia uwięziona przez człowieka, który zastygł w czasie. Ja robiłam awanturę i udawałam wściekłość, ale nigdy, nigdy długo. W końcu Lindsey opisywała swojego nowego kochanka: grubego rzeźnika, który dawał jej najlepsze kawałki mięsa, albo zręcznego kowala, który zrobił dla niej haki. „Jesteś martwy, rycerzu - mówiła. - Czas ruszyć naprzód”.

- Wczoraj w nocy przyszła i pocałowała mnie w policzek - powiedział Buckley.

- Wcale że nie.

- Wcale że tak.

- Naprawdę?

- Tak.

- Powiedziałeś mamie?

- To tajemnica - oznajmił Buckley. - Susie mi wyjawiała, że nie jest jeszcze gotowa, żeby z nimi porozmawiać. Chcesz coś zobaczyć?

- Jasne - odparł Nate.

Wstali i przeszli do należącej do dzieci części domu, zostawiając Holidaya uśpionego pod odbitką nagrobka.

- Chodź, zobacz - powiedział Buckley.

Byli w moim pokoju. Zdjęcie mamy zostało zabrane przez Lindsey. Po namyśle wróciła też po znaczek „Durny hippis stawia na miłość”.

- To pokój Susie - stwierdził Nate.

Buckley przyłożył palec do ust. Widział, jak mama wykonywała ten gest, kiedy chciała, żebyśmy byli cicho, a teraz on chciał tego samego od Nate'a. Położył się na brzuchu i gestem pokazał Nate'owi, żeby poszedł w jego ślady. Pełzając zygzakiem jak Holiday, dotarli pod zakurzoną falbanę mojego łóżka, do mojego tajnego magazynu.

W materiale obciążającym spód sprężynowego materaca była dziura. Wpychałam do niej rzeczy, których nie chciałam nikomu pokazywać. Musiałam pilnować, żeby Holiday w niej nie grzebał i nie próbował wywlekać schowanych przedmiotów. Właśnie to stało się dwadzieścia cztery godziny po moim zaginięciu. Rodzice przeszukali pokój z nadzieją, że znajdą jakiś liścik z wyjaśnieniem, i zostawili otwarte drzwi. Holiday wyniósł lukrecję, którą tam chowałam. Teraz ukrywane przeze mnie przedmioty leżały rozrzucone pod łóżkiem. Jeden z nich mogli rozpoznać tylko Buckley i Nate. Buckley rozwinął starą chusteczkę taty i była tam poplamiona krwią gałązka.

Rok wcześniej trzyletni Buckley ją połknął. Nate i on bawili się na naszym podwórku, wpychając sobie kamienie do nosów. Pod dębem, do którego mama przywiązała koniec sznura do bielizny, Buckley znalazł gałązkę. Włożył ją sobie do ust jak papierosa. Obserwowałam go z dachu, na który mogłam wejść ze swojej sypialni. Siedziałam tam, malując paznokcie u nóg Lśniącym Różem Clarissy i czytając „Siedemnastolatkę”.

Stale przydzielano mi zadanie pilnowania naszego braciszka. Rodzice uważali, że Lindsey jest jeszcze za mała. Poza tym była rozkwitającym geniuszem, co oznaczało, że musiała mieć swobodę, żeby w letnie popołudnia, korzystając z zestawu stu trzydziestu kolorowych kredek, rysować na papierze w kratkę drobiazgową podobiznę oka muchy.

Na dworze nie było gorąco i mieliśmy lato, więc podczas tego internowania zamierzałam się trochę upiększyć. Zaczęłam rano od prysznica, umycia włosów i zrobienia parówki. Na dachu suszyłam się na słońcu i malowałam paznokcie.

Gdy nałożyłam dwie warstwy Lśniącego Rózu, na pędzelku wylądowała mucha. Słyszałam, że Nate wydaje z siebie dźwięki oznaczające „gwałtu, rety”, ale zerkając z ukosa na muchę, próbowałam sobie wyobrazić wszystkie te ćwiartki koła, składające się na jej oko, które Lindsey kolorowała w domu. Powiew wiatru rozwiął leżące mi na udach frędzle z uciętych dżinsów.

- Susie, Susie! - wrzeszczał Nate.

Spojrzałam na dół i zobaczyłam Buckleya na ziemi.

Właśnie o tym opowiadałam Holly, gdy rozmawialiśmy o wybawieniu. Ja wierzyłam, że

było możliwe - ona nie.

Przerzuciłam z rozmachem nogi i przez otwarte okno wgramoliłam się do pokoju, jedna stopa wylądowała na stoliku do szycia, druga na szmacianym chodniku. Upadłam na kolana, i wystartowałam z pozycji sprintera. Wleciałam do holu i zjechałam po poręczy, co było zabronione. Wołałam Lindsey, ale potem o niej zapomniałam. Pognałam na tylne podwórze przez zacienioną werandę i przeskoczyłam przez płot, postawiony ze względu na psa, prosto pod dąb.

Buckley dławił się pochylony do przodu, więc zaniósłam go do garażu, gdzie stał drogocenny mustang taty. Nate szedł za nami krok w krok. Obserwowałam nieraz rodziców, gdy prowadzili samochód, a mama pokazała mi, jak się zmienia bieg na wsteczny. Posadziłam Buckleya z tyłu i chwyciłam kluczyki z nieużywanej doniczki z terakoty, gdzie schował je tata. Pędziłam całą drogę do szpitala. Spaliłam ręczny hamulec, ale chyba nikogo to nie obchodziło.

- Gdyby jej tam nie było - powiedział później lekarz mojej mamie - stracilibyście syna.

Babcia Lynn przepowiedziała, że będę długo żyła, bo uratowałam życie swojemu bratu. Jak zwykle nie miała racji.

- Jeju - powiedział Nate, trzymając gałązkę i podziwiając krew, która z czasem z czerwonej stała się czarna.

- Tak - odparł Buckley. Na samo wspomnienie zrobiło mu się niedobrze. Ile bólu wycierpiał i jak zmieniły się twarze dorosłych, gdy stanęli wokół jego wielkiego szpitalnego łóżka. Taką powagę widział u nich tylko ten jeden raz. Ale podczas gdy w szpitalu ich oczy były zamknięte, a potem wypełniły się takim światłem i ulgą, że schronił się w ich blasku, teraz oczy naszych rodziców zrobiły się puste i takie zostały.

Tego dnia czułam się w niebie osłabiona. Zachwiałam się w altanie i gwałtownie otworzyłam oczy. Było ciemno, a po przekątnej stał obszerny budynek, do którego nigdy nie weszłam.

Kiedy byłam mała, czytałam „Jakubka i brzoskwinie olbrzymkę”. Wielki i ciemny wiktoriański budynek wyglądał jak dom ciotek Jakubka. Miał taras na dachu. Przez moment, dopóki nie przyzwyczyłam się do ciemności, zdawało mi się, że widzę długi szereg kobiet stojących na tarasie i wskazujących w moją stronę. Ale chwilę później zobaczyłam coś innego. Kruki w jednym rzędzie, trzymające w dziobach zakrzywione gałązki. Kiedy wstałam, żeby wrócić do naszego bliźniaka, rozwinęły skrzydła i pofrunęły za mną. Czy mój brat naprawdę w jakiś sposób mnie widział, czy był tylko małym chłopcem opowiadającym urocze kłamstwa?

8.

Przez trzy miesiące pan Harvey śnił o budynkach. Widział kawałek Jugosławii, gdzie kryte strzechą domostwa na palach dawały pod sobą miejsce rwącym strumieniom. Nad głową miał błękitne niebo. Wzdłuż fiordów i w ukrytych dolinach Norwegii widział drewniane kościoły, których belki zostały wyrzeźbione przez budowniczych łodzi wikingów. Smoki i lokalni bohaterowie w drewnie. Ale najczęściej śnił o budynku, który znajdował się w Wołogdzie. Był to kościół Przemienienia Pańskiego. I to ten sen - ulubiony - miał w noc mojego morderstwa i jeszcze potem, dopóki nie wróciły inne sny. Sny „niestatyczne” - te o kobietach i dzieciach.

Potrafiłam spojrzeć wstecz do chwili, gdy pan Harvey, w ramionach matki, wpatrywał się w stół zarzucony kawałkami kolorowego szkła. Jego ojciec sortował je według kształtu i rozmiaru, głębi i wagi. Z jubilerską dokładnością badał każdy okaz w poszukiwaniu pęknięć i skaz. A George Harvey przenosił uwagę na pojedynczy klejnot, który wisiał na szyi jego matki, duży, oprawiony w srebro, owalny kawałek bursztynu, wewnątrz którego tkwiła cała, idealna mucha.

„Budowniczy” - tylko tyle mówił pan Harvey, kiedy był młody. Potem przestał odpowiadać na pytania, czym zajmował się jego ojciec. Jak miałby powiedzieć, że pracował na pustyni i budował chaty z potłuczonego szkła i starego drewna? Tłumaczył George'owi Harveyowi, jak należy budować i jak się upewnić, że konstrukcja, którą się tworzy, przetrwa.

Kiedy wracały sny niestatyczne, pan Harvey sięgnął po stare szkicowniki swojego ojca. Wyobrażał sobie inne miejsca i inne światy i próbował kochać to, czego nie kochał. A potem zaczynał śnić o swojej matce w chwili, gdy widział ją po raz ostatni, uciekającą przez pole przy drodze. Była ubrana na biało. Białe spodnie i dopasowana biała bluzka z wycięciem w łódkę. Jego ojciec i ona ostatni raz pokłócili się w rozgrzanym samochodzie za miejscowością Prawda albo Konsekwencje w Nowym Meksyku. Ojciec zmusił ją, żeby wysiadła z samochodu. George Harvey siedział nieruchomo jak głaz na tylnym siedzeniu i z szeroko otwartymi oczyma, przestraszony nie bardziej niż kamień, rejestrował to wszystko - tak jak inne rzeczy - w zwolnionym tempie. Matka biegła bez wytchnienia, jej białe ciało, szczupłe i delikatne, stawało się coraz bardziej odległe. Zanim wyszła z samochodu, zdarła z szyi bursztynowy naszyjnik i wręczyła go George'owi. Ścisnął go z całej siły. Ojciec obserwował drogę. „Zniknęła, synu - powiedział. - Nie wróci”.

9.

Babcia zjawiała się w swoim zwykłym stylu wieczorem, w przeddzień mojego nabożeństwa żałobnego. Miała zwyczaj wynajmować limuzynę i jechać z lotniska, sącząc szampana, ubrana w coś, co nazywała „grubym, wspaniałym zwierzem” - używane norki, kupione na kościelnym jarmarku. Moi rodzice nie tyle ją zaprosili, ile wzięli pod uwagę, gdyby zechciała przyjechać. Pod koniec stycznia dyrektor Caden rzucił ten pomysł. „To by wyszło na dobre waszym dzieciom i wszystkim uczniom gimnazjum” - powiedział. Wziął na siebie zorganizowanie tego wydarzenia w naszym kościele. Dyrektor postanowił osobiście nad wszystkim czuwać. Moi rodzice jak lunatycy odpowiadali na jego pytania, kiwnięciem głowy, akceptując kwiaty czy mówców. Kiedy mama wspomniała o tym przez telefon swojej matce, była zaskoczona, słysząc: „przyjeżdżam”.

- Ależ nie musisz, mamó.

W słuchawce zapadła cisza.

- Abigail - przerwała jej babcia - to jest pogrzeb Susan.

Babcia Lynn wprawiała mamę w zakłopotanie, uparcie wkładając na spacer po okolicy swoje używane futra i występując kiedyś na sąsiedzkim przyjęciu w ostrym makijażu. Pytała mamę o wszystkich, dopóki nie dowiedziała się, kim byli, czy mama widziała wnętrza ich domów, w jaki sposób mężowie zarabiali na życie, jakimi jeździli samochodami. Sporządziła rzetelny katalog sąsiadów. Teraz rozumiem, że w ten sposób starała się lepiej poznać swoją córkę. Źle przeprowadzona nawigacja, smutny taniec bez partnera.

- Jack - powiedziała babcia, podchodząc do moich rodziców stojących przy frontowej werandzie - potrzebne nam solidne drinki! - Wtedy zobaczyła Lindsey, która próbowała się wymknąć na górę i zyskać parę minut przed nieuniknioną wizytacją. - Dzieci mnie nienawidzą - stwierdziła Babcia Lynn. Jej uśmiech był mroźny, zęby idealnie białe.

- Mamó - odezwała się moja mama. Chciałam zatonać w tych zbolących oceanach oczu. - Lindsey z pewnością chce tylko ładnie wyglądać na powitanie.

- Niemożliwość w tym domu! - oznajmiła babcia.

- Lynn - odezwał się tata - to inny dom niż ten, w którym byłeś ostatnim razem. Zrobię drinka, ale proszę, postaraj się to uszanować.

- Wciąż przystojny jak diabli, Jack - odparła babcia.

Mama wzięła od babci płaszcz. Holiday został zamknięty w kryjówce taty, kiedy tylko Buckley zawołał ze swojego posterunku przy oknie na górze „To babcia!”. Mój brat chwalił się Nate’owi i każdemu, kto chciał słuchać, że jego babcia miała największe samochody na całym szerokim świecie.

- Ślicznie wyglądasz, mamó - powiedziała moja mama.

- Hm. - Kiedy tata znalazł się poza zasięgiem głosu, babcia zapytała: - Jak on sobie radzi?

- Wszyscy się staramy, lecz jest ciężko.

- Czy wciąż mamrocze, że ten człowiek to zrobił?

- Owszem, tak sądzi.

- W końcu zostaniecie pozwani - oświadczyła.

- Nie mówił o tym nikomu oprócz policji.

Nie widziały, że moja siostra siedziała na najwyższym stopniu schodów.

- I nie powinien. Zdaję sobie sprawę, że musi kogoś winić, ale...

- Lynn, 7&7 czy martini? - odezwał się tata, pojawiając się w korytarzu.

- A ty co pijesz?

- Właściwie to ostatnio nie piję - odparł tata.

- I na tym polega twój problem. Wezmę sprawy w swoje ręce. Nikt mi nie musi mówić, gdzie jest alkohol!

Bez swojego grubego, wspaniałego zwierza babcia była chuda jak patyk. Zagłodzić się, tak to ujęła, kiedy udzielała mi rady, gdy miałam jedenaście lat. „Musisz się zagłodzić, kochanie, i nie przetrzymywać tłuszczu za długo. Dziecięcy tłuszczik znaczy mniej więcej to samo co słowo »brzydki«. Kłóciły się z mamą, czy byłam dość duża na benzedrynę - „osobistego wybawiciela” Babcia Lynn. „Proponuję twojej córce swojego osobistego wybawiciela, a ty jej tego odmawiasz” - mówiła babcia.

Gdy żyłam, wszystko, co robiła Babcia Lynn, było złe. Ale kiedy tego dnia przybyła swoją wynajętą limuzyną, otworzyła drzwi naszego domu i z całą tą nieznośną ostentacją wtargnęła do środka, stała się dziwna rzecz. W domu zrobiło się jaśniej.

- Potrzebujesz pomocy, Abigail - powiedziała babcia po zjedzeniu pierwszego prawdziwego posiłku, jaki mama ugotowała od chwili mojego zniknięcia, i zamierzała porozmawiać z córką. Mama oniemiała. Nałożyła swoje niebieskie rękawice, napełniła zlew pianą i przygotowywała się do zmywania. Lindsey miała wycierać. Jej własna matka, jak przypuszczała, miała zażądać od Jacka, żeby nalał jej poobiedniego drinka.

- Mamo, to bardzo miło z twojej strony.

- Nie ma o czym mówić - odparła babcia. - Skoczę tylko do holu i wezmę swoją magiczną torbę.

- O nie - wymamrotała mama, słyszałam to.

- No tak, magiczna torba - powiedziała Lindsey, która nie odezwała się podczas całego posiłku.

- Mamo, proszę! - zaprotestowała moja mama, kiedy Babcia Lynn wróciła.

- Okej, dzieciaki, sprzątnijcie ze stołu i dajcie no tu swoją matkę. Robię jej pełny makijaż.

- Mamo, to szaleństwo. Muszę pozmywać naczynia.

- Abigail - odezwał się tata.

- O nie. Może zmusić cię do picia, ale nie zbliży się do mnie z tymi swoimi narzędziami tortur.

- Nie jestem pijany - odparł tata.

- Uśmiechasz się - powiedziała mama.

- No więc go pozwij - oznajmiła babcia. - Buckley, chwyć mamę za rękę i przywlecż ją tutaj.

Mój brat posłuchał. Bawiło go, że jego mamą ktoś dyryguje i ją popędza.

- Babciu Lynn? - zapytała Lindsey nieśmiało.

Mama dała się poprowadzić Buckleyowi do kuchennego krzesła, które babcia odwróciła przodem do siebie.

- Co takiego?

- Mogłabyś mnie nauczyć, jak się robi makijaż?

- Dzięki ci Panie Boże w niebiesiech! Oczywiście!

Mama usiadła i Buckley wspiął się jej na kolana.

- Co się stało, mamusiu?

- Czy ty się śmiejesz, Abbie? - Tata się uśmiechał.

Rzeczywiście. Mama śmiała się i jednocześnie płakała.

- Susie była dobrą dziewczynką, kochanie - powiedziała Babcia Lynn. - Tak jak ty. - I bez żadnej pauzy: - A teraz unieś brodę i pozwól mi rzucić okiem na te worki pod twoimi oczami.

Buckley zszedł z kolan i przeniósł się na krzesło.

- To jest zalotka, Lindsey - tłumaczyła babcia. - Nauczyłam twoją mamę tego wszystkiego.

- Clarissa tego używa - stwierdziła Lindsey.

Babcia ustawiła gumowe brzegi po obu stronach maminych rzęs, a mama, wiedząc, co w trawie piszczy, spojrziała w górę.

- Rozmawiałaś z Clarissą? - zapytał tata.

- Właściwie nie - odparła Lindsey. - Ona często się włóczy z Brianem Nelsonem. Tyle razy zerwali się z lekcji, że zostali zawieszani na trzy dni.

- Nie spodziewałem się tego po Clarissie - zdziwił się tata. - Może i nie jest święta, ale nigdy nie stwarzała problemów.

- Kiedy na nią wpadłam, cuchnęła trawą.

- Mam nadzieję, że ty się w to nie wpakujesz - powiedziała Babcia Lynn. Wysączyła ostatek 7&7 i z trzaskiem odstawiła koktajlową szklankę na stół. - Spójrz, Lindsey. Widzisz, jak podwinięte rzęsy powiększają mamie oczy?

Lindsey spróbowała wyobrazić sobie swoje własne rzęsy, ale zamiast tego zobaczyła filmowe rzęsy Samuela Hecklera i jego twarz zbliżającą się do jej twarzy przy pocałunku. Jej źrenice rozszerzyły się i zwęziły, wyglądały teraz jak małe oliwki o wyrazistym smaku.

- Nie mogę wyjść z zadziwienia - powiedziała Babcia Lynn i oparła ręce - jedną wciąż zaciśniętą na niewygodnych rączkach zalotki - na biodrach.

- Co takiego?

- Lindsey Salmon, ty masz chłopaka - obwieściła babcia zebrany.

Tata się uśmiechnął. Nagle polubił Babcię Lynn. Ja też.

- Wcale nie - odparła Lindsey.

Babcia już miała się odezwać, kiedy moja mama wyszeptwała:

- Wcale tak.

- Niech cię Bóg błogosławi, kochanie - stwierdziła babcia. - Powinnaś mieć chłopaka. Kiedy tylko skończę z twoją mamą, zaaplikuję ci kurację Babci Lynn. Jack, zrób mi aperitif.

- Aperitif to coś, co... - zaczęła moja mama.

- Nie poprawiaj mnie, Abigail.

Babcia się wstawiła. Umalowała Lindsey jak klauna albo, jak sama powiedziała, „pierwszoklasną tutkę”. Tata według jej określenia „elegancko się upił”. Najbardziej zdumiewające było jednak to, że moja mama poszła do łóżka, zostawiając w zlewie brudne naczynia.

Kiedy wszyscy już spali, Lindsey stała przed lustrem w łazience. Starła trochę różu, wytarła usta i przesunęła palcami po obrzmiałych, świeżo wydepilowanych brwiach, które jeszcze niedawno były krzaczaste. W lustrze zobaczyła kogoś innego, i ja też to zobaczyłam: dorosłą kobietę, która potrafi się o siebie zatroszczyć. Pod makijażem była twarz, którą zawsze znała jako własną, aż do chwili kiedy - zupełnie niedawno - stała się twarzą, która przypominała ludziom o mnie. Dzięki konturówce i eyelinerowi pojawiły się jej własne rysy - niczym klejnoty sprowadzone z jakiegoś odległego miejsca, gdzie kolory są bardziej intensywne niż w rzeczywistości. Babcia mówiła prawdę - makijaż wydobyl błękit jej oczu, wyskubane brwi zmieniły kształt twarzy, a róż podkreślił zagłębienia poniżej kości policzkowych. („Zagłębienia, które mogłyby być bardziej zagłębione”, jak wytknęła nasza babcia). A usta... Lindsey przećwiczyła pewien wyraz twarzy. Wydęła wargi, złożyła je do pocałunku, uśmiechnęła się szeroko, jakby ona też wypijała koktajl, a potem opuściła wzrok i udała, że się modli jak grzeczna dziewczynka, ale już po chwili strzeliła okiem, żeby zobaczyć, jak wygląda, kiedy jest grzeczna. Tej nocy spała na plecach, żeby nie zniszczyć swojej nowej twarzy.

Pani Bethel Utemeyer była jedyną nieżyjącą osobą, jaką z Lindsey widziałyśmy. Przeprowadziła się z synem na nasze osiedle, kiedy miałam sześć lat, a moja siostra pięć.

Mama powiedziała, że pani Utemeyer straciła część mózgu, więc czasami wychodziła z domu i traciła orientację. Często trafiała na nasze podwórze od frontu, stawała przy krzaku derenia i spoglądała na ulicę, jakby czekała na autobus. Wtedy mama sadzała ją w kuchni i robiła dla nich herbatę. Potem, kiedy już uspokoiła panią Utemeyer, dzwoniła do jej syna, by powiedzieć, gdzie ją znajdują. Czasami nikt nie odbierał i pani Utemeyer siedziała przy naszym kuchennym stole i godzinami wpatrywała się w jeden punkt. Była tam, kiedy wracaliśmy do domu ze szkoły. Siedziała. Uśmiechała się do nas. Często mówiła do Lindsey Natalie i wyciągała rękę, żeby dotknąć jej włosów.

Kiedy umarła, jej syn poprosił mamę, żeby przyprowadziła Lindsey i mnie na pogrzeb.

„Moja matka zdawała się darzyć pani dzieci szczególnym uczuciem”, napisał.

- Nawet nie wiedziała, jak mam na imię - jęczała Lindsey, kiedy mama zapinała niezliczoną ilość okrągłych guzików w jej eleganckim płaszczu. *Kolejny niepraktyczny prezent od Babci Lynn*, pomyślała mama.

- Ale zwracała się do ciebie po imieniu - powiedziałam.

Była Wielkanoc i w tamtym tygodniu nadeszła fala wiosennych upałów. Prawie cały zimowy śnieg, nie licząc tego najbardziej upartego, wsiąkł w ziemię. Na cmentarzu należącym do kościoła Utemeyerów resztki przywierały jeszcze do nagrobków, podczas gdy kawałek dalej przebijały się kielki jaskrów.

Kościół Utemeyerów był bogato zdobiony. „Strasznie katolicki”, powiedział tata w samochodzie. Lindsey i ja uważaliśmy, że to bardzo zabawne. Tata nie chciał tam jechać, ale mama była w tak zaawansowanej ciąży, że nie mogła prowadzić. Przez ostatnie miesiące ciąży z Buckleyem nie była w stanie zmieścić się za kierownicą. Czuła się tak kiepsko, że unikałyśmy przebywania w pobliżu ze strachu, że zostaniemy skazane na prace przymusowe.

Ciąża jednak pozwoliła jej się wykręcić z czegoś, o czym Lindsey i ja nie mogliśmy przestać rozmawiać przez całe tygodnie i co potem ciągle mi się śniło: oględzin ciała. Wiem, że tata i mama nie chcieli, żeby tak się stało, ale pan Utemeyer zrobił dla nas miejsce, kiedy nadszedł czas przejścia obok trumny.

- Którą z was nazywała Natalie? - zapytał.

Wpatrywałyśmy się w niego. Wskazałam na Lindsey.

- Chciałbym, żebyś podeszła się pożegnać - powiedział. Pachniał perfumami słodszy niż te, których czasami używała mama, i ich klucie w nos oraz uczucie wykluczenia spowodowały, że zachciało mi się płakać. - Ty też możesz podejść - zwrócił się do mnie, wyciągając ręce, żebyśmy szły nawą po jego obu stronach.

To nie była pani Utemeyer. To było coś innego. Ale jednak to była pani Utemeyer. Staralam się skupić wzrok na lśniących złotych pierścionkach na jej palcach.

- Mamo - odezwał się pan Utemeyer - przyprowadziłem tę dziewczynkę, którą nazywałaś Natalie.

Lindsey i ja przyznałyśmy się potem, że obie spodziewałyśmy się, że pani Utemeyer przemówi. Postanowiłyśmy, zupełnie niezależnie, że jeśli to zrobi, chwycimy się za ręce i w te pędy uciekniemy.

Dręcząca sekunda albo dwie i było po wszystkim - zostałyśmy puszczone wolno i mogłyśmy wrócić do mamy i taty.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam panią Bethel Utemeyer w swoim niebie, nie byłam szczególnie zaskoczona. Później spotkałyśmy ją z Holly, gdy spacerowała, trzymając za rękę blondyneczkę. Nie zdziwiłam się, gdy przedstawiła nam ją jako swoją córkę, Natalie.

W dniu mojego żałobnego nabożeństwa Lindsey została w swoim pokoju najdłużej jak się dało. Nie chciała, żeby mama zobaczyła makijaż, dopóki nie będzie za późno, żeby kazać go

zmyć. Powiedziała też sobie, że nic się nie stanie, jeżeli weźmie sukienkę z mojej szafy. Że na pewno nie miałabym nic przeciw temu.

Dziwnie było na to patrzeć.

Otworzyła drzwi do pokoju grobowca, którego spokój od lutego rodzina coraz częściej zakłócała, chociaż nikt - ani mama, ani tata, ani Buckley i Lindsey - nie przyznawał się, że tam wchodził i brał stamtąd rzeczy, których nie miał zamiaru zwrócić. Nie chcieli zauważyć śladów wskazujących, że każdy z nich przychodzi mnie tam odwiedzić. Wszelkie nieporządki, nawet jeśli nie dało się obwinie o nie Holidaya, zrzucano właśnie na niego.

Lindsey chciała ładnie wyglądać dla Samuela. Otworzyła podwójne drzwi mojej szafy i przejrzała cały bałagan. Nie miałam specjalnego zamiłowania do porządku, więc za każdym razem, kiedy mama kazała nam posprzątać, wszystko, co było na podłodze albo na łóżku, wpychałam do szafy. Lindsey zawsze zazdrościła mi ciuchów, kiedy były nowe, ale mogła je po mnie tylko donaszać.

- Rany - powiedziała, szepcząc w ciemność mojej szafy. Czuała się winna i jednocześnie uradowana, bo zdała sobie sprawę, że wszystko, co widzi, ma teraz dla siebie.

- Halo? Puk, puk - rozległ się głos Babci Lynn.

Lindsey podskoczyła.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, kotku - powiedziała babcia. - Tak mi się zdawało, że cię tu usłyszałam.

Babcia była ubrana w jedną ze swoich - jak je nazywała mama - sukienek Jackie Kennedy. Nigdy nie zdołała zrozumieć, jakim sposobem jej matka, w przeciwieństwie do nas, nie miała bioder - mogła się wśliznąć w prosto skrojoną sukienkę i nawet mając sześćdziesiąt dwa lata, wyglądać w niej idealnie.

- Co tu robisz? - zapytała Lindsey.

- Nie mogę sobie poradzić z tym zamkiem. - Babcia Lynn odwróciła się i Lindsey mogła zobaczyć coś, czego nigdy nie widziała u naszej własnej mamy. Tył jej czarnego stanika i górę halki. Podeszła krok czy dwa do babci i starając się nie dotykać niczego oprócz skuwki, zapięła zamek.

- A haczyk i pętelka na górze - odezwała się Babcia Lynn. - Dosięgniesz?

Tam kryły się pudrowe zapachy i woń Chanel No 5 rozpylonych wokół babcinej szyi.

- To jeden z powodów, dla których potrzebny jest mężczyzna. Sama sobie z tym nie poradzisz.

Lindsey była wzrostu babci i jeszcze rosła. Kiedy w jedną rękę chwyciła haczyk, a w drugą pętelkę, zobaczyła delikatne kosmyki farbowanych blond włosów u podstawy babcinej czaszki i puszyste siwe włoski, ciągnące się wzdłuż pleców i szyi. Zapięła sukienkę i stanęła w bezruchu.

- Zapomniałam, jak wyglądała.

- Co? - Babcia Lynn się odwróciła.

- Nie mogę sobie przypomnieć - powiedziała Lindsey. - To znaczy jej szyi. Czy ja kiedykolwiek spojrzałam na jej szyję?

- Och, kochanie - odparła Babcia Lynn - chodź tu. - Rozłożyła ramiona, ale Lindsey odwróciła się do szafy.

- Muszę ślicznie wyglądać - oznajmiła.

- Jesteś śliczna - orzekła Babcia Lynn.

Lindsey zabrakło tchu. Jediną rzeczą, której Babcia Lynn nigdy nie robiła, było szafowanie komplementami. Jeśli się zdarzały, były na wagę złota.

- Znajdziemy ci tu jakiś ładny strój - powiedziała babcia i wielkimi krokami ruszyła w stronę moich rzeczy. Nikt nie potrafił wyszukiwać ciuchów tak jak ona. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy odwiedzała nas tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego, zabierała mnie i Lindsey do miasta. Podziwialiśmy Babcie Lynn, patrząc na jej delikatne palce grające na wieszakach jak na klawiszach. Nagle, wahając się tylko przez chwilę, wyciągała sukienkę albo bluzkę i przykładała do jednej z nas. „I co o tym sądzisz?” - pytała. Zawsze trafiała idealnie.

Wyjmując z szafy elementy mojej garderoby i przykładając je do Lindsey, oświadczyła:

- Twoja matka jest wrakiem. Nigdy wcześniej nie widziałam jej w takim stanie.

- Babciu.

- Óóóó, myślę. - Trzymała w górze moją ulubioną sukienkę do kościoła. Ciemna szkocka wełna, okrągły kołnierzyk. Lubiłam ją głównie dlatego, że była dość długa i mogłam siedzieć w ławce, zakładając nogę na nogę i zamiatać podłogę obrąbkiem. - Skąd ona wzięła ten worek? - zapytała babcia. - Twój tata też jest w stanie rozkładu, ale on jest nakręcony.

- Kim jest ten człowiek, o którego pytałaś mamę?

Babcia Lynn zeszywniała.

- Jaki człowiek?

- Zapytałaś mamę, czy tata w dalszym ciągu uważa, że „ten” człowiek to zrobił. Jaki człowiek?

- Voila! - Babcia Lynn miała w ręku ciemnoniebieską sukienkę mini, której moja siostra nigdy nie widziała. Należała do Clarissy.

- Strasznie krótka - stwierdziła Lindsey.

- Twoja matka mnie zdumiewa - oznajmiła Babcia Lynn. - Kupiła dziecku coś stylowego!

Tata zawołał z holu, że czeka na wszystkich na dole za dziesięć minut.

Babcie Lynn opanowała gorączka przygotowań. Najpierw pomogła Lindsey włożyć przez głowę ciemnoniebieską sukienkę, potem pobiegły do pokoju Lindsey po buty, i wreszcie, w korytarzu, pod padającym z góry światłem, starła rozmazany eyeliner i tusz z twarzy mojej siostry. Ostatni szlif nadała jej za pomocą prasowanego pudru, ruchem w górę, lekko omiatając wacikiem obie strony twarzy. Dopiero kiedy zeszyli na dół i mama skomentowała długość sukienki Lindsey, patrząc podejrzliwie na babcie, moja siostra i ja zorientowałyśmy

się, że Babcia Lynn nie miała na twarzy ani śladu makijażu. Buckley siedział między nimi na tylnym siedzeniu i kiedy zbliżyli się do kościoła, spojrzał na Babcie Lynn i zapytał, co robi.

- Kiedy nie ma czasu na róż, to je trochę ożywia - odpowiedziała, więc Buckley, naśladowując ją, uszczypnął się w policzki.

Samuel Heckler czekał przy kamiennych słupkach, które wyznaczały ścieżkę prowadzącą do drzwi kościoła. Był ubrany na czarno, a stojący obok jego starszy brat, Hal, miał na sobie znoszoną skórzaną kurtkę, którą Samuel włożył w dzień Bożego Narodzenia.

Brat wyglądał jak ciemniejsza kopia Samuela. Opalony, z twarzą osmaganą od jazdy pełnym gazem na motocyklu wiejskimi drogami. Kiedy podeszła moja rodzina, Hal szybko się odwrócił i odszedł.

- To z pewnością Samuel - powiedziała babcia. - Ja jestem tą złą babcia.

- Wejdziemy do środka? - odezwał się tata. - Miło cię widzieć, Samuelu.

Lindsey i Samuel prowadzili, a babcia została z tyłu i szła obok mamy. Zjednoczony front.

W drzwiach stał detektyw Fenerman w garniturze, którego widok przyprawiał o nerwowe swędzenie. Skinął głową rodzicom i zdawało mi się, że przez chwilę zatrzymał wzrok na mamie.

- Przyłączysz się do nas? - zapytał go tata.

- Dziękuję - odparł - ale chciałem tylko być w pobliżu.

- Doceniamy to.

Weszli do ciasnego przedsionka. Chciałam jak wąż wpełznąć na plecy taty, owinać się wokół jego szyi i zaszeptać mu do ucha. Ale już tam byłam, w każdym zakamarku i szczelinie jego ciała.

Obudził się z kacem i odwrócił na bok, żeby popatrzeć na mamę opartą o poduszkę pod głową, płytko oddychającą. Jego cudowna żona, jego cudowna dziewczyna. Chciał położyć dłoń na jej policzku, odgarnąć włosy z twarzy i ją pocałować - ale kiedy spała, była spokojna. Od czasu mojej śmierci nie było dnia, żeby się nie budził z myślą, że trzeba będzie czemuś stawić czoło. Ale prawda wyglądała tak, że dzień nabożeństwa żałobnego wcale nie był taki najgorszy. Przynajmniej wszystko było jasne. Ten dzień dotyczył tego, co naprawdę ich zajmowało: mojej nieobecności. Dziś nie musiał udawać, że wraca do normalności - czymkolwiek ta normalność była. Dziś mógł otwarcie pograć się w żałobie i to samo mogła zrobić Abigail. Ale wiedział, że kiedy tylko się obudzi, nie spojrzy na nią przez resztę dnia, nie zajrzy w jej serce i nie zobaczy jej takiej, jaką znał przed dniem, w którym uwierzyli w wieść o mojej śmierci. Przez te niemal dwa miesiące nowość sytuacji blakła w sercach wszystkich oprócz mojej rodziny - i Ruth.

Ruth przysłała ze swoim ojcem. Stali w rogu, w pobliżu szklanej szafki, w której przechowywano kielich. Używano go podczas rewolucji amerykańskiej, kiedy kościół był szpitalem. Gawędzili z nimi państwo Dewittowie. Pani Dewitt w domu na biurku miała

wiersz Ruth. W poniedziałek wybierała się z nim do szkolnego psychologa. Wiersz był o mnie.

- Moja żona zgadza się z dyrektorem Cadenem - mówił ojciec Ruth. - Nabożeństwo może pomóc dzieciakom zaakceptować to wszystko.

- A co pan sądzi? - zapytał pan Dewitt.

- Że co było, to było i należy zostawić tę rodzinę w spokoju. Ale Ruthie chciała przyjść.

Ruth obserwowała moją rodzinę witającą gości i z przerażeniem zauważyła zmianę wyglądu mojej siostry. Ruth nie miała przekonania do makijażu. Uważała, że poniża kobietę. Samuel Heckler trzymał Lindsey za rękę. W głowie Ruth pojawiło się słowo z lektury: „ujarzmienie”. A potem zobaczyła przez okno Hala Hecklera. Stał na dworze pomiędzy najstarszymi grobami od frontu i dopalał papierosa.

- Ruthie - zapytał ojciec - co jest?

Skupiła się i spojrzała na niego.

- Co jest?

- Wpatrujesz się teraz gdzieś w przestrzeń.

- Podoba mi się cmentarz.

- Oj, dzieciaku, jesteś moim aniołkiem. Załapmy się na miejsca, zanim zajmą wszystkie dobre.

W kościele była też Clarissa z głupawo wyglądającym Brianem Nelsonem, który miał na sobie garnitur ojca. Przepchnęła się do mojej rodziny, a kiedy dyrektor Caden i pan Botte ją zobaczyli, wycofali się i pozwolili jej podejść.

Najpierw wymieniła uścisk dłoni z moim tatą.

- Witaj Clarisso - powiedział. - Jak się masz?

- W porządku - odparła. - A pan i pani Salmon?

- Z nami wszystko w porządku - oznajmił. *Co za dziwne kłamstwo, pomyślałam.* - Chcesz do nas dołączyć w rodzinnej ławce?

- Ee - opuściła wzrok na swoje ręce - jestem z chłopakiem.

Moja mama pogrążyła się w stanie zbliżonym do transu i twardo wpatrywała w twarz Clarissy. Clarissa żyła, a ja byłam martwa. Clarissa zaczęła to wyczuwać, te świdrujące oczy, i zapragnęła się wynieść. I wtedy zobaczyła sukienkę.

- Hej - powiedziała, sięgając w stronę mojej siostry.

- O co chodzi, Clarisso? - oschle spytała mama.

- Ee, nic - odparła. Znów spojrzała na sukienkę. Wiedziała, że teraz już nigdy nie będzie mogła poprosić o jej zwrot.

- Abigail? - odezwał się tata. Był wyczulony na ton jej głosu, na jej gniew. Coś było na rzeczy.

Babcia Lynn, która stała tuż za moją mamą, mrugnęła do Clarissy.

- Zauważyłam tylko, że Lindsey świetnie wygląda - powiedziała Clarissa.

Moja siostra spłonęła rumieńcem.

Ludzie w przedśionku zaczęli się przesuwać i rozstępować. To wielebny Strick w ornacie szedł w stronę moich rodziców.

Clarissa zniknęła, żeby poszukać Briana Nelsona. Kiedy go znalazła, została z nim wśród grobów.

Ray Singh trzymał się od tego z daleka. Pożegnał się ze mną na swój własny sposób: patrząc na moje zdjęcie - studyjny portret, który dałam mu tamtej jesieni.

Zajrzał w oczy dziewczynie na zdjęciu i zatrzymał wzrok na marmurkowej zamszowej zasłonie, przy której każde dziecko musiało usiąść w gorącym świetle lamp. Zastanawiał się, co znaczyło słowo „martwy”. Znaczyło „utracony”, „zastygły”, „nieobecny”. Wiedział, że w rzeczywistości każdy wyglądał inaczej niż na zdjęciach. Wiedział, że on sam nie wygląda na tak wściekłego czy przestraszonego jak wyszedł na fotografii. Wpatrując się w moje zdjęcie, doszedł do pewnego wniosku - że to nie byłam ja. Ja byłam w powietrzu wokół niego, w tych zimnych porankach, które teraz spędzał z Ruth, w tym cichym czasie, kiedy zostawał sam i akurat nie musiał się uczyć. Byłam dziewczyną, którą wybrał, żeby ją pocałować. Zapragnął w jakiś sposób mnie uwolnić. Nie chciał palić mojego zdjęcia ani go wyrzucać, ale nie chciał też więcej na mnie patrzeć. Obserwowałam go, kiedy wkładał fotografię do jednego z ogromnych tomów hinduskiej poezji, w których on i jego mama sprasowali dziesiątki delikatnych kwiatów, z wolna zmieniających się w pył.

Podczas nabożeństwa mówiono o mnie miłe rzeczy. Wielebny Strick. Dyrektor Caden. Pani Dewitt. Lecz tata i mama przesiedzieli wszystko w otępieniu. Samuel cały czas ścisnął Lindsey za rękę, ale ona chyba go nie dostrzegła. Nawet nie mrugała. Buckley siedział w garniturku pożyczonym na tę okazję od Nate'a, który był w tym roku na weselu. Wydawał się niespokojny i obserwował tatę. To Babcia Lynn zrobiła najważniejszą tego dnia rzecz.

Podczas ostatniego hymnu, kiedy wszyscy wstali, pochyliła się do Lindsey i wyszeptwała:

- Przy drzwiach... to on.

Lindsey się obejrzała.

Tuż za Lenem Fenermanem, który znalazł się teraz przy drzwiach i śpiewał ze wszystkimi, stał mężczyzna z sąsiedztwa. Był ubrany mniej odświętnie niż inni, miał na sobie podszyte flanelą spodnie khaki i grubą flanelową koszulę. Przez chwilę Lindsey myślała, że go poznaje. Ich oczy się spotkały. A potem zemdlą.

W całym tym zamieszaniu i zajmowaniu się nią, George Harvey prześlizgnął się między znajdującymi się na tyłach kościoła kamieniami nagrobnymi z czasów amerykańskiej rewolucji i odszedł niezauważony.

10.

Co roku latem na stanowym Sympozjum Uzdolnionych uzdolnione dzieciaki z klas od siódmej do dziewiątej zbierały się na czterotygodniowe „rekolekcje”, żeby - jak zawsze myślałam - włóczyć się między drzewami i dręczyć nawzajem. Przy ogniskach śpiewano oratoria zamiast piosenek. Dziewczyny omdlewały pod prysznicami z powodu budowy ciała Jacques’a d’Amboise’a albo płata czołowego Johna Kennetha Galbraitha.

Uzdolnieni mieli także swoje paczki. Byli „Naukowi Palanci” i „Matematyczne Mózgi”. Oni tworzyli nadrzędny-choć może nieco upośledzony społecznie - najwyższy szczebel drabiny uzdolnionych. Potem byli „Historyczni Główkowcy”, którzy znali daty urodzin i śmierci wszystkich postaci historycznych, o jakich ktokolwiek kiedykolwiek słyszał. Przechodzili obok innych obozowiczów, recytując tajemnicze, pozornie bezsensowne zestawy dat: „Tysiąc siedemset sześćdziesiąt dziewięć do tysiąc osiemset dwadzieścia jeden”, „Tysiąc siedemset siedemdziesiąt do tysiąc osiemset trzydzieści jeden”. Kiedy Lindsey mijała „Historycznych Główkowców”, w myśli podawała odpowiedzi: „Napoleon”, „Hegel”.

Byli też „Mistrzowie Wiedzy Tajemnej”. Pozostali uzdolnieni odnosili się do nich niechętnie. To były dzieciaki, które potrafiły rozebrać silnik i z powrotem go odbudować - bez pomocy żadnych diagramów czy instrukcji. „Mistrzowie Wiedzy Tajemnej” rozumieli rzeczy w sposób rzeczywisty, nie teoretyczny. Miało się wrażenie, że nie obchodziły ich stopnie.

Samuel należał do Mistrzów. Idolami byli dla niego brat Hal i Richard Feynman. Hal odpadł z liceum i prowadził warsztat motocyklowy w pobliżu zapadliska. Obsługiwał wszystkich - od Aniołów Piekieł po staruszków, którzy jeździli skuterami po parkingach swoich domów spokojnej starości. Hal palił, mieszkał nad garażem Hecklerów i na zapleczu swojego warsztatu przeżywał szereg romansów.

Gdy ludzie pytali Hala, kiedy dorośnie, odpowiadał: „Nigdy”. Zainspirowany tym Samuel, pytany przez nauczycieli, kim chce zostać, mówił: „Nie wiem. Skończyłem dopiero czternaście lat”.

Prawie piętnastoletnia Ruth Connors teraz już wiedziała. W aluminiowej szopie na narzędzia za własnym domem, otoczona klamkami i sprzętem znalezionym przez ojca w starych domach przeznaczonych do rozbiórki, Ruth siedziała w ciemności i koncentrowała się aż do bólu głowy. Potem biegła do domu, mijała salon, w którym jej ojciec siedział zaczytany, i pędziła na górę do swojego pokoju, gdzie zrywami, w wyładowaniach, pisała wiersze. „Będąc Susie”, „Po śmierci”, „W kawalkach”, „Teraz obok niej” i jej ulubiony - ten, z którego była najbardziej dumna i przywiozła go ze sobą na sympozjum, składany i rozkładany tyle razy, że zgięcia były prawie pęknięciami - „Na krawędzi grobu”.

Ruth trzeba było dowieźć na sympozjum, ponieważ tego ranka, kiedy odjeżdżał autobus, siedziała w domu z ostrym atakiem nieżytu żołądka. Wypróbowywała dziwną jarzynową

dietę i poprzedniego dnia zjadła na kolację całą główkę kapusty. Jej mama nie chciała słuchać o wyższości wegetarianizmu, na który Ruth przeszła po mojej śmierci.

- To nie jest Susie, na litość boską! - mawiała, z impetem stawiając przed córką grubą na cal połędwicę.

Ojciec najpierw o trzeciej nad ranem odwiózł Ruth do szpitala, a potem na sympozjum. Po drodze zatrzymał się w domu, żeby zabrać torbę, którą matka spakowała i zostawiła na końcu podjazdu.

Kiedy samochód wjechał na teren obozu, Ruth badawczo przyjrzała się tłumowi dzieciaków ustawiających się w kolejce po plakietki z nazwiskami. Dostrzegła moją siostrę w stuprocentowo męskiej grupie Mistrzów. Lindsey wykręciła się od umieszczenia na plakietce nazwiska, zamiast tego zdecydowała się narysować na niej rybę. W ten sposób nie kłamała wprost, ale mogła mieć nadzieję, że spotka parę osób z okolicznych szkół, które nie знаły historii mojej śmierci albo przynajmniej nie kojarzyły tej sprawy z jej osobą.

Lindsey całą wiosnę nosiła wisiorek z połówką serca, a Samuel nosił drugą połowę. Byli nieśmiali w kwestii łączącego ich uczucia. Na szkolnych korytarzach nie trzymali się za ręce i nie przekazywali sobie liścików. Siedzieli razem podczas lunchu, i Samuel odprowadzał Lindsey do domu. Na czternaste urodziny przyniósł jej babeczkę z wetkniętą w środek świeczką. Poza tym wtapiali się w podzielony według płci świat swoich rówieśników.

Następnego ranka Ruth wstała wcześniej. Podobnie jak Lindsey, była na obozie uzdolnionych wolnym strzelcem. Nie należała do żadnej grupy. Podczas spaceru zebrała rośliny i kwiaty, których nie umiała sama nazwać. Ale kiedy nie spodobały jej się wyjaśnienia jednego z „Naukowych Palantów”, postanowiła nazwać je sama. W swoim dzienniku rysowała obrazek przedstawiający liść albo kwiat, a potem wybierała mu płeć i wreszcie nadawała imię. Tak więc roślina jednolistna mogła nazywać się „Jim”, a bardziej puszysty kwiat - „Pasza”.

Zanim Lindsey dowlokła się do jadalni, Ruth stała w kolejce po drugą dokładkę jajek i kiełbasek. Narobiła wielkiego szumu wokół kwestii rezygnacji z mięsa, i w domu musiała się tego trzymać, ale na sympozjum nikt nie wiedział o złożonej przez nią przysiędze.

Ruth właściwie nigdy nie rozmawiała z moją siostrą. Może kiedyś przeprosiła ją na korytarzu, chcąc przejść. Wiedziała, że Samuel odprowadza ją do domu, i zauważyła, że Lindsey się do niego uśmiecha. Przyglądała się mojej siostrze, gdy poprosiła o naleśniki i podziękowała za całą resztę. Próbowała sobie wyobrazić, że jest moją siostrą, i przez jakiś czas wyobrażała sobie, że jest mną.

Kiedy zamyślona Lindsey zajęła następne wolne miejsce w kolejce, Ruth rozpoczęła rozmowę.

- Co znaczy ta ryba? - zapytała, kiwając głową w stronę plakietki. - Jesteś religijna?

- Zwróć uwagę, w jakiej pozycji jest ryba - odparła Lindsey, żałując jednocześnie, że nie mają budyniu waniliowego. Świetnie by pasował do naleśników.

- Ruth Connors, poetka - powiedziała Ruth w ramach prezentacji.

- Lindsey - odparła moja siostra.

- Salmon, prawda?

- Proszę, nie - powiedziała Lindsey i przez sekundę Ruth mogła poczuć, jak to jest mieć do mnie prawo, gdy ludzie na moją siostrę patrzą i jednocześnie wyobrażają sobie zakrwawioną dziewczynkę.

Nawet uzdolnieni, którzy wyróżniali się tym, że postępowali inaczej niż wszyscy, podczas pierwszych kilku dni łączyli się w pary, głównie pary chłopców lub pary dziewczyn - wśród czternastolatków niewiele było poważnych związków - ale tego roku zdarzył się jeden wyjątek. Lindsey i Samuel.

- C-A-L-U-J-A S-I-E! - witano ich wszędzie, dokąd poszli. W pozostawionych bez opieki w letni upał dzieciakach coś rozrastało się niczym chwasty. Żądza. Nigdy nie czułam jej w tak czystej postaci ani nie widziałam rosnącej tak gwałtownie w kimś, kto dzielił ze mną garnitur genetyczny.

Byli ostrożni i przestrzegali zasad. Żaden wychowawca nie mógł powiedzieć, że poświęcił latarką w jakichś gęstych zaroślach i przyłapał Salmon i Hecklera na gorącym uczynku. Organizowali sobie spotkania na zewnątrz, na tyłach kafeterii albo pod pewnym drzewem, które oznaczyli swoimi inicjałami. Całowali się. Pragnęli zrobić coś więcej, ale nie mogli. Samuel chciał, żeby to było wyjątkowe. Miał świadomość, że powinno to być idealne. Lindsey chciała po prostu przez to przejść. Mieć to za sobą, żeby osiągnąć dorosłość - przekroczyć czas i miejsce. Myślała o seksie jako o środku transportu ze „Star Trek” - wyparowywałeś i po sekundzie czy dwóch potrzebnych na materializację mogłeś już podróżować po innych planetach.

„Mają zamiar to zrobić”, napisała Ruth w swoim dzienniku. Wiązałam pewne nadzieje z faktem, że Ruth wszystko zapisuje. Opowiedziała swojemu dziennikowi o tym, jak przez nią przeszłam na parkingu i jak tamtej nocy jej dotknęłam - poczuła ten dotyk zupełnie dosłownie. Jak wtedy wyglądałam. Że o mnie śniła. Jak przymierzała się do koncepcji, zgodnie z którą duch może być dla kogoś warstwą ochronną, czymś w rodzaju drugiej skóry. Że gdyby wytrwała, może zdołałaby uwolnić nas obie. Czytałam jej przez ramię, gdy zapisywała swoje myśli, i zastanawiałam się, czy ktokolwiek mógłby jej uwierzyć.

Kiedy sobie mnie wyobrażała, lepiej się czuła, była mniej samotna, bardziej związana z czymś spoza. Z kimś. W snach widziała pole kukurydzy i otwierał się przed nią inny świat, w którym, być może, mogłaby znaleźć miejsce dla siebie.

- Jesteś naprawdę niezłą poetką, Ruth - wyobrażała sobie, że tak właśnie do niej mówię, i porzucała dziennik, żeby śnić na jawie. W marzeniach była tak dobrą poetką, że jej słowa miały moc przywrócenia mnie do życia.

Potrafiłam spojrzeć wstecz. Ruth obserwowała swoją nastoletnią kuzynkę, rozbierającą się do kąpielni, podczas gdy ona sama siedziała na łaźniowym dywaniku, zamknięta w

łazience, aby kuzynka mogła pilnować dziecka, jak jej kazano. Ruth pragnęła dotknąć skóry kuzynki i jej włosów, pragnęła być przytulona. Zastanawiałam się, czy właśnie pragnienie trzylatki roznieciło to, co nadeszło, kiedy miała osiem lat. Splątane poczucie odrębności, wrażenie, że jej zadurzenie w nauczycielkach i kuzynce było bardziej realne niż fascynacje innych dziewczynek. Zawierało w sobie pragnienie czegoś poza słodyczą i uwagą, podsycalo tęsknotę rozkwitającą na zielono i żółto w podobną do krokusa żądzę, której miękkie płatki otwierały się w stronę trudnego okresu dojrzewania. Chodziło nie tyle o to, że, jak pisała w swoim dzienniku, chciała uprawiać seks z kobietami. Pragnęła zniknąć w ich wnętrzu na zawsze. Ukryć się.

Ostatni tydzień sympozjum spędzano zawsze na opracowywaniu finałowych projektów. Poszczególne szkoły prezentowały je w czasie konkursu w wieczór przed przyjazdem rodziców po swoje dzieci. Konkursu nie zapowiadano aż do sobotniego śniadania w tym ostatnim tygodniu, ale dzieciaki i tak zaczęły snuć plany. Zawsze był to konkurs na lepszą łapkę na myszy, więc z roku na rok coraz wyżej podnoszono poprzeczkę. Nikt nie chciał zaprezentować łapki, którą już wcześniej zbudowano.

Samuel wyruszył na poszukiwanie dzieciaków z aparatami ortodontycznymi. Potrzebował małych gumowych opasek, jakie rozdawali ortodonci. Miały utrzymać stały naciąg ramienia prowadzącego w jego łapce. Lindsey ubłagała emerytowanego kucharza wojskowego o czystą folię aluminiową. Ich łapka miała wykorzystać odbijanie światła, żeby dezorientować myszy.

- A co będzie, jeżeli im się to spodoba? - zapytała Lindsey Samuela.

- Nie widzą aż tak wyraźnie - odparł.

Zdzierał papier z drucianych skrętek do zamykania worków na śmieci z obozowego zapasu. Jeżeli jakiś dzieciak dziwnie patrzył na zwykłe przedmioty w pobliżu obozu, najprawdopodobniej zastanawiał się nad wykorzystaniem ich przy niezrównanej łapce na myszy.

- Są całkiem milutkie - powiedziała Lindsey pewnego popołudnia.

Większą część poprzedniej nocy spędziła na łapaniu polnych myszy w sznurkowe sidła i wkładaniu ich do pustej drucianej klatki na króliki.

Samuel uważnie im się przyglądał.

- Chyba mógłbym być weterynarzem - orzekł - ale raczej nie podoba mi się myśl, żeby je rozcinać.

- Czy musimy je zabijać? - zapytała Lindsey. - To ma być lepsza łapka na myszy, a nie lepszy obóz śmierci.

- Artie oferuje trumienki z drewna balsa - oznajmił Samuel ze śmiechem.

- Chore.

- Cały Artie.

- Podobno bujał się w Susie - powiedziała Lindsey.

- Wiem.

- Czy on o niej mówi? - Lindsey wzięła długi, cienki patyczek i wetknęła go w oczko siatki.

- Właściwie to pytał o ciebie - odparł Samuel.

- I co mu powiedziałaś?

- Że nic ci nie jest i że sobie radzisz.

Myszy uciekały od patyka w kąt, gdzie tłoczyły się jedna na drugiej w chybionej próbie ucieczki.

- Zbudujmy łapkę na myszy z maleńką, welurową fioletową sofką w środku i zamontujmy zatrask. Kiedy myszy usiądą na sofce, otworzą się drzwi i na dół spadną kuleczki sera. Możemy ją nazwać „Królestwo dzikich gryzoni”.

Samuel nie naciskał na moją siostrę, jak to robili dorośli. Zamiast tego szczegółowo omówił pokrycie mysiej sofki.

Tego lata rzadziej obserwowałam Ziemię z altany, ponieważ mogłam ją widzieć podczas spacerów przez niebiańskie pola. Nadchodziła noc i oszczepnicy i miotacze kulą odchodzili - każdy do swojego nieba. Nieba, do którego nie pasowała dziewczynka taka jak ja. Czy były straszne, te inne nieba? Gorsze niż uczucie samotności wśród żyjących, dorastających rówieśników? A może to były miejsca, o jakich marzyłam? Można na zawsze utknąć w świecie Normana Rockwella? Gdzie stale wnoszono indyka na stół, przy którym zasiadała rodzina. Krewny, mrużąc oczy, z kwaśną miną dzielił drób na porcje.

Jeśli odchodziłam odpowiednio daleko i dziwiłam się dostatecznie głośno, pola zaczynały się zmieniać. Mogłam spojrzeć w dół, zobaczyć pastewną kukurydzę i usłyszeć śpiew - coś w rodzaju niskiego pomruku czy jękliwego ostrzeżenia skądś znad krawędzi. Głowa mi pulsowała i niebo ciemniało. Znów była ta noc i przeżywanie nieustającego wczoraj. Moja dusza tężała, stawała się ociężała. W ten sposób wielokrotnie stawałam na krawędzi mojego grobu, ale moment spojrzenia poza nią miałam jeszcze przed sobą. Zaczęłam się poważnie zastanawiać, co znaczyło słowo „niebo”. Myślałam, że jeśli to byłoby niebo, prawdziwe niebo, to mieszkaliby w nim moi dziadkowie. Tata mojego taty, mój ulubiony dziadek, brałby mnie w ramiona i ze mną tańczył. Czułabym tylko radość i nie miałabym wspomnień, żadnego pola kukurydzy i żadnego grobu.

- Możesz mieć coś takiego - powiedziała do mnie Franny. - Wielu ludzi to ma.

- A jak się robi taką zamianę? - zapytałam.

- To nie takie proste, jak ci się wydaje - odparła. - Musisz przestać pragnąć pewnych odpowiedzi.

- Nie rozumiem.

- Jeżeli przestaniesz pytać, dlaczego zostałaś zabita ty, a nie ktoś inny, przestaniesz badać próżnię, którą stworzyła twoja śmierć, przestaniesz się zastanawiać, co czują wszyscy pozostawieni na Ziemi, możesz być wolna. Po prostu musisz zrezygnować z Ziemi.

To wydało mi się niemożliwe.

Tej nocy Ruth zakradła się do sali, w której spała Lindsey.

- Śniła mi się - wyszeptała do mojej siostry.

Lindsey zamrugła rozespana.

- Susie? - zapytała.

- Przykro mi z powodu tego incydentu w jadalni - powiedziała Ruth.

Lindsey spała na dole trzykondygnacyjnego aluminiowego łóżka. Sąsiadka z góry, tuż nad nią, poruszyła się.

- Mogę wejść do ciebie do łóżka? - zapytała Ruth.

Lindsey kiwnęła głową. Ruth wpełzła na wąski pas łóżka obok Lindsey.

- Co się stało w twoim śnie? - szeptem spytała Lindsey.

Ruth opowiedziała, odwracając twarz, tak żeby Lindsey mogła dostrzec jedynie zarys jej nosa, ust i czoła.

- Byłam w ziemi, w środku - powiedziała - i Susie przeszła nade mną przez pole kukurydzy. Czułam, że przechodzi nade mną. Zawołałam ją, ale w ustach miałam pełno piachu. Nie mogła mnie usłyszeć, chociaż starałam się krzyżeć jak nie wiem. Potem się obudziłam.

- Mnie ona się nie śni - stwierdziła Lindsey. - Ja mam koszmary o szczurach, które skubią końce moich włosów.

Ruth podobał się spokój, który czuła przy mojej siostrze, i gorąco, które wydzielaly ich ciała.

- Jesteś zakochana w Samuelu?

- Tak.

- Tęsknisz za Susie?

Ponieważ było ciemno, ponieważ Ruth miała twarz odwróconą w inną stronę i była niemal obcą osobą, Lindsey powiedziała, co czuła.

- Bardziej niż ktokolwiek może sobie wyobrazić.

Dyrektor gimnazjum Devon został wezwany w sprawie rodzinnej i to nowo wybrana zastępczyni szkoły w Chester Springs musiała w ciągu jednej nocy wymyślić tegoroczne wyzwanie. Chciała zaproponować coś innego, nie łapkę na myszy.

CZY PRZESTĘPSTWO MOŻE CI UJŚĆ NA SUCHO? JAK POPEŁNIĆ ZBRODNIĘ DOSKONAŁĄ, głosiło pospiesznie naszkicowane przez nią obwieszczenie.

Dzieciaki były zachwycone. Muzycy i poeci, „Historyczni Główkowcy” i artyści - wszyscy pełni entuzjazmu - zastanawiali się, od czego zacząć. Zmiatając na śniadanie bekon i jajka, porównywali wielkie nierozwiązane morderstwa z przeszłości albo wymyślali zwykłe przedmioty, których można było użyć do zadania śmiertelnych ran. Zaczęli się zastanawiać, przeciw komu mogliby zawiązać zabójczy spisek. Kiedy o siódmej piętnaście weszła moja siostra, zabawa trwała w najlepsze.

Artie obserwował, jak staje w kolejce. Wciąż jeszcze o niczym nie wiedziała. Wyczuła atmosferę podniecenia, ale była przekonana, że ogłoszono konkurs na myszołapkę.

Artie nie spuszczał jej z oka i zobaczył, że najbliższa ulotka z tematem została wyłożona nad tacą ze sztuccami przy końcu lady zjedzeniem. Ktoś przy jego stole opowiadał o Kubie Rozpruwaczu. Artie wstał, żeby odnieść swoją tacę.

Kiedy dotarł do mojej siostry, odchrząknął. Wszystkie swoje nadzieje pokładałam w tym drżącym z niepewności chłopcu. „Złap ją” - prosiłam. Modlitwa skierowana ku Ziemi.

- Lindsey - odezwał się Artie.

Podniosła na niego wzrok.

- Tak?

Za ladą wojskowy kucharz wyciągnął chochlę pełną jajecznicy i z plaśnięciem umieścił ją na tacy.

- Jestem Artie, z klasy twojej siostry.

- Nie potrzebuję żadnych trumien - odparła Lindsey i przesunęła swoją tacę po metalowej kratce do miejsca, gdzie w wielkich plastikowych dzbankach stał sok pomarańczowy i jabłkowy.

- Co?

- Samuel mi powiedział, że w tym roku budujesz trumny z drewna balsa dla myszy. Nie chcę żadnych.

- Zmienili konkurs.

Tego ranka Lindsey postanowiła, że weźmie podszewkę z sukienki Clarissy. Byłaby idealna do mysiej kanapy.

- Jak to?

- Chcesz wyjść na dwór? - Artie zasłonił jej widok swoim ciałem i zablokował dojście do sztucców. - Lindsey - wykrztusił - konkurs jest o morderstwie. - Lindsey wpatrywała się w Artiego. Chwyliła swoją tacę, nie spuszczając z niego oczu. - Chciałem ci powiedzieć, zanim przeczytasz ulotkę - wyjaśnił.

Samuel wpadł do namiotu.

- Co się dzieje? - Lindsey patrzyła na niego bezradnie.

- W tym roku konkurs dotyczy popełnienia zbrodni doskonałej - oznajmił Samuel.

Oboje z Samuelem dostrzegliśmy to drżenie. Mocne ukłucie serca. Moja siostra jednak nauczyła się panować nad sobą. Niedługo, jak w przypadku idealnie opanowanej sztuczki magicznej, nikt nie zauważy, co się z nią dzieje. Potrafiła zamknąć się na cały świat, także na siebie.

- Nic mi nie jest - powiedziała.

Samuel wiedział, że to nieprawda.

On i Artie obserwowali jej plecy, gdy wychodziła.

- Próbowałem ją ostrzec - cicho odezwał się Artie.

Wrócił do swojego stołu. Rysował strzykawki, jedną po drugiej. Coraz mocniej dociskał pióro, kolorując płyn do balsamowania i cyzelując trajektorię trzech tryskających kropli.

Samotnie, pomyślałam. Na Ziemi jest tak jak w niebie.

- Dźga się, tnie i strzela. Tak właśnie zabija się ludzi - powiedziała Ruth. - To chore.

- Zgadza się - odparł Artie.

Samuel zabrał moją siostrę na spacer. Artie zobaczył Ruth przy jednym z piknikowych stołów. Trzymała w ręku swoją wielką księgę.

- Ale są też słuszne powody do zabijania - dodała.

- Jak myślisz, kto to zrobił? - zapytał Artie. Usiadł na ławce i oparł stopy na poprzeczce pod stołem.

Ruth siedziała niemal bez ruchu, z prawą nogą założoną na lewą, ale nieprzerwanie podrygiwała stopą.

- Skąd się dowiedziałeś? - zapytała.

- Ojciec nam powiedział - wyjaśnił Artie. - Zawołał moją siostrę i mnie do salonu i kazał nam usiąść.

- O cholera, i co powiedział?

- Najpierw, że na świecie zdarzyły się okropne rzeczy. Moja siostra rzuciła: „Wietnam”, ale on był cicho, chociaż zawsze się kłóca, kiedy wyskoczy ten temat. A potem dodał: „Nie, kochanie, straszne rzeczy zdarzyły się blisko domu, ludziom, których znamy”. Myślała, że to był ktoś z jej przyjaciół.

Ruth poczuła krople deszczu.

- No i mój tata się załamał i powiedział, że zabito małą dziewczynkę. To ja zapytałem kogo. To znaczy, kiedy powiedział „małą dziewczynkę”, wyobraziłem sobie małe dziecko, rozumiesz. Nie nas.

Zdecydowanie była to kropla, kolejne zaczęły spadać na sekwojowy blat stołu.

- Chcesz wejść do środka? - zapytał Artie.

- Wszyscy tam będą - odparła Ruth.

- Wiem.

- Zmoknijmy.

Przez jakiś czas siedzieli nieruchomo i obserwowali krople spadające dookoła nich, wsłuchując się w dźwięk ich uderzeń o liście drzewa nad nimi.

- Wiedziałaś, że nie żyje. Wyczułam to - odezwała się Ruth. - Później zobaczyłam wzmiankę o tym w gazecie taty i byłam pewna. Z początku nie podano jej nazwiska. Tylko „Dziewczynka, lat czternaście”. Poprosiłam tatę o tę stronę, lecz mi nie dał. Zresztą kogo oprócz niej i jej siostry nie było w szkole cały tydzień?

- Zastanawiam się, kto powiedział Lindsey? - Deszcz się wzmógł. Artie wślizgnął się pod stół. - Będziemy przemoczeni! - zawołał.

A potem, równie szybko jak się zaczął, deszcz ustał. Słońce przebiło się przez gałęzie nad

ich głowami. Ruth spojrzała w górę.

- Myślę, że ona słucha - wyszeptała zbyt cicho, żeby ktoś usłyszał.

Na sympozjum stało się rzeczą ogólnie wiadomą, kim była moja siostra i jak umarłam.

- Wyobraź sobie, że cię dźgają nożem - zauważył ktoś.

- Nie, dzięki.

- Myślę, że to odlot.

- Zastanów się tylko... jest sławna.

- Niezły sposób na zdobycie sławy. Ja tam wolę Nagrodę Nobla.

- Czy ktoś wie, kim chciała zostać?

- Zapytaj Lindsey, proszę bardzo.

I robili zestawienie zmarłych, których znali.

Babcia, dziadek, wujek, ciotka, u niektórych jedno z rodziców, rzadziej siostra czy brat; umarli dawno temu z powodu jakiejś choroby - nieprawidłowej budowy serca, białaczki, choroby o nazwie nie do wymówienia. Nikt nie znał nikogo, kto został zamordowany. Ale teraz znali mnie.

Pod łodzią wiosłową, zbyt starą i zniszczoną, żeby pływała, Lindsey leżała na ziemi w objęciach Samuela Hecklera.

- Wiesz, że nic mi nie jest - powiedziała z suchymi oczyma. - Myślę, że Artie próbował mi pomóc.

- Przestań o tym myśleć, Lindsey - odparł Samuel. - Poleżymy tu po prostu, dopóki wszystko się nie uspokoi.

Samuel leżał na plecach i mocno przyciskał moją siostrę do siebie, żeby ochronić ją przed wilgocią niespodziewanego letniego deszczu. Ich oddechy zaczęły ogrzewać niewielką przestrzeń pod łodzią i stało się, nie mógł tego powstrzymać - penis zeszywniał mu w dżinsach.

Lindsey sięgnęła tam ręką.

- Przepraszam... - zaczął.

- Jestem gotowa - powiedziała moja siostra.

Mając czternaście lat, moja siostra odpłynęła ode mnie w miejsce, w którym nigdy nie byłam. We wnętrzu mojego ciała była potworność i krew, ona miała okna.

„Jak popełnić zbrodnię doskonałą” - w niebie była to znana gra. Ja zawsze wybierałam sople lodu: broń się topi.

11.

Kiedy tata obudził się o czwartej nad ranem, dom był cichy. Mama leżała obok, lekko pochrapując. Mój brat - jedyne obecne dziecko, bo siostra uczestniczyła w symposium - przypominał głaz owinięty prześcieradłem. Tata z podziwem myślał o tym, że Buckley miał taki zdrowy sen - zupełnie jak ja. Kiedy jeszcze żyłam, świetnie się z Lindsey bawiliśmy, klaszcząc, upuszczając książki i nawet waląc w pokrywki, żeby sprawdzić, czy nasz brat się obudzi.

Przed wyjściem z domu tata zajrzał do Buckleya - chciał się upewnić, poczuć jego ciepły oddech we wnętrzu dłoni. Potem przebrał się w tenisówki na cienkiej podszewie i lekki strój do joggingu. Ostatnią czynnością było założenie Holidayowi obroży.

Było jeszcze dość wcześnie, tak że prawie widział swój oddech. O tak wczesnej porze mógł udawać, że trwa zima. Że pory roku się nie zmieniły.

Poranny spacer z psem służył mu za wymówkę, żeby przejść obok domu pana Harveya. Zwolnił zupełnie nieznacznie - nikt by tego nie zauważył, nie licząc mnie albo - gdyby nie spał - pana Harveya. Tata był przekonany, że jeśli tylko będzie się wpatrywał dostatecznie intensywnie, po prostu patrzył dostatecznie długo, znajdzie potrzebne wskazówki w szprosach okien, w zielonej farbie pokrywającej gonty albo przy podjeździe, gdzie leżały dwa duże kamienie pomalowane na biało.

Do późnego lata siedemdziesiątego czwartego roku nie było w mojej sprawie żadnego postępu. Żadnego ciała. Żadnego zabójcy. Nic.

Tata przypomniał sobie słowa Ruany Singh: „Kiedy miałabym pewność, znalazłabym cichy sposób i go zabiła”. Nie powiedział tego Abigail, ponieważ rada wskazywała kierunek, który przstraszyłby ją w wystarczającym stopniu, by się komuś zwierzyła, a podejrzewał, że tym kimś mógłby być Len.

Od dnia kiedy widział się z Ruaną Singh, a potem zastał w domu Lena, czuł, że moja mama zdecydowanie szuka oparcia w policji. Jeżeli mówił coś, co stało w sprzeczności z policyjnymi teoriami - albo, jak on to widział, ich brakiem - mama natychmiast spieszyła wypełnić wyłom, który stwarzała koncepcja taty. „Len mówi, że to nic nie znaczy” albo „Wierzę, że policja się dowie, co się stało”.

Tata zastanawiał się, dlaczego ludzie tak bardzo ufali policji? Czemu nie zaufać instynktowi? To był pan Harvey, i on to wiedział. Ale Ruana powiedziała: „Kiedy miałabym pewność”. Przekonanie, najgłębsze przekonanie, jakie żywił mój tata, nie stanowiło w prawniczym rozumieniu niepodważalnego dowodu.

Dom, w którym dorastałam, był tym samym, w którym się urodziłam. Tak jak dom pana Harveya przypominał pudełko i właśnie dlatego, gdy odwiedzałam domy innych ludzi, męczyła mnie bezsensowna zawiść. Marzyłam o oknach wykuszowych i kopułach, balkonach i ukośnych sufitych w sypialni na poddaszu. Zachwycała mnie myśl o rosnących na podwórzu

drzewach wyższych i silniejszych niż ludzie, trójkątnych przestrzeniach pod schodami, gęstych żywopłotach, tak wysokich, że można wślizgnąć się w puste miejsce po uschłych gałęziach i tam siedzieć. W moim niebie były werandy i kręte klatki schodowe, parapety okienne z żelaznymi balustradami i dzwonnica, a w niej dzwon, który wybijał godziny.

Plan domu pana Harveya znałam na pamięć. Zanim ostygłam, zrobiłam na podłodze garażu ciepłą plamę. Na ubraniach i skórze pan Harvey wniósł ze sobą do domu moją krew. Znałam łazienkę. Wiedziałam, że w moim domu mama próbowała ją jakoś ozdobić, przystosować to miejsce do późnego pojawienia się Buckleya, za pomocą szablonu malując okręty wojenne na różowych ścianach. W domu pana Harveya łazienka i kuchnia były nieskazitelne. Armaturę miał żółtą, a kafle na podłodze zielone. Preferował chłód. Na górze, gdzie Buckley, Lindsey i ja mieliśmy pokoje, było prawie pusto. Miał proste krzesło, na którym siadał, wpatrywał się w budynek gimnazjum i słuchał odgłosów orkiestry, dolatujących znad boiska. Jednak najczęściej spędzał czas z tyłu domu, na parterze, w kuchni budując domki dla lalek, w bawialni słuchając radia albo kiedy opanowywała go żądza, szkicując projekty fantazji w rodzaju ziemianki czy namiotu.

Przez wiele miesięcy nikt nie niepokoił go z mojego powodu. Latem rzadko widywał radiowóz zwalniający przed jego domem. Był dość sprytny, żeby nie zmieniać swojego zachowania. Jeżeli zmierzał właśnie do garażu albo do skrzynki, szedł dalej.

Ustawił kilka budzików. Jeden wskazywał, kiedy należy podnieść żaluzje, drugi, kiedy je opuścić. Gdy dzwoniły, włączał też i wyłączał światła w całym domu. Kiedy trafiało do niego przypadkowe dziecko - na przykład brało udział w szkolnym konkursie i chciało sprzedać czekoladowe batony albo zamierzało wybadać, czy nie chciałby zaprenumerować „Biuletynu Wieczornego”, zachowywał się po przyjacielsku, ale pozostawał oficjalny. Tak więc nie rzucał się w oczy.

Żeby nie stracić rachuby, zostawił sobie pewne rzeczy i uspokajało go ich przeliczanie. To były zwykłe przedmioty: obrączka, list w zapieczętowanej kopercie, obcas, para okularów, gumka w kształcie postaci z kreskówki, buteleczka perfum, plastikowa bransoletka, mój wisior - symbol Pensylwanii, bursztynowy wisior jego matki. Wyjmował je głęboką nocą, kiedy miał pewność, że do jego drzwi nie zapuka żaden gazeciarz ani sąsiad. Odliczał je jak paciorki różańca. Zapomniał niektórych związanych z nimi imion. Ja te imiona znałam. Obcas należał do dziewczynki imieniem Claire z Nutely w New Jersey. Namówił ją, żeby wsiadła do jego vana. Była mniejsza ode mnie. (Lubię myśleć, że ja nie wsiadłabym do vana. Lubię myśleć, że zgubiła mnie ciekawość. Chciałam wiedzieć, jak to możliwe, że zrobił dziurę w ziemi, która się nie zapada). Oderwał ten obcas od buta Claire i pozwolił jej odejść. Niczego więcej nie zrobił. Wsadził ją do samochodu i zdjął jej buty. Zaczęła płakać i ten dźwięk wkręcał się w niego na podobieństwo śruby. Błagał, żeby była cicho i po prostu sobie poszła. Żeby jak w bajce odeszła boso, bez narzekań, zostawiając mu buty. Ale nie. Płakała. Zabrał się do jednego z obcasów, podważając go scyzorykiem, aż w końcu ktoś walnął pięścią w tył

vana. Usłyszał męskie głosy i kobietę krzyczącą coś o policji. Otworzył drzwi.

- Co pan, do cholery, robi temu dzieciakowi? - wrzasnął jeden z mężczyzn, a jego kumpel złapał Claire, gdy uciekała z rykiem z samochodu.

- Próbuję naprawić jej but.

Dziewczynka była w stanie hysterii. Pan Harvey zrównoważony i spokojny, ale Claire zobaczyła to, co i ja - jego spojrzenie nabierające okrucieństwa. Pragnienie czegoś nienazwanego. Oddać mu, czego chciał, oznaczałoby unicestwienie.

Mężczyźni i kobieta stali zmieszani. Nie umieli dostrzec tego, co widziałyśmy Claire i ja. Pan Harvey wręczył buty jednemu z mężczyzn i szybko się pożegnał. Zatrzymał obcas. Lubił trzymać skórzany obcasik w ręku i pocierać go kciukiem i palcem wskazującym - idealny sposób na odprężenie.

Wiedziałam, gdzie w naszym domu było najciemniej. Wspięłam się tam i trochę posiedziałam. Powiedziałam Clarissie, że spędziłam tam cały dzień, ale tak naprawdę chodziło o jakieś czterdzieści pięć minut. Był to zakamarek w piwnicy. Mieściły się tam biegnące w dół rury, które zdołałam obejrzeć w świetle latarki, i całe tony kurzu. I tyle. Żadnych robali. Moja mama, podobnie jak jej matka, wzywała człowieka od dezynsekcji przy najdrobniejszym śladzie mrówek.

Kiedy dzwonił budzik, żeby przypomnieć o zamknięciu żaluzji, a potem następny, który nakazywał zgaszenie większości świateł, zanim przedmieście zapadnie w sen, pan Harvey schodził do piwnicy. Nie było tam żadnych szczelin, przez które przedostawałoby się światło. Ktoś mógłby przecież je zauważyć i uznać, że właściciel domu jest dziwny. Po tym jak mnie zabił, zmęczyło go odwiedzanie zakamarka, ale w dalszym ciągu lubił przesiadywać w piwnicy w fotelu, przodem do ciemnej dziury, która zaczynała się w połowie ściany i sięgała do odsłoniętych listew przypodłogowych jego kuchennej podłogi. Często zdarzało mu się wtedy zasypiać i tam właśnie siedział uspiiony, kiedy mój tata minął zielony dom około czwartej czterdzieści rano.

Joe Ellis był paskudnym małym chuliganem. Szczypał Lindsey i mnie pod wodą w basenie i tak bardzo go znienawidziłyśmy, że przez niego nie chodziłyśmy na przyjęcia połączone z kąpielą. Miał psa, którego zawsze ze sobą ciągnął, jeśli nawet pies nie miał na to ochoty. To był mały piesek i nie potrafił bardzo szybko biegać, ale Ellisa to nie obchodziło. Bił go albo brutalnie podnosił za ogon. Pewnego dnia pies zniknął, podobnie jak kot, którego Ellis męczył. A potem zaczęły zniknąć zwierzęta z całej okolicy.

Kiedy podążyłam za spojrzeniem pana Harveya, w piwnicznej dziurze odkryłam zwierzęta, które ginęły przez ponad rok. Ludzie myśleli, że to się skończyło, ponieważ chłopak Ellisów został wysłany do szkoły wojskowej. Kiedy rano wypuszczali swoje zwierzęta, wieczorem wracały. Uznano to za dowód. Nikt nie potrafiłby sobie wyobrazić żądzy takiej jak ta w zielonym domu. Kogoś, kto posypywałby ciała kotów i psów niegaszonym wapnem, żeby jak najszybciej zostały z nich tylko kości. Licząc kości i

trzymając się z daleka od zamkniętego listu, ślubnej obrączki i butelki perfum, pan Harvey starał się powstrzymać od tego, czego pragnął najbardziej - od wejścia na górę w ciemnościach, żeby usiąść na krześle i patrzeć w kierunku szkoły, od wyobrażania sobie ciał odpowiadających głosom czirliderek, w jesienne dni napływających falami podczas meczów futbolowych, albo od przyglądania się szkolnym autobusom, które wysadzały dzieciaki dwa domy dalej. Kiedyś zatrzymał spojrzenie na Lindsey, samotnej dziewczynce z piłkarskiej drużyny chłopców, biegnącej przed zmierzchem wokół osiedla.

Najtrudniej przyszło mi zdać sobie sprawę, że za każdym razem próbowałem się powstrzymać. Zabijał zwierzęta, odbierając życie mniej ważnym stworzeniom, żeby nie zabić dziecka.

W sierpniu Len zapragnął ustalić jakieś granice, dla dobra własnego i dla dobra mojego taty. Tata dzwonił na dzielnicowy posterunek tyle razy, że w końcu doprowadził policjantów do irytacji, która nie pomogła nikogo znaleźć, a tylko zwracała wszystkich przeciw niemu.

Kroplą goryczy okazała się rozmowa telefoniczna, która odbyła się w pierwszym tygodniu czerwca. Jack Salmon ze szczegółami opowiedział operatorce, jak to rankiem jego pies stanął przed domem pana Harveya i zaczął wyć. Cokolwiek by Salmon robił, ciągnęła się opowieść, pies nie chciał się ruszyć z miejsca ani przestać wyć. Na posterunku zaczęli sobie z tego żartować: pan Ryba i jego Huckleberry Hound.

Len stanął na werandzie naszego domu, żeby dokończyć papierosa. Było jeszcze wczesnie i dzień wydawał się bardziej wilgotny niż poprzedni. Przez cały tydzień zapowiadano deszcz - ulewę z piorunami i błyskawicami, z jakich sływały te tereny - ale jak na razie jedyną prawdziwą wilgocią, z którą Len miał do czynienia, była ta pokrywająca jego ciało - kroplisty pot. Czas łatwych wizyt w domu moich rodziców miał już za sobą.

Usłyszał nucenie - kobiecy głos z wnętrza domu. Zgasił papierosa na cemencie pod żywopłotem i uniósł ciężką mosiężną kołatkę. Zanim ją opuścił, drzwi się otworzyły.

- Pocułam papierosa - powiedziała Lindsey.

- Co takiego nuciłaś?

- Te papierosy pana zabijają.

- Czy twój ojciec jest w domu?

Lindsey się przesunęła, żeby go wpuścić.

- Tato! - zawołała. - To Len!

- Wyjeżdżałaś, prawda? - zapytał.

- Właśnie wróciłam.

Moja siostra miała na sobie koszulkę do softballu Samuela i dziwne spodnie od dresu. Mama zarzuciła jej, że nie przywiozła do domu ani jednej sztuki własnego ubrania.

- Rodzice na pewno za tobą tęsknili.

- Lepiej się o to nie zakładać - odparła. - Zdaje mi się, że z radością się mnie pozbyli.

Len wiedział, że miała rację. Był zupełnie pewien, że kiedy odwiedził nasz dom w czasie

jej nieobecności, moja mama wydawała się mniej szalona.

- Buckley mianował pana szefem oddziału policji w mieście, które zbudował pod swoim łóżkiem - oznajmiła Lindsey.

- To awans.

Oboje usłyszeli kroki taty, przechodzącego piętro wyżej korytarzem, a potem błaganie Buckleya. Lindsey się domyśliła, że o cokolwiek prosił, tata ostatecznie się zgodził.

Mój tata i brat schodzili po schodach cali w uśmiechach.

- Len - powiedział tata i uściśnął jego rękę.

- Dzień dobry, Jack - odparł Len. - Jak ci mija poranek, Buckley?

Tata wziął Buckleya za rękę i ustawił go na wprost Lena, który z powagą się do niego nachylił.

- Podobno mianowałeś mnie szefem policji - stwierdził.

- Tak jest.

- Nie zasługuję na tę posadę.

- Ty bardziej niż kto inny - powiedział tata serdecznie. Uwielbiał, kiedy wpadał Len. Za każdym razem jego obecność była dla niego potwierdzeniem, że nie był sam, że istniała jednomyślność - pewna grupa, która za nim stała.

- Muszę pogadać z waszym tatą, dzieciaki.

Lindsey zabrała Buckleya do kuchni, obiecując mu płatki. Sama myślała o tym, co pokazał jej Samuel; był to drink o nazwie meduza - wisienki maraskino przykryte cukrem i zalane ginem. Samuel i Lindsey wysysali wiśnie, aż rozboleły ich głowy, a wargi poplamiły się na czerwono.

- Czy powinienem zawołać Abigail? Może zrobić ci kawy albo coś innego?

- Jack - odezwał się Len - nie przyszedłem tu z żadnymi nowinami, wręcz przeciwnie. Możemy usiąść?

Obserwowałam tatę i Lena zmierzających do bawialni. Bawialnią wydawała się takim miejscem, gdzie nikt nigdy się nie bawił. Len usiadł na brzegu krzesła i czekał, aż mój tata zajmie miejsce.

- Posłuchaj, Jack - zaczął. - Chodzi o George'a Harveya.

Tata się rozpogodził.

- Mówiłeś, zdaje się, że nie masz żadnych wiadomości.

- Nie mam. Jest coś, co muszę powiedzieć w imieniu posterunku i swoim.

- Tak.

- Chcemy, żebyś przestał dzwonić w sprawie George'a Harveya.

- Ale...

- Ja chcę, żebyś przestał. Nie mamy niczego, choćby nie wiem jak naciągać fakty, co pozwoliłoby powiązać go ze śmiercią Susie. Wyjące psy i ślubne namioty to nie są dowody.

- Wiem, że to zrobił - stwierdził tata.

- Jest dziwny, zgadzam się, ale z tego, co wiemy, nie jest zabójcą.
- A skąd ta pewność?

Len Fenerman mówił, lecz tata słyszał tylko słowa wypowiedziane kiedyś przez Ruane Singh. W dodatku kiedy znalazł się przed domem pana Harveya, czuł promieniującą ze środka złą energię, zimno płynące z serca tego człowieka. Pan Harvey stał się jednocześnie kimś niepojętym i jedyną osobą na świecie, która mogła mnie zabić. Gdy Len temu zaprzeczał, tata nabierał coraz większej pewności.

- Kończycie dochodzenie w jego sprawie - odezwał się bezbarwnym głosem.

Lindsey niepewnie stała w drzwiach, jak w dniu, w którym Len i funkcjonariusz w mundurze przynieśli moją czapkę z dzwonkiem. Jej bliźniaczą wersję miała na własność. Tego dnia po cichu wepchnęła tę drugą czapkę do stojącego w tyle szafy pudła ze starymi lalkami. Nie chciała, żeby mama kiedykolwiek jeszcze usłyszała dźwięk tych okrągłych dzwonków.

Lindsey patrzyła na tatę. Jego serce pomieściło nas wszystkich. Trzymał nas mocno i rozpaczliwie, drzwi jego serca otwierały się i zamykały z szybkością klap w instrumencie: wyciszanie dźwięku filcową klapką, niewidzialne ruchy palców, ćwiczenia, ćwiczenia, a potem - niesamowite - dźwięk i melodia, i ciepło. Lindsey weszła do bawialni.

- Witam ponownie, Lindsey - powiedział Len.

- Detektywie Fenerman...

- Właśnie mówiłem twojemu ojcu...

- Że się poddajecie.

- Gdyby był jakikolwiek sensowny powód, żeby podejrzewać tego człowieka...

- Skończył pan? - zapytała Lindsey. Nagle to ona przejęła rolę żony naszego taty, podobnie jak wcześniej najstarszego, najbardziej odpowiedzialnego dziecka.

- Chcę tylko, żebyście wszyscy wiedzieli, że sprawdziliśmy każdy trop.

Tata i Lindsey ją usłyszeli, a ja zobaczyłam. Mama schodziła po schodach. Buckley wypadł z kuchni i ruszył do ataku, całym ciężarem uderzając o nogi taty.

- Len - odezwała się mama, na jego widok mocniej otulając się szlafrokiem frotte - czy Jack zaproponował ci kawę?

Tata spojrział na żonę, a potem na Lena Fenermana.

- Gliny rezygnują - oznajmiła Lindsey, delikatnie przytrzymując Buckleya za ramiona i przyciągając go do siebie.

- Rezygnują? - zapytał Buckley. Zawsze obracał w ustach nowe słowo jak landrynkę, dopóki nie zapamiętał jego smaku i dotyku.

- Co?

- Detektyw Fenerman przyszedł powiedzieć tacie, żeby przestał ich nękać.

- Lindsey - odezwał się Len - nie ująłbym tego w taki sposób.

- Wszystko jedno - odparła. Moja siostra chciała się teraz przenieść w jakieś miejsce,

gdzie trwał obóz dla uzdolnionych i gdzie ona sama rządziłaby swoim światem wraz z Samuelem albo nawet Artiem, który w ostatniej chwili wygrał konkurs na morderstwo doskonale, zgłaszając koncepcję sopła jako broni. - Chodź, tato - dodała.

Tata powoli zaczynał dopasowywać pewne elementy. Nie miało to nic wspólnego z George'em Harveyem ani ze mną, lecz z tym, co ujrzał w oczach mojej mamy.

Tej nocy, co zdarzało się coraz częściej i częściej, tata nie spał i siedział sam w swoim gabinecie. Nie mógł uwierzyć, że świat wokół niego się wali. Moja śmierć wywołała wstrząs, ale później wszystko okazało się takie zaskakujące. „Czuję się, jakbym stał w centrum erupcji wulkanu”, napisał w swoim notesie. „Abigail uważa, że Len Fenerman ma rację co do Harveya”.

Kiedy pisał, migotała świeca postawiona w oknie. Rozpraszało go to, mimo że włączył lampę znajdującą się na biurku. Usiadł na starym drewnianym krześle, które miał od czasów college'u, słuchał uspokajającego skrzypienia drewna pod jego ciężarem. W firmie nie udawało mu się nawet zarejestrować, czego od niego wymagano. Codziennie stawał przed kolumnami cyfr bez znaczenia, które miał rozliczyć zgodnie z żądaniami przedsiębiorstwa i które teraz wydawały mu się bez znaczenia. Popelniał błędy z przerażającą częstotliwością i bał się, bardziej niż tuż po moim zaginięciu, że nie będzie w stanie utrzymać swoich pozostałych przy życiu dzieci.

Wstał i wyciągnął ramiona nad głową. Próbował się skoncentrować na paru ćwiczeniach, które polecił nasz lekarz rodzinny. Obserwowałam jego ciało wyginające się niepokojąco, w zaskakujący sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. Mógłby być tancerzem, a nie biznesmenem. Mógłby tańczyć na Broadwayu z Ruaną Singh.

Pstryknął wyłącznikiem lampy, zostawiając zapaloną świecę.

Najspokojniejszy czuł się w swoim starym zielonym fotelu. Często właśnie tam widywałam go pogrążonego we śnie. Pokój jak grobowiec, fotel jak łono matki, a ja stałam przy ojcu na straży. Wpatrywał się w świecę na oknie i zastanawiał, co robić, bo spróbował dotknąć mamy i odsunęła się aż na brzeg łóżka. I zdawała się rozkwitać w obecności policji.

Przyzwyczyił się do widmowego światła zza płomienia świecy, tego drżącego odbicia w szybie. Patrzył na nie - prawdziwy płomień i jego widmo - i zaczął zapadać w drzemkę, pogrążając się w myślach, usiłowaniach i wydarzeniach dnia.

W chwili gdy był o krok od zapadnięcia w sen, oboje zobaczyliśmy to samo: inne światło. Na zewnątrz.

Z tej odległości wyglądało na światło małej latarki. Jeden biały promień powoli przesuwający się przez trawniki w stronę gimnazjum. Tata go obserwował. Było już po północy, a księżyc zbyt słaby, żeby zobaczyć zarysy drzew i domów. Pan Stead, który późno w nocy jeździł rowerem z przednią lampą zasilaną za pomocą pedałów, nigdy nie zhańbiłby w ten sposób trawników swoich sąsiadów. Zresztą na pana Steada było już za późno.

Tata wychylił się z zielonego fotela i obserwował latarkę przesuwającą się w kierunku

leżącego odłogiem pola kukurydzy.

- Ty gnoju - wyszeptał. - Ty morderczy gnoju.

Szybko się ubrał, korzystając z zapasowej szafy w gabinecie. Włożył kurtkę myśliwską, której nie nosił od dziesięciu lat - od czasu nieudanej wyprawy łowieckiej. Gdy znalazł się na dole, z szafy stojącej we frontowym holu wyjął kij bejsbolowy, który kupił dla Lindsey, zanim wybrała piłkę nożną.

Najpierw wyłączył światło na werandzie. Zostawiali je dla mnie zapalone przez całą noc i jakoś nie mogli się zmusić, żeby przestać, mimo że minęło osiem miesięcy, od kiedy policja oświadczyła, że nie znajdzie mnie żywej. Potem, z ręką na klamce, wziął głęboki wdech.

Przekręcił gałkę i znalazł się na ciemnej frontowej werandzie. Zamknął drzwi i wyszedł na podwórze, trzymając w ręku kij bejsbolowy i powtarzając słowa: „znaleźć cichy sposób”.

Przeciął podwórze od frontu i ulicę, a potem podwórze O'Dwyerów, gdzie najpierw zobaczył światło. Minał ich ciemny basen i zardzewiałą huśtawkę. Serce mu waliło, ale czuł tylko pewność. George Harvey zabił swoją ostatnią dziewczynkę.

Dotarł do boiska do piłki nożnej. Po prawej, daleko na polu - ale nie w bliskości miejsca, które znał na pamięć i które zostało odgrodzone i oczyszczone oraz przeczesane i przeryte - dostrzegł światełko. Mocniej zacisnął palce wokół kija. Przez sekundę nie mógł uwierzyć w to, co miał zamiar zrobić, ale potem wydało mu się to oczywiste.

Pomógł mu wiatr. Przemknął przez boisko i wzdłuż pola kukurydzy, oblepił mu spodnie wokół nóg; pchał naprzód. Wszystko odplynęło. Kiedy znalazł się między rzędami kukurydzy, skupiony wyłącznie na świetle, wiatr ukrył jego obecność. Odgłos stóp miażdżących lodygi zginął wśród gwizdu i ruchu powietrza między połamanymi roślinami.

Przez głowę przepłynęły mu kompletnie bezsensowne myśli - twardy, gumowy odgłos dziecięcych wrotek uderzających o chodnik, zapach tytoniu z fajki jego ojca, uśmiech Abigail, kiedy ją poznał, niczym światło przenikający jego zmieszane serce - a potem zgasła latarka i wszystko utonęło w ciemności.

Przeszedł jeszcze kilka kroków i stanął.

- Wiem, że tu jesteś - odezwał się.

Żeby go ostrzec, zalałam pole światłem, roziskrzyłam je ogniami, wysłałam burzę gradową i grad kwiatów. Nic z tego nie zadziało. Zostało odesłane do nieba. Mogłam tylko patrzeć.

- Przyszedłem - powiedział tata trzęsącym się głosem. Serce pracowało seriami wybuchów, krew gnała przez klatkę piersiową - to kipiąca jak rzeka, to nagle zastygająca. Oddech i ogień, płuca się blokują, potem rozluźniają - adrenalina ratuje to, co jeszcze zostało. Uśmiech mojej mamy zniknął z jego myśli, w zamian pojawił się mój. - Wszyscy śpią. Przyszedłem, żeby to skończyć.

Usłyszał łkanie. Chciałam rzucić w dół snop światła, jak to robili w szkolnym audytorium, chociaż światło nie zawsze trafiało we właściwe miejsce na scenie. Była tam,

przykucnięta, zapłakana i mimo błękitnego cienia do powiek i kowbojek od Bakera w zmoczonych majtkach. Dziecko.

Nie poznała przepelnionego nienawiścią głosu mojego taty.

- Brian? - zapytała niepewnie Clarissa. - Brian? - Jej nadzieja była jak tarcza.

Tata rozluźnił uścisk i ręka z kijem opadła.

- Halo? Kto tu jest?

Z wiatrem w uszach Brian Nelson, strach na wróble, zaparkował należącą do starszego brata corvette spyder na szkolnym parkingu. Spóźniony, zawsze spóźniony, spał na lekcji i przy stole w czasie obiadu, ale nigdy wtedy, kiedy jakiś chłopak miał „Playboya” albo obok przechodziła miła dziewczyna, nigdy, kiedy dziewczyna czekała na niego na polu kukurydzy. Mimo wszystko się nie spieszył. Wiatr, cudowna osłona i ochrona, gwizdał mu w uszach.

Brian ruszył na pole kukurydzy ze swoją ogromną latarką z trzymanego pod zlewem zestawu jego matki na wypadek katastrofy. W końcu usłyszał to, co - jak powiedział później - uznał za wołanie Clarissy o pomoc.

Kiedy tata biegł i zataczał się w stronę dziewczęcych szlochów, jego ciężkie jak kamień serce tłukło się w piersi. Matka robiła mu na drutach rękawice z jednym palcem, a Susie prosiła o rękawiczki z pięcioma palcami. Zimą na polu kukurydzy taki ziąb. Clarissa! Głupiutka przyjaciółka Susie. Makijaż, kanapki z dżemem o wyszukanych kształtach i tropikalna opalenizna.

Wpadł na nią, biegnąc na oślep, i w ciemnościach zbił ją z nóg. Jej krzyki wypełniły mu uszy i odbijały się rykoszetem w głowie.

- Susie! - wrzasnął w odpowiedzi.

Brian usłyszał moje imię i ruszył pełnym gazem naprzód. Jego latarka podskakiwała i w jednej oślepiającej sekundzie zatrzymała się na panu Harveyu. Nie widział go nikt oprócz mnie. Latarka Briana oświetliła jego plecy, kiedy wczołgiwał się między wysokie łądygi, nasłuchując odgłosu łkania.

A potem światło trafiło w cel i Brian ściągnął tatę z Clarissy. Uderzył go. Bił go po głowie, plecach i twarzy latarką z zestawu ratunkowego. Tata krzyczał, skowyczał i jęczał.

Później Brian zobaczył kij.

Przepychałam się i przepychałam przez nieustępliwe granice swojego nieba. Chciałam unieść tatę do góry i zabrać ją do siebie.

Clarissa uciekła, a Brian się zamachnął. Oczy taty napotcały wzrok Briana, ale tata ledwie mógł oddychać.

- Ty skurwysynu! - Brian czarno na białym widział ego winę.

Usłyszałam mamrotanie wśród brudu. Usłyszałam swoje mię. Pomyślałam, że mogłabym skosztować krwi z twarzy iwojego ojca, sięgnąć, żeby przesunąć palcami po jego ozciętych wargach i położyć się z nim w swoim grobie.

W niebie jednak musiałam pozostać obojętna. Nic nie mogłam zrobić - uwięziona w

idealnym świecie. Krew, której skosztowałam, była gorzka. Podobna do kwasu. Pragnęłam uwagi taty, jego miłości. Ale chciałam też, żeby odszedł i mnie zostawił. Ofiarowano mi jedną skromną >ociechę. W pokoju, gdzie zielony fotel był nagrany od ego ciała, zdmuchnęłam tę samotną, mrugającą świecę.

12.

Stałam w pokoju obok jego łóżka i patrzyłam, jak śpi. Jeszcze tej samej nocy historia została rozwikłana i odpowiednio skomponowana. Policja wszystko zrozumiała: pan Salmon oszalał z żalu i ruszył na pole kukurydzy szukać zemsty. Pasowało to do tego, co o nim wiedzieli - uporczywe telefony, obsesja na punkcie sąsiada. Detektyw Fenerman właśnie tego dnia odwiedził moich rodziców, by poinformować, że śledztwo w sprawie morderstwa faktycznie znalazło się w zapaści. Nie było już żadnych tropów, którymi można by pójść. Nie znaleziono ciała.

Chirurg musiał zoperować tacie kolano, żeby zastąpić rzepkę szwem kapciuchowym, który częściowo upośledzał działanie stawu. Kiedy przyglądałam się operacji, myślałam o tym, ile było tego szycia, i miałam nadzieję, że znalazł się w rękach zręczniejszych niż moje. Na lekcjach gospodarstwa domowego byłam kompletnie niezdarna. Stębnówka czy fastryga - wszystko mi się mieszało.

Chirurg był cierpliwy. Kiedy mył i szorował ręce, pielęgniarka zapoznała go z całą historią. Przypomnił sobie, że czytał w gazetach o tym, co mnie spotkało. Był w wieku mojego taty i sam miał dzieci. Zadrzał, kiedy naciągał na dłonie rękawiczki. On i ten mężczyzna byli do siebie tak podobni. I tak bardzo różni.

W ciemnej sali szpitalnej, tuż za łóżkiem taty, blyzczała fluorescencyjna świetlówka. Przed nadejściem świtu było to jedyne światło aż do chwili, gdy weszła moja siostra.

Moja mama, siostra i brat obudzili się przy dźwiękach policyjnych syren i ze swoich sypialni zeszli na dół do ciemnej kuchni.

- Idź obudzić tatę - powiedziała mama do Lindsey. - Nie mogę uwierzyć, że to przespał.

No więc moja siostra poszła na górę. Wszyscy wiedzieli, gdzie go szukać: w ciągu zaledwie sześciu miesięcy zielony fotel stał się jego prawdziwym łóżkiem.

- Taty tu nie ma! - moja siostra wrzasnęła, kiedy tylko zdała sobie z tego sprawę. - Tata zniknął. Mamo! Mamo! Tata zniknął! - To był jeden z tych rzadkich momentów, kiedy Lindsey zachowywała się jak dziecko.

- Cholera! - rzuciła mama.

- Mamusiu? - odezwał się Buckley.

Lindsey pognęła do kuchni. Mama stała twarzą do kuchenki, w pozycji przypominającej znak zapytania; zabrała się do robienia herbaty.

- Mamo - powiedziała Lindsey. - Musimy coś zrobić.

- Nie rozumiesz...? - odparła mama, zastygając na chwilę z pudełkiem herbaty Earl Grey, zawieszonym w powietrzu.

- L*zego.'

Odstawiła pudełko, włączyła palnik i się odwróciła. I wtedy zobaczyła, że Buckley kurczowo przywarł do mojej siostry i nerwowo ssał kciuk.

- Ściągał tego człowieka i wpakował się w kłopoty.

- Powinniśmy wyjść na dwór, mamó - zauważyła Lindsey. - Powinniśmy pójść mu pomóc.

- Nie.

- Mamó, musimy pomóc tacie.

- Buckley, przestań miedlić ten kciuk!

Mój brat wybuchnął gorącymi łzami paniki, a siostra opuściła ramiona, żeby mocniej przyciągnąć go do siebie. Spojrzała na mamę.

- Idę go poszukać - oświadczyła.

- Nie zrobisz niczego takiego - odparła mama. - Wróci do domu w swoim czasie. Nie mieszkamy się w to.

- Mamó - powiedziała Lindsey - a jeżeli stała mu się krzywda?

Buckley przestał płakać na moment odpowiednio długi, by przenieść wzrok z mojej siostry na mamę. Wiedział, co znaczy „krzywda” i kto zniknął z domu.

Mama spojrzała na Lindsey znacząco.

- Nie dyskutujemy o tym więcej. Możesz pójść na górę do swojego pokoju albo zaczekać ze mną na dole. Twój wybór.

Lindsey osłupiała. Wpatrywała się w mamę i wiedziała, czego pragnęła najbardziej: uciec, pobiec na pole kukurydzy, gdzie był tata, gdzie byłam ja, dokąd, jak nagle poczuła, przeniosło się serce naszej rodziny. Ale Buckley stał obok niej zaniepokojony.

- Buckley - zwróciła się do brata - chodźmy na górę. Możesz spać w moim łóżku.

Buckley zaczynał rozumieć: traktują cię w specjalny sposób, a później powiedzą ci coś potwornego.

Kiedy zadzwonili z policji, mama natychmiast podeszła do szafy znajdującej się w przedpokoju.

- Został uderzony naszym własnym kijem bejsbolowym! - powiedziała, chwytając płaszcz, klucze i szminkę.

Moja siostra jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna ani tak odpowiedzialna: Buckleya nie można było zostawić samego, a ona nie umiała nawet prowadzić. Poza tym wszystko było oczywiste. Czyż miejsce żony nie było przy boku męża?

Kiedy Lindsey udało się złapać telefonicznie mamę Nate'a - zamieszanie na polu kukurydzy obudziło całą okolicę - wiedziała, co robi. W następnej kolejności zadzwoniła do Samuela. W ciągu godziny mama Nate'a zjawiała się, żeby zabrać Buckleya, a Hal Heckler podjechał pod nasz dom na swoim motocyklu. To powinno być podniecające - kurczowe trzymanie się wspaniałego starszego brata Samuela, pierwsza w życiu jazda na motorze - ale była w stanie myśleć tylko o naszym tacie.

Mamy nie było w sali szpitalnej, kiedy weszła Lindsey; byliśmy tylko tata i ja. Weszła, stanęła po drugiej stronie łóżka i zaczęła cicho płakać.

- Tatusiu? - zapytała. - Nic ci nie jest, tatusiu?

W drzwiach pojawiła się szczelina. To był Hal Heckler, wysoki przystojniak.

- Lindsey - powiedział - zaczekam na ciebie w poczekalni dla odwiedzających, w razie gdyby trzeba cię było odwieźć do domu.

Zobaczył jej łzy, kiedy się odwróciła.

- Dziękuję, Hal. Jeżeli zobaczysz moją mamę...

- Powiem jej, że tu jesteś.

Lindsey wzięła tatę za rękę i obserwowała jego twarz, czekając na jakieś poruszenie. Dorastała na moich oczach. Słyszałam, jak wyszeptała słowa piosenki, którą śpiewał nam tata, zanim urodził się Buckley:

Śnieg i mróz;

kamień i kość;

nasiona, fasolki, kijanki - dość.

Ścieżki, gałązki, buziaczków worek, serce tatusia z tęsknoty jest chore!

Jego córeczki gdzieś się ukryły.

Wiesz, gdzie się żabusie zawieruszyły?

Tak bardzo chciałam, żeby twarz taty rozjaśniła się w uśmiechu, ale tata był gdzieś daleko; unosił się na fali leków, koszarów i zrywających na nogi snów. Na jakiś czas do czterech narożników jego świadomości znieczulenie przywiązało ołowiane ciężarki. Owinęło go ciasno niby mocna, woskowana płachta, dając błogosławione godziny, podczas których nie było zmarłej córki ani brakującego kolana, nie było też żadnej słodkiej córeczki, szepczącej wierszyki.

- Kiedy umarli skończą z żywymi - powiedziała do mnie Franny - żywi mogą zająć się innymi sprawami.

- A co z umarłymi? - zapytałam. - Czym my się zajmujemy?

Nie odpowiedziała.

Len Fenerman pognął do szpitala, kiedy tylko do niego zadzwonili. Abigail Salmon, powiedziała dyspozytorka, pyta o niego.

Tatę operowano, a mama chodziła tam i z powrotem przy boksie pielęgniarek. Pojechała do szpitala w płaszczu przeciwdeszczowym, mając pod nim tylko cienką letnią nocną koszulę. Na nogi włożyła płaskie pantofle domowe. Nie przejmowała się związaniem włosów, a w kieszeniach ani torebce nie miała żadnej gumki. Na ciemnym, zamglonym parkingu przed szpitalem zatrzymała się, żeby zerknąć do lusterka, i wprawną ręką nałożyła swoją zwykłą czerwoną szminkę.

Na widok Lena nadchodzącego długim białym korytarzem odprężyła się.

- Abigail - odezwał się, gdy znalazł się bliżej.

- Och, Len - odparła. Twarz wykrzywiło jej zaskoczenie z powodu tego, co chciała jeszcze powiedzieć. To imię było wytnieniem, którego potrzebowała. Wszystko, co

nastąpiło później, to już nie były słowa.

Kiedy dłonie Lena i mojej mamy się złączyły, pielęgniarki w swoim boksie odwróciły głowy. Rozciągnęły nad nimi zasłonę prywatności z przyzwyczajenia, jako rzecz oczywistą, ale mimo to zdołały zauważyć, że ten mężczyzna znaczył coś dla tej kobiety.

- Porozmawiajmy w poczekalni dla odwiedzających - zaproponował Len i poprowadził mamę korytarzem.

Po drodze powiedziała mu, że tata był operowany. On poinformował ją, co się zdarzyło na polu kukurydzy.

- Wziął tę dziewczynę za George'a Harveya.

- Myślał, że Clarissa to George Harvey? - Mama pełna niedowierzania stanęła tuż przed poczekalnią.

- Na dworze było ciemno, Abigail. Moim zdaniem widział tylko latarkę tej dziewczynki. Moja dzisiejsza wizyta mu nie posłużyła. Jest przekonany, że Harvey ma z tym coś wspólnego.

- Czy z Clarissa wszystko w porządku?

- Opatrzyli jej zadrapania i puścili do domu. Histeryzowała. Płakała i krzyczała. Co za potworny zbieg okoliczności, że była przyjaciółką Susie.

Hal siedział przygarbiony w ciemnym kącie poczekalni, ze stopami opartymi na kasku, który zabrał dla Lindsey. Kiedy usłyszał zbliżające się głosy, poruszył się gwałtownie.

Zobaczył moją mamę i gliniarza. Pochylił się do przodu i pozwolił, żeby sięgające ramion włosy zakryły mu twarz. Był całkiem pewien, że mama nie będzie go pamiętać.

Ona jednak rozpoznała kurtkę jako należącą do Samuela i w tym momencie pomyślała „Samuel tu jest”, ale potem poprawiła się: „jego brat”.

- Usiądźmy - powiedział Len, wskazując na połączone krzesła w odległym kącie sali.

- Wolałabym pospacerować - odparła mama. - Lekarz mówił, że minie co najmniej godzina, zanim będą mogli nam coś powiedzieć.

- Gdzie?

- Masz papierosy?

- Wiesz, że mam - Len uśmiechnął się z zakłopotaniem. Musiał poszukać jej spojrzenia. Nie skupiało się na nim. Wydawało się czymś zaabsorbowane i żałował, że nie może sięgnąć, pochwycić go i skierować właściwie. Na siebie.

- W takim razie poszukajmy wyjścia.

Znaleźli drzwi prowadzące na betonowy pomost w pobliżu sali taty. Był to pomost techniczny służący do obsługi systemu grzewczego, wąski i upiorny. Hałas i gorące wyziewy mrużące obok hydrantu zamknęły ich w kapsule, która wydawała się bardzo oddalona. Palili papierosy i patrzyli na siebie, jakby nagle i bez przygotowania przeszli do kolejnego etapu znajomości, gdzie zasadnicza kwestia została już postawiona w centrum uwagi.

- Jak umarła twoja żona? - zapytała mama.

- Samobójstwo.

Włosy zakrywały większą część jej twarzy i gdy ją obserwowałam, przypomniła mi się Clarissa w chwilach największego onieśmienia. Sposób, w jaki się zachowywała przy chłopakach, kiedy szliśmy do centrum handlowego. Za bardzo chichotała i strzelała oczyma na boki, żeby sprawdzić, na co patrzą. Ale poraziły mnie też czerwone usta mojej mamy z dotykającym ich i oddalającym się od nich papierosem, z wypływającą z nich smugą dymu. Przedtem widziałam tę mamę tylko raz - na zdjęciu. Ta mama nigdy nas nie urodziła.

- Czemu się zabiła?

- To właśnie pytanie, które zajmuje mnie najbardziej, kiedy nie jestem zajęty sprawami w rodzaju morderstwa twojej córki.

Dziwny uśmiech przebiegł przez twarz mamy.

- Powiedz to jeszcze raz - poprosiła.

- Co? - Len spojrzał na jej uśmiech. Chciał wyciągnąć rękę i końcami palców odnaleźć w kącikach ust jego ślady.

- Morderstwo mojej córki - powiedziała mama.

- Abigail, dobrze się czujesz?

- Nikt tego nie mówi. Nikt w okolicy o tym nie rozmawia. Ludzie nazywają to „potworną tragedią” albo jakoś podobnie. Chcę tylko, żeby ktoś powiedział to głośno. Żeby to zostało głośno powiedziane. Jestem gotowa. Wcześniej nie byłam.

Mama upuściła swojego papierosa na beton i pozwoliła mu się palić. Ujęła twarz Lena w rękę.

- Powiedz to - poprosiła.

- Morderstwo twojej córki.

- Dziękuję.

Obserwowałam te płaskie czerwone usta przesuwające się poza niewidzialną linię, która oddzielała ją od reszty świata. Przyciągnęła Lena do siebie i wolno pocałowała go w usta. Z początku wydawało się, że Len się waha. Jego ciało napięło się, mówiąc NIE, ale to NIE stało się niewyraźne i mgliste, stało się powietrzem wessanym we wlot wentylatora w mruczącym hydrancie obok nich. Rozpięła guziki przeciwdeszczowego płaszczka. On położył rękę na cienkim, prześwitującym materiale jej letniej koszuli.

Mojej mamie nie można się było oprzeć. Jako dziecko widziałam, jak działa na mężczyzn. Kiedy byliśmy w sklepach spożywczych, sprzedawcy zgłaszali się na ochotnika, żeby wyszukać zakupy z jej listy i potem pomagali nam zanieść je do samochodu. Tak jak Ruana Singh - w okolicy była uważana za jedną ze ślicznych mam; każdy napotkany mężczyzna musiał się na jej widok uśmiechnąć, nic nie mógł na to poradzić. Każdym zadany pytaniem podbijała ich serca.

A jednak tylko i wyłącznie mój tata sprawiał, że jej śmiech rozbrzmiewał w pokojach naszego domu i mogła czuć się swobodnie.

Kiedy byłyśmy małe - dzięki dodaniu ekstragodzin tu i tam i rezygnacji z lunchu - tacie udawało się wcześniej wracać z pracy w każdy czwartek. Weekendy były czasem dla rodziny, ten dzień natomiast rodzice nazywali „czasem Mamusi i Tatusia”. Lindsey i ja nazywałyśmy go „czasem grzecznych dziewczynek”. Oznaczało to, że nie mogłyśmy nawet pisać i siedziałyśmy cicho po drugiej stronie domu, używając prawie pustej wówczas kryjówki taty jako pokoju do zabawy.

Mama zaczynała nas przygotowywać około drugiej.

- Czas na kąpiel - śpiewała, jakby mówiła, że możemy wyjść się pobawić. I z początku tak to wyglądało. Wszystkie trzy pędziłyśmy do sypialni i wkładałyśmy szlafroki. Spotykałyśmy się w korytarzu - trzy dziewczyny - a mama brała nas za ręce i prowadziła do naszej różowej łazienki.

Tam mówiła nam o mitologii, której uczyła się w szkole. Lubiła opowiadać historie o Persefonie i Zeusie. Kupiła nam ilustrowane książki o skandynawskich bogach; po ich lekturze miałyśmy koszmary. Mama zrobiła magisterkę z angielskiego - zębami i pazurami walcząc z Babcią Lynn, żeby chodzić do szkoły - i nie zrezygnowała z niewyraźnego pomysłu, żeby uczyć, kiedy my dwie będziemy dość duże, żebyśmy mogły zostawać same w domu.

Czas tych kąpieli - podobnie jak bogowie i boginie - zlewają mi się w jedno. W pamięci utkwiło mi przyglądanie się temu, jak różne sprawy dopadały mamę na moich oczach, a życie, jakiego pragnęła, odpływało od niej falami. Jako pierworodna myślałam, że to ja odebrałam jej wszystkie marzenia o tym, kim chciała być.

Mama najpierw wyjmowała z wanny Lindsey i wycierając ją, słuchała paplania o kaczkach i strupach. Potem wyjmowała z wanny mnie i chociaż starałam się być cicho, ciepła woda rozwiązywała mi język. Obie z siostrą mówiłyśmy mamie o wszystkim, co było dla nas ważne: o chłopcach, którzy się z nami drażnili, i o tym, że pewna rodzina przy naszej ulicy ma szczeniaka i dlatego my też nie możemy mieć. Słuchała nas z powagą, jakby notowała nasze postulaty w bloku stenograficznym, do którego się później odwoła.

- No, wszystko po kolei - podsumowywała. - To oznacza, że teraz musicie się zdrzemnąć.

Razem otulałyśmy Lindsey. Stałam przy łóżku, kiedy mama całowała moją siostrę w czoło i odgarniała jej włosy z twarzy. Zdaje się, że wtedy zaczęło się dla mnie współzawodnictwo. O lepszy pocałunek na dobranoc, dłuższy czas spędzony z mamą po kąpieli.

Na szczęście w tym zawsze wygrywałam. Kiedy teraz spoglądam wstecz, rozumiem, że mama po przeprowadzce do tego domu bardzo szybko zaczęła czuć się samotna.

Ponieważ ja byłam najstarsza, zostałam jej najbliższą przyjaciółką.

Byłam jednak zbyt dziecinna, żeby rozumieć, co naprawdę do mnie mówiła, ale uwielbiałam, kiedy usypiała mnie miękka kołysanka jej słów. Jednym z błogosławieństw mojego nieba jest to, że mogę wrócić do tamtych chwil, przeżyć je jeszcze raz i być z mamą

w sposób wówczas niemożliwy. Wyciągam rękę z Pomędzy i chwytam dłoń mojej młodej samotnej mamy.

Oto, co powiedziała czterolatce o Helenie Trojańskiej: „Drażliwa kobieta, która spieprzyła sprawę”. O Margaret Sanger *: „Osądzono ją na podstawie wyglądu, Susie. Ponieważ wyglądała jak mysz, nikt się nie spodziewał, że wytrwa”. O Glorii Steinem **: „Gdy to mówię, czuję się okropnie, ale chciałabym, żeby skróciła swoje paznokcie”. O naszej sąsiadce: „Idiotka w ciasnych spodniach; zgnębiona przez męża kołtuna; typowa prowincjuszka i lubi wszystkich osądzać”.

- Wiesz, kim jest Persefona? - zapytała mnie któregoś czwartku z nieobecny wyrazem twarzy.

Nie odpowiedziałam. Nauczyłam się być cicho, kiedy prowadziła mnie do mojego pokoju. Czas dla Lindsey i dla mnie był w łazience, kiedy byłyśmy wycierane. Mogłyśmy wtedy mówić o czymkolwiek. W sypialni był czas Mamusi.

Wzięła ręcznik i powiesiła go na wrzecionowatej gałce mojego łóżka z czterema kolumnkami.

- Wyobraź sobie, naszą sąsiadkę, panią Tarking, jako Persefonę - powiedziała. Otworzyła szufladę komody i podała mi majtki. Zawsze wręczała mi rzeczy po jednej, nie chcąc mnie popędząć. Wcześniej rozumiała moje potrzeby. Jeśli wiedziałam, że będę musiała zawiązać sznurowadła, * Margaret Sanger (1883-1966) - rzeczniczka kontroli urodzin. ** Gloria Steinem (1934) - pisarka, feministka.

nie byłam w stanie włożyć skarpet. - Ubrana jest w długą białą szatę jak prześcieradło udrapowane wokół ramion, ale zrobione z jakiegoś ładnie lśniącego albo lekkiego materiału, na przykład jedwabiu. I ma sandały ze złota, i jest otoczona pochodniami, to znaczy blaskiem płomieni...

Podeszła do szuflady po podkoszulek i nieuważnie włożyła mi go przez głowę, zamiast zostawić to mnie. Kiedy mama się w coś zaangażowała, mogłam to wykorzystać - znowu być dzidziusiem. Nigdy nie protestowałam i nie twierdziłam, że jestem dużą dziewczynką, której nie trzeba pomagać. Podczas tych popołudni chciałam słuchać swojej tajemniczej mamy.

Odchyłała sztywną, tkaną w prążki kapę od Searsa, a ja czmychałam pod ścianę, w najdalszy koniec łóżka. Zawsze wtedy spoglądała na zegarek i mówiła: „Tylko na chwilę”, a potem zdejmowała buty i wsuwała się ze mną pod prześcieradła.

Obu nam chodziło o to, żeby się zatracić. Ona zatraciała się w swojej opowieści. Ja zatraciałam się w jej głosie.

Opowiadała mi o matce Persefony, Demeter, albo o Kupidynie i Psyche, a ja słuchałam, dopóki nie zasnęłam. Czasami budziły mnie śmiechy rodziców w pokoju obok albo odgłosy ich późnopołudniowego seksu. Leżałam na wpół śpiąc, na wpół nasłuchując. Lubiłam udawać, że znajduję się w ciepłej ładowni statku z jednej z opowieści, które czytał nam tata, i wyobrażałam sobie, że wszyscy byliśmy na morzu, a fale delikatnie kołysały statkiem na

boki. Śmiech oraz ciche dźwięki zduszonego pojękiwania ponownie wprowadzały mnie do krainy snu.

Kiedy miałam dziesięć lat, a Lindsey dziewięć, ucieczka mojej mamy, jej niepełny powrót do świata zewnętrznego, została udaremniona. Spóźniał jej się okres i wyruszyła na nieuchronną wyprawę samochodem do lekarza. Pod uśmiechem i okrzykami skierowanymi do mnie i siostry kryły się zadry sięgające jej wnętrza. Ponieważ nie chciałam, ponieważ byłam dzieckiem, postanowiłam, że nie pójdę ich śladem. Przyjęłam ten uśmiech jak nagrodę i wkroczyłam do krainy wątpliwości, czy będę siostrą chłopczyka, czy dziewczynki.

Gdybym była bardziej uważna, dostrzegłabym znaki. Teraz widzę zmianę, widzę na stoliku nocnym rodziców, stosy książek z katalogów lokalnych college'ów, encyklopedie mitologii, powieści Jamesa, Eliota i Dickensa - wszystkie ustąpiły miejsca dziełom doktora Spocka. Potem zjawily się książki o ogrodnictwie i książki kucharskie, aż w końcu za idealny prezent na urodziny mamy na dwa miesiące przed swoją śmiercią uznałam „Nowy przewodnik po domach i ogrodach”. Kiedy zdała sobie sprawę, że była trzeci raz w ciąży, starannie ukryła tę bardziej tajemniczą mamę. Trzymana przez lata pod kluczem stłamszona część jej „ja” urosła, a teraz, przy Lenie, zapragnęła wyrwać się, roztrzaskać, zniszczyć, wyrzucić. Zapanowało nad nią ciało, a potem miały być tylko zgliszcza.

Niełatwo mi było być tego świadkiem, ale byłam.

Ich pierwszy uścisk wydawał się pospieszny, niezgrabny, namiętny.

- Abigail - powiedział Len. Dłonie wsunął pod jej płaszcz, obejmując talię; przezroczyista koszula była niczym woal. - Pomyśl o tym, co robisz.

- Zmęczyło mnie myślenie - odparła. Podmuch znajdującego się obok wentylatora unosił jej włosy, tworząc aureolę.

Len zamrugał, patrząc na nią. Cudowna, niebezpieczna, dzika.

- Twój mąż - odezwał się.

- Pocałuj mnie - powiedziała. - Proszę.

Widziałam to błaganie o wyrozumiałość. Ciało miało jej pomóc pokonać czas, żeby ode mnie uciec. Nie potrafiłam jej zatrzymać.

Len mocno ucałował jej czoło i zamknął oczy. Ujęła jego ręce i położyła sobie na piersiach. Szepnęła mu coś do ucha. Wiedziałam, co się dzieje. Wściekłość, strata, rozpacz. Całe utracone życie miotało się na uwięzi, blokując jej ja. Potrzebowała Lena, żeby pozbyć się nieżyjącej córki.

Kiedy się całowali, przycisnął jej plecy do pokrytej tynkiem ściany, a mama trzymała się go tak, jakby za jego pocałunkiem mogło się kryć nowe życie.

Gdy wracałam z gimnazjum do domu, czasami zatrzymywałam się na skraju naszej posiadłości i obserwowałam, jak mama kierowała kosiarką, zataczając pętle między sosnami - tam i z powrotem. Pamiętałam, że rano pogwizdywała, przygotowując sobie herbatę, a tata, spiesząc się do domu w czwartki, przynosił nagietki, na widok których jej twarz rozjaśniał

złocisty uśmiech. Oboje byli kompletnie zakochani - z dala od dzieci moja mama potrafiłaby odtworzyć tę miłość, ale przy mnie, Buckleyu i Lindsey zaczął porwać ją prąd. To tata pochylał się ku nam w miarę upływu lat; mama się odsuwała.

Lindsey zasnęła przy szpitalnym łóżku, trzymając tatę za rękę. Mama, jeszcze niepozobierana, minęła Hala Hecklera w poczekalni dla odwiedzających, a chwilę później to samo zrobił Len. Halowi nie trzeba było niczego więcej. Chwycił swój kask i ruszył w dół korytarza.

Zatrzymał mamę, która po krótkiej wizycie w damskiej toalecie zmierzała w stronę sali taty.

- Jest tu pani córka - powiedział.

Odwróciła się.

- Hal Heckler - oznajmił - brat Samuela. Byłem na nabożeństwie żałobnym.

- A, tak, przepraszam. Nie poznałam cię.

- Nie musiała pani - odparł.

Nastąpiła niezręczna cisza.

- No więc Lindsey do mnie zadzwoniła i przywiozłem ją tu godzinę temu.

- Och.

- Buckley jest z sąsiadką - dodał.

- Och. - Wpatrywała się w niego. To pomagało jej wrócić do rzeczywistości.

- Dobrze się pani czuje?

- Jestem trochę zdenerwowana... to chyba zrozumiałe, prawda?

- Całkowicie - powiedział powoli. - Chciałem tylko panią zawiadomić, że córka jest tam z pani mężem. Będę w poczekalni dla odwiedzających, gdyby mnie pani potrzebowała.

- Dziękuję - odparła. Patrzyła, jak Hal się odwraca, i zastygła na moment, wsłuchując się w odgłos zdartych obcasów motocyklowych butów rozbrzmiewający echem na wyłożonym linoleum korytarzu.

Wzięła się w garść, otrząsnęła i wróciła na swoje miejsce, ani przez sekundę nie domyślając się, że w tym właśnie celu Hal ją zatrzymał.

W sali było teraz ciemno; fluorescencyjne światło za tatą mrugało tak słabo, że rozjaśniało tylko najbardziej oczywiste kształty w pokoju. Moja siostra siedziała na krześle, z głową opartą na brzegu łóżka; wyciągniętą ręką dotykała taty, który spał głęboko, leżąc na plecach. Mama nie mogła wiedzieć, że byłam tam z nimi, że była tu cała nasza czwórka, tak bardzo zmieniona od czasu, kiedy pakowała Lindsey i mnie do łóżka i szła kochać się ze swoim mężem, a naszym ojcem. Teraz zobaczyła, że moja siostra i tata stali się całością. Cieszyło ją to.

Dorastając, bawiłam się z mamą w chowanego - szukałam jej miłości i zabiegałam o jej uwagę i aprobatę w sposób, w jaki nigdy nie musiałam tego robić z tatą.

Kiedy mama stała w ciemnym pokoju i obserwowała moją siostrę i tatę, zrozumiałam, że

nie muszę się już bawić w chowanego. Pojęłam coś, co wiązało się z niebem. Miałam wybór, mogłam w głębi serca nie dzielić własnej rodziny.

Późno w nocy powietrze nad szpitalami i domami spokojnej starości często gęstniało od spieszących się dusz. Holly i ja obserwowałyśmy je niekiedy, gdy nie mogłyśmy zasnąć. Zaczęłyśmy zdawać sobie sprawę, że te śmierci sprawiały wrażenie podlegających pewnej choreografii, narzucanej skądś z daleka. Nie z naszego nieba. Nabralyśmy podejrzeń, że istniało gdzieś miejsce bardziej wszechogarniające niż to, w którym byłyśmy.

Franny czasami przychodziła popatrzeć razem z nami.

- To jedna z moich sekretnych przyjemności - przyznała. - Po wszystkich tych latach wciąż uwielbiam patrzeć na dusze, które tłumnie unoszą się i wirują, natychmiast podnosząc w powietrzu wrzawę.

- Nic nie widzę - powiedziałam za pierwszym razem.

- Patrz uważnie - odparła - i bądź cicho.

Ja jednak poczułam je, zanim zobaczyłam ciepłe iskierki wzdłuż ramion. A potem już tam były... świetliki rozjaśniające się i rozrastające z jękiem, wirujące w chwili opuszczania ludzkiego ciała.

- Jak płatki śniegu - zauważyła Franny. - Każdy inny, a jednak każdy, z naszego punktu widzenia, dokładnie taki sam jak pozostałe.

Po powrocie do gimnazjum jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego, Lindsey była nie tylko siostrą zamordowanej dziewczynki, ale też dzieckiem „świra”, „psychola”, „pomyleńca” i to drugie bolało ją bardziej, ponieważ nie było prawdą.

Plotki, które Lindsey i Samuel usłyszeli w pierwszych tygodniach roku szkolnego, pełzały tam i z powrotem między rzędami uczniowskich szafek, niczym najbardziej uparte węże. Teraz ich zwoje rozrosły się na tyle, by wciągnąć Briana Nelsona i Clarissę, którzy, na szczęście, przeszli w tym roku do liceum. W Fairfax Brian i Clarissa trzymali się razem, wykorzystując to, co ich spotkało. Poniżenie mojego taty dawało im poczucie wyjątkowości, więc wciąż od nowa rozpowiadali po szkole, co stało się tamtej nocy na polu kukurydzy.

Ray i Ruth przechodzili wzdłuż szklanej ściany odgradzającej wewnętrzne podwórze. Na sztucznych kamieniach, gdzie siadała rzekoma łobuzeria, widywali Briana w otoczeniu dworu. W tym roku jego chód przypominający niespokojne podskakiwanie stracha na wróble zmienił się w wyniosły, męski krok. Clarissa, chichocząc jednocześnie ze strachu i pożądania, obnażyła swoją prywatność i przespała się z Brianem. Chociaż odbywało się to bez planu, wszyscy, których znałam, dorastali.

Buckley poszedł w tym roku do przedszkola i natychmiast zadurzył się w swojej nauczycielce, pannie Koekle. Tak delikatnie trzymała jego rękę, kiedy musiała zaprowadzić go do łazienki albo gdy pomagała wyjaśnić zadanie, że nabierała w jego oczach nieodpartego uroku. W pewien sposób na tym zyskał - często ukradkiem dawała mu dodatkowe ciastko lub bardziej miękką poduszkę do siedzenia - ale trzymało go to też z dala od kolegów w przedszkolu. Moja śmierć wyróżniła go spośród jedynej grupy - dzieci - w której mógł pozostać anonimowy.

Samuel odprowadzał Lindsey, a potem szedł do głównej drogi i autostopem zabierał się do warsztatu Hala. Liczył, że kumple brata go rozpoznają, i docierał do celu najróżniejszymi motorami i ciężarówkami składakami, które Hal regulował, gdy kierowca dojechał na miejsce.

Od jakiegoś czasu nie wchodził do nas do domu. Nie wchodził tu nikt oprócz rodziny. W październiku tata dopiero zaczynał wstawać i kręcić się po domu. Lekarze powiedzieli mu, że prawa noga pozostanie sztywna, ale jeśli będzie ćwiczył i zachowa giętkość, nie przysporzy większych kłopotów. „Żadnych biegów do bazy, ale wszystko inne owszem” - stwierdził chirurg tego ranka po operacji, gdy tata obudził się, żeby znaleźć obok siebie Lindsey i mamę stojącą przy oknie, zapatrzoną na parking.

Pławiący się w blasku panny Koekle Buckley prosto spod jej skrzydeł trafił do serca taty. Niemordowanie zadawał pytania o „fałszywe kolano” i rozgrzewał mu duszę.

- To kolano pochodzi z kosmosu - mawiał tata. - Na ziemię przywieziono kawałki księżycy, wyrzeźbiono i teraz używa się ich do takich rzeczy.

- Jeju - mówił Buckley z szerokim uśmiechem. - Czy Nate będzie mógł je zobaczyć?

- Niedługo, Buck, niedługo - stwierdzał tata. Ale jego uśmiech bladł.

Kiedy Buckley przedstawiał te rozmowy mamie - „Kolano Tatusia jest zrobione z kości księżycy”, opowiadał, albo „Panna Koekle powiedziała, że moje kolory były naprawdę dobre” - kiwała głową. Zaczęła mieć świadomość swoich działań. Kroiła marchew i selery na kawałki odpowiednie do zjedzenia. Myła termosy i pudełka śniadaniowe, a kiedy Lindsey stwierdziła, że jest za duża na pudełko śniadaniowe, mama złapała się na tym, że była naprawdę szczęśliwa, gdy odkryła woskowane torebki, które miały nie dopuścić do tego, żeby śniadanie jej córki kapało i plamiło ubrania. Które prała. Które składała. Które, w miarę potrzeby, prasowała i rozwieszała na wieszakach. Które podnosiła z podłogi i odnajdowała w samochodzie albo wyplątywała z mokrego ręcznika zostawionego na łóżku. Które co rano ścieliła, upychając rogi prześcieradła, strzepując poduszki i prostując pluszowe zwierzaki, a potem otwierała żaluzje, żeby wpuścić światło.

A kiedy dopadał ją Buckley, często dokonywała swoistej wymiany - skupi się na nim przez parę minut, a potem pozwoli sobie odpłynąć z domu i pomyśleć o Lenie.

W listopadzie tata opanował coś, co nazywał „zręcznym kuśtykaniem”. Za namową Buckleya wykonywał krzywy skok, który rozśmieszał jego syna; dlatego nie zastanawiał się nad tym, jak dziwnie i rozpaczliwie mógł wyglądać dla kogoś z zewnątrz czy dla swojej mamy. Wszyscy oprócz Buckleya wiedzieli, co się zbliża: pierwsza rocznica.

Mój brat i tata spędzali rześkie jesienne popołudnia z Holidayem na ogrodzonym podwórzu. Tata siedział na starym żelaznym krześle ogrodowym, z nogą wyciągniętą przed siebie i opartą na pretensjonalnym koźle do butów, kupionym przez Babcie Lynn w sklepie z ciekawostkami w Marylandzie.

Buckley rzucał piszczącą krowę, a Holiday gnał za nią na łeb na szyję. Tatę cieszyło sprawne ciało jego pięcioletniego syna i salwy śmiechu, kiedy Holiday zbijał Buckleya z nóg i trącał go nosem albo lizał mu twarz długim różowym językiem. Ale nie mógł się pozbyć jednej myśli: że to - ten idealny chłopiec - mogło mu zostać odebrane.

Kombinacja wielu rzeczy, wśród których jego obrażenia grały niepoślednią rolę, zmusiła tatę, żeby został w domu na przedłużonym zwolnieniu. Szef zachowywał się teraz w stosunku do niego inaczej niż zwykle, tak samo współpracownicy. W biurze taty stąpali delikatnie i zatrzymywali się kilka stóp od jego biurka, jakby zbyt swoboda w jego towarzystwie mogła sprawić, że to, co mu się przydarzyło, przydarzy się także im - jakby śmierć dziecka była zaraźliwa. Nikt nie rozumiał, jakim cudem tata mógł robić to, co robił, a jednocześnie wszyscy chcieli, żeby ukrył oznaki żałoby - umieścił je w jakiejś teczce i wetknął gdzieś do szuflady, o której otwarcie nikt nigdy by nie poprosił. Tata dzwonił regularnie do biura, a szef chętnie zgadzał się na kolejny tydzień zwolnienia, kolejny miesiąc, jeśli byłoby to konieczne. Tata uznał, że to nagroda za to, iż zawsze przychodził na czas albo chętnie pracował do późna. W każdym razie trzymał się z daleka od pana Harveya i starał się nawet nie myśleć o

nim. Nie wymieniał jego nazwiska poza swoim notesem, który trzymał w ukryciu w gabinecie, gdzie moja mama zaskakująco chętnie zgodziła się więcej nie sprzątać. Tata przeprosił mnie w swoich notatkach. „Muszę odpocząć, kochanie” - napisał. „Muszę się zorientować, jak się do tego człowieka dobrać. Mam nadzieję, że to zrozumiesz”.

Ustalił, że wróci do pracy drugiego grudnia, zaraz po Święcie Dziękczynienia. Chciał pojawić się w biurze przed rocznicą mojego zniknięcia. Funkcjonować i nadganiać robotę - w miejscu najbardziej publicznym i wymagającym największego skupienia, jakie potrafił wymyślić. I z dała od mojej mamy, jeśli miał być ze sobą szczerzy.

Jak znów się do niej zbliżyć, jak do niej dotrzeć? Ona się odsuwała, oddalała - cała jej energia skierowana była przeciw rodzinie, a jego energia skupiała się właśnie na domu. Poprzestał na odbudowywaniu swojej siły i wymyślaniu strategii pozwalającej wytropić pana Harveya. Obarczenie kogoś winą było łatwiejsze niż dodawanie piętrzących się strat.

Babcia Lynn miała przybyć na Święto Dziękczynienia i Lindsey przestrzegwała upiększającego reżimu, który babcia ustaliła dla niej listownie. Czowała się głupio, kiedy pierwszy raz położyła na powiekach plasterki ogórka (żeby zmniejszyć opuchliznę) albo nałożyła płatki owsiane na twarz (żeby oczyścić pory i pozbyć się nadmiaru tłuszczu) czy żółtka na włosy (żeby błyszcząły). Tego rodzaju wykorzystanie produktów spożywczych rozśmieszyło mamę, a potem zaczęła się zastanawiać, czy sama także nie powinna zacząć się upiększać. Ale trwało to tylko przez chwilę, bo myślała o Lenie. Nie żeby była w nim zakochana, lecz dlatego że przebywanie z nim stanowiło najszybszy znany jej sposób na zapomnienie.

Dwa tygodnie przed przyjazdem Babci Lynn Buckley i tata byli na podwórzu z Holidayem. Buckley i Holiday baraszkowali w stosach lśniących dębowych liści, zajęci coraz bardziej entuzjastycznym berkiem.

- Uważaj, Buck - stwierdził tata. - Holiday cię w końcu chapnie. - Pewnie, że by chapnął.

Tata powiedział, że chciałby czegoś spróbować.

- Musimy zobaczyć, czy twój stary tata da radę znów ponosić cię na barana. Niedługo będziesz za duży.

Niewprawnie, w cudownym odosobnieniu na podwórzu, gdzie w razie upadku taty zobaczyliby to tylko kochający go chłopiec i pies, ich dwójka wspólnie pracowała nad tym, czego obaj pragnęli - powrotem do normalności w stosunkach ojciec-syn. Buckley stanął na żelaznym krześle. „Teraz wskakuj mi na plecy”, powiedział tata i pochylił się do przodu, nie wiedząc, czy będzie miał siłę, żeby go nieść, a ja z całej siły zacisnęłam w niebie kciuki i wstrzymałam oddech. Na polu kukurydzy też, owszem, ale przede wszystkim w tym momencie - podczas prób naprawy najbardziej podstawowej tkanki wzajemnych powiązań, gdy rzucał wyzwanie swojej niemocy, żeby odzyskać chwile takie jak ta - tata stał się dla mnie bohaterem.

- Schył się, teraz znowu się schył - powtarzał, gdy w radosnych podskokach przemknęli

przez drzwi na dole i w górę po schodach. Pokonanie każdego stopnia było walką o zachowanie równowagi, walką z bólem wykrzywiającym twarz. A jednak widok Holidaya gnającego za nimi i radość Buckleya podskakującego na swoim wierzchołku pozwoliły zrozumieć mojemu tacie, że rzucając wyzwanie własnym siłom, postąpił właściwie.

Kiedy obaj z Buckleyem - i psem - przydybali Lindsey w łazience na górze, jęknęła z głośną pretensją.

- Tatoooo!

Tata się wyprostował. Buckley wyciągnął rękę i dotknął oprawy żarówki.

- Co robisz? - odezwał się tata.

- A jak myślisz?

Siedziała na zamkniętej desce sedesowej owinięta dużym, białym ręcznikiem (jednym z ręczników, które moja mama wybielała, wieszala na sznurze do wyschnięcia, składała i umieszczała w koszu, a potem zanosila do szafy z pościelą...). Lewą nogę, opartą na brzegu wanny, miała pokrytą kremem do golenia. W ręku trzymała golarkę taty.

- Nie bądź taka drażliwa.

- Przepraszam - moja siostra wbiła wzrok w podłogę. - Chcę tylko odrobinę prywatności, to wszystko.

Tata uniósł Buckleya i przełożył nad głową.

- Błat, błat, synu - powiedział, a Buckley z dreszczem rozkoszy skorzystał z nielegalnego przystanku w połowie drogi, na łazienkowym blacie; jego zabłocone stopy zabrudziły kafle.

- A teraz zeskakuj.

Zeskoczył. Holiday sprowadził go do parteru.

- Jesteś za młoda, żeby golić nogi, kochanie - zauważył tata.

- Babcia Lynn zaczęła się golić, kiedy miała jedenaście lat.

- Buckley, pójdiesz do swojego pokoju i zabierzesz psa? Zaraz przyjdę.

- Tak, tato.

Buckley był wciąż małym chłopcem, którego tata mógł, przy odrobinie cierpliwości i dyplomacji, posadzić sobie na ramionach, żeby mogli być typowym ojcem i synem. Zobaczył jednak coś, co sprawiło mu podwójny ból. Ja byłam dziewczyneczką w wannie, dzieciaczkiem, którego podnosi się do umywalki, dziewczynką, która na zawsze zatrzymała się tuż przed zajęciem miejsca w pozycji, w jakiej siedziała teraz moja siostra.

Kiedy Buckley wyszedł, tata skupił uwagę na Lindsey. Zadba o obie córki, troszcząc się o jedną z nich:

- Jesteś ostrożna? - zapytał.

- Dopiero zaczęłam - odparła Lindsey. - Chciałabym zostać sama, tato.

- Czy używasz tego ostrza, które było w golarce, gdy wyciągałaś ją z mojego zestawu do golenia?

- Tak.

- Szczecina na brodzie tępi ostrze. Dam ci nowe.

- Dzięki, tato - powiedziała moja siostra i znów była jego słodką, noszoną na barana Lindsey.

Wyszedł z łazienki i przeszedł korytarzem na drugą stronę domu do głównej łazienki, którą wciąż dzielili z mamą, chociaż już nie sypiali w jednym pokoju. Kiedy sięgnął do szafki po paczkę świeżych żyłek, poczuł, że pęka mu serce. Zignorował to i skupił się na zadaniu. Potem zjawiała się przelotna myśl: *Abigail powinna to robić.*

Przyniósł ostrza, pokazał Lindsey, jak je zmieniać, i dał jej kilka wskazówek, jak najlepiej się golić.

- Uważaj na kostkę i kolano - ostrzegł ją. - Twoja mama zawsze nazywała je niebezpiecznymi miejscami.

- Możesz zostać, jeżeli chcesz - zaproponowała, teraz gotowa wyrazić zgodę. - Ale może z tego wyniknąć krwawa łaźnia. - Zapragnęła sobie przyłożyć. - Przepraszam, tato - dodała. - Czekał, przesunę się, a ty siadaj.

Wstała i podeszła do wanny, żeby usiąść na jej brzegu. Odkręciła wodę, a tata zajął miejsce na klapie sedesu.

- W porządku, kochanie - powiedział. - Kawał czasu nie rozmawialiśmy o twojej siostrze.

- Komu to potrzebne? - odparła Lindsey. - Wszędzie jej pełno.

- Z twoim bratem chyba wszystko w porządku.

- Klei się do ciebie.

- Tak - potwierdził i zdał sobie sprawę, że lubi tę ojcoprzylepność, którą uprawiał jego syn.

- Auć - syknęła Lindsey, a mała strużka krwi zaczęła rozlewać się w białej pianie kremu do golenia. - Kompletna klęska.

- Przyciśnij brzeg ranki kciukiem. To powstrzyma krwawienie. Możesz skończyć na kolanie - zaproponował. - Twoja mama tak robi, chyba że idziemy na plażę.

Lindsey zastygła.

- Nigdy nie chodźcie na plażę.

- Kiedyś chodziliśmy.

Mój tata poznał mamę podczas letnich wakacji w college[^] kiedy oboje pracowali u Wanamakera. Właśnie wygłosił paskudny komentarz, jak to pokój dla pracowników cuchnie papierosami, kiedy uśmiechnęła się i wyciągnęła swoją, wówczas nieodłączną, paczkę pall maili. „Punkt dla mnie”, powiedziała, a on został obok niej mimo odoru papierosów, spowijającego go od stóp do głów.

- Próbowałam dojść, do kogo jestem podobna - oznajmiła Lindsey. - Do Babci Lynn czy do mamy.

- Zawsze uważałem, że obie, ty i twoja siostra, wyglądacie jak moja matka - oświadczył.

- Tato?

- Tak.

- W dalszym ciągu jesteś przekonany, że pan Harvey miał z tym coś wspólnego?

Tarcie odniosło skutek - w końcu przeskoczyła iskra.

- W duchu nie mam żadnych wątpliwości, kochanie. Żadnych.

- W takim razie dlaczego Len go nie aresztuje?

Niedbale przeciągnęła golarką w górę i skończyła z pierwszą nogą. Zatrzymała się teraz w oczekiwaniu.

- Sam chciałbym to wiedzieć - wymknęło mu się. Nigdy z nikim nie mówił otwarcie o swoich podejrzeniach. - Kiedy tamtego dnia spotkałem go na podwórzu i budowaliśmy ten namiot... twierdził, że robi to dla swojej żony, która moim zdaniem miała na imię Sophie, ale Len zapisał, że Leah... w jego ruchach było coś takiego, że zyskałem pewność.

- Wszyscy uważają, że jest trochę dziwny.

- To prawda - powiedział tata. - Ale nikt nie miał z nim wiele do czynienia. Ludzie nie wiedzą, czy jego dziwność jest z rodzaju łagodnych, czy nie.

- Łagodnych?

- Nieszkodliwych.

- Holiday go nie lubi - podsunęła Lindsey.

- No właśnie. Nigdy nie widziałem, żeby ten pies tak zawzięcie szczekał. Tamtego ranka sierść na grzbiecie po prostu mu stała.

- Ale gliny uważają, że ześwirował.

- „Brak dowodów”, mówią tylko tyle. Bez dowodów i bez... przepraszam, kochanie... ciała, nie mają się czego chwycić i nie ma podstaw do aresztowania.

- A co by było podstawą?

- Chyba coś, co by go łączyło z Susie. Gdyby ktoś go widział na polu kukurydzy albo chociaż czającego się w pobliżu szkoły. Coś w tym rodzaju.

- Albo gdyby miał coś, co do niej należało?

Tata i Lindsey rozmawiali z ożywieniem - druga noga Lindsey namydłona, ale wciąż nieogolona - ponieważ ich zainteresowanie wywołało przebłysk świadomości, że byłam gdzieś w tamtym domu. Moje ciało - w piwnicy, na parterze, pierwszym piętrze albo na poddaszu. Żeby nie dopuścić do siebie tej potwornej myśli - lecz, gdyby to była prawda, jakże dobitnej, idealnej, rozstrzygającej jako dowód - wspomnieli, w co byłam tego dnia ubrana i przypomnieli sobie, co wzięłam ze sobą: gumkę Frito Bandito, którą lubiłam, znaczek z Davidem Cassidym, przypięty wewnątrz torby, i ten z Davidem Bowie, przymocowany na wierzchu. Wymienili wszystkie śmieci i przybory, które mogły się znajdować w pobliżu najlepszego, najbrzydliwszego dowodu, jaki dałoby się znaleźć - moich pociętych zwłok, moich pustych, gnijących oczu.

Moje oczy; makijaż, który zrobiła Babcia Lynn, stanowił pewną pomoc, ale nie rozwiązał problemu. Ile z moich oczu można było dostrzec w oczach Lindsey? Gdy widziała moje

spojrzenie - puderniczka błyskała w jej stronę, kiedy korzystając z niej dziewczyna w sąsiedniej ławce albo w sklepowym oknie pojawiało się niespodziewane odbicie - odwracała wzrok. Podczas tej rozmowy zdała sobie sprawę, że dopóki jej temat dotyczył pana Harveya, mojego ubrania, torby z książkami, mojego ciała, mnie, wracanie wspomnieniem do mojej osoby powodowało, iż tata widział ją jako Lindsey, a nie tragiczną kombinację swoich dwóch córek.

- Więc chciałbyś się dostać do jego domu? - spytała.

Wpatrywali się w siebie, nagle pojawiła się świadomość niebezpieczeństwa, z którym wiązał się ten pomysł. Tata zawahał się, zanim w końcu odparł, że to by było nielegalne i że nie myślał o tym. Wiedziała, że kłamał. Wiedziała też, że potrzebował kogoś, kto by to dla niego zrobił.

- Powinnaś dokończyć golenia, kochanie - powiedział.

Zgodziła się z nim i odwróciła, rozumiała, co musi zrobić.

Babcia Lynn zjawiała się w poniedziałek przed Świętem Dziękczynienia. Jej laserowe oczy, które natychmiast wykrywały wszystkie niedostrzegalne wypryski u mojej siostry, zauważyły teraz coś w uśmiechu swojej córki, coś w łagodnych, płynnych ruchach i w reakcji jej ciała na każdorazowe pojawienie się detektywa Fenermana albo policji.

Kiedy moja mama wieczorem po kolacji nie chciała skorzystać z pomocy taty przy sprzątanii, laserowe oczy zyskały pewność. Ku zdumieniu wszystkich zebranych przy stole i ku uldze mojej siostry Babcia Lynn oświadczyła:

- Abigail, pomogę ci posprzątać. Jak to matka córce.

- Co?

Moja mama założyła, że bez trudu wcześniej pozbędzie się Lindsey i spędzi resztę wieczoru nad zlewem - będzie zmywać talerze i wpatrywać się w okno, aż ciemność osłoni jej własne odbicie. Dźwięki telewizora ucichłyby z czasem i znów byłaby sama.

- Wczoraj pomalowałam paznokcie - powiedziała Babcia Lynn, kiedy zawiązała fartuch na swojej rozszerzanej sukience wielbłądziego koloru - więc powycieram.

- Mamo, naprawdę. To nie jest konieczne.

- Owszem, konieczne, wierz mi, kochanie - odparła babcia. W tym „kochanie” było coś szorstkiego i rzeczowego.

Buckley wziął tatę za rękę i zaprowadził do przyległego pokoju, gdzie stał telewizor. Zajęli swoje miejsca, a Lindsey, po uzyskaniu tymczasowego zwolnienia, poszła na górę zadzwonić do Samuela.

Dziwnie było na to patrzeć. Moja babcia, w fartuchu, dzierżąca w dłoni ścierkę, niczym matador czerwoną flagę, w oczekiwaniu na zbliżający się do niej pierwszy talerz.

Obie pracowały w ciszy - słychać było tylko plusk gorącej wody, w której mama zanurzała ręce, zgrzytanie naczyń i szczękanie sztućców - i milczenie sprawiło, że napięcie wypełniające pomieszczenie stało się nieznośne. Odgłosy meczu dochodzące z pobliskiego

pokoju wydały mi się równie dziwne. Mój tata nigdy nie oglądał futbolu; interesował się tylko koszykówką. Babcia Lynn nigdy nie zmywała naczyń; jej broń z wyboru stanowiły mrożone dania i posiłki na wynos.

- O Chryste - odezwała się w końcu. - Weź to. - Z powrotem wręczyła mojej mamie dopiero co umyty talerz. - Chcę, żeby to była prawdziwa rozmowa, ale boję się, że potłukę te rzeczy. Chodźmy się przejść.

- Mamo, muszę...

- Musisz się przejść.

- Po zmywaniu.

- Posłuchaj - powiedziała babcia - wiem, że jestem, kim jestem, i wiem, że ty nie jesteś mną, co cię uszczęśliwia, ale rozumiem pewne sprawy, kiedy je widzę, i wiem, że dzieje się coś niekoszernego. *Capisce?*

Mama się zawahała. Na jej twarzy rysowały się niezdecydowanie i uległość - była prawie tak miękka i chwiejna jak jej odbicie unoszące się na brudnej wodzie w zlewie.

- Co?

- Mam podejrzenia i tutaj nie chcę o nich mówić. *Dziesięć cztery, Babciu Lynn*, pomyślałam. Nigdy wcześniej nie widziałam jej zdenerwowanej.

Bez trudu udało im się wyjść z domu. Tata ze swoim kolanem w życiu by nie pomyślał, żeby się do nich przyłączyć, a w tamych dniach mój brat Buckley podążał za nim krok w krok.

Mama milczała. Nie widziała innego wyjścia. Po namyśle odjęły w garażu fartuchy i położyły je na dachu mustanga. Vlana schyliła się i podniosła drzwi garażu.

Wciąż jeszcze było dość wcześnie, więc na razie miało m towarzyszyć światło dzienne.

- Mogłybyśmy zabrać Holidaya - spróbowała mama.

- Tylko ty i twoja matka - odparła babcia. - Para lajbardziej przerażająca z możliwych.

Nigdy nie były ze sobą blisko. Obie o tym wiedziały, ale rzadko dopuszczały tę myśl do świadomości. Żartowały na ten temat jak dwójka dzieci, które niezbyt się lubią, lecz są jedynymi dziećmi na rozległym, opustoszałym terenie. Moja babcia zawsze pozwalała swojej córce uciekać z dowolnie wybraną szybkością w dowolnie wybranym kierunku, teraz jednak odkryła, że bez żadnych wcześniejszych prób nagle ją dogania.

Gdy minęły O'Dwyerów i zbliżały się do Tarkingów, babcia wreszcie powiedziała, co miała do powiedzenia.

- Poczucie humoru pozwoliło mi przejść nad tym do porządku - oznajmiła. - Twój ojciec miał wieloletni romans w New Hampshire. Imię tej kobiety zaczynało się na F i nigdy się nie dowiedziałam, jak brzmiało. Przez dwa lata wymyślałam z tysiąc opcji.

- Mamo?

Babcia szła dalej. Nie odwróciła się. Odkryła, że rześkie jesienne powietrze pomagało, napelniając jej płuca, aż stały się czystsze niż kilka minut wcześniej.

- Wiedziałaś o tym?

- Nie.

- Chyba nigdy ci nie powiedziałam. Uważałam, że nie musisz wiedzieć. Teraz musisz, nie sądzisz?

- Nie jestem pewna, dlaczego mi to mówisz.

Doszły do zakrętu, który okrężną drogą zaprowadziłby je z powrotem. Gdyby poszły tamtędy, w końcu znalazłyby się przed domem pana Harveya. Mama zamarła.

- Moje biedne, biedne maleństwo - powiedziała babcia. - Daj mi rękę.

Czuły się zażenowane. Mama mogłaby policzyć na palcach, ile razy jej wysoki ojciec pochylał się nad nią i całował ją, gdy była dzieckiem. Drapiąca broda pachniała wodą kolońską, której, mimo lat poszukiwań, nigdy nie udało się jej zidentyfikować. Kiedy szły w drugą stronę, babcia trzymała mamę za rękę.

Weszły na teren, który, jak się zdawało, zasiedlały coraz o nowe rodziny. Znajdowały się tam domy „kotwiczne”. Jamiętam, że mama tak je nazywała, bo stały wzdłuż ulicy prowadzącej do całego osiedla - łączyły je z pierwotną irogą, zbudowaną, zanim okręg administracyjny stał się)kręgiem. Droga wiodła do Valley Forge, do George'a Washingtona i rewolucji.

- Śmierć Susie przywiodła mi na myśl twojego ojca - liągnęła babcia. - Nigdy nie pozwoliłam sobie na należytą:alobę po nim.

- Wiem - odparła mama.

- Masz mi to za złe?

Moja mama się zawahała.

- Tak.

Babcia poklepała grzbiet maminej dłoni wolną ręką.

- I dobrze, to, widzisz, samorodek.

- Samorodek?

- Coś, co wychodzi z tego wszystkiego. Ty i ja. Samoodek prawdy między nami.

Minęły jednoakrowe działki, na których od dwudziestu at rosły drzewa. Jeśli nawet nie były wysokie jak wieże, to tak dwa razy większe niż mężczyźni, którzy je kiedyś adzili i udeptywali ziemię wokół nich swoimi niedzielnymi lutami.

- Wiesz, jaka samotna zawsze się czułam? - zapytała tiana.

- Dlatego właśnie spacerujemy, Abigail - odparła Babia Lynn.

Mama patrzyła przed siebie, ale dzięki uściskowi ręki ©została w kontakcie z matką. Pomyślała o swoim samolym dzieciństwie. O tym, że kiedy obserwowała, jak jej córki zawiązują sznurek między papierowymi kubkami i idą do oddzielnych pokoi, żeby szeptać sobie sekrety, tak naprawdę nie mogła powiedzieć, że wie, co czują. Z nią nie było w domu nikogo oprócz matki i ojca, a potem ojciec zniknął.

Wpatrywała się w czubki drzew - najwyższe punkty znajdujące się w odległości wielu mil

od naszych domów. Drzewa rosły na wysokim wzgórzu, którego nigdy nie oczyszczono pod zabudowę i gdzie wciąż mieszkało kilku starych farmerów.

- Nie potrafię opisać tego, co czuję - powiedziała. - Nikomu. - Dotarli do końca osiedla dokładnie w chwili, gdy słońce zachodziło za wzgórze, które miały przed sobą. Mijały minuty i żadna z nich się nie odwracała. Mama obserwowała ostatnie błyski światła, migające w wyschniętej kałuży na końcu drogi. - Nie wiem, co robić - dodała. - Teraz wszystko się skończyło.

Babcia nie była pewna, co miała na myśli, mówiąc „wszystko”, ale nie naciskała.

- Czy nie powinniśmy się cofnąć? - zaproponowała.

- Jak? - zapytała mama.

- Do domu, Abigail. Wracać do domu.

Odwróciły się i zaczęły iść z powrotem. Domy o identycznym rozkładzie, jeden za drugim. Tylko to, co babcia nazywała w myślach akcesoriami, odróżniało je od siebie. Nigdy nie rozumiała takich miejsc - miejsc jak to, w którym postanowiło zamieszkać jej własne dziecko.

- Kiedy dotrzemy do zakrętu - oznajmiła mama - chcę przejść obok.

- Jego domu?

- Tak.

Przyglądałam się, jak Babcia Lynn skręca, gdy skręciła moja mama.

- Czy obiecasz mi, że więcej nie spotkasz się z tym mężczyzną? - zapytała babcia.

- Z kim?

- Z tym mężczyzną, z którym się związałaś. O tym właśnie mówiłam.

- Nie jestem z nikim związana - odparła mama. Jej myśli przeskakiwały z tematu na temat jak ptak z jednego dachu na następny. - Mamo? - odezwała się i odwróciła.

- Abigail?

- Czy gdybym potrzebowała na chwilę się wyrwać, mogłabym skorzystać z domku taty?

- Czy ty mnie słuchałaś?

Poczuły w powietrzu jakiś zapach i znów niespokojny, ruchliwy umysł mojej mamy wykonał przeskok.

- Ktoś pali - zauważyła.

Babcia Lynn wpatrywała się w swoje dziecko. Pragmatyczna, staranna pani domu, jaką zawsze była moja mama, zniknęła. Stała się roztargniona i nerwowa. Babcia nie miała jej już nic do powiedzenia.

- Zagraniczne papierosy - stwierdziła mama. - Chodźmy w tamtą stronę!

I w słabnącym świetle oszołomiona babcia zobaczyła, że mama rusza śladem zapachu.

- Ja wracam - oznajmiła.

Mama jednak szła dalej.

Znalazła źródło dymu stosunkowo szybko. To była Ruana Singh, stojącą za wysoką jodłą

na swoim podwórzu.

- Halo - odezwała się mama.

Pomyślałam, że Ruana mogłaby się przestraszyć, ale nie. Zachowała wypraktykowany spokój. Potrafiła utrzymać równy oddech podczas najbardziej wstrząsającego wydarzenia - nawet gdy jej syn został oskarżony przez policję o morderstwo albo gdy jej mąż prowadził wieczorne przyjęcie, jakby chodziło o spotkanie komitetu uczelnianego. Powiedziała Rayowi, że może pójść na górę, a potem wymknęła się tylnymi drzwiami i nikt za nią nie tęsknił.

- Pani Salmon? - upewniła się Ruana. Otaczał ją ciężki zapach papierosów. W powiewie dymu i ciepła mama napotkała wyciągniętą rękę. - Tak się cieszę, że panią widzę.

- Urządzaj ą państwo przyj ecie? - zapytała moją a mamą.

- Mój mąż urządza przyjęcie. Ja tylko zabawiam gości.

Mama się uśmiechnęła.

- Mieszkamy obie w dziwnym miejscu - stwierdziła Ruana.

Ich oczy się spotkały. Mama kiwnęła głową. Gdzieś tam na drodze stała jej własna matka, ale teraz ona, podobnie jak Ruana, znalazła się na cichej wyspie poza granicą stałego lądu.

- Ma pani jeszcze jednego papierosa?

- Naturalnie, pani Salmon. - Ruana sięgnęła do kieszeni swojego długiego, czarnego kardiganu i wyciągnęła paczkę i zapalniczkę. - Dunhille - oznajmiła. - Mogą być?

Mama zapaliła papierosa i zwróciła Ruanie niebieskie pudełko ze złotą folią.

- Abigail - powiedziała, wypuszczając dym. - Proszę mi mówić Abigail.

Na górze w swoim pokoju ze zgaszonymi światłami Ray czuł papierosy matki, która nigdy nie oskarżyła go o ich podkradanie, tak jak on nigdy nie zdradził się, że wiedział o ich istnieniu. Słyszał głosy na dole - głośne dźwięki rozmów ojca i jego kolegów w sześciu różnych językach i ich zadowolone śmiechy z nadchodzącego, och-jakże-amerykańskiego święta. Nie wiedział, że moja mama stała na trawniku z jego matką ani że obserwowałam go, siedząc na parapecie okiennym i wdychając słodki zapach tytoniu.

Miał zamiar odejść od okna, włączyć małe światelko przy łóżku i poczytać. Pani McBride kazała im znaleźć sonet, o którym chcieliby napisać pracę. Kiedy jednak czytał kolejne wersy utworów dostępnych w „Antologii Nortona”, myśl wciąż uciekała mu do chwili, którą chciałby odzyskać i przeżyć ponownie. Gdyby tylko pocałował mnie na rusztowaniu, może wszystko ułożyłoby się inaczej.

Babcia Lynn trzymała się trasy ustalonej z moją mamą i w końcu, proszę - doszła do domu, o którym starali się zapomnieć, mieszkając dwie parcele dalej. *Jack miał rację*, pomyślała babcia. Wyczuwała to w ciemności. To miejsce emanowało czymś złym. Zadrzała. Potem usłyszała świerszcze i zaczęła dostrzegać świetliki gromadzące się w rojach nad znajdującymi się od frontu rabatami kwiatowymi. Pomyślała nagle, że zrobi tylko jedno, okaże swojej córce zrozumienie. Jej dziecko żyło w epicentrum wybuchu, w który żaden romans jej własnego męża nie mógł zapewnić babci wglądu. Rano powie mojej mamie, że

klucze do domku zawsze są do jej dyspozycji.

Tej nocy moja mama doświadczyła czegoś, co uznała za cudowny sen. Śniła o Indiach, kraju, w którym nigdy nie była. Widziała pomarańczowe słupki uliczne i piękne owady z lapis-lazuli o złotych szczękach. Przez ulice prowadzono młodą dziewczynę, która miała zostać spalona na stosie. Owinięto ją prześcieradłem i umieszczono na platformie zbudowanej z patyków. Jasny ogień, który ją pochłoniął, wprowadził moją mamę w głęboką, senną błogość. Dziewczyna płonęła żywcem, ale przynajmniej na stosie było jej ciało - czyste i całe.

14.

Lindsey przez tydzień obserwowała dom mojego zabójcy. Robiła dokładnie to, co bez przerwy robił pan Harvey.

Zgodziła się przez cały rok trenować z chłopięcą drużyną, żeby za namową pana Dewitta i Samuela przygotować się do podjęcia wyzwania: zamierzała zakwalifikować się do gry w męskiej licealnej lidze piłkarskiej. I Samuel, żeby zademonstrować swoje poparcie, trenował razem z nią bez żadnej nadziei na zakwalifikowanie się dokądkolwiek, chyba że, jak powiedział, na stanowisko „najszybszego faceta w szortach”.

Potrafił biegać, jeśli nawet kopanie, przejmowanie piłki czy zauważanie jej dalej niż w bezpośrednim sąsiedztwie przekraczały jego możliwości. Kiedy okrążali osiedle, za każdym razem, gdy moja siostra rzucała spojrzenie w stronę domu pana Harveya, Samuel był z przodu, narzucając jej tempo - nieświadomy całej reszty.

Z wnętrza zielonego domu pan Harvey wyglądał przez okno. Widział, że Lindsey go obserwuje, i zaczął odczuwać niepokój. Minął już prawie rok, ale Salmonowie uparli się, żeby nie dać mu odetchnąć.

Zdarzało się to także wcześniej, w innych miastach i stanach. Rodzina dziewczynki go podejrzewała, ale nikt poza nimi. Doprowadził do perfekcji swoje pogaduszki z policją, swego rodzaju unizoną niewinność, doprawioną zaciekawieniem ich metodami pracy albo bezużytecznymi pomysłami, które przedstawiał, jak gdyby mogły pomóc. Napomknięcie przy Fenermanie o chłopaku Ellisów było dobrym posunięciem, zawsze też pomagało kłamstwo, że był wdowcem. Jego wyimaginowana żona często wyglądała tak jak ofiara, którą właśnie wspominał z przyjemnością, żeby zaś obraz wypełnić treścią, zawsze miał swoją matkę.

Codziennie po południu opuszczał dom na godzinę albo dwie. Kupował produkty, których potrzebował, a potem jechał do Valley Forge Park i spacerował po wyłożonych płytami drogach i zwykłych ścieżkach i nagle znajdował się w otoczeniu szkolnych wycieczek do drewnianego domu George'a Washingtona albo kaplicy upamiętniającej Washingtona. Podnosiło go to na duchu - te chwile, w których dzieci spragnione były kontaktu z historią, jakby rzeczywiście mogły znaleźć długi srebrny włos z peruki Washingtona, zaczepiony o chropawy brzeg węgara.

Sporadycznie któryś z przewodników albo nauczycieli zauważał go stojącego samotnie, obcego mimo przyjacielskiego wyrazu twarzy, i pan Harvey napotykał pytające spojrzenie. Miał tysiące kwestii, którymi mógł ich uraczyć. „Przyprowadzałem tu swoje dzieci” albo „Właśnie tu poznałem swoją żonę”. Wiedział, że powinien wesprzeć to, co mówił, nawiązując do jakiejś wymyślonej rodziny, a wtedy kobiety obdarzą go uśmiechem. Pewnego razu pulchna, atrakcyjna pani spróbowała wciągnąć go w rozmowę, podczas gdy przewodnik opowiadał dzieciom o zimie tysiąc siedemset siedemdziesiątego szóstego roku i bitwie chmur*.

Pan Harvey posłużył się historią o wdowieństwie i wykorzystał nazwisko Sophie Cichetti, mianując ją swoją zmarłą żoną i prawdziwą miłością. Dla tej kobiety jego opowieść była jak słodki deser. Gdy potem mówiła mu o swoich kotach i bracie, który miał trójkę uwielbianych przez nią dzieci, wyobrażał ją sobie siedzącą na krześle w jego piwnicy, martwą.

Po tym zdarzeniu, kiedy napotykał pytający wzrok nauczyciela, wycofywał się wstydliwie i szedł w jakieś inne miejsce. Obserwował matki, które - z dziećmi siedzącymi jeszcze w spacerówkach - podążały dziarsko słonecznymi ścieżkami parku. Widział nastolatki, które zwały ze szkoły, czulące się na niekoszonych polach albo przy wewnętrznych szlakach wycieczkowych. A w najwyższym punkcie parku znajdował się las, przy którym czasami parkował. Siedział w swoim wagonie i przyglądał się samotnym mężczyznom, zatrzymującym się obok i wysiadającym z samochodów. Mężczyźni, którzy mieli przerwę na lunch, byli ubrani w garnitury, inni we flanelowe koszule i dżinsy, wszyscy szybko wchodzili do lasu. Czasami rzucali w jego stronę pytające spojrzenie. Gdyby ci ludzie znaleźli się odpowiednio blisko, mogliby zobaczyć przez szybę samochodu to, co widziały jego ofiary - dziką, bezdenną żądzę.

Dwudziestego szóstego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku Lindsey zobaczyła pana * Bitwa chmur (16.09.1777 r.) - bitwa podczas rewolucji amerykańskiej, odwołana z powodu gwałtownego deszczu, co dało przegrywającym Amerykanom czas na zebranie sił.

Harveya opuszczającego zielony dom i zaczęła odstawać od grupy biegnących chłopców. Później mogłaby twierdzić, że dostała okres i toby zamknęło im wszystkim usta, a nawet byliby zadowoleni, mając dowód, że niepopularny plan pana Dewitta - dziewczyna w rozgrywkach regionalnych! - nigdy nie wypali.

Obserwowałam moją siostrę i podziwiałam ją. Stawała się wszystkim naraz. Kobieta. Szpiegiem. Twardzielem. Samotnym wygnańcem.

Szła, udając, że chwycił ją skurcz. Machnęła do chłopców, kiedy się odwrócili, żeby sprawdzić, co z nią. Maszerowała, trzymając się za bok, dopóki nie skręcili za róg daleko przy końcu kwartału. Na skraju posiadłości pana Harveya stał rząd wysokich, grubych sosen, których od lat nie przycinano. Usiadła pod jedną z nich, wciąż udając wyczerpaną, w razie gdyby widział ją któryś z sąsiadów. Potem, jak tylko uznała, że moment jest odpowiedni, zwinęła się w kłębek i przeturlała między drzewami. Czekala. Chłopakom zostało jeszcze jedno okrążenie. Obserwowała ich, kiedy ją mijali, i odprowadziła wzrokiem, gdy wracając do szkoły, przecięli pustą parcelę. Była sama. Wyliczyła, że ma czterdzieści pięć minut, zanim nasz tata zacznie się zastanawiać, dlaczego nie ma jej w domu. Zostało ustalone, że jeśli trenowała z drużyną piłkarską, Samuel odprowadzał ją i docierali na miejsce przed piątą.

Cały dzień na niebie wisały ciężkie chmury i chłód późnej jesieni wywołał gęsią skórę na jej nogach i ramionach. Grupowe biegi zawsze ją rozgrzewały, ale kiedy docierała do szatni, gdzie dzieliła prysznice z drużyną hokej a na trawie, nie przestawała drzeć, dopóki nie

poczula, jak gorąca woda spływa po jej ciele. Ale na trawniku przed zielonym domem gęsia skórka wzięła się też ze strachu.

Kiedy chłopcy przecięli ścieżkę, rzuciła się do piwnicznego okienka na bocznej ścianie domu pana Harveya. Wymyśliła już opowieść na wypadek, gdyby została złapana. Goniła kotka, który przemknął między sosnami. Powiedziałaaby, że był szary i szybki, że popędził w stronę domu pana Harveya, a ona pobiegła za nim bez zastanowienia.

Mogła zajrzeć do ciemnego wnętrza piwnicy. Spróbowała poruszyć okno, ale zasuwka była zamknięta. Musiała wybić szybę. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach - bała się hałasu, ale zaszła już za daleko, żeby się zatrzymać. Pomyślała o tacie, zawsze świadomym istnienia stojącego przy jego krześle zegara, zdjęła bluzę i owinęła ją wokół stóp. Usiadła, objęła się ramionami, a potem kopnęła raz, drugi i trzeci obiema nogami, aż szyba się rozprysnęła ze stłumionym trzaskiem.

Ostrożnie opuściła się na dół, szukając na ścianie oparcia dla nóg, ale w końcu zmuszona była zeskoczyć na potłuczone szkło i beton.

Pomieszczenie okazało się porządne i zamiecione, inne niż nasza piwnica, gdzie stopy pudełek ze świątecznymi oznaczeniami - WIELKANOCNE JAJKA I ZIELONA TRAWA, GWIAZDKA GWIAZDY/ZABAWKI - nigdy nie wracały na półki zbudowane przez tatę.

Do środka wpadło z zewnątrz zimne powietrze i Lindsey poczuła na szyi powiew popychający ją w głąb piwnicy, poza migoczące półkole potłuczonego szkła. Zobaczyła fotel i znajdujący się obok niego lekki stolik. Potem zerknęła na duży budzik z fosforyzującymi cyframi, stojący na metalowej półce. Chciałam pokierować jej spojrzeniem do tego zakamarka, w którym leżały kości zwierząt, ale wiedziałam, że, mimo rysowania oczu muchy na papierze w kratkę i celującego z biologii na tegorocznych lekcjach u pana Botte'a, wyobraziłaby sobie, że to moje kości. I dlatego byłam zadowolona, że nie podeszła bliżej.

Chociaż nie mogłam się pojawić ani szepnąć, ani popchnąć Lindsey, ani jej poprowadzić, moja siostra, zdana wyłącznie na siebie, coś jednak poczuła. Coś nasyciło powietrze w tej zimnej, wilgotnej piwnicy i sprawiło, że skuliła się ze strachu. Stała zaledwie kilka kroków od otwartego okna, wiedząc, że choćby nie wiadomo co, wejdzie dalej, że musi się uspokoić i skupić na poszukiwaniu śladów czekających na nią, a mimo to pomyślała o Samuelu, biegnącym przed siebie z przekonaniem, że znajdzie ją podczas ostatniego okrążenia. A potem wyobraziła sobie, że Samuel biegnie w stronę szkoły, z myślą, że znajdzie ją w środku. Być może dojdzie do wniosku - z lekkim powątpiewaniem ■- że Lindsey bierze prysznic, i zrobi to samo, a w końcu będzie czekać na nią, zanim postanowi cokolwiek innego. Jak długo mógł czekać? Obrzuciła wzrokiem schody na parter i natychmiast pożałowała, że nie było z nią Samuela. Nie czułaby się samotna. Ale celowo mu nie powiedziała - nie powiedziała nikomu. To, co robiła, było przestępstwem. Wiedziała o tym.

Przekręciła gałkę w drzwiach piwnicy i dotarła na parter. Minęło zaledwie pięć minut. Zostało czterdzieści, a przynajmniej tak myślała. Przez zamknięte żaluzje wciąż jeszcze

przesączała się odrobina światła. Kiedy, wahając się, przystanąła, przyglądając się wnętrzu identycznemu z naszym, usłyszała dochodzące z ganku pacnięcie „Biuletynu Wieczornego”, a przejeżdżający gazeciarz zadzwonił dzwonkiem roweru.

Moja siostra powiedziała sobie, że metodyczne przeszukanie pokoi i miejsc może dostarczyć jej tego, czego potrzebowała, i w ten sposób w końcu się ode mnie uwolni. Nieustanna konkurencja, nawet między żyjącymi a zmarłymi. Popatrzyła na płyty w holu - ciemnozielone i szare jak nasze - i wyobraziła sobie, jak za mną raczkowała, kiedy była niemowlakiem, a ja dopiero zaczynałam chodzić. Potem zobaczyła moje dziecięce ciało, oddalające się od niej radośnie w stronę następnego pokoju, i przypomniała sobie to uczucie sięgania, gdy stawiała pierwsze kroki, a ja drażniłam się z nią, stojąc w bawialni.

W prawie pustym domu pana Harveya nie było jednak dywaników, które stworzyłyby wrażenie przytulności. Lindsey przeszła na wypolerowaną sosnową podłogę pomieszczenia, które u nas było bawialnią. Wywołała echo w otwartym frontowym holu - wracał do niej odbity dźwięk każdego kroku.

Nie mogła powstrzymać gwałtownie pojawiających się wspomnień. Każde stanowiło brutalną eksplozję. Buckley na moich plecach, gdy schodzę po schodach. Mama podtrzymująca mnie na oczach Lindsey zazdrosnej o to, że potrafię zawiesić srebrną gwiazdę na czubku gwiazdkowego drzewka. Ja zjeżdżająca po poręczy i namawiająca ją, żeby się przyłączyła. My obie błagające tatę o komiksy po kolacji. My wszyscy goniący Holidaya, który czekał i czekał. I niezliczone uśmiechy, najczęściej wymuszone, nieporadnie ozdabiające nasze twarze na urodzinowych fotografiach, świątecznych fotografiach, szkolnych fotografiach. Dwie siostry ubrane w sztruks, kratkę albo wielkanocną zółć. Trzymające koszyki pełne zajączków i jajek, które przedtem ufarbowałyśmy. Lakierki z paskami i sprzączkami. Szerokie uśmiechy, kiedy mama usiłowała nastawić ostrość w aparacie. Nasze oczy jako jaskrawoczerwone punkciki. Zdjęcia zawsze zamazane. Żadne z nich nie utrwaliło i nie zachowało dla potomności chwil przedtem i chwil potem, kiedy my, dwie dziewczynki, bawiłyśmy się w domu albo kłóciłyśmy o zabawki. Kiedy byłyśmy siostrami.

Wtedy to zobaczyła: jak strzała wpadałam do następnego pomieszczenia, a ona widziała moje plecy. Pędziłam do naszej jadalni, pokoju, w którym u Harveya stały wykończone domki dla lalek. Byłam dzieckiem biegnącym tuż przed nią.

Pospiesznie ruszyła za mną.

Goniła mnie przez pokoje na dole i chociaż solidnie trenowała piłkę nożną, kiedy wróciła do frontowego holu, nie mogła złapać tchu. Kręciło jej się w głowie.

Przypomniała sobie, co mama zawsze mówiła o chłopcu, który czekał na naszym przystanku autobusowym. Był dwukrotnie od nas starszy, a wciąż w drugiej klasie. „Nie zdaje sobie sprawy ze swojej siły, więc musicie być przy nim ostrożne”. Lubił ścisnąć każdego, kto był dla niego miły, i było widać, jak ta głupia miłość zmienia jego rysy i budzi w nim chęć

dotykania. Zanim usunięto go ze szkoły i posłano w jakieś inne miejsce, o którym nikt nie mówił, podniósł dziewczynkę, Daphne, i ścisnął tak mocno, że kiedy ją puścił, upadła na ulicę. Tak gwałtownie przeciskałam się z Pomiędzy, chcąc dotrzeć do Lindsey, i tak bardzo chciałam jej pomóc, że nagle zdałam sobie sprawę, iż mogłabym zrobić mojej siostrze krzywdę.

Lindsey usiadła na szerokich stopniach na dole we frontowym holu i zamknęła oczy, skupiając się na uspokojeniu oddechu. Przypomniała sobie, dlaczego w ogóle znalazła się w domu pana Harveya. Miała wrażenie, że pogrążyła się w czymś ciężkim, niczym mucha owinięta grubą przedzą pajęczyny i uwięziona w sieci pajaka. Wiedziała, że tata poszedł na pole kukurydzy, opętany przez coś, co teraz wślizgiwało się w nią. Chciała dostarczyć mu wskazówek, których mógłby użyć jako szczebli - wspiąłby się po nich, żeby znów być blisko niej, uświadomiłby sobie fakty, a jego sądy byłyby ważne dla Lena. Zamiast tego odkryła, że tak samo jak on spada w bezdenną otchłań.

Miała dwadzieścia minut.

Moja siostra była jedyną żywą istotą w tym domu, ale nie przebywała w nim sama i ja nie stanowiłam jej jedyne go towarzystwa. Struktura życia mojego mordercy, ciała dziewczynek, które za sobą zostawił, zaczęły pojawiać się przed moimi oczyma właśnie teraz, kiedy moja siostra znalazła się w środku. W niebie wstałam i wymówiłam ich imiona:

Jackie Meyer. Delaware, 1967. Lat trzynaście.

Przewrócone krzesło, jego spód zwrócony w stronę pokoju. Leżała skulona tuż przy nim, miała na sobie T-shirt w paski i nic więcej. Przy jej głowie niewielka kałuża krwi.

Flora Hernandez. Delaware, 1963. Lat osiem.

Chciał tylko jej dotknąć, ale krzyknęła. Dziewczynka mała jak na swój wiek. Później znaleziono jej lewą skarpetkę i but. Ciała nie odkryto. Kości leżały w starym domu, w piwnicy z klepiskiem.

Leah Fox. Delaware, 1969. Lat dwanaście.

Zabił ją bardzo cicho na sofie ze zdejmowanym pokryciem. Pod biegnącą na słupach autostradą. Zasnął na niej, ukołysany dźwiękiem mknących nad nimi samochodów. Dopiero dziesięć godzin później, kiedy jakiś włóczęga zapukał do chatki, którą pan Harvey zbudował z niepotrzebnych drzwi, ten zaczął się pakować i sprzątać ciało Leah Fox.

Sophie Cichetti. Pensylwania, 1960. Lat czterdzieści dziewięć.

Gospodyni, podzieliła swoje mieszkanie na górze, stawiając gipsową ścianę. Podobało mu się półokrągłe okno, które dzięki temu powstało. Poza tym czynsz był niski. Ale za dużo mówiła o swoim synu i upierała się, żeby czytać sonety. Uprawiał z nią seks w jej części mieszkania. Roztrzaskał jej czaszkę, kiedy znowu zaczęła mówić, i zaniósł ciało na brzeg pobliskiego strumienia.

Leidia Johnson. 1960. Lat sześć.

Hrabstwo Buck, Pensylwania. Wykopał sklepioną jaskinię w zboczu wzgórza

znajdującego się przy kamieniołomach i czekał. Ona była najmłodsza.

Wendy Richter. Connecticut, 1971. Lat trzynaście.

Czekała na swojego ojca przed barem. Zgwałcił ją w krzakach, a potem udusił. Tym razem, kiedy odzyskał przytomność, dochodząc do siebie po oszołomieniu, jakie często go dopadało, usłyszał hałasy. Odwrócił twarz martwej dziewczynki do siebie i kiedy głosy się zbliżyły, wgryzł się w jej ucho. Usłyszał: „Przepraszam, stary”. To byli dwaj pijacy, którzy weszli w pobliskie krzaki, żeby się odsikać.

Zobaczyłam teraz to miasto unoszących się grobów, zimnych i smaganych wiatrem, gdzie trafiają ofiary morderstw w umysłach żyjących. Widziałam jego inne ofiary zaludniające ten dom - gdy umykały z ziemi, pozostawiły po sobie wspomnienia - ale tamtego dnia pozwoliłam im odejść i wróciłam do siostry.

Lindsey wstała w chwili, kiedy się na niej skoncentrowałam. Razem, we dwie, weszłyśmy po schodach. Czują się jak zombi z filmów, które uwielbiali Samuel i Hal. Stopy stawiane jedna przed drugą i tępe spojrzenie w przód. Dotarła do pomieszczenia, które u nas w domu było sypialnią moich rodziców, i niczego nie znalazła. Okrążyła górny korytarz. Nic. Potem weszła tam, gdzie w naszym domu znajdował się mój pokój, i odkryła sypialnię mojego zabójcy.

Ten pokój był najmniej opustoszały ze wszystkich i starała się, jak mogła, niczego nie przesunąć. Włożyła rękę między ułożone w stos swetry na półce, nastawiła się, że znajdzie coś w ich miękkim cieple - nóż, pistolet, długopis Bic pogryziony przez Holidaya. Nic. Ale wtedy, gdy usłyszała coś, czego nie potrafiła jeszcze rozpoznać, odwróciła się w stronę łóżka i zobaczyła nocny stolik oraz szkicownik leżący w kręgu światła włączonej lampy. Podeszła do niego i do jej uszu dobiegł kolejny dźwięk, ale nie skojarzyła ich ze sobą. Podjeżdżający samochód. Samochód hamujący z piskiem. Trzaskające drzwi samochodu.

Odwróciła strony szkicownika i spojrzała na atramentowe rysunki poprzecznych belek i kleszczy albo wieżyczek i przypór, zobaczyła wymiary i notatki, które nic dla niej nie znaczyły. Wtedy, gdy pstryknęła w ostatnią stronę, usłyszała na zewnątrz kroki - i to bardzo blisko.

Pan Harvey przekręcił klucz w zamku swoich frontowych drzwi, a Lindsey wpatrywała się w pobieżny ołówkowy szkic. Niewielki rysunek łodyg nad podziemną jaskinią, z boku detal przedstawiający półkę i sposób odprowadzenia dymu z kominka, oraz coś, co szczególnie zapadło jej w pamięć; pajęcze litery układające się w napis: „Pole kukurydzy Stolfuza”. Gdyby nie artykuły w prasie po odkryciu mojego łokcia, nie wiedziałyby, że pole należało do człowieka nazwiskiem Stolfuz. Teraz zobaczyła to, co chciałam jej pokazać. Umarłam wewnątrz tej jamy; wrzeszczałam i walczyłam, i przegrałam.

Wyrwała tę stronę. Pan Harvey był w kuchni i szykował coś do jedzenia - wątrobiankę, którą lubił, i miskę słodkich zielonych winogron. Usłyszał skrzypnięcie deski. Zesztywniał. Usłyszał następne. Wprostował się i poczuł mrowienie w plecach.

Winogrona upadły na podłogę, gdzie miały zostać zmiżdżone jego lewą stopą, podczas gdy moja siostra w pokoju nad nim rzuciła się do aluminiowych żaluzji i otworzyła odporne okno. Pan Harvey pokonywał po dwa stopnie naraz, a moja siostra roztrzaskała moskitierę, wygramoliła się na dach ganku i stoczyła w dół. On właśnie dotarł do górnego holu i gnał w jej stronę. Rynna pękła, gdy się przez nią przetoczyła. Kiedy on wszedł do sypialni, moja siostra leżała już na ziemi - w jeżynach i błocie.

Nie była ranna. Była cudownie cała i zdrowa. Cudownie młoda. Podniosła się. On stanął przy oknie, chcąc się na nie wspiąć. Ale się zatrzymał. Zobaczył ją biegnącą w kierunku krzaków czarnego bzu. Drukowany numer na jej plecach krzyczał do niego. Pięć! Pięć! Pięć!

Lindsey Salmon w piłkarskiej koszulce.

Kiedy moja siostra dotarła do domu, Samuel siedział przy stole z rodzicami i Babcia Lynn.

- O mój Boże - westchnęła moja mama. Pierwsza zobaczyła Lindsey przez kwadratowe szybki wstawione po obu stronach naszych frontowych drzwi.

Jak tylko je otworzyła, Samuel zerwał się i wypełnił sobą powstałą przestrzeń, a moja siostra, nie oglądając się na mamę ani nawet na kuśtykającego w ich stronę tatę, rzuciła się prosto w ramiona swojego chłopaka.

- Mój Boże, mój Boże - powtarzała mama, patrząc na brud i zadrapania.

Babcia weszła do holu i stanęła obok córki. Samuel położył rękę na głowie mojej siostry i odgarnął jej włosy do tyłu.

- Gdzie byłaś?

Lindsey zwróciła się jednak do naszego taty, tak teraz osłabionego - mniejszego i słabszego niż jego rozszalałe dziecko. To, jak bardzo była żywa, zupełnie mnie tamtego dnia pochłonęło.

- Tatusiu?

- Tak, kochanie.

- Zrobiłam to. Włamałam się do jego domu. - Drżała lekko i starała się nie płakać.

- Co takiego? - zapytała mama.

Moja siostra nie spojrzała na nią ani razu.

- Przyniosłam ci coś. Myślę, że to może być ważne.

Trzymała w dłoni rysunek ciasno zmięty w kulę. Utrudniło jej to lądowanie, ale i tak uciekła.

Tacie przyszła na myśl fraza, którą tego dnia przeczytał. Wygłosił ją, patrząc Lindsey w oczy.

- Do żadnych innych warunków człowiek nie adaptuje się tak szybko, jak do warunków wojny.

Lindsey wręczyła mu kartkę.

- Pójdę odebrać Buckleya - oznajmiła mama.

- Nie chcesz nawet spojrzeć, mamo?

- Nie wiem, co powiedzieć. Jest tu twoja babcia. Muszę zrobić zakupy, upiec drób. Wygląda na to, że nikt nie zdaje sobie sprawy, że mamy rodzinę. Mam obowiązki, rodzinę i syna, i muszę iść.

Babcia Lynn odprowadziła mamę do tylnych drzwi, lecz nie próbowała jej zatrzymać.

Mama zniknęła, a moja siostra wyciągnęła rękę do Samuela. Tata zobaczył w pajęczym piśmie pana Harveya to, co ujrzała Lindsey: prawdopodobny projekt mojego grobu. Podniósł wzrok.

- Czy teraz mi wierzysz? - zapytał.

- Tak, tato.

Mój tata - pełen wdzięczności - musiał zadzwonić.

- Tato - zwróciła się do niego Lindsey.

- Tak.

- Myślę, że mnie widział.

Nie potrafiłabym sobie wyobrazić większego błogosławieństwa niż fizyczne bezpieczeństwo mojej siostry tamtego dnia. Kiedy wracałam z altany, drżałam ze strachu, który czułam na myśl, że nie tylko tata, mama, Buckley i Samuel mogliby ją utracić, ale byłaby stracona na Ziemi także dla mnie.

Franny wyszła do mnie z kafeterii. Ledwie podniosłam głowę.

- Susie - odezwała się. - Mam ci coś do powiedzenia.

Zaciągnęła mnie pod jedną z tych staroświeckich latarni, a potem poza zasięg światła. Wręczyła mi kawałek złożonego na czworo papieru.

- Kiedy poczujesz się silniejsza, spójrz na to i pójdz tam.

Dwa dni później mapa Franny zaprowadziła mnie na pole, obok którego zawsze przechodziłam. Było piękne, ale pozostawiłam je niezbadane. Na rysunku kropkowana linia oznaczała ścieżkę. Nerwowo wypatrywałam wcięcia wśród kolejnych rzędów pszenicy. W końcu znalazłam dróżkę i kiedy zaczęłam nią iść, papier rozpuścił mi się w dłoni.

Zauważyłam przed sobą stare i piękne drzewo oliwne.

Słońce było wysoko na niebie, a przed oliwką znajdował się placyk. Czekałam tylko chwilę, nim zobaczyłam, że pszenica po przeciwnej stronie zaczyna drgać, sygnalizując nadejście kogoś, kto nie sięgał ponad łądygi.

Była mała na swój wiek tak jak na Ziemi i miała na sobie perkalową sukienkę, postrzępioną przy obrąbku i mankietach.

Stała przede mną i wpatrywałyśmy się w siebie.

- Przychodzę tu prawie codziennie - powiedziała. - Lubię słuchać tych dźwięków.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że wokół nas szumiała pszenica poruszana wiatrem.

- Znasz Franny? - zapytałam.

Dziewczynka uroczyście skinęła głową.

- Dała mi mapę tego miejsca.

- W takim razie musisz być gotowa - odparła, ale była też w swoim niebie, a to wymagało, żeby wirowała i żeby spódnica fruwała wokół niej. Usiadłam na ziemi pod drzewem i patrzyłam.

Kiedy skończyła, podeszła do mnie i zdyszana usiadła.

- Nazywałam się Flora Hernandez - oznajmiła. - A ty?

Odpowiedziałam, a potem zaczęłam płakać z ulgi, że poznałam inną zabitą przez niego dziewczynkę.

- Pozostałe wkrótce tu będą - wyjaśniła.

I kiedy Flora wirowała, przez pole, ze wszystkich stron, nadeszły inne dziewczynki i kobiety. Nasze strapienie przelewało się z jednej w drugą jak woda z kubka do kubka. Za każdym razem, gdy opowiadałam o sobie, ulewałam odrobinę, kropeczkę bólu. To właśnie tego dnia zrozumiałam, że chcę opowiedzieć historię swojej rodziny. Ponieważ potworności są na Ziemi rzeczywiste i dzieją się codziennie. Są jak kwiat albo słońce; nie można ich powstrzymać.

15.

Z początku nikt ich nie zatrzymywał, a było to coś, co jego matka uwielbiała. Jej śmiech, kiedy znikali za rogiem jakiegoś sklepu, i pokazywała mu ukradziony przedmiot. George Harvey przyłączał się do jej śmiechu i, korzystając z okazji, ścisnął ją, gdy była zajęta swoją najnowszą zdobyczą.

Oboje czuli ulgę, gdy mogli na popołudnie uciec od ojca i pojechać do pobliskiego miasta po jedzenie albo inne rzeczy. W najlepszym razie można by ich uznać za śmieciarzy - zarabiali na życie, zbierając złom i stare butelki i zwożąc je do miasta na platformie wiekowej półciężarówce Harveya seniora.

Kiedy zostali z matką pierwszy raz złapani, kobieta przy kasie potraktowała ich litościwie.

- Jeżeli możecie za to zapłacić, zróbcie to. Jeżeli nie, połóżcie rzeczy na ladzie, całe i zdrowe - powiedziała pogodnie i mrugnęła do ośmioletniego George'a Harveya.

Jego matka wyjęła z kieszeni szklaną buteleczkę aspiryny i osłupiała postawiła ją przed kasjerką. Twarz jej zmierzchła. „Jesteś jak dziecko”, często upominał ją jego ojciec.

To, że można zostać przyłapanym, stało się kolejną przyczyną odczuwania strachu - mdlące uczucie przelewania się w brzuchu, jak przy wlewaniu jajek do miski - i po zawziętej twarzy i twardym spojrzeniu potrafił poznać, czy osoba idąca wzdłuż półek w ich stronę to pracownik sklepu, który widział kradnącą coś kobietę.

W końcu matka zaczęła wręczać mu ukradzione przedmioty, żeby ukrywał je przy sobie, i robił to, ponieważ chciała, żeby to robił. Jeśli udało im się wyjść na zewnątrz, do ciężarówce, uśmiechała się, uderzała w kierownicę wnętrzem dłoni i nazywała go swoim małym współnikiem. Kabinę wypełniała jej dzika, nagła miłość i przez chwilę - dopóki się nie wyczerpała i nie wykryli na poboczu czegoś błyszczącego, czego, jak to określała, „możliwości” musieli zbadać - rzeczywiście czuł się wolny. Wolny i ożywiony.

Pamiętał radę, którą mu dała, kiedy pierwszy raz jechali drogą w Teksasie i zobaczyli biały drewniany krzyż na poboczu. Wokół jego podstawy leżały kupki świeżych i zwiędłych kwiatów. Kolory natychmiast przyciągnęły jego śmieciarskie oko.

- Musisz umieć przejść nad zmarłymi do porządku - powiedziała matka. - Czasami trafiają się niezłe ozdóbki, które można im zwędzić.

Nawet wtedy wyczuwał, że robili coś złego. Wysiedli z ciężarówce i podeszli do krzyża, a oczy jego matki - jak zawsze w czasie poszukiwań - zmieniły się w dwa czarne punkty. Znalazła wisiołek w kształcie oka i dragi w kształcie serca i wręczyła je George'owi do obejrzenia.

- Nie wiem, co zrobiliby z nimi twój ojciec, ale możemy je sobie zatrzymać, tylko dla siebie.

Miała sekretną kryjówkę z rzeczami, których nigdy nie pokazała jego ojcu.

- Chcesz oko czy serce?

- Oko - odparł.

- Zdaje mi się, że te róże są jeszcze świeże. Ozdobimy nimi ciężarówkę.

Tej nocy spali w samochodzie, bo nie udało im się dojechać do miejsca, gdzie ojciec George'a Harveya wykonywał dorywczą pracę polegającą na ręcznym rozłupywaniu i rozszczepianiu desek.

Spali wtuleni w siebie, jak to im się czasem zdarzało, zmieniając wnętrze szoferki w niewygodne gniazdko. Jego matka, niczym pies wiercący się na kocu, kręciła się na swoim siedzeniu i denerwowała. Po wcześniejszych przepychankach George Harvey zorientował się, że najlepiej było leżeć jak kukła i pozwolić jej przesuwając go tak, jak chciała. Dopóki jego matce nie zrobiło się wygodnie, nikt nie spał.

W środku nocy, gdy śnił o cichych wnętrzach pałaców z książek z obrazkami, które oglądał w publicznych bibliotekach, ktoś zabębnił w dach, a George Harvey i jego matka usiedli sztywno jak kij połknął. Trzech mężczyzn patrzyło przez szybę w sposób, który rozpoznał. W ten sam sposób patrzył jego własny ojciec, gdy czasami był pijany. Spojrzenie miało podwójny sens: było skierowane na jego matkę i jednocześnie wykluczało jego.

Wiedział, że nie może krzyknąć.

- Siedź cicho. Nie przyszli po ciebie - szepnęła matka. Zaczął się trząść pod starymi wojskowymi kocami, którymi się okrywali.

Jeden z mężczyzn stał przed ciężarówką. Pozostali bębniłi w dach, stojąc po obu stronach. Śmiali się i pokazywali języki.

Jego matka gwałtownie pokręciła głową, ale to ich tylko rozwścieczyło. Mężczyzna blokujący ciężarówkę zaczął ocierać się biodrami o maskę, wykonując ruchy w tył i w przód, co skłoniło pozostałych dwóch do głośniejszego śmiechu.

- Powoli się podniosę - wyszeptwała matka - i będę udawać, że wysiadam z ciężarówki. Chcę, żebyś przekręcił kluczyki w stacyjce, kiedy ci powiem.

Wiedział, że kazano mu zrobić coś bardzo ważnego i że matka go potrzebowała. Mimo wypraktykowanego spokoju słyszał stał w jej głosie, żelazo przebijające się przez strach.

Uśmiechnęła się do mężczyzn i kiedy wzniesli głośne okrzyki, a ich ciała się odprężyły, użyła łokcia, żeby przesunąć dźwignię zmiany biegów na miejsce.

- Teraz - rzuciła płaskim, monotonnym głosem, a George Harvey sięgnął w przód i przekręcił kluczyk. Stary, dudniący silnik ciężarówki ożył.

Twarze mężczyzn zmieniły się, stopniowo zniknął z nich wyraz zachłannej radości i pojawiła się niepewność. Gapili się na matkę, gdy energicznie cofała. Przerzuciła na jazdę do przodu i wrzasnęła do swojego syna: „Na podłogę!”. Poczuli uderzenie ciała trafiającego w ciężarówkę zaledwie kilka stóp od miejsca, gdzie leżał skulony. Potem ciało znalazło się na dachu. Leżało tam sekundę, dopóki jego matka ponownie nie cofnęła. George Harvey miał moment jasności co do tego, jak powinno się przeżywać życie: nie jako dziecko ani kobieta.

Byli oboje najgorszym, czym można być.

Kiedy obserwował Lindsey dopadającą żywopłotu z dzikiego bzu, serce waliło mu jak szalone. Potem jednak natychmiast się uspokoił. Była to umiejętność, której nauczyła go matka, nie ojciec - podejmować działanie wyłącznie po przekalkulowaniu najgorszego możliwego wyniku każdego istniejącego wyboru. Zorientował się, że ruszała notes, i zauważył brak strony. Sprawdził torbę, w której trzymał nóż. Zniósł go do piwnicy i wrzucił do kwadratowego otworu wywierconego w fundamentach. Z metalowych półek zgarnął kupkę drobiazgów, które zachował po tych kobietach. Wziął wisiorek z symbolem Pensylwanii z mojej bransoletki i zważył go w dłoni. Na szczęście. Pozostałe rzeczy położył na własnej białej chusteczce, a potem związał jej cztery rogi i uformował mały węzełek. Wsunął dłoń w dziurę w fundamentach i położył się na podłodze na brzuchu, żeby wepchnąć tam całe ramię aż po pachę. Macał, wyczuwając miejsce palcami, które nie przytrzymały węzła. W końcu znalazł zardzewiały występ metalowego kołnierza, przez który robotnicy wlewali cement. Zawiesił tam swój woreczek z trofeami, a potem wyciągnął rękę i wstał. Książkę z sonetami spalił wcześniej tego lata w lasach parku Valley Forge, jak zwykle pozbywając się dowodów powoli; teraz miał nadzieję, że nie nazbyt powoli.

Minęło najwyżej pięć minut. To można było wytłumaczyć szokiem i złością. Sprawdzeniem, czy nie ukradziono mu tego, co wszyscy uważaliby za cenne - spinek do mankietów, gotówki, narzędzi. Ale wiedział, że nie może już tracić więcej czasu. Musiał zadzwonić na policję.

Doprowadził się do stanu podniecenia. Pochodził chwilę, gwałtownie wciągnął i wypuścił powietrze i kiedy operator odebrał, odezwał się głosem pełnym napięcia.

- Włamano się do mojego domu. Potrzebna mi policja - powiedział, przygotowując scenariusz własnej wersji tej historii, gdy tymczasem w duchu obliczał, jak szybko zdoła wyjechać i co ze sobą zabierze.

Kiedy mój tata zadzwonił na posterunek, poprosił Lena Fenermana. Niestety, nie można go było zlokalizować. Tatę poinformowano, że dwaj umundurowani policjanci zostali już wysłani, żeby zbadać sprawę. Gdy pan Harvey otworzył im drzwi, był tak zdenerwowany, że miał łzy w oczach. Wzbudził w funkcjonariuszach pewną odrazę, którą uznali za reakcję na widok mężczyzny pozwalającego sobie na łzy, ale poza tym jego zachowanie wydawało się racjonalne.

Mimo że informacja o rysunku zabranym przez Lindsey została przekazana przez radio, policjanci byli raczej pod wrażeniem ochoczej gotowości, z jaką pan Harvey zaproponował im przeszukanie swojego domu. Wydał się szczerzy w swoim współczuciu dla rodziny Salmonów.

Funkcjonariusze zaczęli się czuć nieswojo. Pobieźnie przeszukali dom i nie znaleźli niczego oprócz dowodów krańcowego osamotnienia i kolekcji pięknych domków dla lalek, więc zmienili temat i zapytali pana Harveya, jak długo je buduje.

Opowiedzieli później, że zauważyli natychmiastową zmianę w jego zachowaniu. Poszedł do sypialni i przyniósł szkicownik, nie wspominając o żadnym skradzionym rysunku. Policjanci widzieli jego rosnące ożywienie, gdy pokazywał im szkice domków. Następne pytanie zadali mu delikatnie.

- Proszę pana - powiedział jeden z nich - możemy zabrać pana na posterunek, gdzie zostanie pan przesłuchany i ma pan prawo do obecności adwokata, ale...

Pan Harvey przerwał mu.

- Z przyjemnością odpowiem na wszystkie pytania tutaj. Jestem stroną poszkodowaną, ale nie mam zamiaru wnosić oskarżenia przeciw tej biednej dziewczynce.

- Młoda kobieta, która się tu włamała - zaczął drugi funkcjonariusz - coś stąd zabrała. Rysunek przedstawiający pole kukurydzy i coś w rodzaju konstrukcji na jego terenie...

Reakcja Harveya, powiedzą później detektywowi Fenermanowi, była natychmiastowa i bardzo przekonująca. Miał wyjaśnienie, które pasowało tak idealnie, że ich zdaniem facet nie zagrażał nikomu - głównie dlatego, że nie widzieli w nim mordercy.

- Och, ta biedna dziewczynka - powiedział. Przyłożył palce do ściągniętych warg. Wrócił do swojego szkicownika i przerzucał go, dopóki nie doszedł do rysunku bardzo przypominającego ten, który zabrała Lindsey.

- Proszę, to był szkic podobny do tego, zgadza się? - Policjanci - teraz widownia - przytaknęli. - Próbowałem to sobie wyobrazić - wyznał pan Harvey. - Przyznaję, że potworność tego wydarzenia nie dawała mi spokoju. Chyba wszyscy w okolicy zastanawiali się, jak mogli temu zapobiec. Czemu czegoś nie słyszeli albo czegoś nie widzieli. Przecież ta dziewczynka na pewno krzyczała... A poza tym - zwrócił się do mężczyzn, wskazując na swój rysunek. - Proszę mi wybaczyć, ale ja myślę konstrukcjami i kiedy usłyszałem, ile krwi było na tym polu i że teren, na którym ją znaleźli, był cały rozbabrany, pomyślałem, że być może... - Podniósł wzrok, badając ich oczy. Obaj policjanci dali się prowadzić. Chcieli, żeby ich prowadził. Nie mieli żadnych śladów, ciała, żadnych wskazówek. Może ten dziwny człowiek miał teorię nadającą się do wykorzystania. - No cóż, że osoba, która to zrobiła, zbudowała coś pod ziemią, jamę. A potem, przyznaję, zacząłem się nad tym zastanawiać i szczegółowo rozpracowywać swój pomysł w taki sam sposób, jak to robię przy domkach dla lalek. Dodałem nawet komin i półkę... Cóż, taki już mam zwyczaj. - Zamilkł. - Mam masę czasu dla siebie.

- I co, wyszło coś z tego? - zapytał jeden z policjantów.

- Wydaje mi się, że coś w tym jest.

- Czemu pan do nas nie zadzwonił?

- Nie zwróciłbym im córki. Kiedy detektyw Fenerman mnie przesłuchiwał, wspomniałem o swoich podejrzeniach co do chłopaka Ellisów i okazało się, że kompletnie się myliłem. Nie chciałem zawracać głowy żadnymi więcej amatorskimi teoriami.

Funkcjonariusze z góry przeprosili, że następnego dnia detektyw Fenerman zadzwoni i

najpewniej zechce przejrzeć ten sam materiał. Wszystko to pan Harvey uznał za swój obowiązek sumiennego obywatela, nawet mimo faktu, że to on był poszkodowany. Policjanci udokumentowali drogę włamania Lindsey od okna w piwnicy i potem na zewnątrz przez okno sypialni. Omówili szkody, które pan Harvey miał zamiar, jak stwierdził, pokryć z własnej kieszeni, ponieważ rozumiał przytłaczający ból pana Salmona, teraz najwyraźniej zatruwający siostrę tej biednej dziewczynki.

Zrozumiałam, że szanse na schwytanie pana Harveya maleją, gdy przyglądałam się początkowi końca mojej rodziny... takiej, jaką znałam.

Gdy mama odebrała Buckleya z domu Nate'a, zatrzymała się przy budce telefonicznej przed 7-Eleven na drodze numer trzydzieści. Zadzwoiła do Lena i umówiła się z nim w hałaśliwym sklepie w centrum handlowym, w pobliżu. Natychmiast wyszedł. Gdy ruszał z podjazdu, w domu dzwonił telefon, ale on już tego nie słyszał. Siedział w zamkniętej przestrzeni samochodu i myślał o mojej mamie, o tym, jakie to wszystko było złe i że nie potrafi jej odmówić z przyczyn, nad którymi nie umiał zatrzymać się na czas dość długi, żeby je przeanalizować albo się ich wyprzeć.

Mama przejechała niewielką odległość między spożywczym a centrum handlowym i, trzymając Buckleya za rękę, poprowadziła go przez szklane drzwi do okrągłego pomieszczenia z obniżoną podłogą, gdzie rodzice mogli zostawiać dzieci, żeby się bawiły, podczas gdy oni robili zakupy. Buckley nie posiadał się ze szczęścia.

- Ja też mogę? - zapytał, gdy zobaczył swoich rówieśników skaczących w małym gaju i fikających koziołki na gumowej podłodze.

- Naprawdę chcesz, kochanie?

- Proszę - powiedział.

Przedstawiła to jako matczyne ustępstwo.

- W porządku - odparła. A Buckley poszedł w stronę czerwonej metalowej zjeżdżalni. - Bądź grzeczny - zawołała za nim. Nigdy dotąd nie pozwalała mu bawić się tam samemu.

Podaała jego nazwisko opiekunowi, który pilnował dzieci, i powiedziała, że będzie robić zakupy na niższym poziomie, w pobliżu Wanamakera.

Podczas gdy pan Harvey przedstawiał swoją teorię na temat mojego morderstwa, mama w sklepie z tandetą o nazwie „U Spencera” poczuła dotknięcie na plecach, między łopatkami. Odwróciła się z ulgą charakterystyczną dla końca oczekiwania tylko po to, żeby zobaczyć Lena Fenermana, który właśnie kierował się w stronę drzwi. Wyszła za nim ze sklepu, mijając jarzące się w ciemnościach maski, czarne plastikowe kule bilardowe z numerem osiem, włochate trolle - breloczki do kluczy - i duże roześmiane czaszki.

Nie odwrócił się. Szła za nim, najpierw podniecona, potem zdenerwowana. Miała dość czasu na myślenie, ale nie chciała myśleć.

W końcu zobaczyła, że otwiera białe, osadzone równo ze ścianą drzwi, których nigdy wcześniej nie zauważyła.

Po hałasach dochodzących z głębi ciemnego korytarza mogła się zorientować, że Len wprowadził ją do „wnętrzości” centrum - systemu oczyszczania powietrza albo przepompowni wody. Było jej wszystko jedno. W ciemności wyobraziła sobie, że znalazła się wewnątrz własnego serca, i w jej głowie pojawił się obraz powiększonego rysunku, który widziała w gabinecie swojego lekarza. Jednocześnie zobaczyła swojego tatę, w papierowej koszuli i czarnych skarpetkach, siedzącego na stole do badania, podczas gdy doktor wyjaśniał im niebezpieczeństwa zastoinowej niewydolności serca. Dokładnie w chwili, gdy miała poddać się żalowi, rozpląkać, potknąć i pograć w chaosie, doszła do końca korytarza. Wychodził na wielką salę, wysoką na trzy piętra, tętniącą i brzęczącą, ze świetłkami zamontowanymi bez ładu i składu na metalowych zbiornikach i bębnach. Zatrzymała się i nasłuchiwała jakiegoś dźwięku, który nie byłby ogłuszającym szumem powietrza wysysanego z centrum, oczyszczanego i z powrotem wpychanego do sklepów. Nic.

Zobaczyłam Lena, zanim ona go zobaczyła. Stał samotnie w niemal całkowitej ciemności i obserwował ją przez chwilę, wypatrując w jej oczach chęci. Żałował swojego ojca, swojej rodziny, lecz pogrzył się w tych oczach. Chciał powiedzieć: „Mógłbym w nich utonąć, Abigail”, lecz wiedział, że mu tego zrobić nie wolno.

Mama zaczęła dostrzegać wśród połączeń jasnej gmatwaniny metalu coraz więcej kształtów. Przez chwilę czułam, że ta sala zaczyna jej wystarczać, ten obcy teren zapewnia jej dostateczne ukojenie. Wrażenie, że jest poza zasięgiem.

Gdyby nie ręka Lena sięgająca, żeby musnąć jej palce, mogłabym zatrzymać ją tam dla siebie. Byłby to wyłącznie krótki urlop od życia jako pani Salmon.

Dotknął jej i ona się odwróciła. Wciąż jeszcze nie potrafiła naprawdę na niego spojrzeć. Zaakceptował tę jej nieobecność.

Skrecało mnie, gdy to oglądałam. Przytrzymałam się ławki w altanie, haustami chwytając powietrze. Nigdy nie powinna się dowiedzieć, pomyślałam, że kiedy wpiła się we włosy Lena, a on sięgnął dłonią do jej pośladków, przyciągając ją bliżej, człowiek, który mnie zamordował, odprowadzał dwóch policjantów do swoich frontowych drzwi.

Czułam pocałunki, które z szyi mojej mamy spłynęły na jej pierś jak małe, lekkie mysie łapki albo opadające płatki kwiatów. Jednocześnie niszczące i cudowne. Szeptem odciągały ją ode mnie, od jej rodziny i od żalu. Podążyła za głosem swojego ciała.

Gdy Len wziął ją za rękę i poprowadził ku płataninie rur, w miejsce, gdzie hałasy tworzyły jeden chór, pan Harvey zaczął pakować swoje rzeczy, mój brat spotkał dziewczynkę bawiącą się hula-hoopem, moja siostra i Samuel leżeli obok siebie na jej łóżku, kompletnie ubrani i zdenerwowani, babcia opróżniła trzy kieliszki w pustej jadalni. Tata pilnował telefonu.

Mama pożądliwie chwyciła płaszcz Lena i jego koszulę, a on pomógł jej je zdjąć. Przyglądał się, gdy walczyła z własnymi rzeczami, ściągając przez głowę sweter, potem sukienkę, golf, aż w końcu została w majtkach i koszulce. Wpatrywał się w nią.

Samuel pocałował moją siostrę w tył szyi. Lindsey pachniała mydłem i płynem antybakteryjnym i pomyślał, już wtedy, że nigdy jej nie opuści.

Len już miał coś powiedzieć; zauważyłam, że mama spojrzała na jego wargi w chwili, gdy się rozchylały. Zamknęła oczy i rozkazała światu, żeby się zamknął - wyrzaskując te słowa w głowie. Otworzyła oczy i spojrzała na Lena. Milczał, usta miał zamknięte. Zdjęła przez głowę bawełnianą koszulkę i zsunęła bieliznę. Moja mama miała ciało, jakim moje nigdy nie miało się stać. Ale chociaż miała swoją własną księżycową skórę i oczy jak oceany, była pusta, zagubiona i opuszczona.

Pan Harvey ostatecznie opuścił swój dom, gdy spełniało się najbardziej ziemskie życzenie mojej mamy: w litościwym cudzołóstwie znaleźć drogę ucieczki z własnego zrujnowanego serca.

16.

Dokładnie co do dnia rok po mojej śmierci doktor Singh zadzwonił, żeby powiedzieć, że nie wróci do domu na kolację. Ruana miała jednak zamiar wykonać swoje ćwiczenia bez względu na wszystko. Podczas rozciągania się na dywaniku w jedynym ciepłym miejscu, jakie zimą mogła znaleźć w tym domu, bez przerwy zastanawiała się nad nieobecnościami męża. Pochłaniało ją to, dopóki jej ciało nie zaczynało błagać, żeby je uwolniła i skupiła się tylko na nim - gdy nachylała się w przód, jej ramiona wyciągały się teraz do palców nóg - zamknęła umysł i zapomniała o wszystkim, z wyjątkiem lekkiego i przyjemnego prężenia się mięśni i skłonów własnego ciała.

Sięgające niemal podłogi okno w jadalni zasłaniała tylko listwa grzewcza, którą Ruana często wyłączała, bo wywoływane przez nią hałasy ją rozpraszały. Na zewnątrz widziała drzewo wiśni całkowicie pozbawione liści i owoców. Na gałęzi kołysał się lekko pusty karmnik dla ptaków.

Rozciągała się, dopóki dość mocno się nie rozgrzała i nie zapomniała o sobie, a dom, w którym się znajdowała, od niej nie odpłynął. Jej wiek. Jej syn. Ale wciąż myślała o mężu. Miała przeczucie. Nie wierzyła, żeby jakaś inna kobieta ani nawet pełna uwielbienia studentka zmuszała go do coraz częstszych spóźnień. Wiedziała, co to było, ponieważ ona też kiedyś przez to przeszła i sporo z tego powodu wycierpiała, gdy dawno temu doznała kontuzji. Ambicja.

Teraz słyszała dźwięki. Holidaya szczekającego dwie ulice dalej i odpowiadającego mu psa Gilbertów, Raya ruszającego się na górze. Na szczęście chwilę później kolejny wybuch Jethro Tuli odciął całą resztę.

Nie licząc okazjonalnych papierosów, które wypalała w jak największej tajemnicy, żeby nie dawać Rayowi pretekstu do naśladowania, utrzymywała się w dobrej formie. Wiele kobiet z sąsiedztwa komentowało to, że tak dobrze wyglądała, i niektóre chciały, żeby im pokazała, jak to robić, ona jednak zawsze uważała, że to jedynie sposób na nawiązanie rozmowy z samotną sąsiadką cudzoziemką. Ale kiedy usiadła w pozycji Sukhasana i jej oddech nabrał głębokiego, powolnego rytmu, nie potrafiła się w pełni odprężyć i wyzwolić. Uciążliwa myśl, co robi, skoro Ray dorósł, a mąż pracował coraz dłużej, wślizgnęła się do wnętrza jej stopy, podpełzła wzdłuż łydki do kolana, a potem wspinała się coraz wyżej.

Zadzwonił dzwonek.

Ruana była zadowolona z tej wymówki i chociaż należała do osób, dla których porządek stanowił rodzaj medytacji, zerwała się, owinęła wokół talii szal zwisający z oparcia krzesła i, przy muzyce Raya walącej z góry, podeszła do drzwi. Pomyślała przelotnie, że może to być sąsiadka. Sąsiadka z pretensjami - muzyka - a ona ma na sobie czerwony strój do ćwiczeń i szal.

Ruth stała na wycieracze, trzymając torbę na zakupy.

- Witam - powiedziała Ruana. - Czym mogę służyć?

- Przyszłam się zobaczyć z Rayem.

- Wejdz.

Wszystko to musiało zostać na wpeł wykrzyczane poprzez hałas dochodzący z góry. Ruth weszła do frontowego holu.

- Idź na górę - krzyknęła Ruana, wskazując na schody. Obserwowałam, jak przyjmuje do wiadomości powypychane ogrodniczki, golf i kurtkę Ruth. *Mogłabym zacząć od niej*, pomyślała.

Gdy Ruth stała w spożywczym ze swoją matką, między papierowymi talerzami i plastikowymi widelcami oraz łyżkami, zobaczyła świece. W szkole miała przeszywającą świadomość, jaki to dzień, i chociaż wśród rzeczy, które zrobiła do tej pory - leżała w łóżku, czytając „Szkłany klosz”, pomogła matce w sprzątaniu szopy, której ojciec z uporem nazywał szopą na narzędzia, podczas gdy ona myślała o tym miejscu jako o szopie na poezję, i dotrzymała matce towarzystwa na zakupach - nie było niczego, co j jakoś zaznaczałoby rocznicę mojej śmierci, odczuwała silną potrzebę zrobienia czegoś.

Kiedy zobaczyła świece, z miejsca wiedziała, że wybierze się do domu Raya i poprosi go, żeby z nią poszedł. Z powodu ich spotkań przy kręgu dla pchających kulą dzieciaki w szkole ogłosiły ich parą, chociaż wszystko wskazywało na to, że tak nie jest. Ruth mogła sobie rysować tyle nagich kobiet, ile chciała, drapować chustki na głowie, pisać wypracowania o Janis Joplin i głośno protestować przeciw zmuszaniu kobiet do golenia nóg i pach. W oczach klasowych kolegów z Fairfax pozostała dziwaczną dziewczyną, którą przyłapano na C-A-L-O-W-A-N-I-U dziwaczego chłopaka.

Natomiast nikt nie wiedział - a oni nie mogli przecież tego tłumaczyć - że chodziło o pewien eksperyment dotyczący ich obojga. Ray pocałował tylko mnie, a Ruth nigdy nikogo nie całowała, więc zgodnie doszli do wniosku, że się pocałują i zobaczą.

- Nic nie czuję - powiedziała Ruth po wszystkim, kiedy leżeli w klonowych liściach pod drzewem za parkingiem dla nauczycieli.

- Ja też nie - przyznał Ray.

- A czułeś coś, kiedy pocałowałeś Susie?

- Tak.

- Co?

- Że chcę więcej. Tamtej nocy śniło mi się, że znów ją całuję, i zastanawiałem się, czy ona myślała o tym samym.

- A seks?

- Tak daleko jeszcze nie doszedłem - stwierdził Ray. - A teraz całuję ciebie i to nie to samo.

- Możemy próbować dalej - odparła Ruth. - Wchodzę w to, jeżeli nikomu nie powiesz.

- Myślałem, że lubisz dziewczyny.

- Możemy się umówić. Możesz udawać, że jestem Susie, i ja też to zrobię.

- Jesteś kompletnie porąbana - stwierdził Ray z uśmiechem.

- Chcesz powiedzieć, że nie chcesz? - drażniła się z nim Ruth.

- Pokaż mi jeszcze raz swoje rysunki.

- Może i jestem porąbana - Ruth wyciągnęła z torby swój szkicownik. Był teraz pełen nagich kobiet, które przerysowała z „Playboya”, powiększając lub zmniejszając różne części ciała i dodając włosy oraz zmarszczki tam, skąd zostały usunięte aerografem. - Ale przynajmniej nie mam odjazdu na węgiel do rysowania.

Kiedy Ruth weszła, Ray tańczył w swojej sypialni. Nałożył okulary, bez których starał się obejść w szkole, bo były grube, a poza tym jego ojciec wyskoczył z forsą tylko na najmniej kosztowne, trudne do połamania oprawki. Miał na sobie wypchane dżinsy i poplamiony T-shirt, w którym, jak Ruth przypuszczała, a ja wiedziałam, spał.

Przestał tańczyć, kiedy tylko zobaczył ją stojącą w drzwiach, z torbą na zakupy. Jego ręce natychmiast powędrowały w górę i zgarnęły okulary. Nie wiedział, co zrobić, więc pomachał nimi do Ruth i powiedział:

- Cześć.

- Możesz to wyłączyć?! - wrzasnęła Ruth.

- Jasne!

Gdy hałas ustał, przez sekundę dzwoniło jej w uszach i właśnie wtedy zobaczyła błyski w oczach Raya.

Stał po przeciwnej stronie pokoju. Między nimi znajdowało się łóżko ze zmiętymi i pozwijanymi w kule prześcieradłami, a nad nim wisiał mój portret, zrobiony przez Ruth z pamięci.

- Powiesiłeś go - powiedziała Ruth.

- Uważam, że jest naprawdę dobry.

- Uważamy tak ty, ja i nikt inny.

- Moja mama uważa, że jest dobry.

- Ona jest nawiedzona, Ray. - Ruth odłożyła torbę. - Nic dziwnego, że takie z ciebie dziwadło.

- Co jest w tej torbie?

- Świece - odparła Ruth. - Kupiłam w spożywczym. Jest szósty grudnia.

- Wiem.

- Pomyślałam, że moglibyśmy je zapalić na polu kukurydzy i powiedzieć „do widzenia”.

- Ile razy można się żegnać?

- To był tylko pomysł. Pójdę sama.

- Nie - orzekł Ray. - Pójdę z tobą.

Ruth, w swojej kurtce i ogrodniczkach, usiadła i czekała, aż zmieni koszulkę. Przyglądała mu się, kiedy odwrócił się do niej plecami. Zauważyła, jaki był chudy, ale też dostrzegła, że

mięśnie wydawały się sprężynować na jego ramionach jak należy, a skóra w kolorze takim jak u matki była znacznie bardziej zachęcająca niż jej własna.

- Możemy się pocałować, jeżeli masz ochotę.

Ray odwrócił się z szerokim uśmiechem. Zaczął lubić te eksperymenty. Już nie myślał o mnie - chociaż nie mógł powiedzieć tego Ruth.

Podobało mu się, że przeklinała i nienawidziła szkoły. Podobało mu się, że była inteligentna i próbowała udawać, że to dla niej bez znaczenia, iż jego ojciec był doktorem (nawet nie prawdziwym doktorem, wytknęła), a jej ojciec rozbierał stare domy, albo że Singhowie mieli całe rzędy książek, gdy ona mogła o książkach tylko pomarzyć.

Usiadł obok niej na łóżku.

- Chcesz zdjąć kurtkę?

Zdjęła.

I tak w rocznicę mojej śmierci Ray dobierał się do Ruth i się całowali, aż w pewnym momencie ona spojrzała mu w twarz.

- Cholera! - powiedziała. - Chyba coś czuję.

Kiedy Ray i Ruth dotarli na pole, byli milczący, a on trzymał ją za rękę. Nie wiedziała, czy robił to dlatego, że ją lubił, czy też dlatego, że oboje byli świadomi mojej śmierci. W głowie miała zamieszanie, jej zwykła intuicja gdzieś zniknęła.

Wtedy zobaczyła, że nie ona jedna o mnie myślała. Hal i Samuel Hecklerowie stali na polu z rękoma wciśniętymi w kieszenie, odwrócenie do niej plecami. Na ziemi leżały żółte żonkile.

- To wyście przynieśli? - zapytała Samuela.

- Nie - odparł za brata Hal. - Już tu były, kiedy przyszliśmy.

Pani Stead przyglądała im się z okna sypialni swojego syna. Postanowiła narzucić płaszcz i wyjść na pole.

Grace Tarking spacerowała wokół kwartału. Zamieniły kilka słów na ulicy. Grace powiedziała, że wstąpi do domu, ale potem do nich dołączy.

Grace najpierw zadzwoniła do swojego chłopaka, który mieszkał kawałek dalej w trochę bogatszej dzielnicy, a później do Gilbertów. Jeszcze nie całkiem doszli do siebie po dziwnej roli, którą odegrali w odkryciu mojej śmierci - to właśnie ich wierny labrador znalazł pierwszy dowód. Grace zaproponowała, że im potowarzyszy, ponieważ byli starszymi ludźmi i przejście przez trawniki sąsiadów i nierówną powierzchnię pola stanowiło dla nich wyzwanie, ale owszem, powiedział pan Gilbert, chciałby pójść. Potrzebowali tego, oznajmił Grace Tarking, szczególnie jego żona - jednak ja widziałam, jaki był zdruzgotany. Zawsze ukrywał swój ból, okazując dbałość o żonę. Chociaż myśleli przelotnie o oddaniu psa, byli do niego zbyt przywiązani.

Pan Gilbert zastanawiał się, czy Ray - ten uroczy chłopiec, który załatwiał im drobne sprawy i którego źle osądzono - wiedział, więc zadzwonił do domu Singhów. Ruana

podejrzewała, że jej syn musiał już tam być, i zapowiedziała, że sama też przyjdzie.

Gdy Lindsey wyjrzała przez okno, zobaczyła Grace Tarking idącą pod ramię z panią Gilbert i chłopaka Grace ubezpieczającego pana Gilberta. Cała czwórka przecinała trawnik O'Dwyerów.

- Coś się dzieje na polu kukurydzy, mamó - zauważyła.

Mama czytała Moliere, tak zawzięcie studiowanego w college[^] ale od tamtej pory leżącego odłogiem. Przygotowała też sobie książki, które wyróżniały ją jako awangardową studentkę: Sartre'a, Colette, Prousta, Flauberta. Pościagała je z półek w sypialni i obiecała sobie, że w tym roku wszystkie ponownie przeczyta.

- Nie jestem zainteresowana - powiedziała do Lindsey - ale na pewno twój ojciec będzie, kiedy wróci do domu. Czemu nie pójdziesz na górę i nie pobawisz się z bratem?

Moja siostra już od tygodni uparcie kręciła się w pobliżu mamy, przypochlebiając jej się bez względu na sygnały, jakie odbierała. Coś się kryło pod tą lodową taflą. Lindsey była tego pewna. Została z mamą, siedząc obok jej krzesła i obserwując przez okno naszych sąsiadów.

Do czasu gdy zapadły ciemności, świece, o których przyniesienie zadbali nowo przybyli, rozświetliły pole. Wyglądało na to, że byli tam wszyscy, których kiedykolwiek znałam albo obok których siedziałam w ławce - od przedszkola do ósmej klasy. Pan Botte zobaczył, że coś się dzieje, kiedy wychodził ze szkoły po przygotowaniu sali do mającego się odbyć następnego dnia corocznego eksperymentu na temat trawienia zwierząt. Kiedy zdał sobie sprawę, co się dzieje na polu kukurydzy, wrócił do szkoły i zadzwonił do kilku osób. Była pewna sekretarka, która przejęła się moją śmiercią. Przyszła z synem. Byli nauczyciele, którzy nie pojawili się na oficjalnym szkolnym nabożeństwie żałobnym.

Pogłoski o podejrzeniach co do winy pana Harveya zaczęły rozchodzić się od sąsiada do sąsiada w noc Święta Dziękczynienia. Następnego popołudnia wszyscy rozmawiali tylko o tym: czy to możliwe? Czy ten dziwny człowiek, który tak cicho żył wśród nich, mógł zabić Susie Salmon? Ale nikt nie ośmielił się zagadnąć mojej rodziny, żeby poznać szczegóły. Wypytywano kuzynów przyjaciół albo ojców chłopców, którzy strzygli nasz trawnik. W poprzednim tygodniu starano się nawiązać przyjacielskie stosunki z każdym, kto mógł wiedzieć, co robi policja. Gdy spotkali się na polu kukurydzy, chcieli uczcić moją pamięć, ale również dodać sobie otuchy. Morderca mieszkał przecież wśród nich, mijał ich na ulicy, kupował skautowskie ciasteczka od ich córek i subskrypcje czasopism od ich synów.

W swoim niebie tryskałam uniesieniem i energią, gdy coraz więcej osób docierało na pole kukurydzy, zapalało swoje świece i zaczynało nucić cichą, jakby pogrzebową pieśń, którą pan O'Dwyer przywołał z odległego wspomnienia o swoim dublińskim dziadku. Moi sąsiedzi z początku czuli się skrępowani, ale sekretarka ze szkoły przysunęła się do pana O'Dwyera, kiedy zaintonował, i do jego głosu dołączyła swój mniej melodyjny. Ruana Singh stała sztywno z boku, z dala od swojego syna. Kiedy wychodziła, doktor Singh zadzwonił, żeby jej powiedzieć, że prześpi noc w biurze. Lecz inni ojcowie, wracający do domu z pracy,

parkowali samochody na podjazdach tylko po to, by z nich wysiąść i podążyć za swoimi sąsiadami. Jak mogli jednocześnie pracować na utrzymanie swoich rodzin i troszczyć się o bezpieczeństwo swych dzieci? Jako grupa dowiedzieli się, że to niemożliwe, bez względu na to, ile praw ustanowią. To, co spotkało mnie, mogło spotkać każdego.

Nikt nie zadzwonił do mojego domu. Moją rodzinę pozostawiono w spokoju. Nieprzepuszczalna bariera, otaczająca gonty, komin, belki, podjazd i płot była jak warstwa czystego lodu, który pokrywa drzewa, gdy po deszczu nadchodzi mróz. Nasz dom wyglądał tak samo jak każdy w tym kwartale, ale nie był taki sam. Morderstwo oznaczało krwawe, czerwone drzwi, za którymi działo się niewyobrażalne.

Kiedy na niebie pojawiły się różowe cętki, moja siostra zorientowała się, co się działo. Mama nawet nie podniosła oczu znad książki.

- Urządzili uroczystość dla Susie - powiedziała Lindsey. - Posłuchaj.

Pchnięciem otworzyła okno. Do środka wpadło zimne grudniowe powietrze i odległy śpiew. Mama zużyła już całą energię.

- Mieliliśmy nabożeństwo żałobne - stwierdziła. - Dla mnie to koniec.

- Koniec czego?

Łokcie mamy spoczywały na poręczach żółtego krzesła z regulowanym oparciem. Nieznacznie pochyliła się do przodu i jej twarz znalazła się w cieniu, przez co Lindsey trudniej było zobaczyć, jaki ma wyraz.

- Nie wierzę, żeby twoja siostra tam na nas czekała. Nie sądzę, żeby zapalenie świec było właściwym sposobem uczczenia jej pamięci. Można to zrobić inaczej.

- Na przykład jak? - rzuciła Lindsey. Siedziała po turecku na dywaniku i patrzyła na mamę, która, pozostając na swoim krześle, palcem zaznaczyła miejsce w Molierze.

- Chcę być kimś więcej niż matką.

Lindsey pomyślała, że potrafi to zrozumieć. Ona chciała być kimś więcej niż dziewczynką.

Mama odłożyła Moliera na stolik do kawy i szybkim ruchem zsunęła się z krzesła i opuszczała na dywanik. Zdumiało mnie to. Mama nie siadała na podłodze - siadała przy biurku do płacenia rachunków albo na fotelach, czasami na końcu kanapy ze zwiniętym obok Holidayem.

Wzięła rękę mojej siostry w swoje dłonie.

- Czy zamierzasz nas zostawić? - zapytała Lindsey.

Mama się zawahała. Jak miała powiedzieć to, o czym Lindsey już wiedziała? Zamiast tego wygłosiła kłamstwo:

- Obiecuję, że was nie zostawię.

Pragnęła znów być tą wolną dziewczyną, układającą porcelanę u Wanamakera, ukrywającą przed kierownikiem filiżankę Wedgwood ze stłuczonym przez siebie uszkiem, marzącą o życiu w Paryżu jak de Beauvoir i Sartre, podczas powrotu do domu, śmiejącą się

do siebie z głupiego Jacka Salmona, który był właściwie całkiem miły, jeśli nawet nienawidził palaczy. W paryskich kawiarniach wszyscy palili, powiedziała, i chyba zrobiło to na nim wrażenie. Pod koniec tamtego lata, kiedy zaprosiła go do pokoju i kiedy oboje po raz pierwszy się kochali, zapaliła papierosa, a on dla żartu powiedział, że sam też zapali. Gdy wręczyła mu nadtłuczoną niebieską filizankę, żeby użył jej jako popielniczki, wykorzystwała wszystkie swoje ulubione słowa, żeby upiększyć historię o tym, jak ją stłukła, a potem ukryła w płaszczu ten obecnie jakże nieatrakcyjny wytwór firmy Wedgwood.

- Chodź tu, kochanie - powiedziała mama i Lindsey posłuchała. Oparła się plecami o pierś mamy, a ona kołysała ją niezgrabnie na dywaniku. - Tak dobrze sobie radzisz, Lindsey; utrzymujesz swojego ojca przy życiu. - Wtedy usłyszały zajeżdżający na podjazd samochód.

Lindsey pozwoliła się tulić, podczas gdy mama myślała o Ruanie Singh palącej papierosa za własnym domem. Słodki zapach dunhilli uniósł mamę daleko. Jej ostatni chłopak przed moim tatą uwielbiał gauloisy. Był pretensjonalnym typkiem, pomyślała, ale był też och-jaki-poważny w sposób, który i jej pozwalał być och-jaką-poważną.

- Widzisz świece, mamó? - zapytała Lindsey, patrząc przez okno.

- Idź po swojego ojca - powiedziała mama.

Moja siostra spotkała tatę w przedsionku - wieszal kluczyki i płaszcz. Tak, pójdą, stwierdził. Oczywiście, że pójdą.

- Tato! - mój brat wołał z piętra, dokąd po niego szli.

- Twoja decyzja - powiedział tata do Lindsey, gdy Buckley go obściskał.

- Nie powinniśmy go już chronić - odparła Lindsey. - Wykluczanie go jest jakieś nierealne. Susie odeszła. On o tym wie.

Mój brat wpatrywał się w nią, unosząc głowę.

- Jest impreza dla Susie - wyjaśniła Lindsey. - I ja, i tata cię zabieramy.

- Czy mamusia jest chora? - zapytał Buckley.

Lindsey nie chciała go okłamywać, ale czuła też, że właściwie nazwał to, o czym wiedziała.

- Tak.

Lindsey uzgodniła, że spotka się z tatą na dole, i zabrała Buckleya do pokoju, żeby go przebrać.

- Ja ją czasem widzę, wiesz - odezwał się Buckley i moja siostra na niego spojrzała. - Przychodzi i ze mną rozmawia, i spędza ze mną czas, kiedy ty grasz w piłkę.

Lindsey nie wiedziała, co powiedzieć, lecz przytuliła Buckleya tak, jak on często ścisnął Holidaya.

- Jesteś taki wyjątkowy - powiedziała do mojego brata. - Zawsze tu będę, choćby nie wiem co.

Tata powoli schodził na dół, zaciskając lewą rękę na drewnianej poręczy. W końcu dotarł do wyłożonego kaflami podestu.

Zbliżał się głośno. Mama wzięła swojego Moliera i przekradła się do jadalni, gdzie nie mógł jej zobaczyć. Czytała książkę, stojąc w rogu pokoju i ukrywając się przed swoją rodziną. Czekala, aż frontowe drzwi otworzą się i zamkną.

Moi sąsiedzi i nauczyciele, przyjaciele i rodzina otoczyli przypadkowo wybrane miejsce, niezbyt odległe od tego, w którym zostałam zabita. Mój tata, siostra i brat usłyszeli śpiew, gdy tylko znaleźli się na zewnątrz. Wszystko w moim tacie wyrywało się do ciepła i światła. Tak bardzo chciał, żebym została w pamięci i sercach tych ludzi. Dowiedziałam się czegoś, kiedy ich obserwowałam: prawie wszyscy się ze mną żegnali. Miałam się stać jedną z wielu zaginionych dziewczynek. Wrócą do domu i pogrzebią mnie jak list z przeszłości, którego nigdy więcej się nie otwiera i nie czyta. Potrafiłam powiedzieć im „do widzenia”, życzyć wszystkiego dobrego, pobłogosławić ich jakoś za dobre myśli. Za uścisk dłoni na ulicy, upuszczony przedmiot, który został podniesiony i oddany, przyjacielskie machanie z dalekiego okna, kiwnięcie głową, za uśmiech, gdy wygłupy dziecka przykuwały ich wzrok.

Ruth pierwsza zauważyła trzech członków mojej rodziny i pociągnęła Raya za rękaw.

- Idź mu pomóż - szepnęła.

I Ray, który spotkał mojego tatę pierwszego dnia jego długiej, jak się okazało, podróży w poszukiwaniu mojego zabójcy, ruszył naprzód. Podszedł też Samuel. Jak młodzi pastorzy przyprowadzili mojego tatę, siostrę i brata. Ludzie zaś rozstąpili się i umilkli.

Tata od miesięcy nie był poza domem, nie licząc jazdy tam i z powrotem do pracy albo przesiadywania na podwórzu; nie widywał też sąsiadów. Teraz na nich patrzył, przenosząc wzrok od twarzy do twarzy, aż zdał sobie sprawę, że kochali mnie ludzie, których nawet nie rozpoznawał. Poczul, że serce mu rośnie i napelnia się ciepłem, jakiego nie zaznało od tak dawna - nie licząc przelotnych chwilek z Buckleyem, przypadkowych chwil miłości do syna.

Spojrzał na pana O'Dwyera.

- Stan - powiedział - Susie stawała latem we frontowym oknie i słuchała, jak śpiewasz u siebie na podwórzu. Czy zaśpiewasz dla nas?

I choć zdarza się to rzadko i nie wtedy, gdy się tego najbardziej pragnie - by ocalić ukochanego od śmierci - nadszedł moment łaski. Pan O'Dwyer zawahał się na mgnienie przy pierwszej nucie, a potem zaśpiewał głośno, czysto i dobrze. Wszyscy się do niego przyłączyli.

Pamiętałam te letnie noce, o których mówił mój tata. Wieczność trwało, zanim nadeszły ciemności, i zawsze miałam nadzieję, że wtedy wreszcie zrobi się chłodniej. Czasami, stojąc w otwartym oknie we frontowym holu, czułam powiew i była w nim muzyka dochodząca z domu O'Dwyerów. Gdy słuchałam pana O'Dwyera wyśpiewującego wszystkie irlandzkie ballady, jakich się kiedykolwiek nauczył, bryza zaczynała pachnieć ziemią i powietrzem, mszystym zapachem, który mógł oznaczać tylko jedno: burzę.

W domu panował wówczas cudowny spokój: Lindsey siedziała w sypialni na starej kanapie i się uczyła, tata w swojej kryjówce czytał książki, mama na dole wyszywała albo zmywała.

Lubiłam przebierać się w długą, bawełnianą nocną koszulę i wychodzić na tylną werandę, gdzie deszcz ciężkimi kroplami zaczynał spadać na dach, podmuchy nadchodziły falami ze wszystkich stron i szarpały moją koszulę. Było ciepło i cudownie, pojawiła się błyskawica, a chwilę później rozległ się grzmot.

Mama stała w otwartych drzwiach i po wygłoszeniu zwykłego ostrzeżenia: „Zażębisz się na śmierć”, milkła. Słuchałyśmy chlustania deszczu i grzmotów, i wdychałyśmy zapach ziemi, wznoszący się w pozdrowieniu.

- Wyglądasz, jakbyś była niezwykczona - powiedziała mama którejś nocy.

Uwielbiałam te chwile, kiedy wydawało się, że czujemy to samo. Odwróciłam się do niej owinięta swoją cienką koszulą i odparłam:

- Bo jestem.

Migawki

Aparatem, który dali mi rodzice, zrobiłam swojej rodzinie dziesiątki zdjęć. Zrobiłam ich tak dużo, że tata zmusił mnie, żebym wybrała rolki, które powinny zostać wywołane. Jako że koszty mojej obsesji rosły, zaczęłam trzymać w szafie dwa pudełka. „Filmy do oddania” i „Filmy do zostawienia”. Mama powiedziała, że ten jeden raz wykazałam trochę zdolności organizacyjnych.

Uwielbiałam sposób, w jaki przepalone kostki błyskowe kodaka instamatica wyznaczały chwilę, która upłynęła, która pozostanie miniona wszędzie oprócz zdjęcia. Kiedy się zużywały, wyjmowałam czworokątne żarówki do flesza i przerzucałam z ręki do ręki, dopóki nie ostygły. Połamane włókna flesza stawały się błękitne jak płynny marmur albo czasami zadymiały cienkie szkło na czarno. Utrwalałam chwilę za pomocą swojego aparatu i w ten sposób odkryłam metodę na zatrzymywanie i zachowanie czasu. Nikt nie mógł mi odebrać tego obrazu, miałam go na własność.

W letni wieczór tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku moja mama odwróciła się do taty i zapytała:

- Czy kochałeś się kiedyś w oceanie?

A on odparł:

- Nie.

- Ja też nie - powiedziała mama. - Udawajmy, że to ocean, a ja wyjeżdżam i możemy się już nigdy nie zobaczyć.

Następnego dnia pojechała do domku swojego ojca w New Hampshire.

W tym czasie Lindsey, Buckley albo tata otwierali frontowe drzwi i znajdowali na ganku zapiekankę lub ciasto piaskowe. Czasami szarlotkę, którą tata uwielbiał. Nie dało się tego przewidzieć. Zapiekanki, które robiła pani Stead, były potworne. Ponczowe babki pani Gilbert za mocno nasączone, ale znośne. Szarlotki od Ruany: niebo w gębie.

Podczas długich nocy po odejściu mamy mój tata próbował się oderwać, ponownie czytając w swoim gabinecie pochodzące z czasów wojny secesyjnej fragmenty listów Mary Chestnut do męża. Próbował się pozbyć wszelkiej winy i wszelkiej nadziei, ale było to niemożliwe. Tylko raz zdobył się na niewielki uśmiech.

„Ruana Singh piecze niewiarygodną szarlotkę”, napisał w swoim notesie.

Pewnego jesiennego popołudnia odebrał telefon i usłyszał Babcie Lynn.

- Jack - oznajmiła - myślę o przyjeździe na stałe.

Tata milczał, ale dało się wyczuć jego wahanie.

- Chciałabym być do dyspozycji twojej i dzieci. Wystarczająco długo objałam się po tym mauzoleum.

- Lynn, dopiero zaczynamy od nowa - wyjąkał. A jednak ktoś musiał pilnować Buckleya. Nie mógł być wiecznie zależny od matki Nate'a. Cztery miesiące po odejściu mamy jej

czasowa nieobecność zaczęła nabierać cech stałości.

Babcia nalegała. Obserwowałam, jak opierała się resztkom wódki w szklaneczce.

- Powstrzymam się od picia - tu poważnie się namyśliła - przed piątą - dodała. - A, do diabła, kompletnie przestanę pić, jeśli uznalbyś to za konieczne.

- Czy wiesz, co mówisz?

Babcia nabierała pewności, od ręki trzymającej słuchawkę, aż do obutych w czółenka stóp.

- Tak, wiem. Tak sędzę.

Dopiero gdy tata odłożył słuchawkę, zaczął się zastanawiać: Gdzie my ją UMIEŚCIMY? Dla wszystkich było to oczywiste.

W grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego minął rok, odkąd pan Harvey spakował walizki i ślad po nim zaginął. Przez jakiś czas, dopóki taśma się nie zabrudziła albo papier nie podarł, właściciele sklepów trzymali jego portrety pamięciowe w oknach wystawowych. Lindsey i Samuel spacerowali po okolicy albo kręcili się po warsztacie Hala. Moja siostra unikała knajpki, do której często zaglądały inne dzieciaki. Właściciel lokalu był zwolennikiem prawa i porządku. Powiększył portret George'a Harveya dwukrotnie i przykleił go na frontowych drzwiach. Chętnie podawał przerażające szczegóły - młoda dziewczyna, pole kukurydzy, znaleziono tylko łokieć - wszystkim klientom, którzy zapytali.

W końcu Lindsey poprosiła Hala, żeby podwiózł ją na posterunek. Chciała się dowiedzieć, co właściwie robi policja.

Pożegnali się z Samuelem przy warsztacie i Hal zawiózł Lindsey przez mokry grudniowy śnieg. Wiek Lindsey i cel jej wizyty zaskoczyły policjantów. Gdy kolejni funkcjonariusze zdawali sobie sprawę, kim była, robiło się wokół niej coraz bardziej pusto. Oto zdecydowana, wściekła, piętnastoletnia dziewczyna. Miała piersi jak idealne wzgórki, nogi przesadnie długie, ale odpowiednio wykrojone, a z jej oczu jak płatki kwiatów sypały się iskry.

Kiedy Lindsey w towarzystwie Hala czekała na drewnianej ławce przed biurem kapitana, wydało jej się, że zobaczyła w głębi pomieszczenia - na biurku detektywa Fenermana - coś znajomego. Ta rzecz rzucała się w oczy z powodu koloru, który jej matka zawsze określała jako chińską czerwień, rzadko spotykaną w naturze, ostrzejszą niż czerwień róży barwę klasycznej szminki. Nasza mama była dumna z tego, że może nosić chińską czerwień, i za każdym razem, gdy wiązała wokół szyi apaszkę w tym kolorze, zaznaczała, że to kolor, którego nie ośmieliła się nosić nawet Babcia Lynn.

- Hal - powiedziała, wszystkie mięśnie miała napięte, gdy patrzyła na ten coraz bardziej znajomy przedmiot na biurku Fenermana.

- Tak.

- Widzisz tę czerwoną chustkę?

- Tak.

- Możesz pójść i mi ją przynieść? - Kiedy Hal na nią spojrział, dodała: - Myślę, że to mojej

mamy.

Wstał, żeby po nią pójść, i w tym momencie do sali wszedł Len. Poklepał Lindsey po ramieniu i nagle się zorientował, co robi towarzyszący jej chłopak. Lindsey i detektyw Fenerman zmierzli się wzrokiem.

- Cemu pan ma apaszkę mojej mamy?

Len się zająknął.

- Mogła zostawić ją któregoś dnia w moim samochodzie.

Lindsey podniosła się z ławki i stanęła z nim twarzą w twarz. Patrzyła na niego bystro i w szybkim tempie zbliżała się do najgorszej prawdy.

- Co robiła w pańskim samochodzie?

- Cześć, Hal - powiedział Len.

Hal trzymał apaszkę w ręku. Lindsey mu ją wyrwała, w jej głosie narastała złość.

- Cemu pan ma apaszkę mojej mamy?

I chociaż to Len był detektywem, pierwszy zorientował się Hal - wystrzeliło to nad nią jak łuk tęczy - pryzmat zrozumienia. Tak bywało na lekcjach algebry albo angielskiego, kiedy moja siostra jako pierwsza obliczała liczbę albo wskazywała swoim rówieśnikom grę słów. Hal położył Lindsey rękę na ramieniu, żeby ją wyprowadzić.

- Powinniśmy iść - powiedział.

A później w pokoju na tyłach warsztatu Lindsey wyplakała swoje niedowierzanie Samuelowi.

Kiedy Buckley skończył siedem lat, zbudował dla mnie fort. Było to coś, co zawsze obiecywaliśmy sobie zrobić razem i coś, do czego tata nie mógł się zabrać, bo za bardzo przypominało mu budowanie namiotu z zaginionym panem Harveyem.

Do domu mojego mordercy wprowadziła się rodzina z pięcioma dziewczynkami. Znad basenu, który napełniono wiosną po ucieczce George'a Harveya, do gabinetu taty dolatywał śmiech. Odgłosy zabawy i śmiech małych dziewczynek, które miały zostać oszczędzone.

Dla uszu taty stało się to torturą, przypominało mu odgłos tłukącego się szkła. Wiosną tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku, gdy mama wciąż była nieobecna, zamykał okno swojej kryjówki nawet w najgorętsze wieczory. Obserwował samotnego chłopczyka między trzema puchatymi, krzaczastymi wierzbami, który mówił sam do siebie. Buckley przyniósł z garażu puste doniczki z terakoty i przyciągnął kozioł do butów, który leżał zapomniany z boku domu. Wszystko, żeby zrobić ściany frontu. Potem, z pomocą Samuela i Hala oraz Lindsey, przepchnął dwa wielkie głazy sprzed podjazdu na podwórze. Było to tak niespodziewane osiągnięcie, że skłoniło Samuela do zapytania.

- Jak zamierzasz zrobić dach?

Zaskoczony Buckley długo się w niego wpatrywał, a Hal, przejrząwszy w duchu zawartość swojego warsztatu, przypomniał sobie o dwóch kawałkach arkuszy blachy falistej, opartych o tylną ścianę pomieszczenia.

Pewnego upalnego wieczoru tata wyjrzał przez okno i nie zobaczył już syna. Buckley umościł się w swoim forcie. Wchodził do niego na czworakach, zasuwał za sobą donice z terakoty, a potem opierał o nie kawałek sklejki, która sięgała prawie do falistego dachu. Do środka wpadało akurat dość światła do czytania. Hal wyświadczył mojemu bratu przysługę i wielkimi czarnymi literami wypisał sprayem NIE PRZESZKADZAĆ na jednej stronie drzwi ze sklejki.

Buckley czytał przeważnie „Mściciela” i „X-Mena”. Marzył, żeby zostać Wolverinem, który miał szkielet z najmocniejszego metalu we wszechświecie i potrafił w ciągu jednej nocy wyleczyć się z każdej rany. W rzadkich wolnych chwilach myślał o mnie, tęsknił za moim głosem, chciał, żebym wyszła z domu, walnęła w dach jego fortu i domagała się wstępu. Czasami żałował, że Samuel i Lindsey nie spędzają więcej czasu w domu albo że tata nie bawi się z nim tak jak dawniej - bez tego wiecznie zmartwionego spojrzenia ukrytego pod uśmiechem i rozpaczliwego niepokoju, który teraz otaczał wszystko niczym niewidzialne pole siłowe. Ale nie pozwalał sobie na tęsknotę za mamą. Pogrążył się w opowieściach, w których słabi ludzie zmieniali się w silne półzwierzęta albo za pomocą promieni płynących z oczu lub magicznych młotów przedzierali przez stal czy wspinali po ścianach wieżowców. W złości był Hulkiem, przez resztę czasu Spideyem. Kiedy czuł, że boli go serce, stawał się istotą silniejszą niż mały chłopiec i tak dorastał. Serce, które w mgnieniu oka zamieniało się w kamień, serce kamień. Gdy się temu przyglądałam, myślałam o tym, co mówiła Babcia Lynn, kiedy z Lindsey wywracałyśmy oczami albo wykrzywiałyśmy się za jej plecami: „Uważaj, jakie robisz miny, bo ci tak zostanie”.

Pewnego dnia Buckley, który chodził wtedy do drugiej klasy, przyniósł do domu swoje opowiadanie: „Był chłopak imieniem Billy. Lubił odkrywać. Zobaczył dziurę i wszedł do środka, ale nigdy nie wyszedł. Koniec”.

Mój tata był zbyt zagubiony, żeby coś w tym dostrzec. Naśladowując mamę, przykleił kartkę taśmą do lodówki, w tym samym miejscu, gdzie kiedyś wisiał dawno zapomniany, zrobiony przez Buckleya rysunek Pomiędzy. Ale mój brat wiedział, że z jego historią coś było nie w porządku. Zorientował się po reakcji nauczycielki, która aż się zatchnęła jak ludzie w jego komiksach. Odkleił opowiadanie i kiedy Babcia Lynn była na dole, zaniósł je do mojego starego pokoju. Złożył kartkę w mały kwadracik i wsunął w pusty teraz środek mojego łóżka z czterema kolumnkami.

Upalnego jesiennego dnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku Len Fenerman poszedł do magazynu dowodowego obejrzeć dużą kasetę pancerną. Były tam kości zwierząt z sąsiedztwa, znalezione w zakamarku piwnicy pana Harveya, razem z laboratoryjnym potwierdzeniem śladów niegaszonego wapna. Len nadzorował dochodzenie, ale bez względu na to, jak długo czy głęboko kopano, w posiadłości nie odkryto żadnych innych kości ani zwłok. Plama krwi na podłodze garażu była moją jedyną wizytówką. Len spędził tygodnie, potem miesiące, intensywnie wpatrując się w kserokopię szkicu

ukradzionego przez Lindsey. Poprowadził ekipę z powrotem na pole i przekopali je, a potem przekopali ponownie. Wreszcie na przeciwnym końcu znaleźli starą butelkę po coli. No i proszę, znalazł solidne powiązanie: odciski palców pasujące do odcisków pana Harveya, których pełno było w jego domu, i odciski palców pasujące do tych na moim świadectwie urodzenia. Fenerman był już pewien: Jack Salmon od początku miał rację.

Ale bez względu na to, jak usilnie szukał tego człowieka, wydawało się, że George Harvey rozplynął się w powietrzu, gdy tylko przekroczył granicę swojej posiadłości. Fenerman nie zdołał znaleźć żadnych danych powiązanych z tym nazwiskiem. Oficjalnie pan Harvey nie istniał.

Pozostały po nim jedynie domki dla lalek. Len zadzwonił do człowieka, który je sprzedawał i brał prowizje od wybranych sklepów i bogatych ludzi, zamawiających repliki swoich własnych domów. Nic. Zadzwonił do wytwórców miniaturowych krzeseł, maleńkich drzwi i okien ze skośnymi szybami i mosiężnymi okuciami, do producenta szmacianych krzaków oraz drzew. Nic.

Usiadł wśród dowodów na pustym, należącym do miasta biurku w piwnicy posterunku. Przejrzał plik dodatkowych ulotek, które zrobił mój tata. Znał moją twarz na pamięć, a mimo to je przejrzał. Nabrał przekonania, że może jeszcze liczyć na aktualny ruch na rynku budowlanym na tym terenie.

Przy całym tym grzebaniu w ziemi i zmianach mogły znaleźć się inne wskazówki, które dostarczyłyby potrzebnej mu odpowiedzi.

Na dnie kasy była torba, a w niej czapka z dzwonkami. Kiedy wręczył ją mojej mamie, osunęła się na dywanik. Wciąż nie potrafił precyzyjnie określić momentu, w którym się w niej zakochał. Ja wiedziałam, że stało się to wtedy, gdy usiadł w naszym salonie, a mama rysowała patykowate figurki na papierze pakowym, podczas gdy Buckley i Nate spali na kanapie, dotykając się stopami. Było mi go żal. Próbował rozwiązać sprawę mojego morderstwa i poniósł klęskę. Próbował kochać moją mamę i poniósł klęskę.

Len spojrzał na rysunek pola kukurydzy, ukradziony przez Lindsey, i zmusił się, żeby przyjąć do wiadomości, co następuje: był zbyt ostrożny i pozwolił uciec mordercy. Nie umiał zrzucić z siebie poczucia winy. Wiedział, jeśli nawet tylko on jeden, że będąc tego dnia z moją mamą w centrum handlowym, stał się winnym pozostawienia George'a Harveya na wolności.

Wyjął z tylnej kieszeni portfel i położył na stole zdjęcia ze wszystkich nierozwiązanych spraw, nad którymi pracował. Między innymi swojej żony. „Stracona”, napisał na odwrocie każdego zdjęcia. Nie miał zamiaru dłużej czekać na datę, którą oznaczyłby, że zrozumiał kto albo dlaczego, albo jak. Nigdy nie zrozumie wszystkich powodów, dla których zabiła się jego żona. Nigdy nie zrozumie, jakim sposobem ginęło tyle dzieci. Umieścił te fotografie w kasecie z dowodami z mojej sprawy i wyłączył światło w zimnym pomieszczeniu.

O czymś jednak wówczas nie wiedział.

W Connecticut dziesiątego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku myśliwy, który wracał do swojego samochodu, zobaczył na ziemi coś błyszczącego - mój wisiołek z symbolem Pensylwanii. Potem zauważył, że ziemia w pobliżu została częściowo rozkopana przez niedźwiedzia. Zwierzę odsłoniło łatwe do rozpoznania kości dziecięcej stopy.

Mama przemęczyła się w New Hampshire tylko jedną zimę, zanim postanowiła pojechać samochodem do Kalifornii. To było coś, o czym zawsze myślała, ale czego nigdy nie zrobiła. Mężczyzna, którego poznała w New Hampshire, powiedział jej, że w wytwórniach wina w dolinach powyżej San Francisco bez trudu można znaleźć pracę - fizyczną i jeśli komuś na tym zależało, także bardzo anonimową.

Ten mężczyzna chciał się z nią przespać, ale się nie zgodziła. Do tej pory zrozumiała już, że ta droga prowadziła donikąd. Od pierwszego zbliżenia z Lenem w trzewiach centrum handlowego zdawała sobie sprawę, że ich dwójka niczego nie budowała. Nawet nie potrafiła tak naprawdę go poczuć.

Spakowała torby i ruszyła do Kalifornii. Z każdego miasta, w którym się zatrzymywała, wysyłała kartki do mojego brata i siostry. „Halo, jestem w Dayton. Stanowy ptak Ohio to kardynał”. „Zeszłej nocy o zachodzie słońca dotarłam do Missisipi. To z pewnością duża rzeka”.

W Arizonie, gdzie znalazła się o osiem stanów dalej od najdalszego miejsca, do którego kiedykolwiek dotarła, zapłaciła za pokój i przyniosła sobie wiaderko lodu z maszyny na zewnątrz. Następnego dnia miała dotrzeć do Kalifornii i żeby to uczcić, kupiła butelkę szamana. Pomyślała o tym, co powiedział mężczyzna w New Hampshire: że spędził cały rok, zeskrobując pleśń z gigantycznych beczek, w których trzymano wino. Pleśń miała kolor i konsystencję wątroby i niezależnie od tego, jak starannie się kąpał, i tak przez całe godziny po pracy przyciągał muszki owocówki.

Pociągnęła łyk szamana z plastikowego kubka i spojrzała do lustra. Zmusiła się, żeby spojrzeć.

Przypomniała sobie, jak siedziała w bawialni ze mną, moją siostrą, bratem i tatą w pierwszego sylwestra, gdy cała nasza piątka nie poszła spać. Zaplanowała dzień w taki sposób, żeby Buckley na pewno wcześniej się wyspał.

Gdy obudził się po zmroku, był pewien, że tej nocy zjawi się ktoś lepszy od Mikołaja. Stworzył sobie wystrzałowy obraz największego możliwego święta, kiedy zostanie przeniesiony do krainy zabawek.

Całe godziny później, kiedy ziewał i pokładał się na kolanach mamy, a ona palcami przeczesywała mu włosy, tata skoczył przygotować w kuchni kakao, a moja siostra i ja podałyśmy ciasto czekoladowe. Gdy zegar wybił dwunastą i w naszej okolicy rozległy się tylko odległe okrzyki i kilka wystrzałów, mój brat nie mógł w to uwierzyć. Rozczarowanie ogarnęło go z taką mocą, że mama nie wiedziała, co robić. Takie dziecinne: „I to już

wszystko?”, a potem ryk.

Przypomniała sobie, że wtedy tata wziął Buckleya na barana i zaczął śpiewać. Reszta się przyłączyła. „Niechaj starzy znajomkowie będą zapomniani i nigdy na pamięć nie przyzywani, niech starzy znajomkowie będą zapomniani i ongiś minione dzieje!”.

A Buckley się w nas wpatrywał. Wychwycił obce słowa, które jak bańki mydlane unosiły się nad nim w powietrzu.

- Ongiś minione dzieje? - powtórzył.

- Co to znaczy? - zapytałam rodziców.

- Stare czasy - odparł tata.

- Dawno minione dni - dodała mama. Ale potem, nagle, zaczęła zgarniać w kupkę okruszki ciasta leżące na jej talerzu.

- Hej, oceany oczu - odezwał się tata. - Dokąd to od nas uciekłaś.

I przypomniała sobie, że zareagowała na jego pytanie natychmiastowym otrzeźwieniem, jakby miała w duszy kurek - wystarczyło dokręcić w prawo i już była na nogach i prosiła mnie o pomoc w sprzątaniu.

Jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku, kiedy dotarła do Kalifornii, pojechała prosto na plażę i zatrzymała samochód. Miała wrażenie, że przez ostatnie cztery dni mijała tylko rodziny - sprzeczące się rodziny, płaczące rodziny, krzyczące rodziny, rodziny poddane cudownemu wysiłkowi codziennego życia - i teraz czuła ulgę, widząc przez przednią szybę samochodu fale. Nie mogła przestać myśleć o książkach, które czytała w college'u. „Przebudzenie” *. I to, co spotkało pewną pisarkę, Virginie Woolf. Wtedy wszystko to wydawało się takie cudowne - ulotne i romantyczne - kamienie w kieszeni, wejście w fale.

Luźno zawiązała w pasie sweter i zeszła z klifu. W dole pod sobą widziała tylko zębiaste skały i fale. Była ostrożna, ale ja bardziej uważałam na jej stopy niż na widok, który miała przed oczyma - martwiłam się, żeby się nie poślizgnęła.

Pragnienie mamy, żeby dotrzeć do tych fal, zanurzyć stopy w innym oceanie po drugiej stronie kraju, było jedynym, o czym myślała - o czysto rytualnym celu takiego chrztu. Szum spływającej wody i możesz zacząć od nowa. A może życie bardziej przypominało tę potworną grę, która zmusza do biegania z jednej strony sali gimnastycznej, zamkniętej przestrzeni, na drugą oraz podnoszenia i ustawiania bez końca drewnianych klocków? Myślała: *dotrzeć do fal, fal, fal*, a ja obserwowałam jej stopy wybierające drogę wśród skał i kiedy je usłyszałyśmy, to jednocześnie - i podniosłyśmy wzrok, zaszokowane.

* „The Awakening” - powieść Kate Chopin z 1899 roku.

To było dziecko na plaży.

Mama zobaczyła wśród skał piaszczystą zatoczkę, a tam, na kocu, pełzała mała dziewczynka, ubrana w robioną na drutach czapkę, śpioszki i buciki. Dziecko bawiło się miękką białą zabawką - mama uznała, że owieczką.

Obok, plecami do mamy, stała grupa dorosłych, wszyscy w czerni i granacie oraz

odlotowych butach i kapeluszach. Wyglądali na bardzo oficjalnych i zaafierowanych. Moje oko fotografa dzikiej przyrody wychwyciło trójnożne statuy i srebrne, obramowane drutem okręgi, które, przesuwane przez młodego człowieka na lewo lub prawo, odbijały albo rzucały światło na niemowlę na kocu.

Mama zaczęła się śmiać, ale tylko jeden asystent odwrócił się, żeby dostrzec ją wśród skał; pozostali byli zbyt zajęci. Reklama, pomyślałam. Ale czego? Nowych, świeżych dziewczynek, które zastąpią twoje własne? Kiedy mama się śmiała, zauważyłam, że jej rozjaśniającą się twarz przecinały dziwne linie.

Patrzyła na fale i dostrzegła ich piękno, a jednocześnie trującą siłę - mogły tak miękko podplnąć i zabrać małą z plaży. Wszyscy ci modni ludzie mogliby za nią gonić, a ona i tak utonąłaby w jednej chwili - nikt, nawet matka, która każdym nerwem była nastawiona na uprzedzenie katastrofy, nie zdołałby jej ocalić, gdyby fale zalały plażę, gdyby życie potoczyło się jak zwykle i nieszczęśliwe wypadki poruszyły spokojny brzeg.

W tym samym tygodniu mama znalazła pracę w winnicy Krusoe w dolinie nad zatoką. Napisała do mojej siostry i brata pocztówki z opisem jaśniejszych fragmentów swego życia z nadzieją, że na ograniczonej przestrzeni widokówki wypadnie pogodnie.

W wolne dni spacerowała ulicami Sausalito albo Santa Rosa - miasteczek dla bogaczy, gdzie wszyscy byli obcy - i, choćby nie wiem jak mocno starała się skupić na obiecującej obcości, gdy wchodziła do sklepu z pamiątkami albo kafejki, cztery ściany wokół niej zaczynały oddychać jak płuco. Wtedy to czuła, to coś wpełzające po łydkach do brzucha, napór, nadchodzącą żalność, a łzy jak niewielka, niezmordowana armia zbliżały się do okopów jej oczu. Oddychała, wciągała wielkie hausty powietrza, próbując powstrzymać się od płaczu w miejscu publicznym. W restauracji prosiła o kawę albo tost i przyprawiała go łzami. Kiedyś weszła do kwaciarni i poprosiła o żonkile, a gdy ich nie było, poczuła się oszukana. Miała takie skromne życzenie - jasnożółte kwiaty.

Pierwsza zaimprovizowana uroczystość obudziła w moim tacie potrzebę kolejnych. Teraz już co roku organizował obchody, na które przychodziło coraz mniej sąsiadów i przyjaciół. Pojawiali się stali bywalcy, jak Ruth i Gilbertowie, ale grupę w coraz większym stopniu tworzyły dzieciaki z liceum. Z czasem znały już tylko moje nazwisko, a i to jedynie jako element ponurej plotki, powtarzanej w formie ostrzeżenia wszystkim, którzy za bardzo odstawali od grupy. Szczególnie dziewczynom.

Za każdym razem, kiedy ci obcy ludzie przywoływali moje imię, czułam bolesne ukłucie. To nie było przyjemne - jak wtedy gdy wymawiał je tata albo Ruth zapisywała je w swoim dzienniku. To było uczucie jednoczesnego powstawania z martwych i składania do grobu, na jednym oddechu. Jakbym na lekcji ekonomii została wprowadzona do kolumny z dobrami przetwarzalnymi: „Zamordowani”. Niewielu nauczycieli, jak pan Botte, pamiętało mnie jako prawdziwą osobę. Czasami podczas przerwy na lunch wychodził, siadał w swoim czerwonym fiacie i wspominał córkę, która umarła na białaczkę. W oddali za oknem majaczyło pole

kukurydzy. Często odmawiał za mnie modlitwę.

W ciągu paru krótkich lat Ray Singh tak wyprzystojniał, że z tłumu wyróżniał go promienny urok. Jego twarz wciąż jeszcze nie nabrała rysów dorosłości, ale teraz, gdy miał lat siedemnaście, można się było spodziewać, że nastąpi to lada chwila. Emanowała z niego senna aseksualność, dzięki której był atrakcyjny zarówno dla mężczyzn, jak dla kobiet, urzekając tymi długimi rzęsami i ciężkimi powiekami, gęstymi czarnymi włosami i delikatnymi, wciąż chłopięcymi rysami.

Przyglądałam się Rayowi z tęsknotą odmienną od tej, którą budzili we mnie wszyscy pozostali. Z pragnieniem, żeby go dotykać i tulić, zrozumieć to ciało, które on sam badał chłodnym okiem. Siadał przy biurku i studiował swoją ulubioną książkę - „Anatomię Graya” - i w zależności od tego, o czym czytał, dotykał palcami własnej tętnicy szyjnej albo przesuwając kciukiem wzdłuż mięśnia krawieckiego - najdłuższego mięśnia człowieka - biegnącego od zewnętrznej strony biodra do wnętrza kolana. Wówczas chudość była dla niego dobrodziejstwem, kości i mięśnie wyraźnie dawały się rozróżnić pod skórą.

Do czasu gdy spakował walizki przed wyjazdem do Penn, zapamiętał tyle nowych słów i ich definicji, że zaczęłam się martwić. Jak przy tym wszystkim jego umysł pomieści cokolwiek innego? Przyjaźń Ruth, miłość jego matki, wspomnienie o mnie zostaną zepchnięte gdzieś do tyłu, a ich miejsce zajmą kanały półkoliste ucha, białko soczewki oka i jego pochewka czy moje ulubione: cechy współczulnego układu nerwowego.

Nie musiałam się martwić. Ruana przetrząsnęła dom w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, co jej syn mógłby ze sobą zabrać, a dorównywałoby wagą i ciężarem Grayowi i co - jak miała nadzieję - utrzymałoby przy życiu subtelną stronę osobowości jej syna. Bez wiedzy Raya wsunęła do jego bagaży tom poezji indyjskiej. Wewnątrz było moje dawno zapomniane zdjęcie. Kiedy Ray rozpakował się w dormitorium Hill House, zdjęcie upadło na podłogę przy łóżku. Bez względu na to, jak dokładnie potrafił wypreparować naczynia gałki ocznej, budowę anatomiczną moich bruzd nosowych, jasne zabarwienie naskórka, nie mógł uniknąć ust, które kiedyś pocałował.

W czerwcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku w dniu, w którym skończyłabym szkołę, Ruth i Ray zdążyli już wyjechać. Po zakończeniu zajęć w Fairfax Ruth ze starą czerwoną walizką swojej matki, pełną czarnych ciuchów, przeprowadziła się do Nowego Jorku. Ray, który wcześniej skończył Fairfax, był na pierwszym roku w Perm.

Tego właśnie dnia w naszej kuchni Babcia Lynn dała Buckleyowi książkę o ogrodnictwie. Opowiedziała mu, że rośliny powstają z nasion. Że rzodkiewki, których nienawidził, rosły najszybciej, ale jego ukochane kwiaty też wyrastały z nasion. I zaczęła uczyć go nazw: cynie i nagietki, bratki i bez, goździki, petunie i powojniki.

Od czasu do czasu moja mama dzwoniła z Kalifornii. Rodzice odbywali pospieszne i trudne rozmowy. Mama pytała o Buckleya, Lindsey i Holidaya, jak im się żyje i czy zdarzyło się coś, o czym powinna wiedzieć.

- Wciąż za tobą tęsknimy - oznajmił tata w grudniu siedemdziesiątego siódmego roku, gdy wszystkie liście już opadły i zostały usunięte dmuchawami albo zagrabione, ale i tak nie było śniegu dla oczekującej go ziemi.

- Wiem - odparła.

- A co z uczeniem? Myślałem, że takie miałaś plany.

- Miałam - przyznała. Mama dzwoniła z biura w winnicy. Po tłumie w porze lunchu zrobiło się luźniej, lecz niedługo miało przybyć pięć limuzyn ze starszymi paniami, zalanymi w pestkę. Pomilczała, a potem powiedziała coś, z czym nikt, a zwłaszcza mój tata, nie mógł polemizować. - Zmieniłam plany.

W Nowym Jorku Ruth mieszkała na Lower East Side u starszej kobiety - w pokoju z wejściem od ulicy. Tylko na to mogła sobie pozwolić, a zresztą i tak nie zamierzała spędzać tam wiele czasu. W ciągu dnia zwijała swój dwuosobowy materac i stawiała go w kącie, żeby mieć na podłodze trochę miejsca i móc się ubrać. Odwiedzała pokój tylko raz dziennie i prawie natychmiast wychodziła. Ten pokój był do spania i żeby mieć jakiś adres - solidna choć ciasna grzęda w mieście.

Pracowała w barze, a w wolnych chwilach zwiedzała każdy skrawek Manhattanu. Przyglądałam się, jak maszerowała w swoich dudniących o beton, prowokujących butach, pewna, że wszędzie - na parterach klatek schodowych i w pięknych budynkach z windą - zamordowano jakąś kobietę. Ociągała się na światłach i badała ulicę, którą miała przed sobą. W kawiarniach i barach, gdzie się zatrzymywała, żeby skorzystać z toalety po zamówieniu najtańszej rzeczy z menu, zapisywała w swoim dzienniku krótkie modlitwy.

Nabrała przekonania, że posiada zdolność jasnowidzenia, jakiej nie miał nikt inny. Nie wiedziała, co ma z nią zrobić, nie licząc sporządzania obszernych notatek na przyszłość, ale nie czuła strachu. Świat martwych kobiet i dzieci stał się dla niej równie realny jak ten, w którym żyła.

W bibliotece w Penn Ray przeczytał tekst pod wydrukowanym pogrubionymi literami nagłówkiem „Warunki śmierci”, o starszych ludziach. Opisywano w nim badanie przeprowadzone w domu opieki, gdzie znaczna liczba pacjentów zgłaszała lekarzom i pielęgniarkom, że w nocy widzieli kogoś stojącego w nogach łóżka. Często taka osoba próbowała z nimi porozmawiać albo wymawiała ich imię. Pacjenci podczas tych urojeń byli niekiedy w stanie tak wielkiego podniecenia, że trzeba było podawać im leki uspokajające albo przywiązywać pasami do łóżek.

Dalej w tekście wyjaśniano, że wizje te były wynikiem niewielkich wylewów, które często poprzedzały śmierć. „W razie ewentualnej dyskusji z rodziną pacjenta to, co powszechnie bywa przez laików uznawane za Anioła Śmierci, powinno zostać przedstawione jako seria niewielkich wylewów, nakładających się na i tak już schyłkowy etap postępującej choroby”.

Ray zaznaczył palcem miejsce w książce i przez chwilę wyobrażał sobie, jak by to było,

gdyby, stojąc przy łóżku starszego pacjenta i zachowując maksymalnie otwarty umysł, mógł poczuć coś muskającego go w przelocie, jak Ruth wiele lat temu na parkingu.

Pan Harvey pomieszkiwał na dziko w obrębie Korytarza Północno-Wschodniego, na terenach otaczających Boston i ciągnących się aż do północnych krańców południowych stanów, gdzie mógł znaleźć łatwiejszą pracę, gdzie nie zadawano mu pytań i gdzie okazjonalnie podejmował próby zmiany na lepsze. Zawsze lubił Pensylwanię i przemierzył ten długi stan wzdłuż i wszerz. Czasami obozował za 7-Eleven tuż przy lokalnej dla naszego osiedla autostradzie, gdzie między całodobowym sklepem a torami kolejowymi przetrwało pasmo lasu i gdzie za każdym razem znajdował coraz więcej metalowych puszek i niedopałków papierosów. Lubiał przejeżdżać w pobliżu swojego starego domu. Podejmował to ryzyko wcześniej rano albo późno w nocy, kiedy dzikie bażanty, dawniej tak liczne, co chwila przecinały drogę i zygzakiem przemykały z jednej strony na drugą, a przednie światła wychwytywały lśnienie w ich głębokich oczodołach. Nastolatków ani dzieci nie wysyłano już na jagody na skraj naszego osiedla, ponieważ płot starej farmy, który tak dzielnie je chronił, został w końcu wyrwany, żeby zrobić miejsce dla kolejnych domów. Pan Harvey nauczył się z czasem zbierać grzyby i objadał się nimi, gdy zatrzymywał się na noc na zarośniętych polach parku Valley Forge. Podczas jednej z takich nocy widziałam, jak natknął się na ciała dwójki początkujących turystów, którzy zmarli po zjedzeniu trujących roślin przypominających grzyby. Delikatnie ograbił ich z wszelkich wartościowych rzeczy, po czym ruszył dalej.

Buckley wpuszczał do swojego fortu jedynie Hala, Nate'a i Holidaya. Pod głazami zginęła trawa, a kiedy padało, wewnątrz kryjóWKi zmieniało się w cuchnącą kałużę. Budowla wciąż jednak stała na miejscu, chociaż Buckley zaglądał do niej coraz rzadziej i w końcu to Hal błagał mojego brata, żeby wprowadzić pewne udogodnienia.

- Musimy uszczelnić fort, Buck - powiedział pewnego dnia Hal. - Masz dziesięć lat - wystarczy, żeby pracować z pistoletem do uszczelniania.

Babcia Lynn uwielbiała mężczyzn i nic nie mogła na to poradzić. Zachęcała Bucka, żeby robił to, co radził Hal, i kiedy wiedziała, że Hal przyjdzie z wizytą, ubierała się elegancko.

- Co robisz? - zapytał pewnego niedzielnego ranka tata, wywabiony ze swojej kryjóWKi słodkim zapachem cytryn, masła i złotego ciasta rosnącego w foremkach.

- Babeczki - odparła Babcia Lynn.

Patrząc na nią, tata zastanowił się, czy nie zwariował. Był jeszcze w szlafroku, a o dziesiątej rano temperatura na dworze dochodziła prawie do trzydziestu trzech stopni, tymczasem Babcia Lynn miała rajstopy i makijaż. Potem zauważył na podwórzu Hala w podkoszulku.

- Mój Boże, Lynn - powiedział. - Ten chłopak jest tak młody, że...

- Ale jest roz-kosz-ny!

Tata pokręcił głową i usiadł przy kuchennym stole.

- Kiedy będą gotowe babeczki miłości, Mato Hari?

W grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku Len nie chciał odebrać telefonu z Delaware. Tamtejsza policja powiązała sprawę z Wilmington z morderstwem dziewczynki, której ciało odnaleziono w Connecticut w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym. Detektyw pracujący po godzinach zmusił wyśledzić wisiołek ze sprawy z Connecticut na liście przedmiotów zaginionych przy okazji mojego morderstwa.

- To zamknięta sprawa - oznajmił Len człowiekowi po drugiej stronie słuchawki.

- Chcielibyśmy zobaczyć, co macie.

- George Harvey - powiedział Len głośno i detektywi przy sąsiednich biurkach odwrócili się w jego stronę. - Przystępstwo popełniono w grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. Zamordowano Susie Salmon, lat czternaście.

- A ciało tej dziewczynki Simonów?

- Salmonów, jak łosoś, ryba. Znaleźliśmy łokieć - odparł Len.

- Ma rodzinę?

- Tak.

- W Connecticut mają zęby. Macie jej kartę dentystyczną?

- Tak.

- To może oszczędzić rodzinie trochę bólu - powiedział ten mężczyzna Lenowi.

Len powędrował do kasety z dowodami, której miał nadzieję już nigdy więcej nie oglądać. Wiedział, że będzie musiał zadzwonić do mojej rodziny. Ale zwlekał, dopóki nie zyskał pewności, że detektyw z Delaware rzeczywiście coś miał.

Przez niemal osiem lat, od chwili gdy Samuel powiedział Halowi o rysunku ukradzionym przez Lindsey, Hal - dzięki siatce swoich motocyklowych przyjaciół - po cichu pracował nad wyśledzeniem George'a Harveya. Ale i on, tak jak Len, przysiągł sobie nie zgłaszać niczego, dopóki nie nabierze pewności, że może to być ślad. I nigdy nie był pewien. Kiedy późną nocą Anioł Piekieł nazwiskiem Ralph Cichetti, który bez żenady przyznał się, że spędził pewien czas w więzieniu, stwierdził, iż jego matka musiała zostać zabita przez człowieka, któremu wynajęła pokój, Hal zaczął zadawać zwyczajowe pytania. Pytania, które miały eliminować ze względu na wzrost, wagę i upodobania. Mężczyzna nie występował pod nazwiskiem George Harvey, ale to niczego nie dowodziło. Sophie Cichetti miała czterdzieści dziewięć lat. Została zabita w domu tępym narzędziem, a jej nietknięte ciało znaleziono w pobliżu. Hal przeczytał wystarczającą liczbę kryminałów, by wiedzieć, że mordercy mają swoje wzorce, specyficzne i ważne sposoby postępowania, więc kiedy regulował łańcuch rozrządu w zdefektowanym harleyu Cichettiego, przeszli do innych tematów, a w końcu obaj umilkli. Do czasu gdy Cichetti wspomniał o czymś, od czego Halowi stanęły dęba wszystkie włoski na karku.

- Facet budował domki dla lalek.

Hal zadzwonił do Lena.

Mijały lata. Drzewa na naszym podwórzu podrosły. Obserwowałam swoją rodzinę i

przyjaciół, sąsiadów, nauczycieli, których miałam albo mogłabym mieć, liceum, o którym marzyłam. Gdy byłam w altanie, udawałam, że siedzę na najwyższej gałęzi klonu, pod którym mój brat połknął patyk i wciąż bawił się w chowanego z Nate'em, albo na poręczy na klatce schodowej w Nowym Jorku i czekam na Ruth. Studiowałam z Rayem. W ciepłe popołudnia, przepełnione słonym powietrzem jeździłam po autostradzie Pacific Coast z moją mamą. Ale każdy dzień kończyłam z tatą w jego gabinecie.

Wciąż porządkowałam obrazy, te zgromadzone dzięki stałej obserwacji, i mogłam prześledzić, jak jedna sprawa - moja śmierć-połączyła obrazy w pojedynczym punkcie. Nikt nie byłby w stanie przewidzieć, jak moje zniknięcie zmieni drobne chwile na Ziemi. Aleja pilnowałam tych chwil, przechowywałam je. Dopóki patrzyłam, żadna z nich nie została zagubiona.

Pewnej nocy, kiedy podczas modlitwy wieczornej Holly grała na swoim saksofonie i przyłączyła się już do niej pani Bethel Utemeyer, zobaczyłam go: Holiday biegnący obok puchatego samojeda. Dożył na Ziemi sędziwego wieku i po odejściu mamy spał przy nogach ojca, nie chcąc ani na chwilę spuścić go z oka. Towarzyszył Buckleyowi przy budowie fortu i jako jedyny był wpuszczany na werandę, kiedy Lindsey i Samuel się całowali. A przez kilka ostatnich lat, w każdy niedzielny poranek, raczył się wielkim - na całą patelnię - naleśnikiem z masłem orzechowym. Babcia Lynn kładła mu ten przysmak płasko na podłodze i uwielbiała się przyglądać, jak usiłował go podnieść nosem.

Czekałam, żeby mnie zwęszył i niecierpliwie popędził sprawdzić, czy tu, po drugiej stronie, wciąż będę tą dziewczynką obok której sypiał. Nie musiałam długo czekać: był tak uszczęśliwiony moim widokiem, że zbił mnie z nóg.

17.

Mając dwadzieścia jeden lat, Lindsey zgromadziła doświadczenia, jakich ja nigdy nie miałam zdobyć. I chociaż właściwie już tego nie żałowałam, wędrowałam za nią krok w krok. Odebrałam swój dyplom ukończenia college'u i jechałam na motorze za Samuelem, przywierając do niego, obejmując go ramionami i tuląc się do jego pleców w poszukiwaniu ciepła...

Okej, to była Lindsey. Zdawałam sobie z tego sprawę. Ale obserwując ją, potrafiłam się zapomnieć bardziej niż przy kimkolwiek.

W dniu ukończenia Uniwersytetu Tempie Lindsey wracała z Samuelem na motorze do domu moich rodziców, wielokrotnie złożwszy tacie i Babci Lynn obietnicę, że nie tkną szampana upchniętego w motocyklowych jukach, dopóki nie dotrą do domu. „W końcu jesteśmy absolwentami!”, powiedział Samuel. Tata miał do niego bezwzględne zaufanie - minęły całe lata, podczas których ten chłopak zawsze zachowywał się wobec jego pozostałej przy życiu córki przyzwoicie.

Gdy jechali z Filadelfii drogą numer trzydzieści, zaczęło padać. Z początku lekko, nieznaczne ułucia szpilek spadały na moją siostrę i Samuela z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę. Chłodny deszcz uderzył w gorącą, suchą, smołową nawierzchnię i uniośł zapachy, które przez cały dzień przypiekały się w upalnym czerwcowym słońcu. Lindsey lubiła opierać głowę między łopatkami Samuela i wdychać woń drogi oraz przelotnie widocznych zarośli i krzaków z obu stron szosy. Wspominała, jak powiew wiatru przed burzą wypełnił białe togi promowanych seniorów, gdy stali przed Macy Hall. Wszyscy wyglądali, jakby unosili się w powietrzu tuż przed odlotem.

W końcu, osiem mil przed boczną drogą prowadzącą do naszego domu, deszcz wzmógł się tak bardzo, że jego uderzenia powodowały ból i Samuel krzyknął do mojej siostry, że ma zamiar się zatrzymać.

Wjechali na trochę bardziej zarośnięty odcinek drogi między dwoma obszarami przemysłowymi. W miarę rozwoju okolicy miało tu powstać kolejne centrum handlowe albo sklep z częściami samochodowymi. Motor zachwiał się na mokrym tłuczniu pobocza, ale nie upadł. Samuel nogami wspomógł hamowanie, a potem, jak nauczył go Hal, zaczekał, aż moja siostra zejdzie i trochę się oddali, zanim sam zsiadł.

Podniósł osłonę swojego kasku, żeby zawołać:

- Nic z tego. Przetoczę go pod te drzewa.

Lindsey poszła za nim, wyściełany kask tłumił dźwięk deszczu. Wybierali drogę przez żwir i błoto, przechodząc nad gałęziami i śmieciami, które zebrały się przy szosie. Wyglądało na to, że deszcz jeszcze się wzmógł, i moja siostra była zadowolona, że po uroczystości dyplomowej zmieniła sukienkę na skórzane spodnie i kurtkę, prezent od Hala, kupione mimo jej protestów, wywołanych przekonaniem, że wygląda jak zboczeniec.

Samuel skierował motocykl w stronę kęp dębów rosnących przy drodze. Tydzień wcześniej poszli się ostrzyć do tego samego zakładu fryzjerskiego na Market Street i chociaż włosy Lindsey były lżejsze i delikatniejsze niż Samuela, fryzjer zrobił im identycznie krótkie, postrzępione fryzury. Gdy zdjęli kaski, wielkie krople przesączające się przez korony drzew zmoczyły im głowy i tusz do rzęs Lindsey zaczął się rozplýwać. Przyglądałam się, jak Samuel kciukiem wytarł ślady z jej policzków.

- Gratulacje z okazji uzyskania dyplomu - powiedział w ciemności i pochylił się, żeby ją pocałować.

Od ich pierwszego pocałunku w naszej kuchni dwa tygodnie po mojej śmierci wiedziałam, że Samuel - jak to kiedyś mówiłyśmy, chichocząc nad naszymi lalkami Barbie albo oglądając Bobby'ego Shermana w telewizji - był tym jedynym i wymarzonym. Wpasował się w wolne miejsce, gdy tego potrzebowała, i cement między nimi natychmiast zaczął wiązać. Razem poszli do Tempie, ramię w ramię. On nienawidził się uczyć, ale ona pchała go naprzód. Uwielbiała college i to pozwoliło mu przetrwać.

- Spróbujmy znaleźć najgęstszy kawałek tych krzaków - zaproponował.

- A co z motorem?

- Pewnie Hal będzie musiał nas poratować, kiedy przestanie padać.

- Cholera! - powiedziała Lindsey.

Samuel się roześmiał i chwycił ją za rękę. Wtedy usłyszeli pierwsze uderzenie pioruna i Lindsey podskoczyła. Samuel wzmocnił uścisk. Niema błyskawica ukazała się w oddali, a głośny grom deptał jej po piętach. Lindsey inaczej niż ja reagowała na burzę. Robiła się niespokojna i nerwowa. Wyobrażała sobie drzewa rozłupane na pół, domy w płomieniach i psy ukrywające się w piwnicach.

Szli po poszyciu, które zaczynało już nasiąkać wodą mimo ochrony drzew. Chociaż było popołudnie, panowały ciemności, nie licząc latarki Samuela. Wciąż widzieli ślady ludzkiej obecności. Ich buty z chrzęstem zgniatały blaszane puszki i przesuwwały na bok puste butelki. A potem w ciemności poprzez bujne chwasty zobaczyli pozbawione szyb ramy okienne, biegnące wzdłuż szczytu starego wiktoriańskiego domu. Samuel natychmiast wyłączył latarkę.

- Myślisz, że ktoś tam jest? - zapytała Lindsey.

- W środku jest ciemno.

- I strasznie.

Spojrzeni na siebie i moja siostra powiedziała to, o czym oboje pomyśleli.

- I sucho!

Trzymając się za ręce, w ulewnym deszczu pobiegli w stronę domu najszybciej, jak mogli, starając się nie potknąć i nie poślizgnąć w coraz większym błocie.

Gdy byli bliżej, Samuel zdołał dostrzec stromy spód dachu i drewnianą konstrukcję krzyżową, która zwisała z facjatek. Większość okien na najniższym poziomie zasłonięto

deskami, ale frontowe drzwi kiwały się na zawiasach, bębniąc o tynkowaną ścianę wnętrza. Samuel chętnie pozostałby na zewnątrz w deszczu i pogapił się na okapy i gzymsy, ale pognął za Lindsey do środka. Stanęli w progu i drżąc, wpatrywali się w otaczający ich podmiejski las. Szybko zbadałam pokoje starego domu. Byli sami. Żadnych przerażających potworów czyhających w kątach ani włóczęgów, którzy zapuścili tu korzenie.

Te niezabudowane skrawki terenu znikwały coraz szybciej, ale to one, bardziej niż cokolwiek innego, wyznaczały granice mojego dzieciństwa. Mieszkaliśmy w jednym z pierwszych osiedli zbudowanych na dawnych ziemiach rolniczych.

I choć nasze osiedle stało się wzorcem i inspiracją dla nieskończonej liczby następnych, moją wyobraźnię zawsze pobudzały te miejsca, gdzie nie było jasnej barwy gontów, rur spustowych, wybrukowanych podjazdów ani gigantycznych skrzynek na listy. Podobnie Samuela.

- Jejku! - zawołała Lindsey. - Jak myślisz, ile ma lat?

Głos Lindsey odbił się echem od ścian, jakby stali sami w kościele.

- Chodź, rozejrzyjmy się - zaproponował Samuel.

Z powodu zabitych deskami okien niewiele mogli zobaczyć, ale w świetle latarki zdołali dostrzec kominek i umocowane wzdłuż ścian listwy ochronne.

- Spójrz na podłogę - powiedział. Ukląkł, pociągając ją za sobą. - Widzisz, że to robota na pióro i wpust? Ci ludzie mieli więcej pieniędzy niż ich sąsiedzi.

Lindsey się uśmiechnęła. Tak jak Hala obchodziły tylko motocyklowe bebechy, Samuela ogarnęła obsesja ciesielska.

Przebiegł palcami po podłodze i zmusił Lindsey, żeby zrobiła to samo.

- Wspaniała stara ruina - stwierdził.

- Wiktoriańska? - zapytała Lindsey, bardzo się starając.

- Aż mnie skręca, żeby potwierdzić - odparł Samuel - ale myślę, że to tylko pobieżne naśladownictwo. Zauważyłem kratownice w obramowaniu facjatki, co oznacza, że dom powstał po tysiąc osiemset sześćdziesiątym.

- Popatrz!

Na środku podłogi ktoś dawno temu rozpałił ognisko.

- A to prawdziwa tragedia - oznajmił Samuel.

- Czemu nie skorzystali z kominka? Przecież w każdym pokoju jest kominek.

Samuel jednak zajęty był zaglądaniem w dziurę wypaloną w suficie, próbując odgadnąć układ drewnianej konstrukcji wzdłuż ościeżnicy.

- Wejdźmy na górę - zaproponował.

- Czuję się jak w jaskini - stwierdziła Lindsey, gdy wspięli się po schodach. - Tak tu cicho, że ledwie słyhać deszcz.

Samuel uderzył bokiem zwiniętej w pięść dłoni o tynk.

- Można by tu kogoś zamurować.

I nagle nastąpił jeden z tych niefortunnych momentów, które oni nauczyli się pomijać milczeniem, podczas gdy ja żyłam oczekiwaniem na nie. Aż się prosił o zasadnicze pytanie: Gdzie byłam? Czy zostanę wspomniana? Przywołana? Stanę się tematem rozmowy? Zwykle odpowiedzią było zawiedzione nie. Na Ziemi festiwal poświęcony Susie dobiegł końca.

A jednak coś w tym domu i w tej nocy sprawiło, że Lindsey skupiła na mnie uwagę bardziej niż zwykle - ważne chwile, w rodzaju promocji i urodzin, zawsze oznaczały, że byłam bardziej żywa, umieszczona wyżej w myślowych rejestrach. Nie wspomniała o niczym Samuelowi. Od czasu wizyty w domu pana Harveya często miała przemożne wrażenie, że w jakiś sposób z nią byłam - w jej myślach i ciele - i snułam się za nią jak cień.

U szczytu schodów znaleźli wejście do pokoju, do którego zaglądali z dołu.

- Chcę mieć ten dom - stwierdził Samuel.

- Co?

- Ten dom mnie potrzebuje, czuję to.

- Może powinieneś poczekać z decyzją, aż wyjdzie słońce - zaproponowała Lindsey.

- To najpiękniejsze miejsce, jakie w życiu widziałem.

- Samuel Heckler - podsumowała moja siostra - naprawa rzeczy zepsutych.

- We własnej osobie - odparł.

Przez chwilę stali w milczeniu i wdychali wilgotne powietrze napływające przez komin i napelniające pokój. Mimo odgłosów deszczu Lindsey czuła się ukryta, bezpiecznie schowana za rogiem świata z osobą, którą kochała bardziej niż kogokolwiek.

Wzięła Samuela za rękę, a ja powędrowałam z nimi do drzwi pokoiku, który znajdował się od frontu. Wystawał nad tym, co musiało być wejściowym holem piętro niżej i miał ośmiokątny kształt.

- Wykusze - oznajmił Samuel. - Okna - odwrócił się do Lindsey - gdy są tak zbudowane jak mały pokoić, nazywa się wykuszami.

- I to cię kręci? - zapytała Lindsey z uśmiechem.

Zostawiłam ich w deszczu i ciemności. Zastanawiałam się, czy Lindsey zauważyła, że kiedy zaczęli z Samuelem rozpinąć skóry, błyskawice się skończyły i chrząknięcia Boże - te przerażające gromy - umilkły.

W swojej kryjówce tata sięgnął po śnieżną kulę. Dotyk zimnego szkła przynosił mu ukojenie. Potrząsnął kulą, żeby popatrzeć, jak pingwin znika, a potem powoli wyłania się z delikatnie padającego śniegu.

Halowi udało się wrócić na motocyklu z ceremonii wręczenia dyplomów, ale to, zamiast uspokoić mojego tatę - jako swego rodzaju zapewnienie, że skoro jeden motor mógł wyjść cało z burzy i dowieźć swojego pasażera do domu, drugi też może - zdawało się zwiększać jego przekonanie o prawdopodobieństwie katastrofy.

Tata czerpał z uroczystości dyplomowej Lindsey coś, co można by nazwać bolesnym zadowoleniem. Buckley, siedząc obok, sumiennie podpowiadał, kiedy należy się uśmiechać

albo zareagować. Tata często wiedział, jak powinien się zachowywać, ale jego synapsy nigdy nie reagowały teraz tak szybko jak u normalnych ludzi - albo przynajmniej tak to sobie tłumaczył. To było coś w rodzaju czasu reakcji, opisywanego w roszczeniach ubezpieczeniowych, które przeglądał. Istniała pewna średnia liczba sekund między tym, kiedy ludzie coś zobaczyli - inny samochód, kamień staczający się z nasypu - a kiedy na to zareagowali. Czas reakcji mojego taty był dłuższy niż u większości, jakby poruszał się w świecie, w którym miazdząca nieuchronność obrabowała go z wszelkiej nadziei na dokładną percepcję. Buckley zastukał w na wpół otwarte drzwi gabinetu.

- Wejdz - powiedział tata.

- Nic im nie będzie, tato. - W wieku dwunastu lat mój brat stał się poważny i uważający. Nawet jeśli nie płacił za jedzenie ani nie gotował posiłków, to on zarządzał domem.

- Dobrze wyglądałeś w garniturze, synu - stwierdził tata.

- Dzięki. - To miało dla Buckleya znaczenie. Chciał, żeby tata był z niego dumny, i poświęcił sporo czasu swojemu wyglądowi - tego ranka nawet poprosił Babcie Lynn, żeby pomogła mu przystrzyć kosmyki wpadające do oczu. Mój brat znajdował się na najbardziej niewdzięcznym etapie dojrzewania - ani chłopiec, ani mężczyzna. Przeważnie ukrywał swoje ciało w wielkich T-shirtach i wypchanych dżinsach, ale tego dnia cieszył się, że włożył garnitur. - Hal i babcia czekają na nas na dole - dodał.

- Zejdę za minutkę.

Buckley zamknął drzwi, tym razem porządnie, pozwalając zatrząskowi wskoczyć na miejsce.

Tej jesieni tata wywołał ostatnią rolkę z trzymanego w szafie pudełka „Filmy do zostawienia” i teraz, jak często mu się zdarzało, kiedy wykroił minutkę przed kolacją albo zobaczył coś w telewizji czy przeczytał w gazecie artykuł, od którego ścisnęło mu się serce, wysunął szufladę biurka i ostrożnie wziął do ręki zdjęcia.

Stale mnie łążał, że to, co nazywałam „zdjęciami artystycznymi”, było ryzykanctwem, ale najlepszy portret, jaki kiedykolwiek miał, to było zdjęcie, które zrobiłam pod takim kątem, żeby twarz wypełniała kwadrat o boku trzech cali, ustawiony tak, że kształtem przypominał diament.

Najwyraźniej, kiedy robiłam zdjęcia, które teraz trzymał w ręku, musiałam słuchać jego wskazówek na temat kątów i kompozycji. Gdy dawał filmy do wywołania, nie miał pojęcia, z jakiego okresu pochodziły ani co przedstawiały. Odbierał od fotografa nieuporządkowaną masę zdjęć Holidaya i wiele ujęć moich stóp albo trawy. Szare rozmazane kule na niebie to były ptaki, do tego ziarnista próba uchwycenia zachodu słońca poprzez koronę wierzby. Ale w którymś momencie postanowiłam robić portrety mamy. Kiedy tata odebrał odbitki z laboratorium, usiadł w samochodzie, wpatrując się w zdjęcia kobiety, którą, jak czuł, ledwie teraz znał.

Od tamtej pory wyjmował te zdjęcia mnóstwo razy, lecz ilekroć spoglądał w twarz tej

kobiety, czuł, że coś w nim narasta. Długo trwało, zanim zdał sobie sprawę, co to było. Dopiero niedawno zranione synapsy pozwoliły mu to nazwać. Ponownie się zakochał.

Nie rozumiał, jakim sposobem dwoje ludzi, którzy wzięli ślub, którzy widywali się codziennie, mogło zapomnieć, ale gdyby musiał nazwać to, co się stało - tak właśnie było. Dwa ostatnie zdjęcia z kliszy stanowiły klucz. Pamiętam, że gdy Holiday szczerknął, słysząc samochód taty wjeżdżający do garażu, ja usiłowałam skupić na sobie uwagę mamy.

- Tata sam przyjdzie - powiedziałam. - Stój spokojnie. - I stała. W fotografowaniu uwielbiałam też władzę nad ludźmi, którzy znajdowali się po przeciwnej stronie aparatu, nawet nad własnymi rodzicami.

Kątem oka widziałam tatę wchodzącego przez boczne drzwi na podwórze. Niósł swoją chudą teczkę, którą wiele lat wcześniej Lindsey i ja przeszukałyśmy z podnieceniem, nie znajdując niczego interesującego. Gdy ją odstawił, zrobiłam mamie zdjęcie. Jej oczy sprawiały już wrażenie oszołomionych i niespokojnych, w jakiś sposób zaczęły skrywać się pod maską. Na następnej fotografii maska była prawie, choć niezupełnie, naciągnięta, a na ostatnim zdjęciu - na którym tata lekko się pochylał, żeby pocałować mamę w policzek - znalazła się na miejscu.

- Ja ci to zrobiłem? - zapytał podobiznę mamy, wpatrując się w jej ułożone rzędem zdjęcia. - Jak to się stało?

- Nie ma błyskawic - zauważyła moja siostra. Wilgoć deszczu na jej skórze zastąpił pot.

- Kocham cię - oznajmił Samuel.

- Wiem.

- Nie, chcę powiedzieć, że cię kocham i chcę się z tobą ożenić i zamieszkać w tym domu!

- Co?

- Wreszcie koniec z tym obrzydliwym gównem z college^! - wykrzyknął Samuel. Pokoik wchłonął jego głos, echo ledwie się odbiło od grubych ścian.

- Nie dla mnie - odparła Lindsey.

Samuel wstał z podłogi, gdzie leżał obok mojej siostry, i opadł przed nią na kolana.

- Wyjdź za mnie.

- Samuel?

- Zmęczyło mnie całe to właściwe postępowanie. Wyjdź za mnie, a ja sprawię, że ten dom będzie wspaniały.

- Kto nas utrzyma?

- Sami się utrzymamy - powiedział - jakoś.

Usiadła, a potem uklękła jak on. Oboje byli na wpół rozebrani i robiło im się coraz zimniej, w miarę jak podniecenie słabło.

- Okej.

- Okej?

- Chyba mogę - stwierdziła moja siostra. - To znaczy... tak!

Pewne utarte zwroty rozumiałam tylko wówczas, gdy docierały do mojego nieba na pełnych obrotach. Nigdy nie widziałam kurczaka z odciętą głową. To określenie niewiele dla mnie znaczyło, może tylko tyle, że coś zostało potraktowane mniej więcej tak jak ja. Ale w tamtym momencie miotałam się po swoim niebie jak... kurczak z odciętą głową! Byłam taka szczęśliwa, że krzyczałam, krzyczałam i krzyczałam. Moja siostra! Mój Samuel! Moje marzenie!

Płakała, a on kołysał ją w ramionach.

- Jesteś szczęśliwa, kochanie? - zapytał.

Skinęła głową opartą o jego nagą pierś.

- Tak - odpowiedziała, po czym zamarła. - Mój tata. - Wyprostowała się i spojrzała na Samuela. - Wiem, że się martwi.

- Tak - odparł, próbując za nią nadążyć.

- Ile mil jest stąd do domu?

- Może dziesięć, może osiem.

- Damy radę.

- Zwariowałeś.

- Mamy tenisówki. Są w torbie na motocyklu.

Nie mogli biec w skórach, więc zostali w bieliźnie i T-shirtach i był to najbardziej zbliżony do ekshibicjonizmu wypadek w mojej rodzinie. Samuel, tak jak to robił latami, ustalił tempo i biegł tuż przed moją siostrą, żeby skłonić ją do wysiłku. Na drodze prawie nie było samochodów, ale kiedy jakiś ich mijał, z kałuż przy poboczach wznosiła się ściana wody i zmuszała ich do gorączkowego łapania powietrza w płuca. Już wcześniej biegali w deszczu, lecz nigdy w tak ulewnym. Zrobili sobie zabawę z tego, kto na dłużej znajdzie schronienie, gdy pokonywali kolejne mile; żeby zyskać osłonę, wbiegali pod zwieszające się gałęzie, nawet gdy brud i leżące na drodze paskudztwo pokryło im nogi. Na trzeciej mili stali się milczący. Przesuwali stopy w naturalnym rytmie, który znali od lat, skupiając się na własnych oddechach i odgłosach mokrych butów uderzających o chodnik.

W pewnym momencie, gdy Lindsey pokonała wielką kałużę, rozbryzgując wodę na wszystkie strony i nie starając się już niczego omijać, pomyślała o lokalnym basenie, na który chodziłyśmy, dopóki moja śmierć nie doprowadziła do zakończenia publicznego życia naszej rodziny. Był gdzieś po drodze, ale nie podniosła głowy, żeby rozpoznać znajomy płot z łańcuchów. Odnalazła za to wspomnienie. Ona i ja pod wodą w naszych kostiumach kąpielowych z krótkimi falbaniastymi spódniczkami. Obie miałyśmy pod wodą otwarte oczy, nowa umiejętność - dla niej nowsza - i przyglądałyśmy się sobie, dwa osobne ciała zawieszane pod wodą. Unoszące się włosy, unoszące się spódniczki, policzki wydęte od przetrzymywanego powietrza. Potem jednocześnie chwyciłyśmy się za ręce, śmigaliśmy w górę, przecinając taflę wody, nabierałyśmy powietrza w płuca - w uszach nam strzelało - i razem wybuchaliśmy śmiechem.

Patrzyłam na moją piękną siostrę, gdy biegła - jej płuca i nogi pracowały jak tłoki i umiejętność nabyta na basenie wciąż była przydatna - walczącą, żeby zobaczyć coś przez deszcz, walczącą, żeby unosić nogi w tempie ustalonym przez Samuela, i wiedziałam, że nie ucieka ode mnie ani nie biegnie do mnie. Jak u człowieka, który przeżył postrzał, rana się zamykała - przeplatające się włókna tworzyły bliznę przez osiem długich lat.

Kiedy oboje znaleźli się jakąś milę od domu, deszcz zelżał i ludzie zaczęli wyglądać przez okna na ulicę.

Samuel zwolnił i ona także. Koszulki przylegały im do ciała jak przyklejone.

Lindsey zwalczyła skurcz w boku, a kiedy ustąpił, pobięgała równo z Samuelem. Nagle dostała gęsiej skórki i uśmiechała się od ucha do ucha.

- Bierzemy ślub! - wykrzyknęła, a on stanął w miejscu, chwycił ją w ramiona i całowali się, mimo że mijający ich kierowca nacisnął klakson.

Gdy w naszym domu rozległ się dzwonek, była czwarta. Hal siedział w kuchni, ubrany w jeden ze starych białych kuchennych fartuchów mojej mamy, wycinając ciasteczka dla Babcia Lynn. Lubił być zatrudniany i czuć się pożyteczny, a moja babcia lubiła go wykorzystywać. Tworzyli zgodny zespół. Buckley zaś, młodociany strażnik domu, kochał jeść.

- Ja otworzę - zawołał tata. Podczas deszczu wspomagał się koktajlami alkoholowymi sporządzanymi bez odmierzenia, na oko, przez Babcie Lynn.

Był teraz żwawy i poruszał się z wątpliwą gracją emerytowanego tancerza baletowego, który po długich latach skoków faworyzował jedną z nóg.

- Tak się martwiłem - powiedział, gdy otworzył drzwi.

Lindsey zasłaniała piersi rękoma i nawet mój tata musiał się roześmiać, odwracając jednocześnie wzrok i pospiesznie wyciągając koce z frontowej szafy. Samuel jednym z nich otulił Lindseya, podczas gdy tata - najlepiej jak potrafił - okrywał mu ramiona. Na kaflach zebrały się kałuże. W chwili, gdy Lindsey się zakryła, do holu weszli Buckley, Hal i Babcia Lynn.

- Buckley - odezwała się Babcia Lynn - idź po ręczniki.

- Daliście radę dojechać na motorze? - zapytał Hal z niedowierzaniem.

- Nie, przybiegliśmy - odparł Samuel.

- Co takiego?

- Wejdźcie do salonu - powiedział tata. - Zapalimy ogień w kominku.

Gdy oboje usiedli plecami do ognia, drząc z początku i popijając brandy, którą Babcia Lynn kazała Buckleyowi podać im na srebrnej tacy, wszyscy usłyszeli historię o motocyklu, domu i ośmiokątnym pokoju z oknami, które wprawiły Samuela w euforię.

- Az motorem wszystko w porządku? - zapytał Hal.

- Staraliśmy się, jak mogliśmy - odparł Samuel - ale będzie nam potrzebne holowanie.

- Cieszę się, że oboje jesteście bezpieczni - powiedział tata.

- Przybiegliśmy do domu ze względu na pana.

Moja babcia i brat wybrali miejsca w odległym końcu pokoju, z dala od ognia.

- Nie chcieliśmy, żeby ktoś się martwił - dodała Lindsey.

- A dokładnie Lindsey nie chciała, żeby pan się martwił.

W pokoju na chwilę zapadła cisza. To, co powiedział Samuel, było oczywiście prawdą, ale wskazywało też, aż nazbyt wyraźnie, na pewien fakt: Lindsey i Buckley wprost uzależniali swoje życie od reakcji delikatnego ojca.

Babcia Lynn uchwyciła spojrzenie mojej siostry i mrugnęła.

- Hal, Buckley i ja upiekliśmy ciasteczka - oznajmiła. - I mam trochę mrożonej lazanii, którą mogę otworzyć, jeśli byście chcieli. - Wstała i to samo zrobił mój brat, gotów do pomocy.

- Z przyjemnością zjem ciasteczka, Lynn - odezwał się Samuel.

- Lynn? To mi się podoba - odparła. - Masz zamiar mówić do Jacka „Jack”?

- Może.

Gdy Buckley i Babcia Lynn wyszli z pokoju, Hal wyczuł w powietrzu innego rodzaju napięcie.

- Chyba się przyłączę - oznajmił.

Lindsey, Samuel i mój tata przysłuchiwali się odgłosom kuchennej krzątaniny. Wszyscy słyszeli tykający w kącie zegar, który moja mama nazywała naszym „wiejskim zegarem kolonialnym”.

- Wiem, że za bardzo się martwię - odezwał się tata.

- Samuel nie to miał na myśli - powiedziała Lindsey.

Samuel milczał i skupiał na nim uwagę.

- Panie Salmon - przemówił w końcu, jeszcze niezupełnie gotów na „Jacka” - poprosiłem Lindsey, żeby za mnie wyszła.

Nagle wzruszenie chwyciło Lindsey za gardło, ale nie patrzyła na Samuela. Patrzyła na mojego tatę.

Wszedł Buckley z talerzem ciastek, a za nim Hal z kieliszkami do szampana, zwieszającymi mu się spomiędzy palców i butelką dom perignona rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt osiem.

- Od waszej babci... w dniu promocji - oznajmił Hal.

Następnie weszła Babcia Lynn z pustymi rękoma, nie licząc drinka migoczącego odbitym światłem, niczym słoń lodowych diamentów.

Lindsey miała wrażenie, że nie było tam nikogo oprócz niej i taty.

- I co powiesz, tato? - zapytała.

- Chyba to - zdołał wydusić, wstając, żeby uścisnąć rękę Samuela - że nie mógłbym sobie życzyć lepszego zięcia.

Babcia Lynn wybuchła przy ostatnim słowie.

- Mój Boże, och, kochanie! Gratulacje!

Nawet Buckley pozwolił sobie na odrobinę luzu i rzadko ujawnianą radość, uwalniając się z więzów, które zwykle go krępowały. Aleja widziałam mocną, falującą nić, która wciąż wiązała moją siostrę z tatą. Niewidzialny sznur, który może zabić.

Z butelki wystrzelił korek.

- Po mistrzowsku! - powiedziała babcia do Hala, który napełniał kieliszki.

Gdy mój tata i siostra przyłączyli się do grupy i słuchali niezliczonych toastów Babcie Lynn, Buckley mnie zobaczył. Zobaczył mnie stojącą pod wiejskim zegarem kolonialnym i zapatrzył się. Pił szampana. Wszędzie wokół mnie unosiły się nitki - wysuwały się i powiewały w powietrzu. Ktoś podał mu ciastko. Trzymał je w dłoni, lecz nie jadł. Zobaczył moją postać i twarz, która się nie zmieniła - włosy wciąż z przedziałkiem pośrodku, pierś wciąż płaska, i nierozwinięte biodra - i chciał zawołać mnie po imieniu. Trwało to tylko chwilę, a potem zniknęłam.

Przez lata, gdy zmęczyło mnie przyglądanie się, często siadywałam z tyłu pociągów, które przyjeżdżały i odjeżdżały z podmiejskiej stacji w Filadelfii. Pasażerowie wsiadali i wysiadali, a ja słuchałam ich rozmów zmieszanych z odgłosami zamykania i otwierania drzwi wagonów, krzykami konduktorów na przystankach, szurania oraz staccato podeszew i wysokich obcasów, przechodzących z chodnika na metal, i miękkiego tup, tup na wyłożonych wykładziną przejściach między siedzeniami. Lindsey nazywała to w swoich testach aktywnym wypoczynkiem; mięśnie pracowały, ale uwaga nie była na niczym skupiona. Przysłuchiwałam się dźwiękom i czułam ruchy pociągu, a czasami słyszałam głosy tych, którzy nie mieszkali już na Ziemi. Głosy takich jak ja obserwatorów.

Prawie wszyscy w niebie mieli na Ziemi kogoś, kogo obserwowali - ukochanego, przyjaciela albo nawet obcą osobę, która była kiedyś dzieckiem i zaproponowała coś ciepłego do zjedzenia lub po prostu się uśmiechnęła, gdy któreś z nas tego potrzebowało. I kiedy się nie przyglądałam, potrafiłam usłyszeć innych mówiących do tych, których kochali na Ziemi; równie bezowocne wysiłki jak moje, obawiam się. Jednostronne przymilanie się i doradzanie młodemu, jednostronna miłość i pożądanie partnerów, kartka do zapisania tylko z jednej strony, która nigdy nie miała doczekać się podpisu.

Pociąg stał albo ruszał z Trzydziestej Ulicy do pobliskiego Overbrook, a ja słyszałam, jak wymawiali imiona i wygłaszali zdania: „Teraz uważaj na to szkło”. „Słuchaj ojca”. „Jestem z tobą, mamó”. „...Esmeralda, Sally, Lupę, Keesha, Frank...”. Tyle imion. A potem pociąg nabierał prędkości i siła wszystkich tych niesłyszalnych zdań dobiegających z nieba rosła i rosła. Apogeum osiągały między stacjami - wtedy nasza tęsknota była tak ogłuszająca, że musiałam otwierać oczy.

Gdy wyglądałam przez okna nagle cichego pociągu, widziałam kobiety wieszające albo zdejmujące pranie. Pochylały się nad koszami, a potem rozpościerały na sznurach białe, żółte albo różowe prześcieradła. Liczyłam męską i chłopięcą bieliznę, i znajomą, we wzór z lizaków, bawełnę dziewczęcych majteczek. I odgłosy tego wieszania, za którymi tęskniłam i

do których wzdychałam - odgłosy życia - zajmowały miejsce nieskończonego wywoływania imion.

Mokre pranie: trzask, szarpnięcie, ciężar podwójnych lub wyjątkowo dużych prześcieradeł. Prawdziwe dźwięki przywodziły na myśl zapamiętane dźwięki przeszłości. Kiedy żyłam, kładłam się pod kapiącymi rzeczami, żeby łapać wodę na język, albo biegałam między nimi, jakby były słupkami wyznaczającymi tor, po którym mogłyśmy się z Lindsey ścigać. A do tego wspomnienie mamy, która próbowała nam przemówić do sumienia z powodu masła orzechowego trafiającego z naszych rąk na czyste prześcieradła albo lepkich plam po cytrynowych cukierkach na wypranych koszulach taty. W ten sposób obrazy i zapachy rzeczywistego, wyobrazonego i zapamiętanego łączyły się dla mnie w jedno.

Tego dnia, kiedy odwróciłam wzrok od Ziemi, jeździłam pociągami, aż wreszcie mogłam myśleć tylko o jednym: „Nie ruszaj się” - mówił mój tata, gdy trzymałam butelkę, a on podpalał sznurki, za pomocą których podnosił maszt i wypuszczał kliper na wolność, na morze z niebieskiej szpachlówki. A ja czekałam w napięciu, wiedząc, że świat w butelce zależał wyłącznie ode mnie.

18.

Kiedy jej ojciec wspomniał przez telefon o zapadlisku, Ruth znajdowała się w pokoju z osobnym wejściem, wynajmowanym przy Pierwszej Alei. Owinęła długi czarny sznur telefonu wokół nadgarstka i ramienia i dawała krótkie, zwięzłe odpowiedzi. Starsza kobieta, u której zamieszkała, lubiła podsłuchiwać, więc Ruth starała się nie mówić zbyt wiele przez telefon. Później miała zamiar zadzwonić do domu z budki na koszt odbiorcy i zaplanować wizytę.

Wiedziała, że odbędzie pielgrzymkę na zapadlisko. Musiała je zobaczyć, zanim zostanie zamknięte przez przedsiębiorców budowlanych. Utrzymywała w tajemnicy fascynację tego rodzaju miejscami, podobnie jak kwestię swojego morderstwa i naszego spotkania na wydzielonym parkingu. To były rzeczy, o których w Nowym Jorku nikomu nie wspominała. Zbyt często widywała tu ludzi, którzy opowiadali swoje pijackie barowe historie, prostytuowali swoje rodziny i bolesne doświadczenia dla chwili rozgłosu i wódy. Te sprawy, czuła, nie powinny być rozdawane jak zwyczajowe drobne upominki na przyjęciu. Zachowywała pewien kodeks honorowy, zgodny z tym, o czym pisała w swoich dziennikach i wierszach. „Do wewnątrz, do wewnątrz” - szeptała cicho, gdy czuła impuls, żeby coś opowiedzieć, i kończyło się to na długich spacerach po mieście, podczas których widziała pole kukurydzy Stolfuza albo swojego ojca, wpatrującego się w kawałki uratowanych zabytkowych gzysów. Nowy Jork stanowił idealne tło dla jej myśli. Mimo że chętnie maszerowała i krążyła po ulicach i uliczkach, samo miasto miało bardzo niewiele wspólnego z jej życiem wewnętrznym.

Nie wyglądała już na nawiedzoną, jak w szkole średniej, ale widoczna w jej oczach, jeśli spojrzeć z bliska, paniczna ruchliwość spłoszonego królika wzbudzała w ludziach niepokój. Miała wyraz twarzy człowieka, który nieustannie wypatruje czegoś, co się jeszcze nie pojawiło, albo kogoś, kto jeszcze nie nadszedł. Całe jej ciało zdawało się pochylać do przodu w ciągłym oczekiwaniu, i chociaż w barze, w którym pracowała, mówiono jej, że ma piękne włosy albo piękne ręce, albo, przy tych rzadkich okazjach, gdy któryś z pracodawców zobaczył ją wychodzącą zza kontuaru, piękne nogi, ludzie nigdy nie wspominali o jej oczach.

Pospiesznie ubrała się w czarne rajstopy, krótką czarną spódnicę, czarne buty i czarny T-shirt - wszystko poplamione, ponieważ pełniło podwójną funkcję roboczych ciuchów i normalnych rzeczy. Plamy dało się zobaczyć tylko w świetle słońca, więc Ruth nigdy nie była ich świadoma, aż do chwili, gdy zatrzymywała się w kawiarni na świeżym powietrzu na filiżankę kawy, spoglądała w dół na spódnicę i widziała ciemne ślady rozlanej wódki czy whisky. Alkohol powodował, że czarny materiał stawał się jeszcze bardziej czarny. Zdumiała ją to; zanotowała w swoim dzienniku: „Wódka działa na materiał tak jak na ludzi”.

Kiedy wychodziła z mieszkania, żeby napić się kawy przy Pierwszej Alei, prowadziła potajemne rozmowy z tłustymi pieskami - chihuahua i pekińczykami - które Ukrainki

siedzące na gankach trzymały na kolanach. Ruth lubiła te nieprzyjazne pieski, szczekające zapalczywie, gdy je mijała.

A potem szła, szła jak najszybciej, szła, czując ból, który płynął z ziemi poprzez piętę uderzającej w nią stopy. Nikt się z nią nie witał oprócz ulicznych psycholi, i dla zabawy liczyła, ile ulic zdoła przejść bez konieczności zatrzymywania się na światłach. Nie zwalniała, mijając ludzi, i w marszu przeprowadzała wiwisekcję studentów nowojorskiego uniwersytetu albo starych kobiet z wózkami z praniem. Kiedy szła, powietrze po jej obu stronach aż gwizdało. Lubiła sobie wyobrażać, że gdy przechodziła, świat się za nią oglądał, ale wiedziała, do jakiego stopnia była anonimowa. Nie licząc chwil w pracy, nikt nie miał pojęcia, gdzie jest przez cały dzień, i nikt na nią nie czekał. Niepokalana anonimowość.

Nie wiedziała, że Samuel oświadczył się mojej siostrze, i gdyby nie dotarło to do niej przez Raya, jedyną osobę, z którą po skończeniu szkoły utrzymywała kontakt, nigdy by się nie dowiedziała. Kiedy jeszcze była w Fairfax, słyszała, że moja mama odeszła. Przez szkołę przemknęła świeża fala szeptów i Ruth obserwowała Lindsey, która radziła sobie z tym, tak jak umiała. Od czasu do czasu spotykały się na korytarzu. Ruth rzucała parę słów pociechy, jeśli tylko była pewna, że nie narazi Lindsey na nieprzyjemności przez sam fakt rozmowy z nią. Miała świadomość swojego statusu szkolnego dziwadła i wiedziała, że ta jedna noc na symposium dla uzdolnionych była dokładnie tym, czym się wydawała - snem, w którym wypuszczone na wolność żywioły połączyły się nieproszone wbrew przeklętym regułom szkoły.

Ray był inny. Jego pocałunki i pieszczoty przechowywała w pamięci jak cenne przedmioty za szkłem. Widywała go, gdy odwiedzała rodziców, i z miejsca wiedziała, że właśnie Raya zabierze, gdy pojedzie zobaczyć zapadlisko. Chętnie oderwie się od ciągłej harówki z nauką i, jeśli jej się poszczęści - co często się zdarzało - opíše zabieg medyczny, którego był świadkiem. Robił to w taki sposób, że umiała odczuć, a nie tylko wyobrazić sobie wszystko to, o czym mówił. Za pomocą niewielkich werbalnych impulsów, których był całkowicie nieświadomy, potrafił wywołać w niej każde odczucie.

Idąc na północ Pierwszą Aleją, mogła wyodrębnić wszystkie miejsca, w których wcześniej się zatrzymała i stała, pewna, że zabito tu kobietę lub dziewczynkę. Pod koniec każdego dnia starała się sporządzić ich listę w dzienniku i często była tak pochłonięta tym, co, jak sądziła, mogło zdarzyć się w tym czy innym załomku albo wąskiej uliczce, że pomijała te prostsze, bardziej oczywiste przypadki, gdy czytała o śmierci w gazecie i szła odwiedzić miejsce, które było grobem kobiety.

Nie mogła wiedzieć, że do pewnego stopnia była w niebie sławną osobistością. Moja opowieść o dziewczynie, która czciła chwilą ciszy miejsca w całym mieście i pisała krótkie indywidualne modlitwy w swoim dzienniku, rozeszła się tak szybko, że kobiety ustawiały się w kolejce, chcąc sprawdzić, czy Ruth znalazła miejsca, gdzie zostały zabite. Miała w niebie fanki, chociaż byłaby rozczarowana odkryciem, że kiedy się zbierały, bardziej przypominały

bandę nastolatków zgłębiających numer „TeenBeat” * niż jej wyobrażenie o cichej, pogrzebowej szeptaninie do utworu niebiańskich kotłów.

To ja wędrowałam z nią po mieście i - w przeciwieństwie do frywolnego chóru - często uznawałam jej odkrycia za * „TeenBeat” - wychodzące do 1992 roku plotkarskie pismo młodzieżowe.

równie bolesne jak zdumiewające. Ruth odnajdowała obraz i odciskał się w jej pamięci. Czasami były to tylko jaskrawe migawki - upadek ze schodów, krzyk, pchnięcie, zaciśnięcie rąk wokół szyi - a innym razem kompletny scenariusz, który wirował w jej głowie dokładnie tak długo, jak długo ta dziewczyna lub kobieta umierała.

Nikt na ulicy nie poświęcał ani jednej myśli postaci ubranej na czarno, postaci, która zatrzymywała się w samym środku miejskiego ruchu. W przebraniu studentki szkoły artystycznej, jeśli nawet wyróżniała się z tłumu, mogła przejść przez całą długość Manhattanu i zostać sklasyfikowana, a co za tym idzie, zignorowana. W tym czasie wykonywała zadanie ważne dla nas, zadanie, które dla większości ludzi na Ziemi było zbyt przerażające, żeby je chociaż przemyśleć.

Dzień po promocji Lindsey i Samuela towarzyszyłam jej podczas spaceru. Dotarła do Central Parku dobrze po lunchu, ale w dalszym ciągu było tłoczno. Badawczo przyglądała się parom siedzącym na przystryżonej trawie Sheep Meadow. Spalający ją wewnętrzny ogień był w słoneczne popołudnie szczególnie odstręczający i na jej widok młodzi mężczyźni o otwartych twarzach odwracali wzrok.

Zygziem ruszyła przez park. Istniały oczywiste miejsca - jak Rambles - gdzie rosło dużo drzew i gdzie bez trudu mogłaby dokumentować historię przemocy, ale ona wolała te punkty, które ludzie uważali za bezpieczne - chłodną, iskrzącą się powierzchnię stawu dla kaczek, upchniętego w południowo-wschodnim narożniku parku, albo spokojne sztuczne jezioro, gdzie starsi panowie puszczały na wodę piękne, ręcznie rzeźbione żagłówki.

Usiadła na ławce przy ścieżce prowadzącej do zoo i przez szerokość tłuczniowej nawierzchni przyglądała się dzieciom i ich niańkom oraz samotnym dorosłym, czytającym książki w plamach cienia albo słońca. Zmęczył ją spacer przez miasto, ale i tak wyjęła z torby swój dziennik i otwarty położyła na kolanach, trzymając pióro jako rekwizyt oznaczający zamyślenie. Nauczyła się, że gdy człowiek wpatrywał się w przestrzeń, powinien sprawiać wrażenie czymś zajętego. W przeciwnym razie zjawiali się dziwni ludzie i próbowali rozmawiać. A dla niej najbliższym i najważniejszym związkiem był ten z własnym dziennikiem. W nim było wszystko.

Po przekątnej mała dziewczynka oddaliła się od koca, na którym spała jej niania. Podążała w stronę krzaków porastających niewielkie wzniesienie, za którym stał płot oddzielający park od Piątej Alei. Gdy Ruth miała już dołączyć do tych, którzy naruszają granice prywatności swoich bliźnich i obudzić nianię, cienka linia, dla Ruth niewidoczna, ostrzegła kobietę, że ma się obudzić. Natychmiast usiadła prosto jak struna i ostro rzuciła

dziewczynce rozkaz powrotu.

W takich chwilach myślała o dziewczynkach, które dożyły dorosłości i starości, że stanowiły swego rodzaju zaszyfrowany alfabet tych wszystkich, którym to się nie udało. Ich życie było w jakiś nierozzerwalny sposób powiązane z zamordowanymi. To właśnie wtedy, gdy niania pakowała torbę i zwijała koc, przygotowując się do tego, co miało być następnym punktem dnia, Ruth zobaczyła dziewczynkę, która oddaliła się w stronę krzaków i zniknęła.

Na podstawie ubrania mogła stwierdzić, że zdarzyło się to jakiś czas temu, ale to wszystko. Nie było nic więcej - żadnej niani ani matki, żadnej wskazówki, czy to noc, czy dzień, tylko mała zaginiona dziewczynka.

Zostałam z Ruth. Zapisała w swoim dzienniku: „Czas? Mała dziewczynka w CP oddała się w stronę krzaków. Biały kołnierzyk z koronki, fantastyczny”. Zamknęła dziennik i wetknęła go do torby. Niedaleko znajdowało się miejsce, które ją uspokajało - pomieszczenie dla pingwinów w zoo.

Spędziłyśmy tam razem popołudnie. Ruth siedziała na wyściełanej ławce, która biegła wzdłuż wybiegu, i z powodu czarnego ubrania widoczne były tylko jej ręce i twarz. Pingwiny chodziły, kołysząc się na boki, kwoktały i nurkowały, ześlizgując się ze skał na wybiegu, jak przyjacielskie szynki, ale pod wodą przypominały mięśnie w smokingach. Dzieci piszczały i krzyczały, przyciskając twarze do szyby. Ruth liczyła żywych tak samo jak martwych, w ciasnej przestrzeni pingwiniego domku radosne okrzyki dzieci odbijały się od ścian, powodując takie wibracje, że przez jakiś czas mogły zagłuszyć krzyki innego rodzaju.

Podczas tego weekendu mój brat obudził się wcześniej, jak zwykle. Był w siódmej klasie i kupował sobie lunch w szkole, należał do grupy dyskusyjnej i, jak Ruth, na wuefie zawsze wybierano go jako ostatniego albo przedostatniego. Nie zajmował się sportem jak Lindsey. W zamian trenował coś, co Babcia Lynn nazywała „klimatem dostojeństwa”. Jego ulubiona nauczycielka - delikatna kobieta z włosami jak druty - właściwie nie była nauczycielką, tylko szkolną bibliotekarką. Piła herbatę z własnego termosu i opowiadała o tym, że w młodości mieszkała w Anglii. Po tych opowieściach przez kilka miesięcy Buckley symulował angielski akcent i okazywał wzmożone zainteresowanie, gdy moja siostra oglądała „Teatr Arcydział”.

Któregoś dnia zapytał tatę, czy mógłby zmienić ogród uprawiany kiedyś przez mamę, a tata powiedział: „Jasne, Buck, zaszalej”.

I zaszalał. Niesamowicie, po wariacku zaszalał, czytając po nocach, gdy nie mógł spać, stare katalogi ogrodnicze i studiując tych kilka książek o ogrodnictwie, które były w bibliotece szkolnej. Gdy babcia zasugerowała szacowne rzędy pietruszki i bazylii, a Hal Jakieś rośliny, które naprawdę mają sens” - bakłażany, melony, ogórki, marchewki i fasolę - mój brat uznał, że oboje mają rację.

Nie podobało mu się to, co czytał w książkach. Nie widział sensu w oddzielaniu kwiatów od pomidorów i ziół samotnie tkwiących w narożniku. Powoli splantował cały ogród szpadlem, codziennie błagając tatę o przyniesie nasion, a gdy wybierał się po zakupy z Babcią

Lynn, ceną za ofiarne napełnianie przez niego kosza był krótki przystanek w szklarni i zakup kwitnącej roślinki. Teraz czekał na swoje pomidory, swoje niebieskie margerytki, swoje petunie, bratki i szalwie wszelkich odmian. W forcie urządził coś w rodzaju szopy ogrodowej, gdzie trzymał narzędzia i różne inne rzeczy.

Moja babcia cierpliwie czekała, aż Buck zda sobie sprawę, że wszystkie te rośliny nie mogą rosnąć razem, a niektóre nasiona nie wzejdą w ustalonym czasie. Że delikatne, puchate wąsy ogórka zostaną prawdopodobnie bezceremonialnie zastopowane przez pogrubiające się wypukłości marchwi i ziemniaków, pietruszka może zostać przesłonięta przez bardziej odporne chwasty, a skaczące w pobliżu żuczki zniszczą wrażliwsze kwiaty. Nie prawila Buckleyowi kazań. Po prostu czekała. Po siedemdziesiątce doszła do tego, że wierzyła wyłącznie w czas.

Kiedy tata zszedł na dół na kawę, mój brat wciągnął do kuchni pudło z ubraniami z piwnicy.

- Co tam macie, farmerze Buck? - zapytał tata. Rano zawsze był w najlepszej formie.
- Robię paliki do moich pomidorów.
- A weszły chociaż ponad ziemię?

Tata stał w kuchni w niebieskim szlafroku frotte i boso. Nalał sobie kawy z ekspresu, który Babcia Lynn nastawiała co rano, i pociągnął łyk, patrząc na syna.

- Właśnie je dziś zobaczyłem - odparł rozpromieniony Buckley. - Są zwinięte jak otwierająca się pięść.

Dopiero kiedy tata, stojąc przy ladzie, powtarzał ten opis Babci Lynn, zobaczył przez okno, co Buckley przyniósł z piwnicy. To były moje rzeczy. Moje ubrania, z których Lindsey wybrała wcześniej wszystko, co mogło jej się przydać. Rzeczy, które babcia, gdy wprowadziła się do mego pokoju, po cichu spakowała, kiedy tata był w pracy. Zniosła je na dół, oznaczając małą nalepką, która głosiła po prostu: NIE WYRZUCAĆ.

Tata odstawił kawę. Przeszedł przez ocienioną werandę i dużymi krokami ruszył naprzód, wołając syna po imieniu.

- Co jest, tato? - Buckleya zaalarmował ton głosu taty.
- To są rzeczy Susie - powiedział tata spokojnie.

Mój brat spojrział na trzymaną w ręku czarną wełnianą sukienkę.

Tata podszedł bliżej, zabrał Buckleyowi sukienkę, a potem, bez słowa, zgarnął z trawnika resztę rzeczy ułożonych tam w stos. Gdy w milczeniu zawrócił do domu, oddychając z trudem i kurczowo przyciskając do siebie ubrania, nastąpiło spięcie.

Tylko ja jedna zobaczyłam te kolory. Tuż przy uszach, na szczytach policzków i podbródki Buckley był jakby trochę pomarańczowy, a trochę czerwony.

- Czemu nie mogę ich użyć? - zapytał.

To pytanie wylądowało na plecach taty jak pięść.

- Czemu nie mogę użyć tych rzeczy do podwiązywania pomidorów?

Tata się odwrócił. Spojrzał na Buckleya, a potem na kawałek błotnistej, wzruszonej ziemi, upstrzonej plamkami maleńkich kielków.

- Jak możesz mnie o to pytać?

- Musisz wybrać. To nie w porządku - powiedział mój brat.

- Buck? - Tata przyciskał ubrania do piersi.

Patrzyłam, jak twarz Buckleya płonie gniewem. Za nim lśnił słoneczny blask żywopłotu z nawłoci, dwukrotnie wyższego niż w chwili mojej śmierci.

- Jestem tym zmęczony! - wrzasnął. - Tata Keeshy umarł i nic jej nie jest!

- Czy Keesha to dziewczynka ze szkoły?

- Tak!

Tata zamarł. Czuł rosę, która zebrała się na jego gołych kostkach i stopach. Czuł, że stoi na ziemi, zimnej, wilgotnej i kipiącej możliwościami.

- Tak mi przykro. Kiedy to się stało?

- Nie oto chodzi! Nie rozumiesz. - Buckley odwrócił się na pięcie i zaczął deptać delikatne kielki pomidorów.

- Buck, przestań! - krzyknął tata.

Mój brat się odwrócił.

- Ty nic nie rozumiesz, tato.

- Przykro mi... To są rzeczy Susie i ja po prostu... Może to nie ma sensu, ale są jej... to coś, co miała na sobie.

- Wzięłaś but, prawda? - powiedział mój brat. Przestał już płakać.

- Co?

- Zabrałaś but. Zabrałaś go z mojego pokoju.

- Buckley, nie wiem, o czym mówisz.

- Zostawiłem sobie but z gry w monopol, a potem zniknął. Ty go wzięłaś! Zachowujesz się, jakby ona była tylko twoja!

- Powiedz mi to, co chcesz powiedzieć. O co chodzi z tatą twojej przyjaciółki Keeshy?

- Odłóż te rzeczy.

Tata delikatnie położył ubrania na ziemi.

- Nie chodzi o tatę Keeshy.

- No, to powiedz mi, o co chodzi. - Był teraz jednym wielkim przynagleniem. Cofnął się do czasu, kiedy operowano mu kolano i wybudzał się z narkotycznego snu po środkach przeciwbólowych, żeby zobaczyć swojego pięcioletniego wówczas syna, siedzącego obok, czekającego, aż otworzy oczy, żeby mógł zawołać: „A kuku, tato”.

- Ona nie żyje.

To nigdy nie przestało boleć.

- Wiem o tym - odparł.

- Ale zachowujesz się, jakbyś nie wiedział. Tata Keeshy umarł, kiedy miała sześć lat.

Powiedziała mi, że prawie o nim nie myśli.

- Zacznie - stwierdził tata.

- Ale co z nami?

- Z kim?

- Z nami, tato. Ze mną i Lindsey. Mama odeszła, bo nie mogła tego znieść.

- Uspokój się, Buck. - Był tak wielkoduszny, jak tylko mógł, podczas gdy powietrze z płuc przesączyło mu się do klatki piersiowej. Usłyszał głosik szepczący mu do ucha: *Odpuść, odpuść, odpuść*. - Co? - zapytał.

- Niczego nie mówiłem.

Odpuść. Odpuść. Odpuść.

- Przepraszam - odezwał się tata. - Nie czuję się najlepiej. - Jego stopy w mokrej trawie zrobiły się niewiarygodnie zimne. Miał wrażenie, że pierś mu się zapadła, wokół odkopanej jaskini latały robaki. Echo dzwoniło mu w uszach. *Odpuść.*

Opadł na kolana. Przelotne mrowienie przebiegło mu przez ramię jak przy zasypianiu. Szpilki i igły w górę i w dół. Mój brat popędził w jego stronę.

- Tato?

- Synu... - głos mu drżał i wykonał ruch, jakby sięgał w stronę Buckleya.

- Pójdę po babcię - powiedział mój brat i pobiegł.

Leżąc na boku, z twarzą odwróconą w stronę moich starych rzeczy, tata wyszeptał słabo:

- Nie można wybierać. Kochałem całą waszą trójkę.

Tę noc spędził w szpitalu, podłączony do monitorów, które piszczały i szumiały. Czas zawirować wokół stóp taty i wzdłuż jego kręgosłupa. Czas ukoić go i poprowadzić. Tylko dokąd?

Ponad łóżkiem zegar tykaniem odmierzał minuty. Przypomniało mi się, jak bawiłyśmy się z Lindsey na podwórzu w „kocha, nie kocha” odliczane płatkami margerytek. Słyszałam zegar wystukujący w tym samym rytmie moje dwa największe życzenia: „umieraj, nie umieraj, umieraj, nie umieraj, umieraj, nie umieraj”. Nic nie mogłam na to poradzić, tak mi się przynajmniej zdawało, chciałam jednocześnie zasklepić i rozerwać jego słabnące serce. Gdyby umarł, miałabym go na wieki. Czy to źle, że tego pragnęłam?

W domu Buckley leżał w łóżku w ciemności i podciągał prześcieradło pod brodę. Nie pozwolono mu wejść dalej niż do izby przyjęć, dokąd przywiozła ich Lindsey, jadąc za wyjącem ambulansem, w którym leżał tata. Mój brat czuł olbrzymi ciężar. Milczenie Lindsey działało przygniatająco. Podobnie jak dwa powtarzane przez nią pytania: O czym rozmawialiście? Czemu był taki zdenerwowany?

Mój braciszek najbardziej bał się, że osoba, która tak wiele dla niego znaczyła, odejdzie. Kochał Lindsey i Babię Lynn, Samuela i Hala, ale to wokół taty chodził na paluszkach. Codziennie, rano i wieczorem, delikatnie sprawdzał, co z ojcem, jakby bez tego czujnego nadzoru mógł go stracić.

Staliśmy - dziecko martwe i dziecko żywe - po bokach taty, oboje pragnąc tego samego. Chcieliśmy mieć go dla siebie na zawsze. Obojga nie można było zadowolić.

Za życia Buckleya tata tylko dwa razy spędził noc poza domem. Raz, kiedy wyszedł na pole kukurydzy szukać pana Harveya, i teraz, kiedy leżał w szpitalu, monitorowany na wypadek drugiego zawału.

Buckley wiedział, że jest już duży i nie powinno to mieć dla niego znaczenia, ale ja podzielałam jego uczucia. Tata był mistrzem w kwestii pocałunków na dobranoc. Gdy stawał w nogach łóżka po spuszczeniu żaluzji i przejechaniu po nich dłonią dla sprawdzenia, czy wszystkie są ustawione pod tym samym kątem - żadnych zbuntowanych żaluzji, które rzuciłyby słoneczne światło na jego syna, zanim przyjdzie go obudzić - mój brat często dostawał gęsiej skórki na ramionach i nogach. Oczekiwanie było takie słodkie.

- Gotowy, Buck? - pytał tata i czasami Buckley mówił „Gotów”, a czasami „Odłot”, jednak kiedy był najbardziej przestraszony i niecierpliwie czekał na ukojenie, mówił po prostu „Tak!”. Wtedy tata zbierał w fałdy cienkie bawełniane prześcieradło, pilnując, żeby oba rogi mieć między kciukiem i palcem wskazującym, i z trzaskiem je strzepywał. Jasnobłękitne (jeżeli używali pościeli Buckleya) albo lawendowe (jeżeli używali mojej) prześcieradło rozpościerało się nad Buckleyem jak spadochron i delikatnie, wydawało się, że wręcz cudownie wolno opadało, dotykając jego odsłoniętej skóry - kolan, przedramion, policzków i podbródka. Powietrze i okrycie jakimś cudem dawały jednocześnie poczucie maksymalnej wolności i ochrony. To było coś wspaniałego, mój brat - bezbronny i drżący - zatrzymywał się gdzieś na krawędzi i mógł tylko mieć nadzieję, że tata ulegnie jego błaganiom i zrobi to jeszcze raz. Powietrze i okrycie, powietrze i okrycie - podtrzymujące niewysłowiony związek między małym chłopcem i zranionym mężczyzną.

Tej nocy Buckley położył głowę na poduszce i zwinął się w pozycji płodowej. Nie pomyślał, żeby samemu spuścić żaluzje, i światła pobliskich domów znaczyły wzgórze. Przez szerokość pokoju wpatrywał się w żaluzjowe drzwi swojej szaty, z której, jak sobie kiedyś wyobrażał, mogłyby uciec złe czarownice, żeby przyłączyć się do smoków pod jego łóżkiem. Nie bał się już takich rzeczy.

- Susie, proszę, nie pozwól tacie umrzeć - wyszeptał. - Potrzebuję go.

Kiedy opuściłam brata, minęłam altanę i przeszłam pod lampami zwieszającymi się niby jagody. Idąc naprzód, zobaczyłam rozwidlające się, ułożone z cegieł ścieżki.

Szłam, dopóki cegły nie zmieniły się w płaskie kamienie, a potem w małe ostre kamyki. W końcu miałam pod stopami tylko miękką, otaczającą mnie zewsząd ziemię. Zatrzymałam się. Byłam w niebie dostatecznie długo, żeby wiedzieć, kiedy coś zostanie ujawnione. I gdy światło zaczęło gasnąć, a niebo zmieniać kolor na ciemny, słodki błękit jak w noc mojej śmierci, zobaczyłam, że gdzieś daleko, na linii horyzontu, pojawił się człowiek. Z początku nie mogłam dojrzeć, czy to mężczyzna, czy kobieta, dziecko czy dorosły. Ale gdy światło księżycy oświetliło postać, zdołałam zauważyć, że to mężczyzna, i przestraszona, płytko

oddychając, popędziłam teraz, żeby sprawdzić. Czy to mój tata? Czy wydarzyło się to, czego cały czas tak rozpaczliwie pragnęłam?

- Susie - odezwał się mężczyzna, gdy do niego dotarłam i zatrzymałam się parę stóp od miejsca, w którym stał. Wyciągnął do mnie ramiona. - Pamiętasz? - zapytał.

Znów byłam mała, miałam sześć lat w bawialni w Illinois. Tak jak wtedy postawiłam stopy na jego stopach.

- Dziadku - powiedziałam.

I ponieważ byliśmy całkiem sami i oboje w niebie, poruszałam się tak samo lekko jak wówczas - gdy ja miałam sześć lat, a on pięćdziesiąt sześć i tata przywiózł nas do niego. Tańczyliśmy powoli do piosenki, która na Ziemi zawsze doprowadzała mojego dziadka do łez.

- Pamiętasz? - zapytał.

- Barber!

- „Adagio for Strings” - powiedział.

Kiedy tańczyliśmy i wirowaliśmy - bez śladu tej spazmatycznej ziemskiej niezgrabności - przypomniałam sobie, jak zastałam go płaczącego przy tej muzyce i zapytałam dlaczego.

- Czasami płaczesz, Susie, mimo że ktoś, kogo kochałaś, odszedł dawno temu. - Przytulił mnie wtedy, choć trwało to tylko chwilę, bo zaraz wybiegłam na dwór bawić się z Lindsey na podwórzu, które wtedy wydawało się ogromne.

Nie rozmawialiśmy więcej tej nocy, ale tańczyliśmy przez wiele godzin w beczasowym błękitnym świetle. Wiedziałam, że gdy wirowaliśmy w tańcu, coś działo się i na Ziemi, i w niebie. Zmiana. Coś w rodzaju przechodzenia od ruchu powolnego do szybkiego, o czym czytaliśmy kiedyś na lekcji fizyki. Wstrząsy, rozdieranie się i odgrywanie czasu i przestrzeni. Przytuliłam się do piersi dziadka i wdychałam jego zapach starszego pana, naftalinową wersję mojego taty - krew na Ziemi, niebo w niebie. Kumkwat, skunks, najlepszy tytoń.

Gdy muzyka umilkła, mogła upłynąć cała wieczność od czasu, kiedy zaczęliśmy tańczyć. Dziadek cofnął się o krok i światło za jego plecami zżółkło.

- Idę - powiedział.

- Dokąd? - zapytałam.

- Nie martw się, kochanie. Jesteś tak blisko. Odwrócił się i odszedł, znikając raptownie wśród świetlnych plamek i kurzu. W nieskończoności.

19.

Gdy tego ranka moja mama dotarła do winnicy Krusoe, czekała na nią wiadomość, nabazgrana przez dozorcę niedoskonałą angielszczyzną. Słowa „nagły wypadek” były wystarczająco wyraźne i mama zrezygnowała z porannego rytuału picia kawy z widokiem na rzędy solidnych białych krzyży oplecionych winogronami. Otworzyła część winiarni przeznaczoną do publicznych degustacji. Nie włączając górnego światła, za drewnianym barem znalazła telefon i wybrała numer w Pensylwanii. Nikt się nie zgłosił.

Następnie zatelefonowała do operatora w Pensylwanii i poprosiła o numer doktora Akhila Singha.

- Tak - powiedziała Ruana. - Ray i ja widzieliśmy parę godzin temu podjeżdżającą karetkę. Sądzę, że wszyscy są w szpitalu.

- Kto to był?

- Może twoja matka?

Ona jednak wiedziała z kartki, że to właśnie jej matka przekazała wiadomość. Chodziło o któreś z dzieci albo Jacka. Podziękowała Ruanie i odłożyła słuchawkę. Chwyliła ciężki czerwony telefon i przeniosła spod baru. Stos kolorowych formularzy, które rozdawano klientom - „Cytrynowy = młode chardonnay, słomkowy = sauvignon blanc...” - rozsypał się u jej stóp. Pogratulowała sobie, że miała w zwyczaju wcześniej przychodzić do pracy. Teraz jedyne, co jej przyszło do głowy, to nazwy lokalnych szpitali, więc zadzwoniła do tych, do których woziła swoje małe dzieci z niewyjaśnioną gorączką albo podejrzeniem złamania kości. W końcu w tym samym szpitalu, do którego kiedyś zawiozłam Buckleya, usłyszała:

- Jakiś Jack Salmon był u nas na izbie przyjęć i nadal tu jest.

- Mogę wiedzieć, co się stało? - zapytała.

- Czy jest pani spokrewniona z panem Salmonem?

Wymówiła słowa, których nie wypowiadała od lat:

- Jestem jego żoną.

- Miał zawał.

Odłożyła słuchawkę i usiadła na gumowo-korkowych matach, pokrywających podłogę w części dla pracowników. Siedziała tam, dopóki nie pojawił się szef zmiany. Powtórzyła mu te dziwne słowa: *mąż, zawał*.

Ocknęła się w ciężarówce. Dozorca, cichy człowiek, który prawie nie opuszczał terenu winnicy, gnał w stronę międzynarodowego portu lotniczego w San Francisco.

Zapłaciła za bilet i weszła na pokład samolotu lecącego do Chicago. Tam miała się przesiąść i ostatecznie wylądować w Filadelfii. Gdy samolot nabrał wysokości i schowali się w chmurach, mama nasłuchiwała odległych dzwonek sygnałowych, które wskazywały załodze, co robić albo na co się przygotować, słyszała przesuwający się od czasu do czasu wózek z napojami, ale zamiast współpasażerów przed oczami miała chłodne, sklepienie

wejście do winiarni, gdzie przechowywano puste dębowe beczki, i zamiast mężczyzn, którzy często siadywali w środku, żeby zejść ze słońca, wyobraziła sobie swojego tatę wyciągającego w jej stronę wyszczerbioną filiżankę Wedgwood.

Do czasu lądowania w Chicago, gdzie miała przez dwie godziny czekać na samolot, uspokoiła się na tyle, żeby kupić szczoteczkę do zębów i paczkę papierosów oraz zadzwonić do szpitala i tym razem pomówić z Babcią Lynn.

- Mamo - powiedziała moja mama - jestem w Chicago i jadę do was.

- Abigail, dzięki Bogu! Dzwoniłam znów do Krusoe i powiedzieli, że pojechałaś na lotnisko.

- Co z nim?

- Pyta o ciebie.

- Czy są tam dzieci?

- Tak, i Samuel. Miałam zamiar dziś do ciebie zadzwonić i wszystko ci wyjaśnić. Samuel poprosił Lindsey, żeby za niego wyszła.

- To wspaniale - odparła moja mama.

- Abigail? - Babcia Lynn się zawahała, co zdarzało jej się bardzo rzadko.

- Tak.

- Jack pyta też o Susie.

Zapaliła papierosa, gdy tylko wyszła przed terminal na O'Hare. Minęła ją szkolna wycieczka, wszyscy z małymi podręcznymi torbami i instrumentami muzycznymi, z których każdy miał na boku futerału jaskrawożółtą nalepkę: DOM PATRIOTÓW.

W Chicago było parno i wilgotno, a smoliste wyziewy zaparkowanych w dwóch rzędach samochodów sprawiały, że ciężkie powietrze stało się trujące.

Wypaliła papierosa w rekordowym czasie i sięgnęła po następnego. Pałac, wolną ręką mocno obejmowała się na skos przez pierś, a rękę z papierosem odsuwała przy każdym wydechu. Miała na sobie roboczy strój z winnicy: wyblakłe, ale czyste dzinsy i jasnopomarańczowy T-shirt z wyszytym nad kieszenią napisem WINNICA KRUSOE. Była opalona i jej bladoniebieskie oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie. Włosy zebrała na karku w luźny koński ogon. Zauważyłam szpakowate kosmyki przy uszach i na skroniach.

Zatrzymała się obok klepsydry i zastanawiała się, jak to możliwe. Najwyraźniej czas podlegał prawu grawitacji, a ona mogła żyć samotnie dopóty, dopóki więzy nie pociągną jej z powrotem. I właśnie pociągnęły - z całej siły. Małżeństwo. Zawał.

Stojąc przed terminalem, sięgnęła do tylnej kieszeni dzinsów i wyjęła męski portfel. Zaczęła go używać, gdy podjęła pracę w Krusoe, bo to było łatwiejsze niż upychanie torebki pod barem. Strzepnęła popiół na podjazd dla taksówek i odwróciła się, żeby poszukać miejsca na brzegu betonowej donicy, w której rosły chwasty i jedno smutne drzewko, zaduszone spalinami.

W portfelu znajdowały się zdjęcia, zdjęcia, które codziennie oglądała. Jedno z nich

włożyła obrazkiem w dół do skórzanej przegródki przeznaczonej na kartę kredytową. Takie samo leżało w kasecie dowodowej na posterunku policji, takie samo Ray włożył do książki swojej matki z hinduską poezją. Moje klasowe zdjęcie, które obiegiło gazety i zostało wykorzystane w policyjnych ulotkach i do naklejania na skrzynki pocztowe.

Po ośmiu latach nawet dla mojej mamy miało wartość wszechobecnej fotografii jakiejś sławy. Natknęła się na nie tyle razy, w tylu miejscach, że stało się dla niej wyłącznie portretem trumiennym. Moje policzki nigdy nie były czerwiejsze, a oczy bardziej niebieskie niż na tym zdjęciu.

Wyjęła tę fotografię i lekko zgiętą przytrzymała w dłoni. Zawsze brakowało jej moich drobnych, okrągłych zębów - ich kształt ją fascynował, gdy obserwowała moje dorastanie. Obiecałam jej szeroki uśmiech na zdjęciu, ale w obecności fotografa byłam taka stremowana, że ledwie zmusiłam się do grymasu z zaciśniętymi wargami.

Przez znajdujące się na zewnątrz głośniki usłyszała informację o swoim połączeniu lotniczym. Wstała. Odwracając się, zobaczyła maleńkie, walczące o życie drzewko. Zostawiła mój klasowy portret oparty o jego pień i pospiesznie przeszła przez automatyczne drzwi.

Podczas lotu do Filadelfii siedziała sama pośrodku rzędu trzech siedzeń. Cały czas myślała o tym, że gdyby podróżowała z dziećmi, oba sąsiednie miejsca byłyby zajęte. Jedno dla Lindsey. Drugie dla Buckleya. Ale chociaż z definicji pozostawała matką, w pewnym momencie przestała nią być. Nie mogła rościć sobie tego prawa i przywileju, skoro przeoczyła ponad pół dekady z życia własnych dzieci. Wiedziała teraz, że bycie matką to powołanie, coś, o czym marzyło mnóstwo młodych dziewcząt. Lecz ona nigdy nie miała takich marzeń i w sposób najpotworniejszy z możliwych została ukarana za to, że nigdy mnie nie chciała.

Obserwowałam ją w samolocie i posłałam w chmury życzenie, żeby mogła się wyzwolić. Jej ciało stało się ociążałe z lęku przed tym, co nastąpi, ale dzięki temu poczuła ulgę. Na chwilę zasnęła, z głową opartą na niebieskiej poduszeczce, którą dostała od stewardesy.

Gdy dotarli do Filadelfii, samolot wolno sunął po pasie startowym, a ona przypominała sobie, gdzie jest i który to rok. Pospiesznie przebiegła w myśli wszystko, co mogłaby powiedzieć swoim dzieciom, matce, Jackowi. A potem, kiedy w końcu się zatrzymali z podskokiem, poddała się i skupiła wyłącznie na tym, żeby wyjść z samolotu.

Ledwie poznała swoje własne dziecko, czekające przy końcu długiej rampy. W ciągu minionych lat moja siostra zrobiła się kanciasta, chuda, zgubiła najmniejszy ślad tłuszczu. A obok niej stał ktoś, kto wyglądał na jej brata bliźniaka. Trochę wyższy, nieco bardziej muskularny. Samuel. Tak intensywnie się w siebie wpatrywali, że z początku w ogóle nie zauważyła pulchnego chłopca, siedzącego z boku, na poręczy w rzędzie siedzeń w poczekalni.

W końcu jednak, jeszcze zanim zaczęła iść w ich stronę - bo przez kilka pierwszych chwil wszyscy sprawiali wrażenie zawieszonych i nieruchomych, jakby ugrzęźli w lepkiej żelatynie,

z której mógł ich uwolnić tylko jej ruch - zobaczyła Buckleya.

Ruszyła po wyłożonej dywanem rampie. Słyszała komunikaty ogłaszane na lotnisku i widziała mijających ją pospiesznie pasażerów, którzy wykonywali bardziej zwyczajne gesty powitania. Kiedy dostrzegła syna, poczuła się tak, jakby wkraczała w jakieś zawirowanie czasu. Obóz Winnekukka, rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty. Miała dwanaście lat, pyzate policzki i grube nogi - cieszyła się, że wszystko to ominęło córki, a tymczasem musiał się z tym zmagać jej syn. Nie było jej tyle lat, nieodwracalnie straciła tyle czasu.

Gdyby policzyła, wiedziałaby, że wystarczyło zrobić siedemdziesiąt trzy kroki, żeby dokonać tego, czego bała się przez prawie siedem lat.

To moja siostra odezwała się pierwsza.

- Mamo - powiedziała.

Mama w mgnieniu oka pokonała trzydzieści osiem lat dzielących ją od samotnej dziewczynki, jaką była na obozie Winnekukka.

- Lindsey - odparła, spoglądając na córkę.

Lindsey się w nią wpatrywała. Buckley już stał, ale najpierw zerknął w dół, na swoje buty, a potem przez ramię w stronę okna, za którym zaparkowane były samoloty wypływające pasażerów przez plisowane rury.

- Co z twoim ojcem? - zapytała mama.

Moja siostra wypowiedziała słowo „mama” i zamarła. Miało w jej ustach mydlany, obcy smak.

- Obawiam się, że nie jest w najlepszej formie - oznajmił Samuel. Było to najdłuższe zdanie, jakie ktokolwiek wygłosił, i mama poczuła, że jest za nie niezmiernie wdzięczna.

- Buckley? - powiedziała, nie przybierając na jego użytek żadnego specjalnego wyrazu twarzy. Była tym, kim była... kimkolwiek była.

Odwrócił głowę w jej stronę, jakby kierował nią mechanizm zębatkowy.

- Buck - oznajmił.

- Buck - powtórzyła miękko i opuściła wzrok na swoje ręce.

Lindsey chciała zapytać: *Gdzie masz swoje pierścionki?*

- Pójdziemy? - odezwał się Samuel.

Całą czwórką weszli do długiego, wyłożonego chodnikiem tunelu, który miał ich doprowadzić do głównego terminalu. Kiedy zmierzali do przepastnego działu bagażowego, mama powiedziała:

- Nie przywiozłam żadnych walizek.

Stanęli bezładnie, a Samuel szukał odpowiednich znaków, które pokierowałyby ich z powrotem na parking.

- Mamo - ponownie spróbowała moja siostra.

- Okłamałam cię - odparła mama, zanim Lindsey zdążyła powiedzieć coś więcej.

Spotkały się wzrokiem i przysięgam, że to zobaczyłam w gorącym porozumieniu, które

nawiązały, jak niestrawionego szczura przesuwającego się w ciele węża - tajemnicę Lena.

- Wracamy ruchomymi schodami - zdecydował Samuel - a potem możemy przejść na parking po kładce.

Samuel zawołał Buckleya, którego zniosło w stronę funkcjonariuszy ochrony lotniska. Mundury nigdy nie straciły dla niego uroku.

Jechali autostradą, gdy Lindsey odezwała się po raz kolejny:

- Nie wpuścili Buckleya do taty. Uznali, że jest za młody.

Mama się odwróciła.

- Postaram się coś z tym zrobić - powiedziała, patrząc na Buckleya i próbując się zdobyć na pierwszy uśmiech.

- Pieprzę cię - wyszeptał mój brat, nie podnosząc wzroku.

Mama zamarła. Samochód przyspieszył. Pełen nienawiści i napięcia - fala krwi, przez którą trzeba przepłynąć.

- Buck - mama w samą porę przypomniała sobie o skróconym imieniu - czy możesz na mnie spojrzeć?

Przeszywający wzrok ponad przednim siedzeniem, wwiercająca się w nią wściekłość.

W końcu ponownie się odwróciła i Samuel, Lindsey oraz mój brat usłyszeli z siedzenia pasażera dźwięki, których bardzo starała się nie wydawać. Ciche piski i zduszone łkania. Ale Buckleya nie mogły poruszyć żadne łzy. Codziennie, tygodniami, latami, doglądał podziemnego magazynu nienawiści. A głęboko w jego czeluściach siedział czterolatek z pulsującym sercem. Z serca - w kamień, z serca - w kamień.

- Wszyscy poczujemy się lepiej, kiedy zobaczymy pana Salmona - powiedział Samuel, a potem, ponieważ nawet on nie mógł tego znieść, nachylił się do tablicy rozdzielczej i włączył radio.

To był ten sam szpital, do którego przyjechała w środku nocy osiem lat temu. Inne piętro, pomalowane na inny kolor, ale gdy szła przez hol, czuła, że przygniata ją to, co tu zrobiła. Nacisk ciała Lena, jej plecy przyciśnięte do chropawej tynkowanej ściany. Wszystko w niej zrywało się do ucieczki - odlotu do Kalifornii, do cichej egzystencji przy pracy u obcych ludzi. Ukrycia wśród pni drzew i tropikalnych płatków, bezpiecznego schronienia między tyloma obcymi ludźmi i roślinami.

Kostki nóg i pantofle matki, które zobaczyła z korytarza, sprowadziły ją z powrotem. Jedna z tych wielu zwykłych rzeczy, które straciła, wyprowadzając się tak daleko, banalny widok stóp matki - ich solidności i komizmu - widok siedemdziesięcioletnich stóp w śmiesznie niewygodnych butach.

Gdy weszła do pokoju, wszyscy inni - jej syn, córka, matka - zniknęli.

Tata z trudem otwierał oczy, ale jego powieki zatrzępotały i uniosły się. Rurki i druciki wychodziły z jego nadgarstka i ramienia, a głowa wydawała się tak krucha na kwadratowej poduszeczce.

Ujęła jego rękę i cicho zapłakała, pozwalając łzom swobodnie płynąć.

- Halo, oceany oczu - powiedział.

Skinęła głową. Ten złamany, pokonany mężczyzna - to jej mąż.

- Moja dziewczynka - wy dyszał z trudem.

- Jack.

- No i popatrz, czego trzeba, żeby cię ściągnąć do domu.

- Było warto? - zapytała, uśmiechając się blado.

- Musimy sprawdzić - odparł.

Zobaczyć ich razem - nieśmiała nadzieja stała się rzeczywistością.

Tata dostrzegł w oczach mamy błyski jak kolorowe plamki - coś, czego mógł się uchwycić. Liczył je wśród połamanych desek i szczątków dawnego statku, który zderzył się z czymś większym od siebie i zatonął. Teraz zostały mu tylko resztki i artefakty. Próbował sięgnąć ręką i dotknąć jej policzka, ale był na to za słaby. Przysunęła się bliżej i położyła policzek na jego dłoni.

Moja babcia umiała się cicho poruszać na obcasach. Na paluszkach wyszła z pokoju. Gdy wróciła do normalnego kroku i dotarła do poczekalni, zatrzymała pielęgniarkę, która miała wiadomość dla Jacka Salmona z pokoju pięćset osiemdziesiąt dwa. „Len Fenerman niedługo pana odwiedzi. Życzy zdrowia”. Nigdy nie widziała tego człowieka, ale знаła jego nazwisko. Porządnie złożyła kartkę. Zanim wpadła na Lindsey i Buckleya, którzy siedzieli z Samuelem w poczekalni, z trzaskiem otworzyła metalowy zamek swojej torebki i umieściła ją między puderniczką a grzebieniem.

20.

Gdy pan Harvey dotarł tej nocy do szopy z blaszanym dachem w Connecticut, zanosilo się na deszcz. Kilka lat wcześniej zabił tu młodą kelnerkę, a potem kupił sobie nowe spodnie za napiwki, które znalazł w przedniej kieszeni jej fartucha. Do tej pory rozkład powinien być zaawansowany i rzeczywiście, u celu podróży nie powitał go mdlący fetor. Ale szopa była otwarta, a w środku widział przekopaną ziemię.

Zrobił wdech i ostrożnie podszedł do szopy. Zasnął przy pustym grobie.

Żeby mieć przeciwwagę dla rejestru martwych dziewczynek, zaczęłam układać moją własną listę żywych. Zauważyłam, że to samo robił Len Fenerman. Kiedy nie był na służbie, notował w pamięci młode dziewczyny i starsze kobiety, zaliczał to do rzeczy, które trzymały go przy życiu. Dziewczynka w centrum handlowym. Jej blade nogi zrobiły się za długie i nie pasowały do zbyt dziecinnie wyglądającej sukienki. Wydawała się boleśnie bezbronna i jej widok chwycił za serce zarówno Lena, jak i mnie. Starsze kobiety, chyboczące się w chodzikach i z uporem farbujące włosy na nienaturalne wersje kolorów, które miały w młodości. Samotne matki w średnim wieku, gnające przez sklepy spożywcze, podczas gdy ich dzieci wyciągały z półek torebki słodczy. Na ich widok zaczynałam liczenie. Żywe, oddychające kobiety i dziewczynki. Czasami widziałam te skrzywdzone - te, które zostały pobite przez mężów albo zgwałcone przez obcych mężczyzn, a nawet przez własnych ojców - i żalowałam, że nie mogę jakoś interweniować.

Len widywał skrzywdzone kobiety cały czas. Były stałymi gośćmi na posterunku, ale nawet gdy znalazł się na terenie, który nie podlegał jego jurysdykcji, potrafił je wyczuć, jeśli tylko znajdowały się dostatecznie blisko. Żona w sklepie wędkarskim nie miała sińców na twarzy, ale kulila się jak pies i mówiła przeproszającym szeptem. Dziewczyna, która szła drogą za każdym razem, kiedy jechał w głąb stanu odwiedzić siostry. W miarę upływu lat wyszczuplała, zniknął tłuszcz z jej policzków, a w oczach na stałe zagościł smutek; miała ciężkie i beznadziejne spojrzenie, bladawą opuchniętą skórę. Gdy się nie pojawiała, Len się martwił. Gdy ją spotykał, jej widok jednocześnie go przygnębiał i stawiał na nogi.

Przez długie lata niewiele mógł zapisać w moich aktach, ale podczas ostatnich kilku miesięcy do listy starych dowodów doszło kilka rzeczy: nazwisko innej potencjalnej ofiary, Sophie Cichetti, nazwisko jej syna i nazwisko używane przez pana Harveya. Było też to, co trzymał w rękach: mój wisiołek z symbolem Pensylwanii. Przesunął go palcami wewnątrz torebki dowodowej i po raz kolejny zobaczył moje inicjały. Wisiołek został znaleziony na miejscu zabójstwa innej dziewczynki, sprawdzony pod kątem ewentualnych śladów, ale poza samą obecnością niczego pod mikroskopem nie ujawnił.

Len chciał zwrócić ten wisiołek mojemu tacie od chwili, gdy był w stanie potwierdzić, że należał do mnie. Takie postępowanie oznaczało złamanie zasad, ale nie udało mu się odnaleźć ciała, miał tylko przemokniętą książkę i strony mojego podręcznika do biologii wraz z

miłosnym liścikiem od chłopca. Butelkę coli. Czapkę z dzwoneczkami. Te rzeczy skatalogował i zatrzymał. Lecz z wisiorkiem było inaczej i zamierzał go oddać.

Pielęgniarka, z którą spotykał się po odejściu mojej mamy, zadzwoniła do niego, kiedy zauważyła nazwisko Jacka Salmona na liście przyjętych pacjentów. Len zdecydował, że odwiedzi tatę w szpitalu i przyniesie ze sobą wisiorek. W wyobraźni widział go jako talizman, który mógł przyspieszyć powrót mojego taty do zdrowia.

Gdy obserwowałam Lena, nie mogłam przestać myśleć o beczkach z toksycznymi płynami, zgromadzonych za warsztatem motocyklowym Hala. Miejscowe firmy, korzystając z osłony krzaków rosnących wzdłuż torów, wyrzucały tu jeden czy drugi zabłąkany pojemnik. Wszystkie były zamknięte, ale zaczynały przeciekać. Przez te wszystkie lata po odejściu mamy nauczyłam się jednocześnie żałować Lena i go szanować. Badał rzeczy materialne, żeby zrozumieć sprawy, których nie można zrozumieć. W tej mierze był taki jak ja.

Przed szpitalem młoda dziewczyna sprzedawała bukieciki żonkili, zielone lodygi miały przewiązane lawendowymi wstążkami. Przyglądałam się mamie, gdy kupiła cały ich zapas.

Siostra Eliot, która pamiętała moją mamę sprzed ośmiu lat, zgłosiła się na ochotnika do pomocy, gdy zobaczyła ją idącą przez hol z naręczem kwiatów. Wyszukała dodatkowe dzbanki w szafie, razem z mamą napełniły je wodą i kiedy tata spał, rozmieściły kwiaty w jego pokoju. Siostra Eliot pomyślała, że gdyby cierpienie mogło być miarą kobiecej urody, moja mama stałaby się jeszcze piękniejsza.

Wieczorem Lindsey, Samuel i Babcia Lynn zabrali Buckleya do domu. Moja mama nie była jeszcze gotowa, żeby zobaczyć dom. Skupiła się wyłącznie na tacie. Wszystko inne musiało poczekać, od domu i jego milczącego wyrzutu po syna i córkę. Potrzebowała czegoś do jedzenia i chwili do namysłu. Zamiast pójść do szpitalnej kafeterii, gdzie jasne światła zmuszały do myślenia o wszystkich tych daremnych wysiłkach podejmowanych przez szpitale, żeby ludzie byli w stanie wysłuchać złych wieści - słaba kawa, twarde krzesła, windy, które zatrzymywały się na każdym piętrze - wymknęła się z budynku i poszła pochyłym chodnikiem, biegnącym od wejścia.

Na dworze było teraz ciemno i przestrzeń parkingu, na który przyjechała kiedyś w środku nocy, w koszuli nocnej, znaczyło tylko kilka samochodów. Ciaśniej otuliła się kardiganem zostawionym jej przez matkę.

Przebiegła parking. Po drodze zaglądała do ciemnych samochodów, chcąc się czegoś dowiedzieć o ludziach w szpitalu. W jednym na siedzeniu pasażera leżały rozrzucone kasety, w innym dostrzegła masywny kształt dziecięcego fotelika. Zrobiła sobie z tego zabawę, z wypatrywania. Sposób na to, żeby nie czuć się samotną i obcą, jakby była dzieckiem bawiącym się w szpiega w domu przyjaciół rodziców. Agentka Abigail do centrali. Widzę włochatego psa zabawkę, widzę piłkę nożną, widzę kobietę! Proszę bardzo, oto obca kobieta siedząca na fotelu kierowcy. Kobieta nie wiedziała, że ktoś ją obserwuje, i gdy tylko mama zobaczyła jej twarz, skierowała uwagę na coś innego, skupiając się na jasnych światłach starej

knajpki, którą obrała za cel. Nie musiała się oglądać, żeby wiedzieć, co robiła ta kobieta. Zbierała siły, żeby wejść do środka. Mama знаła ten wyraz twarzy. Tak wyglądają ludzie, którzy pragną być gdziekolwiek, byle nie tam, gdzie się znajdują.

Stała na obsadzonym roślinami skrawku ziemi między szpitalem a wejściem do izby przyjęć i żałowała, że nie ma papierosa. Tego ranka niczego nie kwestionowała. Jack miał zawał; wracała do domu. Ale teraz, na miejscu, nie wiedziała już, co powinna zrobić. Jak długo będzie musiała czekać, co powinno się wydarzyć, żeby znów mogła odejść? Za sobą, na parkingu, usłyszała dźwięk otwierających się i zamykających drzwi - kobieta wychodziła z samochodu.

Knajpka wydawała jej się jedną rozmazaną plamą. Usiadła sama w łóży i zamówiła jedzenie - panierowany stek, który w Kalifornii istniał tylko z nazwy.

Myślała o tym, kiedy siedzący dokładnie po przekątnej mężczyzna zmierzył ją wzrokiem. Zarejestrowała każdy szczegół jego powierzchowności. To było działanie odruchowe, coś, czego nie robiła na zachodzie. W Pensylwanii, od czasu gdy zostałam zamordowana, ilekroć widziała dziwnego człowieka, który nie wzbudzał jej zaufania, natychmiast przeprowadzała w myśli analizę. Tak było łatwiej - honorować pragmatyzm strachu - niż udawać, że nie powinna w ten sposób myśleć. Przyniesiono jej kolację, więc skupiła się na jedzeniu - na chrzęszczącej w zębach panierce, gumowatym mięsie, metalicznym smaku nieświeżej herbaty. Sądziła, że wytrzyma w domu najwyżej przez parę dni. Wszędzie, gdzie spojrzała, widziała mnie, a w łóży po przekątnej zobaczyła człowieka, który mógł być moim mordercą.

Skończyła jeść, zapłaciła i wyszła z knajpki, nie podnosząc wzroku. Gdy dzwonek zawieszony nad drzwiami zadźwięczał tuż nad nią, przestraszyła się, a serce podskoczyło jej do gardła.

Udało jej się uniknąć rozjechania na drodze, ale gdy wracała przez parking, oddychała z trudem. Samochód lekliwej odwiedzającej wciąż był na miejscu.

W głównym holu, gdzie mało kto się zatrzymywał, postanowiła usiąść i poczekać, aż uspokoi oddech.

Spędzi z Jackiem kilka godzin, a kiedy jej mąż się obudzi, powie do widzenia. Gdy tylko podjęła decyzję, ogarnął ją upragniony spokój. Nagła ulga zwolnienia z odpowiedzialności. Bilet do odległego miejsca.

Zrobiło się późno, po dziesiątej, i pustą windą pojechała na piąte piętro; na korytarzu przygaszono już światła. Minęła stanowisko pielęgniarek, gdzie cicho rozmawiały dwie siostry. Słyszała pogodny, wesoły rytm wymiany plotkarskich niuansów, odgłosy swobodnej poufałości. Potem, dokładnie w chwili gdy jedna z nich nie była w stanie stłumić wysokiego śmiechu, mama otworzyła drzwi sali i weszła do taty.

Sami.

Zupełnie jakby po zamknięciu drzwi weszła w ciszę próżni. Wiedziałam, że nie ma tam dla mnie miejsca i że ja też powinnam odejść, ale tkwiłam przy nich.

Widząc go śpiącego w ciemności, rozpraszanej jedynie słabą świetlówką za łóżkiem, przypomniała sobie, jak stała w tym samym szpitalu i postanowiła opuścić męża.

Gdy zobaczyłam, że bierze tatę za rękę, pomyślałam o siostrze i naszych wspólnych zabawach pod frotą w holu na górze. Ja byłam martwym rycerzem, który poszedł do nieba ze swoim wiernym psem, a Lindsey moją energiczną żonę. „Jak można ode mnie oczekiwać, żebym przez resztę życia była uwięziona przez człowieka, który zastygł w czasie?”. Ulubiona kwestia Lindsey.

Mama przez dłuższy czas trzymała tatę za rękę. Pomyślała, jak cudownie byłoby wspiąć się na świeże szpitalne prześcieradła i położyć. I jak bardzo to niemożliwe.

Nachyliła się. Mimo woni środków dezynfekujących i spirytusu zdołała wyczuć trawiasty zapach jego skóry. Wyjeżdżając, zapakowała swoją ulubioną koszulę taty i czasami owijała się nią tylko po to, żeby mieć na sobie coś, co do niego należało. Nigdy nie nosiła jej na dworze, więc zachowała zapach dłużej, niż można się było spodziewać. Przypomniała sobie, że pewnej nocy, kiedy najbardziej za tatą tęskniła, nałożyła jego koszulę na poduszkę i tuliła do siebie, jakby wciąż była licealistką.

Zza okna dobiegał szum odległego ruchu na autostradzie, ale w szpitalu, który na noc zamykano, tylko gumowe podeszwy butów pielęgniarek przechodzących korytarzem wydawały jakiś dźwięk.

Zimą tego roku w rozmowie z młodą kobietą, która w soboty pracowała z nią w barze degustacyjnym, mama złapała się na stwierdzeniu, że jeśli chodzi o związek mężczyzny i kobiety, zawsze jedna osoba jest silniejsza niż druga. „Co nie znaczy, że ta słabsza nie kocha silniejszej”, zaznaczyła. Dziewczyna spojrzała na nią bez wyrazu. Ale mama uświadomiła sobie, że kiedy to powiedziała, nagle rozpoznała siebie jako stronę słabszą. To odkrycie przypравиło ją o zawrót głowy. Jak mogła przez te wszystkie lata myśleć, że było odwrotnie.

Przysunęła krzesło jak najbliżej głowy taty i położyła twarz na brzegu poduszki. Chciała obserwować oddech taty i patrzeć na ruchy jego oczu pod powiekami, gdy śnił. Jak to możliwe, tak bardzo kogoś kochać i nie wiedzieć o tym, budząc się codziennie tak daleko od domu? Odgrodziła się od niego przydrożnymi reklamami i autostradami, ustawiła za sobą blokadę, zerwała wsteczne lustro i myślała, że dzięki temu on zniknie? Że wymaże ich życie i dzieci?

Kiedy go obserwowała, gdy uspokajał ją jego regularny oddech, to było tak naturalne, że z początku nawet nie zauważyła, co się dzieje. Zaczęła myśleć o pokojach w naszym domu i o tym, że bardzo się starała zapomnieć o spędzonych w nich godzinach. Podobnie jak to bywa z owocami włożonymi do słoików i zapomnianymi, słodycz wydawała się teraz, po powrocie, jeszcze bardziej skondensowana. Tam, na półce, pozostały wszystkie randki i głupstwa z czasów ich wczesnej miłości, splot, który zaczął się tworzyć z ich marzeń, mocne korzenie kiełkującej rodziny. Pierwszy solidny dowód tego wszystkiego. Ja.

Wyśledziła na twarzy taty nową zmarszczkę. Podobało jej się srebro na jego skroniach.

Krótko po północy zasnęła, ze wszystkich sił starając się utrzymać otwarte oczy. Utrzymać w garści wszystko naraz, patrząc na jego twarz, żeby pożegnać się, kiedy on się obudzi.

Gdy zamknęła oczy i oboje cicho zasnęli, wyszeptałam do nich:

Śnieg i mróz;

Kamień i kość;

nasiona, fasolki, kijanki - dość.

Ścieżki, gałązki, buziaczków worek, serce Susie z tęsknoty jest chore...

Okolo drugiej nad ranem zaczęło padać i padało na szpital, na mój stary dom i w moim niebie. Padało też na szopę z blaszanym dachem, gdzie spał pan Harvey. Gdy deszcz zaczął stukać swoimi młoteczkami nad jego głową, przyśnił mu się sen. Nie śnił o dziewczynie, której szczątki zostały stąd zabrane i były teraz poddawane badaniom, ale o Lindsey Salmon, o pięć! pięć! pięć!, gdy dopada szpaleru czarnego bzu. Miał ten sen, ilekroć czuł się zagrożony. To w błysku piłkarskiej koszulki mojej siostry jego życie zaczęło wirować w niekontrolowany sposób.

Było przed czwartą, gdy zobaczyłam, że tata otwiera oczy i czuje na policzku ciepło oddechu mamy, a dopiero potem orientuje się, że zasnęła. Oboje żalowaliśmy, że nie może jej objąć, ale był za słaby. Istniał inny sposób i on z niego skorzystał. Zamierzał opowiedzieć jej o tym, co czuł po mojej śmierci - o rzeczach, które tak często przychodziły mu do głowy i o których nie wiedział nikt poza mną.

Jednak nie chciał jej obudzić. W szpitalu panowała cisza, nie licząc dźwięku deszczu. Deszcz podążał jego śladem, stwierdził, także ciemność i wilgoć; pomyślał o Lindsey i Samuelu w drzwiach, przemokniętych i uśmiechniętych - przebiegli całą tę drogę, żeby go uspokoić. Często łapał się na tym, że wciąż na nowo nakazuje sobie skupić uwagę. Lindsey. Lindsey. Buckley. Buckley. Buckley.

Widok deszczu za oknem, podświetlonego miejscami przez lampy szpitalnego parkingu, przypomniał mu filmy, które chodził oglądać jako chłopiec - hollywoodzki deszcz. Zamknął oczy, czując na policzku uspokajający oddech mojej mamy, i przysłuchiwał się lekkiemu stukotowi w wąski metalowy parapet okienny, a potem usłyszał głosy ptaków - ćwierkanie ptaszków, ale nie mógł ich dostrzec. I ta myśl o znajdującym się być może tuż za oknem gnieździe, gdzie pisklęta obudziły się w deszczu i zauważyły nieobecność matki, sprawiła, że zapragnął je uratować. Czuł bezwładne palce mamy, które przez sen połuźniły uścisk na jego dłoni. Była tu, i tym razem, bez względu na wszystko, zamierzał pozwolić jej być tym, kim była.

To właśnie wtedy wślizgnęłam się do pokoju, do mamy i taty. Teraz byłam w jakiś sposób obecna jako osoba, inaczej niż do tej pory. Dotąd zawsze krążyłam w pobliżu, ale nigdy nie stanęłam obok swoich rodziców.

Skuliłam się w ciemnościach, nie wiedząc, czy można mnie zobaczyć. Obserwowałam

tatę. Codziennie przez osiem lat zostawiałam go na całe godziny, podobnie jak porzucałam moją mamę, Ruth i Raya, mojego brata i siostrę, a już na pewno pana Harveya, ale tata, teraz to zrozumiałam, nigdy mnie nie opuścił. Jego oddanie wciąż na nowo upewniało mnie, że byłam kochana. W ciepłym blasku miłości taty pozostałam Susie Salmon - dziewczynką, która ma przed sobą całe życie.

- Pomyślałem, że jeżeli będę bardzo cicho, to cię usłyszę - wyszeptał. - Że jeżeli będę leżał bez ruchu, może wrócisz.

- Jack? - odezwała się mama, budząc się. - Musiałam zasnąć.

- Cudownie jest mieć cię z powrotem - odparł.

A mama spojrzała na niego. Wszystko inne straciło znaczenie.

- Jak ty to robisz? - zapytała.

- Nie ma wyboru, Abbie. Co innego mi pozostaje?

- Odejść, zacząć od nowa - powiedziała.

- Czy to zadziałało?

Milczeli. Wyciągnęłam rękę i rozplynęłam się.

- Czemu się nie położysz tu na gorze? - odezwał się tata. - Mamy jeszcze trochę czasu, zanim egzekutorzy zjawią się na posterunku i cię wykopią.

Nie poruszyła się.

- Były dla mnie miłe - powiedziała. - Kiedy spałeś, siostra Eliot pomogła mi włożyć kwiaty do wody.

Rozejrzał się dookoła i dostrzegł ich kształty. Żonkile.

- Kwiaty Susie.

Mój tata pięknie się uśmiechnął.

- Widzisz - powiedział - właśnie tak. Sprzeciwiasz się temu, dając jej kwiaty.

- To takie smutne - odrzekła mama.

- Tak - potwierdził.

Mama musiała nieco ryzykownie balansować na jednym biodrze przy brzegu szpitalnego łóżka, ale się zmieścili. Zdołali wyciągnąć się obok siebie w taki sposób, żeby patrzeć sobie w oczy.

- Jak to było zobaczyć Buckleya i Lindsey?

- Niewiarygodnie ciężko - odparła.

Przez chwilę milczeli, a potem tata ścisnął ją za rękę.

- Wyglądasz tak inaczej.

- Chcesz powiedzieć „starzej”.

Przyglądałam się, gdy sięgnął po kosmyk włosów mamy i założył go jej za ucho.

- Kiedy cię nie było, znów się w tobie zakochałem - wyszeptał.

Zdałam sobie sprawę, jak bardzo żałowałam, że nie mogę być tam, gdzie była teraz moja mama. Jego miłość do mamy nie polegała na oglądaniu się wstecz, co nigdy się nie zmieni.

Chodziło o to, że kochał ją za wszystko - za jej rozpacz i ucieczkę, za to, że była tu właśnie w tej chwili, zanim wzeszło słońce i zjawił się personel szpitala. Chodziło o dotykanie jej włosów opuszką palca i ciągle sondowanie głębi oceanów jej oczu.

Mama nie mogła się zmusić, żeby powiedzieć „Kocham cię.

- Zostaniesz? - zapytał.

- Na jakiś czas.

To już było coś.

- Dobrze - odparł. - No więc co mówiłaś, kiedy w Kalifornii ludzie pytali cię o rodzinę?

- Głośno, że mam dwoje dzieci. Po cichu, że troje. Zawsze miałam ochotę ją za to przeprosić.

- Wspominałaś o mężu? - zapytał.

Mama popatrzyła mu w oczy.

- Nie.

- O rany!

- Nie wróciłam, żeby udawać, Jack.

- A czemu wróciłaś?

- Moja matka zadzwoniła. Powiedziała, że miałeś zawał, i pomyślałam o twoim ojcu.

- Bo mogłem umrzeć?

- Tak.

- Spałaś - stwierdził. - Nie widziałaś jej.

- Kogo?

- Ktoś wszedł do pokoju, a potem wyszedł. Myślę, że to była Susie.

- Jack? - zapytała mama, zaalarmowana, ale tylko połowicznie.

- Nie mów mi, że jej nie widzisz.

Poddała się.

- Widzę ją wszędzie - powiedziała, oddychając z ulgą. - Nawet w Kalifornii... była wszędzie. Wsiadała do autobusów albo stała na ulicach przed szkołami, koło których przejeżdżałam. Widywałam jej włosy, ale przy innej twarzy, albo jej figurę czy sposób, w jaki się poruszała. Widywałam starsze siostry i ich młodszych braci albo dwie dziewczynki wyglądające na siostry i wyobrażałam sobie to, czego Lindsey w swoim życiu nie doświadczy... całą tę relację straconą dla niej i Buckleya... a potem uświadamiałam sobie, że to dotyczy także mnie, bo odeszłam. To pociągnęło za sobą także ciebie i nawet moją matkę.

- Jest wspaniała - stwierdził tata - prawdziwa skała. Nasiąkliwa jak gąbka, ale skała.

- Wyobrażam sobie.

- Więc co byś powiedziała, gdybym oznajmił, że Susie była w tym pokoju dziesięć minut temu?

- Że oszalałeś i prawdopodobnie masz rację.

Tata wyciągnął rękę, przejechał wzdłuż linii nosa mamy i zatrzymał palec nad jej

wargami. Gdy to zrobił, usta bardzo delikatnie się rozchyliły.

- Musisz się nachylić - powiedział - wciąż jestem chorym człowiekiem.

Przyglądałam się, jak moi rodzice się całują. Mieli otwarte oczy i to moja mama pierwsza się rozplakała, a łzy kapały na policzki taty, aż sam zapłakał.

21.

Zostawiłam rodziców w szpitalu, porzuciłam ich dla Raya Singha. Kiedyś oboje mieliśmy po czternaście lat, on i ja. Teraz widziałam jego głowę na poduszce, ciemne włosy na żółtych prześcieradłach, ciemną skórę na żółtych prześcieradłach. Zawsze byłam w nim zakochana. Policzyłam wszystkie rzęsy w każdym z jego zamkniętych oczu. Był moim prawie, moim co-mogło-być, nie chciałam go zostawić, tak samo jak nie chciałam zostawić swojej rodziny.

Na rusztowaniu za sceną - wtedy, gdy patrzyliśmy z góry na Ruth - Ray Singh znalazł się tak blisko, że czułam jego oddech. Czułam zapach mieszanki goździków i cynamonu, którą, jak sobie wyobrażałam, posypywał co rano płatki, oraz ten ciemny, ludzki zapach zbliżającego się do mnie ciała, w którym głęboko w środku znajdowały się organy zawieszane w chemii innej niż moja.

Od chwili gdy się zorientowałam, że to nastąpi, do czasu gdy się stało, pilnowałam, żeby nie zostać z Rayem Singhem sam na sam ani w szkole, ani poza szkołą. Obawiałam się tego, czego najbardziej pragnęłam - jego pocałunku. Że nie będzie wystarczająco dobry, żeby sprostać historiom, które wszyscy sobie opowiadali albo tym, które przeczytałam w „Siedemnastolatce”, „Glamour” i „Vogue”. Bałam się, że ja nie będę wystarczająco dobra - że mój pierwszy pocałunek skończy się odtrąceniem, a nie miłością. W każdym razie zbierałam opowieści o pocałunkach.

- Pierwszy pocałunek to znak, że do drzwi puka przeznaczenie - powiedziała pewnego dnia przez telefon Babcia Lynn. Trzymałam słuchawkę, gdy tata poszedł po mamę. Usłyszałam go w kuchni mówiącego „zalana w pestkę”.

- Gdybym musiała to zrobić jeszcze raz, użyłabym czegoś niesamowitego, na przykład szminki Ogień i Lód, ale Revlon jej wtedy nie robił. Zostawiłabym na mężczyźnie swój ślad.

- Mamo? - moja mama włączyła się do rozmowy, korzystając z aparatu w sypialni.

- Rozmawiamy o kwestii pocałunków, Abigail.

- Ile wypijaś?

- Widzisz, Susie - powiedziała Babcia Lynn - jeżeli będziesz całować jak cytryna, wyjdzie z tego cytrynada.

- Ale jak to było?

- A, pocałunkowe pytanie - stwierdziła mama. - Zostawiam was z tym.

Zmuszałam ją i tatę, żeby opowiadali o tym w kółko, chciałam znać ich różne wersje. Został mi z tego obraz rodziców za chmurą papierosowego dymu - warg, które ledwie się dotykały we wnętrzu chmury.

Chwilę później Babcia Lynn wyszeptała:

- Susie, jesteś tam jeszcze?

- Tak, babciu.

Przez moment milczała.

- Kiedy byłam w twoim wieku, pierwszy raz się całowałam. Z dorosłym mężczyzną, ojcem przyjaciółki.

- Babciu! - powiedziałam, szczerze zaszokowana.

- Nie naskarżysz na mnie, prawda?

- Nie.

- Był cudowny. Umiał całować. Chłopców, którzy mnie potem całowali, nie mogłam nawet znieść. Kładłam im ręce płasko na piersi i odpychałam. Pan McGahern umiał zrobić użytek z ust.

- I co się stało?

- Ekstaza - odparła. - Wiedziałam, że to nie w porządku, lecz było cudownie... przynajmniej mnie. Nigdy go nie zapytałam, co czuł, ale też nigdy potem nie widziałam się z nim sama.

- Ale czy chciałaś zrobić to jeszcze raz?

- Tak, zawsze szukałam tego pierwszego pocałunku.

- A co z dziadkiem?

- Niespecjalnie całował - powiedziała Babcia Lynn. Słyszałam brzęk kostek lodu po drugiej stronie słuchawki. - Nigdy nie zapomniałam pana McGaherna, chociaż nasz pocałunek trwał tylko chwilę. Czy jest chłopiec, który chce cię pocałować?

Żadne z moich rodziców mnie o to nie spytało. Teraz wiem, że o tym wiedzieli, wyczuli to, domyślili się, gdy z uśmiechem porównali zeznania.

Gwałtownie przełknęłam ślinę.

- Tak.

- Jak się nazywa?

- Ray Singh.

- Lubisz go?

- Tak.

- Więc co cię powstrzymuje?

- Boję się, że nie będę w tym dobra.

- Susie?

- Tak?

- Po prostu baw się dobrze, dziecko.

Kiedy tamtego popołudnia stałam przy swojej szafce i usłyszałam głos Raya wymawiającego moje imię - tym razem za mną, nie nade mną - wcale nie wydawało mi się to zabawne. Nie było też smutne. Proste czarno-białe określenia, które znałam do tej pory, tu nie znajdowały zastosowania. Czulałam się - gdybym miała wybrać jakieś słowo - poruszona. Nie w znaczeniu czasownikowym, ale przymiotnikowym. Szczęśliwa + przestraszona = poruszona.

- Ray - powiedziałam, ale zanim jego imię zdążyło opuścić moje usta, pochylił się nade

mną i schwytał moje otwarte wargi w swoje. Mimo że czekałam na to tygodniami, było to tak niespodziewane, że chciałam więcej. Tak strasznie chciałam pocałować Raya Singha jeszcze raz.

Następnego ranka pan Connors wyciął z gazety artykuł i odłożył go dla Ruth. Był to szczegółowy rysunek zapadliska Flanaganów i tego, jak zostanie zasypane. Gdy Ruth się ubrała, napisał do niej kartkę. „Gównie warto gadanie”, głosiła. „Któregoś dnia samochód jakiegoś biednego naiwniaka znów w to wpadnie”.

- Tata mówi, że to dla niego podzwonne - powiedziała Ruth do Raya, machając wycinkiem, gdy wsiadała do jego jasnoniebieskiego chwoleta przy końcu własnego podjazdu. - Nasz dom zostanie wchłonięty przy podziale ziemi. Tylko popatrz. W tym artykule pokazują cztery bloki, takie jak sześciany, które się rysuje na pierwszych lekcjach rysunku, i to ma pokazywać, w jaki sposób zamierzają załatać zapadlisko.

- Ciebie też miło widzieć, Ruth - powiedział Ray, zwracając na podjeździe i znacząco patrząc na jej niezapięty pas.

- Przepraszam - odparła Ruth. - Cześć.

- I co pisać w tym artykule? - zapytał Ray.

- Ładny mamy dziś dzień, piękna pogoda.

- Okej, okej. Opowiedz mi o artykule.

Za każdym razem, gdy widział Ruth po upływie kilku miesięcy, przypominał sobie jej niecierpliwość i ciekawość - dwie cechy, które pozwoliły im zawrzeć przyjaźń i ją zachować.

- Trzy rysunki to właściwie jedno i to samo, tylko z różnymi strzałkami, wskazującymi na różne miejsca, i podpisy: „górną warstwę ziemi”, „kruszony wapień” i „skała rozpuszczalna”. Ostatni ma wielki nagłówek „Łatanie”, a pod spodem „Beton wypełnia gardziel, a zaczyn cementowy szczeliny”.

- Gardziel?

- Tak - powiedziała Ruth. - A potem jest ta kolejna strzałka na następnej stronie, jakby chodziło o tak potężny projekt, że potrzebna jest chwila wytchnienia, żeby czytelnik mógł ogarnąć koncepcję, i ta ma podpis „Potem dziura zostanie wypełniona ziemią”.

Ray zaczął się śmiać.

- To przypomina zabieg medyczny - dodała Ruth. - Należy wykonać skomplikowaną operację, żeby załatać planetę.

- Zdaje mi się, że dziury w ziemi odwołują się do dość pierwotnych lęków.

- Tak sędzę - przyznała Ruth. - Mają gardziele, na litość boską! Hej, chodźmy to obejrzeć.

Milę lub dalej pojawiły się ślady nowej budowy. Ray skręcił w lewo i wjechał w obszar świeżo wybrukowanych dróg, gdzie drzewa zostały przerzedzone, a niewielkie, czerwone i żółte chorągiewki powiewały w nieregularnych odstępach u szczytu sięgających do pasa drucianych tyczek.

Gdy nabrali uspokajającego przekonania, że badając drogi wytyczone na tym jeszcze

niezamieszkanym terytorium są sami, zobaczyli idącego przed nimi Joego Ellisa.

Ruth nie pomachała do niego, podobnie Ray, a Joe udał, że ich nie widzi.

- Moja mama mówi, że wciąż mieszka z rodzicami i nie może znaleźć pracy.

- Co robi całymi dniami? - zapytał Ray.

- Straszy upiorną miną.

- Nigdy się z tego nie wykaraskał - powiedział Ray, a Ruth wpatrywała się w kolejne rzędy pustych działek. W końcu Ray znów dotarł do połączenia z główną drogą i ponownie przejechali nad torami kolejowymi, posuwając się w kierunku szosy numer trzydzieści, która miała ich zaprowadzić do zapadliska.

Ruth wystawiła ramię za okno, żeby poczuć wilgoć powietrza po porannym deszczu. Chociaż Ray został oskarżony o udział w moim zniknięciu, rozumiał dlaczego, wiedział, że policja wykonywała swoją pracę. Ale Joe Ellis, oskarżony o zabicie kotów i psów, które zabił pan Harvey, nigdy nie doszedł do siebie. Włóczył się po okolicy, zachowując bezpieczną odległość od sąsiadów i tak bardzo pragnąc znaleźć pociechę w miłości zwierząt. Dla mnie najsmutniejsze było to, że koty i psy wyczuwały jego załamanie - ludzki defekt - i trzymały się od niego z daleka.

Przy drodze numer trzydzieści, w pobliżu Eels Rod Pike, w miejscu, które Ray i Ruth mieli za chwilę minąć, zobaczyłam Lena; wychodził właśnie z mieszkania nad zakładem fryzjerskim Joego. Zaniósł do swojego samochodu lekko wypchany studencki plecak. Był to prezent od właścicielki mieszkania - młodej kobiety, która studiowała kryminologię w college'u West Chester. Poznali się na posterunku i któregoś dnia zaprosiła Lena na kawę. W plecaku było sporo rzeczy - niektóre z nich Fenerman zamierzał pokazać mojemu tacie, ale innych nie powinni oglądać rodzice żadnego dziecka. Do tych ostatnich należały zdjęcia miejsc pochówku odnalezionych ciał - w każdym przypadku z dwoma łokciami.

Kiedy zadzwonił do szpitala, pielęgniarka powiedziała mu, że pan Salmon jest z żoną i rodziną. Teraz, gdy wjechał samochodem na szpitalny parking i przez chwilę siedział w gorącym słońcu wpadającym przez przednią szybę, piekąc się w upale, jego poczucie winy zgęstniało.

Widziałam, że Len zastanawia się nad tym, jak przekazać to, co miał do powiedzenia. Nie opuszczało go pewne przekonanie - mimo coraz rzadszych od końca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku kontaktów moi rodzice będą mieli wciąż nadzieję na odnalezienie ciała albo wiadomość, że pan Harvey został odnaleziony. A on zamierzał dać im wisiorek.

Chwycił plecak i zamknął samochód. Minął dziewczynę z nowym zapasem żonkili w wiadrach. Znał numer pokoju taty, więc nie zawracał sobie głowy meldowaniem się na stanowisku pielęgniarek na piątym piętrze i tylko lekko zapukał w otwarte drzwi sali, zanim wszedł.

Moja mama stała do niego plecami. Kiedy się odwróciła, zobaczyłam, jakie wrażenie robi

na nim jej obecność. Trzymała mojego tatę za rękę. Nagle poczułam się straszliwie samotna.

Mama zawahała się nieco, napotykając spojrzenie Lena, a potem zrobiła to, co wydawało się najłatwiejsze.

- Czy zdarza się, że miło cię widzieć? - spróbowała zażartować.

- Len - zdołał powiedzieć tata. - Abbie, możesz mnie unieść?

- Jak się pan czuje, panie Salmon? - zapytał Len, gdy mama nacisnęła na łóżku guzik ze strzałką wskazującą w górę.

- Proszę, mów mi Jack - zachęcił tata.

- Nie, proszę, nie róbcie sobie nadziei - powiedział Len. - Nie złapaliśmy go.

Tata wyraźnie oklapł.

Mama poprawiła piankowe poduszki za plecami i pod szyją taty.

- W takim razie, po co przyszedłeś? - zapytała.

- Znaleźliśmy przedmiot należący do Susie - odparł Len.

Użył niemal tych samych słów, gdy przyszedł do domu z czapką z dzwonekami. Zabrzmiało to w jej głowie dalekim echem.

Poprzedniej nocy, gdy najpierw mama patrzyła na śpiącego tatę, a potem tata obudził się i zobaczył jej głowę obok swojej na poduszce, oboje starali się odsunąć wspomnienie tej pierwszej nocy śniegu, gradu i deszczu, tego jak kurczowo się siebie trzymali i żadne z nich nie mówiło głośno o ich największej nadziei. Ostatniej nocy to mój tata w końcu oznajmił: „Ona nigdy nie wróci do domu”. Czysty i jasny ułamek prawdy, którą wszyscy musieli zaakceptować. On musiał to powiedzieć, a ona musiała usłyszeć, że on to mówi.

- Mam wisiołek z jej bransoletki - wyjaśnił Len. - Symbol Pensylwanii z jej inicjałami.

- To ja go kupiłem - stwierdził tata. - Na stacji przy Trzydziestej Ulicy, gdy któregoś dnia pojechałem do miasta. Mieli stragan i człowiek w ochronnych okularach wygrawerował inicjały za darmo. Lindsey też taki przywiozłem. Pamiętasz, Abigail?

- Pamiętam - powiedziała mama.

- Znaleźliśmy go w pobliżu grobu w Connecticut.

Moi rodzice nagle znieruchomieli - jak zwierzęta uwięzione w lodzie, zastygłe z otwartymi oczyma, gotowe błagać każdego, kto nad nimi przechodził, żeby je uwolnił.

- To nie była Susie - dodał Len, pospiesznie wypełniając milczenie. - Ale to oznacza, że Harvey jest powiązany z innymi morderstwami w Delaware i Connecticut. Wisiołek Susie znaleźliśmy przy miejscu pochówku w okolicy Hartfordu.

Tata i mama patrzyli, jak Len niezgrabnie starał się otworzyć lekko zacięty zamek swojego plecaka. Mama odgarnęła tacie włosy do tyłu i próbowała uchwycić jego spojrzenie. Lecz tata skupił się na szansie wskazanej przez Lena - ponownym otwarciu sprawy mojego morderstwa. A mama, która dopiero co zaczęła mieć wrażenie, że stąpa po pewniejszym gruncie, musiała ukryć fakt, iż absolutnie nie chciała, aby to wszystko zaczęło się od nowa. Zamilkła, gdy Len wymienił nazwisko George'a Harveya. Nigdy nie wiedziała, co o nim

sądzić. Dla mamy uzależnienie własnej egzystencji od jego schwytania i ukarania oznaczało raczej wybór życia z wrogiem, niż doświadczanie życia w świecie bez mnie.

Len wyciągnął dużą, zapinaną na suwak torbę. W dolnym narożniku rodzice zauważyli błysk złota. Wręczył ją mamie, a ona trzymała ją przed sobą, w pewnej odległości od siebie.

- Nie potrzebujesz tego, Len? - zapytał tata.

- Przeprowadziliśmy wszystkie badania. Mamy dokumentację miejsca, gdzie go znaleziono, i zrobiliśmy wymagane zdjęcia. Może przyjąć taki moment, kiedy będę musiał poprosić o zwrot wisiora, ale na razie możecie go zatrzymać.

- Otwórz, Abbie - powiedział tata.

Przyglądałam się mamie przytrzymującej otwartą torbę, nachylającej się nad łóżkiem.

- To dla ciebie, Jack - odparła. - Ty jej to podarowałeś.

Gdy tata sięgnął do środka, jego dłoń drżała i trochę trwało, zanim opuszkami palców namacał drobne, ostre krawędzie wisiora. Sposób, w jaki wyciągnął go z torby, przypomniawszy mi grę Operacja, w którą bawiliśmy się z Lindsey, gdy byliśmy małe. Jeśli dotknie ścianek torby, uruchomi alarm i straci fant.

- Skąd możecie mieć pewność, że zabił te inne dziewczynki? - zapytała mama. Wpatrywała się w maleńki, połyskujący kawałek złota w dłoni taty.

- Nic nie jest pewne - odparł Len.

A w jej uszach ponownie rozległo się echo. Detektyw Fenerman miał niezmienny zestaw kwestii. Tę właśnie frazę zapożyczył od niego tata, żeby kocić swoją rodzinę. To była okrutna fraza, żerująca na nadziei.

- Chyba chciałabym, żebyś teraz wyszedł - powiedziała.

- Abigail? - pytająco odezwał się tata.

- Nie mogę już tego słuchać.

- Bardzo się cieszę, że mam ten wisior, Len - oznajmił tata.

Kierując się do wyjścia, Len uchylił przed tatą wyimaginowanej czapki. Zanim moja mama odeszła, uprawiał z nią szczególny rodzaj miłości. Seks jako akt zapomnienia. Akt tego samego rodzaju coraz częściej powtarzał w pokojach nad zakładem fryzjerskim.

Podążałam na południe w kierunku Ruth i Raya, ale zamiast nich zobaczyłam pana Harveya. Prowadził pomarańczowy samochód poskładany z tylu kawałków, złożony z tylu różnych części, że wyglądał jak potwór Frankenstein na kołach. Kiedy zrywał się wiatr, słychać było drżenie liny do bungee, przytrzymującej maskę.

Silnik uparcie odmawiał przekroczenia dozwolonej prędkości bez względu na to, jak mocno pan Harvey wciskał pedał gazu. Przespał się obok pustego grobu, śnił o „pięć! pięć! pięć!” i obudził się przed świtem, żeby wyruszyć w podróż do Pensylwanii.

Kontury postaci pana Harveya sprawiały wrażenie dziwnie zamazanych. Przez lata tłamsił wspomnienia o kobietach, które zabił, ale teraz, jedno po drugim, wracały.

Pierwszą dziewczynę skrzywdził przez przypadek. Dostał szalu i nie mógł się

powstrzymać, a przynajmniej w takiej formie wplótł to wydarzenie w tkanę swojej świadomości. Przestała przychodzić do liceum, do którego oboje byli zapisani, ale nie wydawało mu się to dziwne. Do tej pory przeprowadzał się tyle razy, że uznał, iż ta dziewczyna po prostu wyjechała. Żałował tego cichego, zduszonego gwałtu na szkolnej koleżance, ale nie uważał, żeby mogło to zostać w pamięci któregoś z nich. Zupełnie jakby coś spoza niego doprowadziło do zderzenia ich ciał pewnego popołudnia. Przez chwilę się w niego wpatrywała. Bezdennym spojrzeniem. Później włożyła podarte majtki, wypychając je za pasek spódnicy, żeby utrzymały się na miejscu. Nie rozmawiali i ona odeszła. Przeciął scyzorykiem dłoń wzdłuż grzbietu. Gdyby ojciec zapytał go o krew, miałby wiarygodne wyjaśnienie. „Popatrz - mógłby powiedzieć i wskazać na swoją rękę. - To był wypadek”.

Ale ojciec nie zapytał i nikt nie przyszedł go szukać. Żaden ojciec, brat ani policjant.

Wtedy zobaczyłam, kogo pan Harvey wyczuł obok siebie. Tę dziewczynę. Umarła kilka lat później, gdy jej brat zasnął z papierosem. Siedziała teraz na przednim siedzeniu. Zaczęłam się zastanawiać, ile potrwa, zanim mój morderca zacznie wspominać mnie.

Jedynym śladem zmian - od czasu gdy pan Harvey zawiózł mnie do Flanaganów - były pomarańczowe stalowe słupy ustawione wokół tego miejsca. No i powiększenie się zapadliska. Południowo-wschodni narożnik domu zjechał w dół, a ganek od frontu spokojnie zapadał się w ziemię.

Ray z ostrożności zaparkował po przeciwnej stronie Fiat Road, na kawałku ziemi pod wybujałymi zaroślami. Mimo to samochód od strony pasażera otarł się o brzeg chodnika.

- Co się stało z Flanaganami? - zapytał, gdy wysiedli.

- Mój ojciec powiedział, że korporacja, która kupiła teren, dała im jakąś rekompensatę i się wyprowadzili.

- Straszno tu, Ruth - stwierdził Ray.

Przecieli pustą drogę. Nad nimi, po jasnoniebieskim niebie płynęło kilka zwiewnych chmur. Z miejsca, w którym stali, mogli dostrzec tył warsztatu motocyklowego Hala, znajdującego się po przeciwnej stronie torów kolejowych.

- Ciekawa jestem, czy Hal Heckler wciąż jest tam właścicielem? - odezwała się Ruth. - Podkochiwałam się w nim, kiedy dorastaliśmy.

Potem odwróciła się w stronę parceli. Zachowywali się cicho. Ruth przemieszczała się po obwodzie coraz mniejszych okręgów, zmierzając w stronę jamy i jej niepewnych brzegów. Ray szedł po śladach Ruth. Z daleka jama wydawała się nieszkodliwa - jak spora błotnista kałuża, która właśnie zaczęła wysychać. Otaczały ją kępy chwastów i trawy, a dalej, jeśli przyjrzeć się uważnie, wyglądało, jakby ziemia się kończyła i zaczynało jasne, kakaowego koloru ciało. Miękkie i wypukłe, wciągające umieszczone w nim przedmioty.

- Skąd wiesz, że nas nie połknie? - zapytał Ray.

- Nie ważymy wystarczająco dużo - odparła Ruth.

- Stań, jeżeli poczujesz, że się zapadasz.

Gdy im się przyglądałam, przypomniałam sobie, że tego dnia, kiedy poszliśmy pogrzebać lodówkę, trzymałam za rękę Buckleya. Tata rozmawiał z panem Flanaganem, a Buckley i ja podeszliśmy do miejsca, gdzie zaczynał się spadek, i przysięgam, że czułam, jak ziemia delikatnie ugina się pod moimi stopami. Takie samo uczucie miało się podczas spaceru po cmentarzu przy naszym kościele, kiedy nagle człowiek zapadał się w tunele wykopane przez krety między nagrobkami.

W końcu to wspomnienie o kretach - i znane z książek wyobrażenie ich słodkich, ślepych postaci z wielkimi nochalami - pozwoliło mi łatwiej zaakceptować to, że zostałam zatopiona w środku ziemi w wielkim metalowym sejfie. W każdym razie byłam kretoodporna.

Ruth na palcach podeszła do miejsca, które uznała za brzeg zapadliska, a mnie przypominał się śmiech mojego taty tamtego dawno minionego dnia. W drodze do domu wymyśliłam historyjkę dla brata. Jak to pod zapadliskiem znajdowała się w ziemi cała wioska, o której nikt nie wiedział, i jej mieszkańcy witali zatapiane urządzenia jak podarunki z ziemskich niebios. „Kiedy dotrze do nich nasza lodówka - dodałam - będą nas wychwalać, ponieważ to rasa małych naprawiaczy, którzy uwielbiają składać wszystkie rzeczy do kupy”. Wtedy śmiech taty wypełnił samochód.

- Ruthie - odezwał się Ray - wystarczy.

Palce Ruth znajdowały się po miękkiej stronie, pięty stały na twardej i kiedy jej się przyglądałam, miałam wrażenie, że mogłaby unieść ramiona, zanurkować i znaleźć się tuż obok mnie. Ale Ray do niej podszedł.

- Najwyraźniej ziemskiej gardzieli się odbija - powiedział.

We trójkę przyglądaliśmy się wyłaniającemu się narożnikowi czegoś metalowego.

- Wspaniała zmywarka z sześćdziesiątego dziewiątego - stwierdził Ray.

To nie była jednak zmywarka ani sejf, lecz stara, przesuwająca się powoli, czerwona kuchenka gazowa.

- Zastanawiasz się czasem, gdzie trafiło ciało Susie Salmon? - zapytała Ruth.

Chciałam wyjść spod bujnych zarośli, które na wpół ukryły ich jasnoniebieski samochód, przejść przez drogę, podejść do jamy, od tyłu delikatnie poklepać japo ramieniu i powiedzieć: „To ja! Udało ci się! Bingo! Trafiony!”.

- Nie - odpowiedział Ray. - Zostawiam to tobie.

- Teraz wszystko tu się zmienia. Za każdym razem, kiedy wracam, znika coś, co sprawiało, że to miejsce było inne niż wszystkie pozostałe w tym kraju - orzekła.

- Chcesz wejść do tego domu? - zapytał Ray, ale myślał o mnie. Jak się zakochał, kiedy miał trzynaście lat. Gdy wracaliśmy oboje ze szkoły, szedł za mną, patrząc na zbiór prostych rzeczy: niezgrabną spódnicę w kratkę, bosmankę usianą sierścią Holidaya, moje mysiobrazowe włosy, które odbijały popołudniowe słońce, tak że światło płynnie przesunęło się z miejsca na miejsce. A potem, kilka dni później, kiedy wstał na naukach społecznych i omyłkowo przeczytał coś z wypracowania o „Jane Eyre” zamiast o wojnie tysiąc osiemset

dwunastego roku, spoglądałam na niego w sposób, który uznał za miły.

Ray poszedł w stronę domu, który niedługo miał być rozebrany i pewnej nocy został już przez pana Connorsa ogołocony z wszelkich wartościowych klamek i kurków, a Ruth została przy zapadlisku. Właśnie wtedy to się stało. Wyraźnie jak na dłoni zobaczyła, że stoję obok niej, patrząc na miejsce, gdzie zostałam przez pana Harveya wyrzucona na śmietnik.

- Susie - odezwała się Ruth, czując moją obecność jeszcze wyraźniej teraz, gdy wypowiedziała moje imię.

Lecz ja się nie odezwałam.

- Napisałam dla ciebie wiersze - powiedziała Ruth, próbując mnie skłonić, żebym z nią została. To, czego pragnęła przez całe swoje życie, w końcu się działo. - Niczego nie chcesz, Susie?

Wówczas zniknęłam.

Ruth stała tam, wytrącona z równowagi, czekając na Raya w szarym świetle słońca Pensylwanii. A jej pytanie dźwięczało mi w uszach: „Niczego nie chcesz?”

Po drugiej stronie torów stał opustoszały warsztat Hala. Hal zrobił sobie dzień wolnego i zabrał Samuela oraz Buckleya na pokaz motocykli w Radnor. Widziałam, jak ręce Buckleya przesuwają się po wygiętym błotniku czerwonej motorynki. Hal i Samuel uważnie przyglądali się mojemu bratu - niedługo miał mieć urodziny. Hal chciał mu dać stary saksofon altowy Samuela, ale Babcia Lynn zainterweniowała. „On musi w coś przywalić, kochanie - powiedziała. - Oszczędź sobie tych subtelności”. Więc Hal i Samuel zrobili zrzutkę i kupili Buckleyowi używany zestaw bębnow.

Babcia pojechała do centrum handlowego. Próbowała znaleźć jakieś proste, ale eleganckie ubrania, do noszenia których mogłaby przekonać moją mamę. Z prawdziwym zapałem wyciągnęła sukienkę w kolorze niemal granatowym. Zauważyłam, że kobieta stojąca obok zatrzymała na niej wzrok i zzieleniała z zazdrości.

W szpitalu mama głośno czytała tacie „Biuletyn Wieczorny” z poprzedniego dnia, a on patrzył na jej poruszające się usta i właściwie nie słuchał. Miał ochotę ją pocałować.

I Lindsey.

Widziałam, jak pan Harvey w biały dzień wjechał do naszej dzielnicy. Nie obchodziło go już, że ktoś mógłby go rozpoznać, nawet teraz polegał na swojej standardowej niewidzialności - tutaj, w okolicy, gdzie tak wiele osób twierdziło, że nigdy go nie zapomni, gdzie zawsze uważano go za dziwaka i tak łatwo zaczęto podejrzewać, że nieżyjąca żona, o której mówił, posługując się różnymi imionami, była jedną z jego ofiar.

Lindsey była sama w domu.

Pan Harvey przejechał obok domu Nate'a, położonego w najbezpieczniejszej części osiedla. Matka Nate'a zbierała przekwitłe kwiaty ze swojego frontowego klombu o nerkowatym kształcie. Podniosła wzrok i zobaczyła nieznany samochód, poskładany z części. Doszła do wniosku, że do któregoś ze starszych dzieci, spędzających lato w domu, przyjechał

przyjaciel z college'u. Holiday zaskomlął mi przy nogach takim samym żalonym cichym jękiem, jaki wydawał z siebie, gdy odwoziliśmy go do weterynarza.

Ruana Singh stała tyłem do pana Harveya. Zobaczyłam ją przez okno jadalni, gdy starannie, w porządku alfabetycznym, układała na półkach stopy nowych książek. Na podwórczach dzieci siedziały na huśtawkach, skakały i goniły się z pistoletami na wodę. Okolica pełna potencjalnych ofiar.

Pan Harvey pokonał zakręt przy końcu naszej drogi i minął mały park miejski, za którym mieszkali Gilbertowie. Pan Gilbert - obecnie zniedołężniały - i jego żona byli w domu. Następnie podjechał pod swój stary dom, już nie zielony, chociaż dla mojej rodziny i dla mnie na zawsze został „zielonym domem”. Nowi właściciele pomalowali go na lawendowy fiolet i zainstalowali basen, a z boku, niedaleko piwnicznego okna, postawili altanę z sekwoj owego drewna - zdążyła już obrosnąć bluszczem i dzieci trzymały w niej zabawki. Powiększyli też frontowy chodnik, zastępując klomby kwiatowe płytami, a ganek osłonili mrozoodpornym szkłem, za którym zauważył coś w rodzaju biura. Słyszał odgłosy śmiechów dziewczynek bawiących się za domem. Frontowymi drzwiami wyszła kobieta w przeciwsłonecznym kapeluszu, z sekatorem w ręku. Przyjrzała się mężczyźnie siedzącemu w pomarańczowym samochodzie i poczuła w sobie coś jakby kopnięcie - mdlący skok pustej macicy. Odwróciła się gwałtownie i weszła do środka, zerkając na pana Harveya przez okno. Czekala.

Odjechał kilka domów dalej.

I tam była ona, moja najdroższa siostra. Widział ją w oknie na piętrze. Obcięła włosy i wyszczuplała przez minione lata, ale to była ona - siedziała przy desce kreślarskiej, której używała jako biurka, i czytała książkę psychologiczną.

Właśnie wtedy zauważyłam, że się zbliżają.

Gdy badał okna mojego domu i zastanawiał się, gdzie są pozostali członkowie rodziny - czy ojciec wciąż utyka z powodu nogi - zobaczyłam, że to, co jeszcze zostało ze zwierząt i kobiet, opuszcza dom pana Harveya. Wszystko ławą ciągnęło naprzód. Obserwował moją siostrę i myślał o prześcieradłach, które zawiesił na palikach ceremonialnego namiotu. Tamtego dnia wpatrywał się prosto w oczy mojego taty, gdy ten wypowiedział moje imię. A pies - czekał wtedy w domu - do tej pory pies na pewno już zdechł.

Lindsey się poruszyła; obserwowałam pana Harveya, który obserwował ją. Wstała i podeszła do sięgających od podłogi do sufitu półek z książkami. Wyjęła jedną. Gdy wróciła do biurka, a on utkwiał wzrok w jej twarzy, jego wsteczne lustro nagle wypełnił czarno-biały kształt, powoli nadjeżdżający ulicą.

Wiedział, że nie da rady im uciec. Siedział w samochodzie i przygotował na ich użytek resztki maski prezentowanej władzom przez lata - twarzy dobrotliwego człowieka, którego mogli żalować albo nim pogardzać, ale nigdy obwinić. Gdy funkcjonariusz podjechał, kobiety wślizgnęły się przez okna, a zwinięte w kłębki koty ułożyły tuż przy jego nogach.

- Zgubił się pan? - zapytał młody policjant, gdy znalazł się obok pomarańczowego wozu.

- Kiedyś tu mieszkałem - oznajmił pan Harvey.

Oślupiałam. Wybrał wyznanie prawdy.

- Mieliśmy zgłoszenie, podejrzany pojazd.

- Widzę, że coś budują na dawnym polu kukurydzy - powiedział pan Harvey. A ja wiedziałam, że część mnie mogłaby teraz przyłączyć się do innych, kawałek spadający w dół, wszystkie brutalnie przez niego zagarnięte części ciała, padające jak deszcz we wnętrzu samochodu.

- Rozbudowują szkołę.

- Zdaje mi się, że okolica wygląda bardziej dostatnio - stwierdził z zadumą.

- Być może powinien pan ruszać - powiedział funkcjonariusz. Pan Harvey w składaku wprawiał go w zakłopotanie, ale zauważyłam, że zapisał numer rejestracyjny.

- Nie chciałem nikogo przestraszyć.

Pan Harvey działał jak zawodowiec, ale nic mnie to nie obchodziło. Im bardziej się oddalał, tym mocniej skupiałam się na Lindsey pogrążonej w czytaniu podręczników, na faktach wskakujących ze stron książek prosto do jej głowy, na tym, jaka była bystra i uporządkowana. W Tempie postanowiła, że zostanie terapeutką. Pomyślałam też o tym, że szczęśliwy zbieg okoliczności - pora dnia, przewrażliwiona matka i policjant - tym razem zapewnił mojej siostrze bezpieczeństwo. Każdy dzień to znak zapytania.

Ruth nie powiedziała Rayowi, co się stało. Obiecała sobie, że najpierw opisze to w swoim dzienniku. Kiedy wracali do samochodu, Ray zobaczył, że coś się niebiesci w zaroślach znajdujących się w połowie wysokości potężnego wału ziemi, usypanego przez budowlanych.

- To barwinki - powiedział do Ruth. - Zetnę kilka dla mamy.

- Spokojnie, nie spiesz się - odparła Ruth.

Ray zanurkował w krzaki od strony drzwi kierowcy i wspiął się do barwinków, a Ruth stała przy samochodzie. Ray już o mnie nie myślał. Myślał o uśmiechach swojej mamy. Najpewniejszy sposób, żeby się ich doczekać, to znaleźć dla niej dziko rosnące kwiaty, przynieść je do domu i przyglądać się, jak układa rośliny do suszenia, najpierw rozprostowując ich płatki, w czarno-białych słownikach albo encyklopediach. Ray wszedł na szczyt wału i zniknął za nim, mając nadzieję znalezienia kolejnych kwiatów.

Dopiero gdy zobaczyłam jego postać ginącą po drugiej stronie, poczułam ukłucia wzdłuż kręgosłupa. Usłyszałam Holidaya, strach odezwał się w jego gardle niskim i głębokim dźwiękiem, i zdałam sobie sprawę, że nie mógł skomleć z powodu Lindsey. Pan Harvey wspiął się na szczyt Eels Rod Pike i zobaczył zapadlisko oraz pomarańczowe słupy harmonizujące z jego samochodem. Wyrzucił tam ciało. Przypomniawszy sobie bursztynowy wisior swojej matki - kiedy mu go dała, był jeszcze ciepły.

Ruth zauważyła upchnięte w samochodzie kobiety w zabarwionych krwią nocnych koszulach. Zaczęła iść w ich stronę. Na tej samej drodze, przy której zostałam pochowana, pan Harvey minął Ruth. Jedyne, co mogła dostrzec, to kobiety. Potem: ciemność.

W tym momencie spadłam na Ziemię.

22.

Ruth padająca na drogę. To zdążyłam zauważyć. Pan Harvey odpływający w dal, niezauważony, niekochany, niezatrzymywany - to mi umknęło. Bezradnie upadłam, tracąc równowagę. Wpadłam przez otwarte drzwi altany, przez trawnik i poza najdalszą granicę nieba, w którym żyłam przez te wszystkie lata.

Słyszałam Raya krzyczącego nade mną, jego głos tworzył w powietrzu łuk dźwięku.

- Ruth, nic ci nie jest? - zawołał. A potem dotarł do niej i ją chwycił. - Ruth, Ruth - wołał - co się stało?

I byłam w oczach Ruth, patrzyłam w górę. Czułam krzywiznę jej pleców na chodniku, zadrapania pod ubraniem, gdzie ciało rozdarły ostre krawędzie żwiru. Czułam wszystko - ciepło słońca, zapach asfaltu - ale nie mogłam dostrzec Ruth.

Słyszałam bulgot w płucach Ruth, burczenie w jej brzuchu, ale jednak płuca pracowały. Napięcie wyprężyło ciało. Jej ciało. Ray nachylony, jego oczy - szare, wytrzeszczone, bezradnie rozglądające się po drodze w poszukiwaniu pomocy, która nie nadchodziła. Nie widział składała. Wyszedł z chaszczki uradowany, niosąc bukiet polnych kwiatów dla swojej matki, i zastał Ruth leżącą na drodze.

Ruth napierała na własną skórę, chcąc wyjść. Walczyła, żeby się wydostać, a ja mocowałam się z nią w jej własnym ciele. Chciałam, żeby wróciła, chciałam tej boskiej niemożliwości, ale ona nie zamierzała mnie słuchać. Nikt ani nic nie było w stanie zatrzymać jej na dole. Ulatywała. Przyglądałam się, jak w niebie tyle razy wcześniej, ale tym razem to była smuga tuż obok mnie. Żądza i wściekła tęsknota, żeby znaleźć się w górze.

- Ruth - powiedział Ray. - Słyszysz mnie?

Tuż przed tym, zanim zamknęła oczy i wszystkie światła zgasły, a świat oszalał, zajrzałam w szare oczy Raya Singha, spojrzałam na jego ciemną skórę i na usta, które kiedyś całowałam. Potem odniosłam wrażenie, jakby ręka wyrwała się z mocnego uścisku - Ruth go minęła.

Oczy Raya rzucały mi zaproszenie, a lata obserwacji wylały się ze mnie w jednym żalonym pragnieniu. Ponownie żyć na Ziemi. Nie obserwować z góry, ale być - najśłodsza rzecz.

Zobaczyłam ją gdzieś w błękitnym Pomiedzy, Ruth mijającą mnie jak błyskawica, gdy spadałam na Ziemię. Ale nie była żadnym cieniem ludzkiej osoby, żadnym duchem. Była sprytną dziewczyną, łamiącą wszystkie zasady.

A ja znalazłam się w jej ciele.

Usłyszałam głos wołający mnie z nieba. To była Franny. Biegła w stronę altany, wołając mnie po imieniu. Holiday szczekał tak głośno, że dźwięk rezonował mu głęboko w gardle. Potem, nagle, Franny i Holiday zniknęli i wszystko ucichło. Miałam wrażenie, że coś mnie przytrzymuje, poczułam rękę w swojej. Moje uszy stały się oceanami, w których zaczęło

tonąc to, co znałam: głosy, twarze, fakty. Pierwszy raz, odkąd umarłam, uniosłam powieki i zobaczyłam patrzące na mnie szare oczy. Nie ruszałam się, dopóki nie zrozumiałam, że ten cudowny ciężar, który mnie obciąża, to ciężar ludzkiego ciała. Próbowałam się odezwać.

- Nic nie mów. Co się stało? - zapytał Ray.

Umarłam, chciałam mu odpowiedzieć. Jak powiedzieć:

„Umarłam i teraz znów powróciłam między żywych?”.

Ray ukląkł. Obok nas leżały porzrzucone kwiaty, zbierane dla Ruany. Na ciemnym ubraniu Ruth rozróżniałam ich jasne, eliptyczne kształty. Ray przyłożył ucho do mojej piersi, żeby posłuchać oddechu. A potem położył palec po wewnętrznej stronie mojego nadgarstka, żeby sprawdzić puls.

- Zemdlałaś? - zapytał.

Kiwnęłam głową. Wiedziałam, że nie darowano mi Ziemi na zawsze, że życzenie Ruth było tylko tymczasowe.

- Chyba nic mi nie jest - spróbowałam powiedzieć, ale głos miałam zbyt słaby, zbyt odległy, i Ray mnie nie usłyszał. Wpiłam się wzrokiem w jego oczy, otwierając powieki najszerzej jak mogłam. Coś mnie przynaglało, żebym się podniosła. Pomyślałam, że ulatuję z powrotem do nieba, wracam, ale tylko próbowałam wstać.

- Nie ruszaj się, jeżeli jest ci słabo - powiedział Ray. - Mogę cię zanieść do samochodu.

Uśmiechnęłam się do niego uśmiechem o mocy tysiącwatowej żarówki.

- Nic mi nie jest - odparłam.

Na próbę, przyglądając mi się uważnie, puścił moje ramię, lecz wciąż trzymał mnie za drugą rękę. Pomógł mi wstać i gdy się podnosiliśmy, polne kwiaty upadły na chodnik. Widząc Ruth Connors, kobiety w niebie sypały płatki róż.

Uśmiech zdumienia rozjaśnił piękną twarz Raya.

- Więc nic ci nie jest - powiedział. Ostrożnie zbliżył się na tyle, że mógł mnie pocałować, ale twierdził, że tylko sprawdza mi źrenice, żeby się przekonać, czy są jednakowej wielkości.

Czułam ciężar ciała Ruth, słodki ciężar jej piersi i uda, ale też straszliwą odpowiedzialność. Byłam duszą, która wróciła na Ziemię. Ja, tymczasowy dezerterski z nieba, otrzymałam dar. Zmusiłam się, żeby stanąć prosto.

- Ruth?

Próbowałam się przyzwyczaić do tego imienia.

- Tak - powiedziałam.

- Zmieniłaś się. Coś się zmieniło.

Staliśmy na środku drogi, teraz nadszedł mój moment. Tak bardzo chciałam mu wszystko wyjaśnić, ale co takiego mogłam powiedzieć: „Jestem Susie, mam tylko krótką chwilę”? Za bardzo się bałam.

- Pocałuj mnie - poprosiłam.

- Co?

- Nie chcesz? - Sięgnęłam rękoma do jego twarzy i poczułam delikatny ślad zarostu, którego nie było przed ośmioma laty.

- Co ci się stało? - zapytał zdumiony.

- Czasami koty spadają z dziesiątego piętra i lądują na cztery łapy. Wierzysz w to tylko dlatego, że przeczytałeś o tym w książce.

Ray wpatrywał się we mnie oszołomiony. Pochylił głowę i nasze usta delikatnie się zetknęły. Kolejny pocałunek - cenny prezent, skradziony podarunek. Oczy Raya były tak blisko mnie, że widziałam zielone punkciki wśród szarości.

Wzięłam go za rękę i w milczeniu wróciliśmy do samochodu. Miałam świadomość, że się ociąga - wykręcał mi ramię i badawczo przyglądał się ciału Ruth, chcąc się upewnić, że porusza się normalnie.

Otworzył drzwi od strony pasażera, a ja wślizgnęłam się na siedzenie i ustawiłam stopy na wyłożonej wykładziną podłodze. Kiedy obszedł samochód i znalazł się po swojej stronie, zanurkował do środka i jeszcze raz uważnie mi się przyjrzał.

- Co się stało? - zapytałam.

Znów lekko mnie pocałował w usta. Tak długo tego pragnęłam. Czas zwolnił i upajałam się tą chwilą. Muśnięcie jego ust, lekki zarost na brodzie, który mnie zadrasnął, odgłos pocałunku - ciche ssące cmoknięcie, z jakim nasze wargi się rozdzieliły, a potem bardziej zdecydowane rozłączenie. Ten dźwięk rozbrzmiewał w długim tunelu samotności i konieczności znoszenia widoku dotykających się i pieszczących na Ziemi. Ja nigdy nie byłam tak dotykana. Zostałam tylko zraniona przez ręce pozbawione wszelkiej delikatności. Ale po śmierci moje niebo rozjaśniał księżycowy promień, który drżał i połyskiwał - pocałunek Raya Singha. Jakimś sposobem Ruth o tym wiedziała.

Zaczęło mi walić w skroniach na samą myśl, że chociaż całkowicie ukrywałam się we wnętrzu Ruth, byłam przecież sobą. Kiedy Ray mnie pocałował albo nasze ręce się spotkały, to było moje pożądanie, nie Ruth, to ja przepychałam się poza brzeg jej skóry. Zobaczyłam Holly. Śmiała się z głową odrzuconą do tyłu. A potem usłyszałam Holidaya wyjącego melancholijnie, bo wróciłam tam, gdzie kiedyś żyliśmy oboje.

- Dokąd chcesz jechać? - zapytał Ray.

To było takie rozległe pytanie, z tyloma możliwymi odpowiedziami. Wiedziałam, że nie chcę ścigać pana Harveya. Popatrzyłam na Raya i zrozumiałam, że znalazłam się na Ziemi, żeby odzyskać kawałek nieba, którego nigdy nie poznałam.

- Do warsztatu Hala Hecklera - powiedziałam stanowczo.

- Co?

- Sam pytałeś.

- Ruth?

- Tak?

- Mogę cię jeszcze pocałować?

- Tak - odparłam z płonącą twarzą.

Pochylił się i gdy silnik się rozgrzewał, nasze usta znów się spotkały. Zobaczyłam Ruth. Prowadziła wykład dla grupy starszych mężczyzn w beretach i czarnych golfach, a oni trzymali w powietrzu płonące zapalniczki i rytmicznie skandowali jej imię.

Ray usiadł prosto i spojrzał na mnie.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Kiedy mnie całujesz, widzę niebo - wyjaśniłam.

- Jak tam jest?

- Dla każdego inaczej.

- Chcę znać szczegóły - uśmiechnął się. - Proszę o fakty.

- Pokochaj się ze mną - powiedziałam - to ci opowiem.

- Kim ty jesteś? - zapytał, oceniłam jednak, że jeszcze nie wiedział, o co pyta.

- Samochód już się rozgrzał - stwierdziłam.

Chwylił lśniąca chromowaną dźwignię z boku kierownicy i ruszyliśmy. Zwykła sprawa - chłopak i dziewczyna. Kiedy zawracał, słońce odbiło się w drobinach miki na starym, wyreperowanym chodniku.

Pojechaliśmy do końca Fiat Road i wskazałam mu gruntową drogę po przeciwnej stronie Eels Rod Pike, która prowadziła do miejsca, gdzie mogliśmy przeciąć tory kolejowe.

- Niedługo będą musieli to przebudować - powiedział, kiedy przemknęliśmy przez żwir i wjechaliśmy na drogę gruntową. Tory w jedną stronę ciągnęły się do Harrisburga, a w drugą do Filadelfii. Budynki wzdłuż nich równano z ziemią, starzy mieszkańcy się wyprowadzali, a wprowadzali najemcy przemysłowi.

- Zostaniesz tu, kiedy skończysz szkołę? - zapytałam.

- Nikt tu nie zostaje - odparł Ray. - Przecież wiesz.

Prawie mi dech zapało - co za wybór. Gdybym została na Ziemi, mogłabym opuścić to miejsce, żeby zagarnąć inne; mogłabym pójść, dokąd bym chciała. Zaczęłam się zastanawiać, czy tak samo było w niebie. Czy brakowało mi silnego pragnienia, żeby wyruszyć, pragnienia, które brało się z umiejętności porzucania?

Wjechaliśmy na nieduży spłachetek oczyszczonej ziemi, biegnący wokół warsztatu Hala. Ray stanął i zaciągnął hamulec.

- Czemu tutaj?

- Pamiętaj - odrzekłam - to wyprawa badawcza.

Poprowadziłam go na tył budynku i dopóty macałam nad framugą, dopóki nie znalazłam ukrytego klucza.

- Skąd o tym wiedziałaś?

- Widziałam setki ludzi chowających tak klucze. Nie trzeba być geniuszem, żeby zgadnąć.

W środku było tak, jak zapamiętałam; zapach smaru do motorów ciężko wisiał w

powietrzu.

- Chyba muszę wziąć prysznic. Czemu się nie rozgościsz? - powiedziałam.

Znalazłam za łóżkiem kabel z włącznikiem i zapaliłam światło - zabłyśły wówczas małe białe żaróweczki nad łóżkiem Hala, jedyne oświetlenie, nie licząc światła dochodzącego przez przykurzone okienko.

- Dokąd idziesz? - zapytał Ray. - Skąd znasz to miejsce? - W jego głosie pobrzmiwało rozgorączkowanie, którego przed chwilą nie było.

- Daj mi trochę czasu, Ray - poprosiłam. - Potem ci to wyjaśnię.

Weszłam do małej łazienki, zostawiając uchylone drzwi. Zdjęłam ubranie Ruth i przez chwilę czekałam na ciepłą wodę. Miałam nadzieję, że Ruth na mnie patrzy, widzi swoje ciało, tak jak ja je widziałam, jego idealne, żywe piękno.

Łazienka była wilgotna i stęchła, a stara wanna na pazurzystych nogach pokryta plamami; po jej ściankach latami spływała wyłącznie woda. Weszłam do wanny i stanęłam pod strumieniem wody. Mogłam wytrzymać nawet największy ukrop, wciąż było mi zimno. Zawołałam Raya. Poprosiłam, żeby wszedł do środka.

- Widzę cię przez zasłonę - oznajmił, odwracając oczy.

- W porządku - odparłam. - Mnie się to podoba. Rozbierz się i dołącz do mnie.

- Susie, wiesz, że taki nie jestem.

Zamarłam.

- Co powiedziałeś? - zapytałam. Przez białą przejrzystą podszewkę, której Hal używał jako zasłony, skupiłam wzrok na jego oczach - był teraz ciemnym kształtem otoczonym setkami szpileczek światła.

- Powiedziałem, że to nie w moim stylu.

- Nazwałeś mnie Susie.

Zapadła cisza i chwilę później odsunął zasłonę, pilnując się, żeby patrzeć wyłącznie na moją twarz.

- Susie?

- Chodź - powiedziałam z oczyma pełnymi łez. - Proszę, chodź do mnie.

Zamknęłam oczy i czekałam. Podstawiłam głowę pod wodę i czułam ukłucia gorąca w policzki i szyję, piersi, brzuch i krocze. Potem usłyszałam nerwowe szuranie, kłamrę paska uderzającą o zimną cementową podłogę i drobne wypadające z kieszeni.

Podobnego uczucia oczekiwania doświadczałam czasami jako dziecko, gdy kładłam się na tylnym siedzeniu i zamykałam oczy, podczas gdy samochód jechał, pewna, że gdy się zatrzymamy, będziemy w domu, a oni wezmą mnie na ręce i zanoszą do środka. Oczekiwanie pochodzące z ufności. Ray odsunął zasłonę. Odwróciłam się, żeby stanąć do niego przodem, i otworzyłam oczy. Czułam wspaniałe mrowienie po wewnętrznej stronie ud.

- Wszystko w porządku - powiedziałam.

Powoli wszedł do wanny. Z początku mnie nie dotykał, ale potem niepewnie przesunął

palcami po niewielkiej bliźnie na moim boku. Oboje patrzyliśmy na jego palce idące śladem podobnym do wstążki.

- Wypadek Ruth przy siatkówce, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym - wyjaśniłam. Znow zadrżałam.

- Ty nie jesteś Ruth - oświadczył z twarzą przepełnioną zdumieniem.

Ujęłam rękę, która dotarła do końca szramy, i umieściłam ją pod swoją lewą piersią.

- Obserwowałam was oboje latami - powiedziałam. - Chcę, żebyś się ze mną kochał.

Jego usta się rozchyliły, ale słowa, które miały paść, były zbyt dziwne, żeby wypowiedzieć je na głos. Potarł kciukiem moje sutki, a ja przyciągnęłam do siebie jego głowę. Pocałowaliśmy się. Woda wpływała między nasze ciała i moczyła pojedyncze włoski na jego piersi i brzuchu. Pocałowałam go, bo chciałam zobaczyć Ruth, chciałam zobaczyć Holly i wiedzieć, że one mnie widzą. Pod prysznicem mogłam płakać, a Ray mógł scałować moje łzy, nigdy nie mając pewności, czemu płynęły.

Dotykałam wszystkich części jego ciała. Ujęłam w rękę jego łokieć. Pociągając, prostowałam w palcach jego włosy łonowe. Trzymałam w dłoni tę jego część, którą pan Harvey wepchnął we mnie siłą. W myślach wymówiłam słowo *delikatny*, a potem słowo *mężczyzna*.

- Ray?

- Nie wiem, jak mam się do ciebie zwracać.

- Susie.

Przyłożyłam palce do jego ust, żeby powstrzymać pytania.

- Pamiętasz kartkę, którą do mnie napisałeś? Pamiętasz, że podpisałeś się „Maur”?

Przez chwilę oboje staliśmy w bezruchu. Obserwowałam kropelki wody zsuwające się z jego ramion.

A potem, nie mówiąc nic więcej, uniósł mnie, a ja oplotałam go nogami. Odsunął się poza strumień wody, żeby wykorzystać brzeg wanny jako oparcie. Kiedy już był we mnie, ujęłam jego twarz w dłonie i pocałowałam najmocniej, jak mogłam.

Gdy minęła pełna minuta, odsunął się.

- Powiedz mi, jak tam jest.

- Czasami jak w liceum - odparłam bez tchu. - Nie muszę chodzić do szkoły, ale w swoim niebie mogę palić ogniska w klasie albo biegać po korytarzach i, jeśli mam ochotę, głośno krzyczeć. Ale bywa też inaczej. To może być Nowa Szkocja, Tanager albo Tybet. Wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłeś.

- Czy Ruth tam jest?

- Ruth wygłasza mowę, ale wróci.

- Widzisz tam siebie?

- Teraz jestem tutaj - powiedziałam.

- Ale niedługo odejdziesz.

Nie kłamałam. Skinęłam głową.

- Chyba tak, Ray. Tak.

Kochaliśmy się potem. Kochaliśmy się pod prysznicem i w sypialni, pod żaróweczkami, które udawały migoczące w ciemności gwiazdy. Gdy odpoczywał, całowałam go wzdłuż kręgosłupa i błogosławiłam każdy splot mięśni, każdy pieprzyk i plamkę.

- Nie odchodź - poprosił, a jego oczy, te lśniące klejnoty, zamykały się, aż w końcu poczułam płytki senny oddech.

- Na imię mam Susie - wyszeptalam - a nazywam się Salmon, łosoś, jak ta ryba. - Pochyliłam głowę, żeby ją oprzeć na jego piersi, i zasnęłam.

Gdy otworzyłam oczy, okno po przekątnej było ciemnoczerwone. Czułam, że nie zostało mi zbyt wiele czasu. Na zewnątrz toczyło się życie, które tak długo obserwowałam, świat i ja oddychaliśmy na tej samej ziemi. Ale wiedziałam, że nie wyjdę na dwór. Wykorzystałam podarowany mi czas, żeby się zakochać - zakochać w tego rodzaju poczuciu bezradności, której nigdy nie doświadczyłam w śmierci - bezradności bycia żywym, ponurej i rozkosznej żałości bycia człowiekiem, w drodze kierując się dotykiem, po omacku szukając za zakrętem i otwierając ramiona ku światłu. Wszystko to w trakcie podróży w nieznanne.

Ciało Ruth stawało się coraz słabsze. Oparłam się na ramieniu i przyglądałam śpiącemu Rayowi. Wiedziałam, że niedługo odejdę.

Gdy się obudził, spojrzałam na niego i przesunęłam palcami po twarzy.

- Myślisz czasem o umarłych, Ray?

Zamrugął i popatrzył na mnie.

- Jestem na medycynie.

- Nie chodzi mi o trupy ani o choroby czy organy po zapaści. Mam na myśli to, o czym mówi Ruth. Mam na myśli nas.

- Czasami - przyznał. - Zawsze się nad tym zastanawiałem.

- Jesteśmy tu, wiesz? - powiedziałam. - Cały czas. Można o nas myśleć. Można też do nas mówić. To nie musi być smutne ani straszne.

- Czy mogę cię znów dotknąć? - Zrzucił z nóg prześcieradło, żeby usiąść.

To wtedy zobaczyłam coś na końcu łóżka Hala. Było mętne i nieruchome. Próbowalam przekonać samą siebie, że to dziwne sztuczki światła - masa cząsteczek kurzu schwytyanych w promieniu zachodzącego słońca. Ale kiedy Ray wyciągnął rękę, żeby mnie dotknąć, niczego nie poczułam.

Ray pochylił się nade mną i lekko pocałował mnie w ramię. Nie poczułam tego. Uszczypnęłam się pod kocem. Nic.

Niewyraźna masa przy końcu łóżka zaczęła teraz nabierać kształtu. Gdy Ray ześlizgnął się z łóżka, zobaczyłam mężczyzn i kobiety zapełniających pokój.

- Ray - powiedziałam tuż przed tym, zanim dotarł do łazienki. Chciałam dodać „będę za tobą tęsknić” albo „nie odchodź” czy „dziękuję”.

- Tak.
- Musisz przeczytać dzienniki Ruth.
- Nawet za forszę bym z tego nie zrezygnował - odparł.

Spojrzałam poprzez niewyraźne postaci duchów kłębiących się przy końcu łóżka i zobaczyłam, że się do mnie uśmiecha. Widziałam, jak jego cudowne, delikatne ciało odwraca się i znika za drzwiami. Odległe, niespodziewane wspomnienie.

Gdy para zaczęła falami wypływać z łazienki, powoli dotarłam do dziecięcego biurka, gdzie Hal gromadził rachunki i notatki. Znow zaczęłam myśleć o Ruth, o tym, że w ogóle się tego nie spodziewałam - tej cudownej możliwości, o której Ruth marzyła od czasu naszego spotkania na parkingu. Zrozumiałam jednak, że to właśnie nadzieja dała mi siłę, żeby wytrzymać i w niebie, i na Ziemi. Marzyłam, żeby zostać fotografem dzikiej przyrody, żeby dostać Oscara w trzeciej klasie, marzyłam, żeby jeszcze raz pocałować Raya Singha. No i proszę, co się dzieje, kiedy człowiek marzy.

Gdy zobaczyłam telefon, podniosłam słuchawkę. Bez namysłu wystukałam numer do domu-jak przy otwieraniu zamka, do którego kombinację pamiętasz tylko wtedy, gdy obracasz w palcach pokrętko.

Po trzecim dzwonku ktoś odebrał.

- Halo?
- Cześć, Buckley - odezwałam się.
- Kto mówi?
- To ja, Susie.
- Jest tam kto?
- Susie, kochanie, twoja starsza siostra.
- Nic nie słyszę - powiedział mój brat.

Wpatrywałam się w telefon przez minutę, a potem poczułam ich. Pokój był teraz pełen tych milczących duchów. Były wśród nich zarówno dzieci, jak i dorośli. „Kim jesteście? Skąd się tu wszyscy wzięliście?” - zapytałam, ale mój głos nie rozległ się w pokoju. Wtedy to zauważyłam, siedziałam wyprostowana i obserwowałam innych, a Ruth bezwładnie leżała na biurku.

- Możesz mi rzucić ręcznik? - krzyknął Ray, gdy zakręcił wodę. Kiedy nie odpowiedziałam, odsunął zasłonę. Słyszałam, jak wychodzi z wanny i idzie do drzwi. Zobaczył Ruth i natychmiast do niej podbiegł. Dotknął jej ramienia, a ona ospale wstała. Spojrzeli na siebie. Nie musiała nic mówić. Ray wiedział, że odeszłam.

Pamiętam, że kiedyś z rodzicami, Lindsey i Buckleyem jechaliśmy pociągiem, który cofał się w ciemnym tunelu. Tak właśnie się czułam, opuszczając Ziemię po raz drugi. Cel w pewien sposób nieuchronny, a widoki tyle razy przelotnie oglądane. Ale teraz miałam towarzystwo, nie zostałam stamtąd brutalnie wyrwana i wiedziałam, że wybieramy się w bardzo długą podróż do bardzo odległego miejsca.

Ponownie opuścić Ziemię było łatwiej, niż na nią wrócić. Popatrzyłam na swoich starych przyjaciół, obejmujących się w milczeniu na tyłach warsztatu Hala. Żadne z nich nie było jeszcze gotowe, żeby głośno mówić o tym, co ich spotkało. Ruth czuła się jednocześnie zmęczona i szczęśliwa jak nigdy dotąd. Co do Raya, to wszystko, przez co przeszedł, i możliwości, które się przed nim otwierały, dopiero zaczęły do niego docierać.

23.

Następnego ranka do pokoju Raya, gdzie leżeli oboje z Ruth, przedostał się schodami zapach wypieków jego matki. W ciągu nocy ich świat się zmienił. Tak po prostu.

Po starannym ukryciu wszystkich śladów swojej obecności opuścili warsztat Hala. Potem, w milczeniu, pojechali do Raya. Później, tej nocy, gdy Ruana znalazła ich, kompletnie ubranych, wtulonych w siebie i śpiących, ucieszyła się, że Ray ma przynajmniej tę jedną dziwną przyjaciółkę.

Około trzeciej nad ranem Ray się obudził. Usiadł, spojrzał na Ruth, na jej długie, szczupłe nogi, na piękne ciało, z którym się kochał, i poczuł ogarniające go ciepło. Wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, i właśnie wtedy przez okno, z którego tyle lat obserwowała go przy nauce, padła na podłogę odrobina księżycowego blasku. Podążył za nią wzrokiem. Tam, na podłodze, leżała torba Ruth.

Ostrożnie ześlizgnął się z łóżka i podszedł do okna. W torbie był dziennik. Wyjął go i zaczął czytać:

„Na czubkach piór jest powietrze, a u podstawy: krew. Podnoszę kości w górę; żałuję, że jak potłuczone szkło nie mogą uwięzić światła... wciąż usiłuję poskładać te kawałki, stworzyć z nich całość, ożywić zamordowane dziewczynki”.

Przeskoczył w przód:

„Perm Station, umywalnia, walka przenosi się w stronę zlewu. Starsza kobieta.

Przemoc w rodzinie. Al. C. Mąż i żona.

Dach na Mott Street, nastolatka, strzał z pistoletu.

Czas? Mała dziewczynka w C. P. oddała się w stronę krzaków. Biały kołnierzyk z koronki, fantazyjny”.

Niesamowicie zmarzył, ale czytał dalej i podniósł wzrok dopiero wtedy, gdy usłyszał, że Ruth się wierci.

- Mam ci tyle do powiedzenia - oznajmiła.

Siostra Eliot pomogła tacie opuścić się na wózek inwalidzki, podczas gdy mama i Lindsey krzątały się, zbierając żonkile, żeby wziąć je do domu.

- Siostró Eliot - powiedział tata - zapamiętam pani uprzejmość, ale mam nadzieję, że nieprędko znów panią zobaczę.

- Też mam taką nadzieję - odparła pielęgniarka, spoglądając na moją rodzinę. Wszyscy sprawiali wrażenie trochę zakłopotanych, stali luźną grupą. - Buckley, twoja mama i siostra mają zajęte ręce. Twoja kolej.

- Steruj ostrożnie, Buck - odezwał się tata.

Obserwowałam, jak przemierzali korytarz, kierując się w stronę windy - Buckley i tata z przodu, za nimi Lindsey i mama, z naręczami ociekających wodą żonkili. W windzie Lindsey wpatrywała się w gardziołka jasnożółtych kwiatów. Przypomniała sobie, że tego popołudnia,

gdy odbyło się pierwsze spotkanie upamiętniające, Samuel i Hal znaleźli żółte żonkile leżące na polu kukurydzy. Nigdy się nie dowiedzieli, kto je tam położył. Moja siostra spojrzała na kwiaty, a potem na mamę. Czuła ciało Buckleya dotykające jej ciała, a nasz tata, siedzący na lśniąącym szpitalnym wózku, wyglądał na zmęczonego, ale szczęśliwego, że wraca do domu. Gdy dotarli do holu i drzwi się otworzyły, wiedziałam, że tak miało być, cała ich czwórka razem, sami.

Ręce Ruany robiły się coraz bardziej lepkie i obrzmiałe, gdy obierała jabłko za jabłkiem, a w głowie zaczęła obracać słowo, którego unikała przez lata: *rozwód*. Ostatecznie wyzwolił ją widok splecionych, przytulonych ciał jej syna i Ruth. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz poszła do łóżka o tej samej porze co mąż. Wchodził do pokoju jak duch i jak duch wślizgiwał się między prześcieradła, prawie ich nie gniołąc. Nie był niedobry tak jak to opisywano w telewizji i gazetach. Jego okrucieństwo polegało na nieobecności. Nie było go nawet wtedy, kiedy przychodził, siadał przy jej stole i jadł to, co przygotowała.

Usłyszała dźwięk wody puszczanej w łazience na górze i odczekała tyle, ile nakazała jej delikatność. Potem ich zawołała. Tego ranka dzwoniła do niej moja mama. Chciała podziękować, że mogła z nią porozmawiać, kiedy telefonowała z Kalifornii, i Ruana postanowiła podzucić mojej rodzinie placek.

Najpierw wręczyła Ruth i Rayowi po kubku z kawą, a potem oznajmiła, że jest już późno i chce, by Ray towarzyszył jej do Salmonów, gdzie miała zamiar cichutko podbiec do drzwi i postawić szarlotkę na progu.

- Prr, koniku - zdołała wtrącić Ruth.

Ruana spojrzała na nią zdumiona.

- Przepraszam, mamó - powiedział Ray. - Mieliśmy wczoraj dość intensywny dzień. - Zastanawiał się, czy matka mogłaby w ogóle mu uwierzyć.

Ruana odwróciła się do lady i postawiła na stole jedną z dwóch szarlotek, które upiekła, a zapach uniósł się wilgotną mgiełką przez otwory w powierzchni ciasta.

- Śniadanie? - zapytała.

- Jest pani boska! - zawołała Ruth.

Ruana się uśmiechnęła.

- Zjedzcie po porcji, ubierzcie się i oboje możecie ze mną pojechać.

Ruth spojrzała na Raya.

- Właściwie to muszę dokądś pójść, ale później wpadnę - wyjaśniła.

Hal przywiózł mojemu bratu komplet bębnow. Doszli z babcią do porozumienia. Chociaż Buckley miał skończyć trzynaście lat dopiero za parę tygodni, bębny były mu potrzebne już teraz. Samuel chciał, żeby Lindsey i Buckley spotkali się z moimi rodzicami bez niego. To miał być dla nich podwójny powrót do domu. Mama spędziła z tatą czterdzieści osiem godzin i w tym czasie ich świat się zmienił. Zmienił się też dla innych i miał się zmieniać, teraz to rozumiałam. Zmieniać i zmieniać, i zmieniać... Nie było sposobu, żeby to powstrzymać.

- Wiem, że nie powinniśmy zaczynać za wcześnie - powiedziała Babcia Lynn - ale czego się napijecie, chłopcy?

- Myślałem, że umówiliśmy się na szampana - stwierdził Samuel.

- To później - odparła. - Proponuję aperitif.

- Ja chyba zrezygnuję - oświadczył Samuel. - Wypiję coś razem z Lindsey.

- Hal?

- Uczę Buckleya gry na bębnach.

Babcia Lynn zmilczała przed nimi o wątpliwej trzeźwości pewnych sław jazzowych.

- A co powiecie na trzy szklanki krystalicznej wody?

Babcia poszła do kuchni, żeby przyrządzić napoje. Po śmierci kochałam ją znacznie bardziej niż za życia. Żałuję, że nie mogę powiedzieć, że właśnie wtedy w kuchni postanowiła skończyć z piciem, ale teraz widzę, że także picie składało się na to, kim była. Jeżeli nawet wsparcie udzielone po pijaku stanowiło najgorszą część spuścizny, którą zostawiła po sobie na Ziemi, w moim mniemaniu to była zaca spuścizna.

Przyniosła lód z zamrażarki i hojnie sypnęła kostkami. Siedem do każdej wysokiej szklanki. Odkręciła kran, żeby woda była jak najzimniejsza. Jej Abigail znów wracała do domu. Jej dziwna Abigail, którą kochała.

Ale kiedy podniosła wzrok i wyjrzała przez okno, mogłaby przysiąc, że zobaczyła przyglądającą się jej dziewczynkę. Była ubrana w dziecięce ciuszki i siedziała przy przerobionej z fortu szopie ogrodowej Buckleya. Otrząsnęła się z tego. Dzień był pełen zajęć. Nie zamierzała nikomu o tym mówić.

Kiedy samochód taty dotarł na podjazd, zaczęłam się zastanawiać, czy na to czekałam, na moją rodzinę wracającą do domu już nie dla mnie, ale dla samych siebie, z moją nieobecnością w tle.

W popołudniowym świetle tata wydawał się jakiś mniejszy i chudszy, lecz jego oczy przepęłniała wdzięczność, jakiej nie było w nich całe lata.

Moja mama z kolei powoli oswajała się z myślą, że może mogłaby znieść powrót do domu.

Wszyscy czworo wysiedli jednocześnie. Buckley ruszył naprzód, żeby pomóc tacie, chociaż właściwie nie było to konieczne. Może chciał go chronić przed mamą. Lindsey rzuciła mu wymowne spojrzenie - wciąż działała według przyswojonej procedury kontrolnej. Czuła się odpowiedzialna, tak jak odpowiedzialny czuł się mój brat i tak jak odpowiedzialny czuł się tata. Potem się odwróciła i zobaczyła, że patrzy na nią mama, a jej twarz rozświetla jaskrawa żółć żonkili.

- Co takiego?

- Jesteś kropka w kropkę podobna do matki swojego ojca - orzekła mama.

- Pomóż mi przenieść te torby - powiedziała moja siostra.

Podeszły razem do bagażnika, podczas gdy Buckley prowadził tatę ścieżką od frontu.

Lindsey zapatrzyła się w ciemne wnętrze. Chciała wiedzieć tylko jedno.

- Czy znów zamierzasz go zranić?

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby tak się nie stało - odparła mama - ale tym razem bez obietnic. - Zaczekała, aż Lindsey podniesie wzrok, i spojrzała na córkę. Patrzyła jednocześnie wyzywająco i jak dziecko, które dorosło w przyspieszonym tempie, bo biegło bez tchu od dnia, gdy policja stwierdziła, że „w ziemi jest za dużo krwi, państwa córka/siostra/dziecko nie żyje”.

- Wiem, co zrobiłaś.

- Przyjmuję ostrzeżenie.

Moja siostra podniosła torbę.

Usłyszały okrzyki. Buckley wybiegł na frontowy ganek.

- Lindsey! - zawołał, zapominając o swojej powadze, jego ciężka sylwetka tryskała radością. - Chodź zobacz, co Hal mi kupił!

Bębnił. Bębnił, bębnił i bębnił. I Hal był jedyną osobą, która po pięciu minutach tego bębnienia wciąż się uśmiechała. Wszyscy pozostali zadumali się nad przyszłością, która rysowała się hałaśliwie.

- Mam wrażenie, że nadszedł czas, żeby ktoś zapoznał Buckleya z miotłkami - powiedziała Babcia Lynn, a Hal wyświadczył wszystkim tę grzeczność.

Mama wręczyła żonkile Babci Lynn i prawie natychmiast poszła na górę, wykorzystując jako pretekst łazienkę. Wszyscy wiedzieli, dokąd poszła: do mojej dawnej sypialni.

Zatrzymała się na progu, jakby stała na brzegu Pacyfiku. Pokój wciąż był lawendowy. Meble, nie licząc krzesła babci z regulowanym oparciem, niezmienione.

- Kocham cię, Susie - wyszeptwała.

Tyle razy słyszałam te słowa od taty, że teraz doznałam szoku; uświadomiłam sobie, jak bardzo chciałam usłyszeć je od mamy. Mama potrzebowała czasu, żeby się przekonać, że ta miłość jej nie zniszczy, a ja, teraz to wiedziałam, dałam jej ten czas - mogłam go jej dać, bo czasu miałam pod dostatkiem.

Zauważyła na mojej starej komodzie fotografię oprawioną przez Babcie Lynn w złotą ramkę. To było pierwsze zdjęcie, które jej zrobiłam - mój tajny portret Abigail przed obudzeniem się rodziny i nałożeniem szminki. Susie Salmon, fotograf dzikiej przyrody, uwieczniła kobietę wpatrującą się gdzieś poza własny zamglony podmiejski trawnik.

Skorzystała z łazienki, hałaśliwie puszczając wodę i bałaganiąc w ręcznikach. Od razu wiedziała, że to jej matka kupiła te ręczniki - kremowe, absurdalny kolor dla ręczników - i z monogramem - też absurd, pomyślała. Ale potem, równie szybko, zaczęła się śmiać z samej siebie. Zastanawiała się, co osiągnęła, prowadząc przez te wszystkie lata politykę spalonej ziemi. Jej matka umiała kochać, nawet jeśli piła, była rzetelna, nawet jeśli próżna. Kiedy można zostawić własnemu losowi nie tylko umarłych, ale i żywych - nauczyć się akceptować?

Nie było mnie w łazience - ani w wannie, ani w kurku; nie rezydowałam w lustrze nad jej głową ani nie siedziałam, pomniejszona, na końcu każdego włoska szczoteczki do zębów Lindsey czy Buckleya. Właściwie nie potrafiłam ocenić - czy osiągnęli szczęście? Czy rodzice zeszli się na zawsze? Czy Buckley zaczął zwierzać się komuś ze swoich kłopotów? Czy serce taty naprawdę wyzdrowieje? Nie chciałam już za nimi tęsknić i nie pragnęłam, żeby oni tęsknili za mną. Chociaż tęskniłam. Chociaż oni tęsknili. Zawsze.

Na dole Hal obejmował nadgarstek Buckleya trzymającego miotełkę.

- Tylko przesunij ją lekko po werblu.

A Buckley przesunął i spojrzał na Lindsey, która siedziała na ukos od niego na kanapie.

- Całkiem niezłe, Buck - powiedziała moja siostra.

- Jak grzechotnik.

Halowi to się spodobało.

- Właśnie - mruknął, a w głowie płąsały mu wizje własnego świetnego zespołu jazzowego.

Mama z powrotem zjawiała się na dole. Gdy weszła do pokoju, najpierw zobaczyła tatę. Próbowała mu dać do zrozumienia, że z nią wszystko w porządku, że wciąż oddycha i radzi sobie na tej wysokości.

- Proszę o uwagę! - zawołała babcia z kuchni. - Samuel chce złożyć oświadczenie, więc usiądźmy!

Wszyscy się roześmiali i zanim zwarli szeregi - to bycie razem było dla nich takie trudne, mimo że tak bardzo tego pragnęli - Samuel wszedł do pokoju razem z Babcią Lynn. Babcia niosła tacę z kieliszkami do szampana, gotowymi do napełnienia. Samuel przelotnie spojrzał na Lindsey.

- Lynn ma zamiar pomóc mi nalewać - powiedział.

- W tym jest dobra - dodała mama.

- Abigail? - odezwała się Babcia Lynn.

- Tak?

- Ja też się cieszę, że cię widzę.

- Zaczynaj, Samuelu - włączył się tata.

- Chciałem powiedzieć, że jestem naprawdę szczęśliwy, mogąc tu być z wami wszystkimi.

Ale Hal znał swojego brata.

- Dawaj dalej, złotousty. Buck, zrób mu tusz. - Tym razem Hal pozwolił Buckleyowi zrobić to bez pomocy i mój brat zapewnił Samuelowi oprawę.

- Bardzo się cieszę, że pani Salmon jest w domu, a także że pan Salmon jest w domu, i jestem zaszczycony, że się z państwa piękną córką.

- Brawo! Brawo! - zawołał tata.

Mama wstała, żeby przytrzymać tacę, i razem z babcią rozdały kieliszki.

Gdy przyglądałam się swoim bliskim pijącym szampana, myślałam o tym, jak miotali się tam i z powrotem od czasu mojej śmierci, a potem - co rozumiałam, gdy Samuel zdobył się na odwagę i pocałował Lindsey w salonie, przy całej rodzinie - ich życie potoczyło się w zupełnie inną, odległą stronę.

To były te cudowne struktury nawarstwiające się wokół mojej nieobecności: połączenia - czasami przelotne, czasami utrzymywane wielkim kosztem, ale często wspaniałe - które powstały, gdy zniknęłam. Teraz staram się pomieścić w sobie świat, w którym mnie samej nie było. Wydarzenia spowodowane moją śmiercią to zaledwie kości w ciele, które miało stać się całością w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości. Ceną za to, co zaczęłam widzieć jako cudowne ciało, było moje życie.

Tata spojrział na córkę, która przed nim stała. Córka widmo zniknęła.

Po uzyskaniu obietnicy, że Hal po kolacji nauczy go, jak się naprawdę daje tusz na bębnach, Buckley odłożył na bok swoje pałki i miotełki i cała siódemka przeszła przez kuchnię do jadalni. Tam Samuel i Babcia Lynn podali na odświętnych talerzach jej firmowe danie z makaronu z mrożonki oraz kupny mrożony sernik.

- Ktoś jest przed domem - powiedział Hal, dostrzegając przez okno jakiegoś mężczyznę. - To Ray Singh!

- Otwórzcie mu - poprosiła mama.

- Odchodzi.

Wszyscy, oprócz taty i babci, którzy zostali razem w jadalni, ruszyli w pościg za Rayem.

- Hej, Ray! - zawołał Hal, otwierając drzwi i o mało nie wdeptując w szarlotkę. - Zaczekaj!

Ray się odwrócił. Jego matka siedziała w samochodzie, nie wyłączając silnika.

- Nie chcieliśmy przeszkadzać - wyjaśnił Halowi. Lindsey, Samuel, Buckley i kobieta, w której rozpoznał panią Salmon... wszyscy tłoczyli się na ganku.

- Czy to Ruana? - zawołała moja mama. - Poproś ją do środka.

- Naprawdę nie trzeba - odparł Ray, nie ruszając się z miejsca. Zastanawiał się: *Czy Susie to ogląda?*

Lindsey i Samuel wyłamali się z grupy i do niego podeszli.

Mama zdążyła już przejść ścieżką od frontu na podjazd i nachylała się do okna w samochodzie, rozmawiając z Ruaną. Ray zerknął na swoją matkę, gdy wychodziła z auta.

- Dla nas obojętnie co, byle nie szarlotka - mówiła do mojej mamy, kiedy szły ścieżką.

- Czy doktor Singh pracuje? - zapytała mama.

- Jak zwykle - odparła Ruana. Sprawdziła, czy Ray wchodzi do domu z Lindsey i Samuelem. - Wpadniesz znów do mnie na cuchnącego papierosa?

- Jesteśmy umówione.

- Witaj, Ray. Siadaj - odezwał się tata, kiedy go zobaczył wchodzącego przez bawialnię. Ten chłopak, który kiedyś kochał Susie, trafił do jego serca, ale Buckley przesunął się na

krzesło obok taty, zanim ktokolwiek inny zdążył tam usiąść.

Lindsey i Samuel przynieśli sobie z bawialni dwa zwykłe krzesła i usiedli przy kredensie. Ruana zajęła miejsce między Babcią Lynn i mamą, a Hal siedział samotnie przy końcu stołu.

Zdałam sobie wówczas sprawę, że nie będą wiedzieli, kiedy odejdę, tak samo jak nie mogli wiedzieć, że czasami tak uparcie trzymałam się jednego miejsca. Gdy Buckley się do mnie zwracał, odpowiadałam mu. Nawet jeśli nie czułam, że z nim porozmawiam, jednak rozmawiałam. Byłam obecna w taki sposób, w jaki chcieli.

A tam była ona, samotna podczas spaceru po polu kukurydzy, podczas gdy wszyscy inni, na których mi zależało, siedzieli razem w jednym pokoju. Zawsze już miała mnie wyczuwać i o mnie myśleć. Wiedziałam o tym, ale nic nie mogłam zrobić. Ruth była nawiedzoną dziewczynką, a teraz miała być nawiedzoną kobietą. Najpierw przypadkiem, a teraz z wyboru. To do niej należała historia mojego życia i śmierci, o ile zechce ją opowiedzieć nawet każdemu z osobna.

Ruana i Ray siedzieli już dość długo, gdy Samuel zaczął mówić o naśladowującym styl wiktoriański domu do remontu, stojącym przy zarośniętym odcinku drogi numer trzydzieści. Gdy szczegółowo opowiadał o nim Abigail, opisując, jak zdał sobie sprawę, że chce się oświadczyć Lindsey i tam z nią zamieszkać, Ray odruchowo zapytał:

- Czy ma wielką dziurę w suficie w pokoju od podwórza i takie fajne okna nad frontowymi drzwiami?

- Tak - odparł Samuel. - Ale to można naprawić, panie Salmon. Jestem pewien - dodał, widząc zaniepokojenie taty.

- Należy do taty Ruth - oznajmił Ray. Wszyscy na chwilę zamilkli, a potem Ray ciągnął: - Wziął pożyczkę na firmę, żeby kupować takie stare domy, które nie są przeznaczone do rozbiórki. Chce je odnawiać.

- Mój Boże - westchnął Samuel.

A mnie już nie było.

Kości

Nie da się zauważyć, że umarli odchodzą, kiedy naprawdę postanawiają odejść. To ma być niezauważalne. W najlepszym wypadku czuje się ich jako szept albo falę szeptów spływającą w dół. Nikt nie zwraca na to uwagi, tak jak nikt nie zauważa kobiety siedzącej z tyłu sali wykładowej albo teatralnej, dopóki się nie poślizgnie. Wtedy zauważają ją tylko ci, którzy sami siedzą przy drzwiach, jak Babcia Lynn;

dla reszty to coś w rodzaju niewyjaśnionego powiewu w zamkniętym pokoju.

Babcia Lynn zmarła kilka lat później, ale tu jeszcze jej nie widziałam. Wyobrażam sobie, że zalewa się w pestkę w swoim własnym niebie, pijąc koktajl miętowy z Tennessee Williamsem i Deanem Martinem. Trafi tu we właściwym czasie, na pewno.

Prawdę mówiąc, w dalszym ciągu czasem się zakradam, żeby popatrzeć na swoją rodzinę. Nie mogę się oprzeć, a oni czasami o mnie myślą, bo też nie mogą się oprzeć.

Kiedy Lindsey i Samuel wzięli ślub, usiedli w pustym domu stojącym przy drodze numer trzydzieści i wypili szampana. Gałęzie wybujałych drzew sięgały przez górne okna do środka, a oni skulili się pod nimi, wiedząc, że trzeba je będzie przyciąć. Ojciec Ruth obiecał, że sprzeda im dom, pod warunkiem że Samuel zapłaci mu w naturze jako pierwszy pracownik w jego firmie zajmującej się renowacją. Przed końcem lata pan Connors oczyścił parcelę z pomocą Samuela i Buckleya i ustawił tam przyczepę, która w ciągu dnia miała być jego pomieszczeniem roboczym, a wieczorami mogła służyć Lindsey za pokój do nauki.

Z początku było im niewygodnie bez kanalizacji i prądu, bo musieli jeździć do domu rodziców, żeby wziąć prysznic. Lindsey zagrzebała się w nauce, a Samuel zajął wyszukiwaniem klamek i włączników do światła z właściwego okresu. Wszyscy byli zaskoczeni, kiedy Lindsey zorientowała się, że jest w ciąży.

- Tak mi się zdawało, że wyglądasz na grubszą - powiedział z uśmiechem Buck.

- I kto to mówi - odparła Lindsey.

Mój tata marzył, że pewnego dnia nauczy kolejne dziecko kochać statki w butelkach. Wiedział, że będzie w tym zarówno smutek, jak radość, i że zawsze będzie tam pobrzmiwać wspomnienie o mnie.

Chciałabym wam powiedzieć, że jest tu pięknie i że jestem bezpieczna i wy też pewnego dnia będziecie bezpieczni na zawsze. Ale w tym niebie nie chodzi o bezpieczeństwo, tak samo jak, na szczęście, o twardą rzeczywistość. Bawimy się tutaj.

Robimy rzeczy, które ludzi zaskakują i uszczęśliwiają. Na przykład któregoś roku w ogrodzie Buckleya wszystko zakwitło jednocześnie - cały ten szalony galimatias roślin. Zrobiłam to dla mojej mamy, która pewnego dnia złapała się na tym, że znów wygląda na podwórze. Nie posiadała się ze zdumienia, patrząc na cud tych kwiatów, ziół i kielkującego zielska. A sama dokazywała cudów niemal cały czas po swoim powrocie - we wszystkich zawirowaniach życia.

Rodzice oddali resztą moich rzeczy organizacji dobroczynnej, razem z rzeczami Babci Lynn.

Opowiadali sobie o chwilach, kiedy mnie wyczuwali. Bycie razem, myślenie i mówienie o zmarłych stało się zupełnie normalną częścią ich życia. A ja słuchałam swojego brata Buckleya walącego w bębny.

Ray został doktorem Singhem, „prawdziwym doktorem w rodzinie”, jak lubiła mawiać Ruana. I coraz częściej zdarzały mu się chwile, w których zapominał o sceptycyzmie. Nawet jeśli znajdował się w otoczeniu poważnych chirurgów i naukowców, władających czarno-białym światem, nie odrzucał tej możliwości, że obcy, odźwierni, którzy czasami ukazywali się umierającym, nie byli ofiarami wylewów, że zwrócił się do Ruth moim imieniem i rzeczywiście kochał się ze mną.

Jeśli wąpił, dzwonił do Ruth, która z pokoju przeniosła się do kawalerki na Lower East Side. Ruth wciąż usiłującej znaleźć sposób, żeby opisać tych, których widziała, i to, czego doświadczyła. Tak bardzo pragnęła, żeby ludzie uwierzyli w to, co wiedziała: że umarli naprawdę do nas mówią że w powietrzu między żyjącymi unoszą się i kluczą duchy, i śmieją się z nami. Są tlenem, który wdychamy.

Teraz jestem w miejscu, które nazywam niebem bezmiernym, ponieważ spełniają się tu nie tylko moje najprostsze pragnienia, ale i te najbłahsze, i doniosłe. Mój dziadek nazywa to niebo „Ukojeniem”.

Więc są tu ciastka, poduszki i obfitość barw, ale pod tą rzucającą się w oczy pstrą powierzchnią kryją się ciche pokoje, w których można trzymać kogoś za rękę i nie musieć nic mówić. Niczego wyjaśniać. Niczego żądać. Gdzie można żyć pełnią zmysłów, jak długo się chce. W tym niebie bezmiernym chodzi o gwoździe z płaskim łebkiem, miękki meszek na młodych liściach, szalone przejażdżki górską kolejką i brak piątej klepki, która, kiedy się odnajdzie, zabierze cię w miejsce, o jakim nigdy nie śniłeś w swoich marzeniach z małego nieba.

Któregoś popołudnia obserwowałam Ziemię z moim dziadkiem. Przyglądaliśmy się ptakom przeskakującym z czubka na czubek niezwykle wysokich sosen w Maine i odbieraliśmy doznania ptaków, które lądowały, potem wzlatywały i znów lądowały. Skończyliśmy w Manchesterze, odwiedzając knajpkę, którą dziadek pamiętał z czasów, kiedy podróżował po Wschodnim Wybrzeżu w interesach. Podupadła przez te minione pięćdziesiąt lat, więc tylko rzuciliśmy na nią okiem i ruszyliśmy dalej. Ale w którymś momencie zawróciłam - zobaczyłam go: pana Harveya stojącego w drzwiach greyhounda.

Wszedł do knajpki i zamówił przy barze kawę. Niewtajemniczonym wciąż wydawał się zupełnie zwyczajny, nie licząc okolic oczu, ale nie nosił już szkielek kontaktowych, a nikt nie zadawał sobie trudu, żeby zajrzeć w grube szkła jego okularów.

Gdy starsza kelnerka podsunęła mu styropianowy kubek pełen wrzącej kawy, usłyszał za plecami brzęknięcie dzwonka znad drzwi i poczuł podmuch chłodnego powietrza.

To była nastolatka, która przez kilka ostatnich godzin siedziała w autobusie parę rzędów przed nim, słuchając walkmana i nucąc kolejne piosenki. Siedział przy barze, gdy korzystała z łazienki, a potem wyszedł za nią na dwór.

Obserwowałam, jak wlecze się za dziewczyną przez brudny śnieg wzdłuż ściany budynku w stronę przystanku autobusowego, gdzie osłonięta od wiatru mogłaby zapalić. Dołączył do niej, gdy tam stanęła. Nie była nawet przestraszona. Był tylko kolejnym starym nudziarzem w kiepskich ciuchach.

W głowie przeprowadzał szybką kalkulację. Śnieg i zimno. Stromy jar, który opadał w dół tuż przed nimi. Głuche lasy po przeciwnej stronie. I nawiązał z nią rozmowę.

- Długa podróż - powiedział.

Z początku spojrzała na niego, jakby nie mogła uwierzyć, że mówi właśnie do niej.

- Um hmmm - odparła.

- Jedziesz sama?

I wtedy je zauważyłam - w wielkiej obfitości wiszące nad ich głowami długim rzędem. Sople.

Dziewczyna przydeptała papierosa obcasem i ruszyła przed siebie.

- Psychol - rzuciła i przyspieszyła kroku.

Chwilę później spadł jeden z sopli. Jego ciężki chłód pozbawił pana Harveya równowagi w wystarczającym stopniu, żeby się potknął i spadł w dół. Musiały minąć całe tygodnie, zanim śnieg w jarze stopniał na tyle, żeby go odsłonić.

A teraz pozwólcie, że opowiem o czymś wyjątkowym.

Na podwórzu Lindsey urządziła ogród. Przyglądałam się jej, gdy plewiła długą szeroką grządkę z kwiatami. Jej palce drgały wewnątrz rękawiczek, gdy myślała o klientach, których codziennie widywała w pracy - jak pomóc im znaleźć sens w kartach, które dostali od życia, jak złagodzić ich ból. Pamiętałam, że jej tęgiej głowie umykały często właśnie rzeczy najprostsze. Całe wieki trwało, zanim się zorientowała, że kiedy pracowałyśmy na podwórzu, zawsze zgłaszałam się na ochotnika do przycinania trawy za płotem, żeby móc się bawić z Holidayem. Przypomniała sobie Holidaya, a ja podążyłam za jej myślami. Że za parę lat, kiedy dom będzie uporządkowany i ogrodzony, przyjdzie pora, żeby kupić dziecku psa. A potem, że teraz są kosiarki z żyłką, i w ciągu paru minut można podciąć trawę wzdłuż płotu, podczas gdy nam zajmowało to całe godziny narzekania.

Popatrzyłam na Samuela. Właśnie podszedł do Lindsey, trzymając w ramionach słodką kuleczkę, urodzoną dziesięć lat po moich czternastu spędzonych na Ziemi: Abigail Suzanne, dla mnie mała Susie. Położył ją na kocu przy kwiatkach. A moja siostra, moja Lindsey, porzuciła mnie wśród wspomnień, tam gdzie było moje miejsce.

W domku stojącym pięć mil dalej pewien mężczyzna pokazał żonie moją oblepioną zaskorupiałym błotem bransoletkę z wisiorkami.

- Zobacz, co znalazłem na starym terenie przemysłowym - powiedział. - Facet z budowy

mówił, że wyrównywali całość spychaczami. Boją się, żeby nie było tam więcej takich zapadlisk, jak to, gdzie topili samochody.

Gdy żona nalewała mu wody, przesuwał palcami po małym rowerze, baletce, koszyku z kwiatami i naparstku. Potem jeszcze raz spojrzął na bransoletkę, a kobieta odstawiła szklankę.

- Ta dziewczynka zdążyła już dorosnąć - stwierdziła.

Prawie.

Niezupełnie.

Życzę wam wszystkim długiego i szczęśliwego życia.

Podziękowania

Mam dług wobec moich zapalonych pierwszych czytelników: Judith Grossman, Wiltona Barnhardta, Geoffreya Wolffa, Margot Livesey, Phila Haya i Michelle Latiolais. Podobnie jak wobec warsztatu na Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine.

Wobec tych, którzy przyłączyli się do zabawy późno, ale przynieśli najbardziej niesamowite kąski: Teal Minton, Joy Johannessen i Karen Joy Fowler.

Wobec zawodowców: Henry'ego Dunowa, Jennifer Carlson, Billa Contardiego, Ursuli Doyle, Michaela Pietscha, Asyi Muchnick, Ryana Harbage'a, Laury Quinn i Heather Fain.

Nieustające podziękowania dla: Sarah Bumes, Sarah Crichton i wspaniałej MacDowell Colony.

Odznaki honorowych mądralińskich dla moich informatorów: Dee Williams, Orren Perlman, dra Carla Brightona i niezbędnego zespołu dokumentacyjnego Buda i Jane.

I wreszcie dla mojej stałej trójki, której odżywcza przyjaźń oraz precyzyjne czytelnictwo są tym, co obok tapioki i kawy pozwala mi żyć na co dzień: Aimee Bender, Kathryn Chetkovich, Glena Davida Golda.

No i *hau!* dla Lilly.